

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum
METRO
2033



ARTUR CHMIELEWSKI
ACHROMATOPSJA

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum
METRO
2033



ARTUR CHMIELEWSKI
ACHROMATOPSJA



ARTUR CHMIELEWSKI

ACHROMATOPSJA

 **Insignis**

„Z ruin czasu wzniesione są wieczności dworzyszczą”.

James Joyce, *Ulisses*
(przekład Maciej Słomczyński)

Tom pierwszy

Pasterz

Rozdział 1

– Ty pierdolony szczurożerco! – potężna postać odrywa się od konturu wypalanej ściany i rusza w kierunku kłębka łachmanów, konwulsyjnie kopiącego brudny śnieg. Gdyby nie szkło maski przeciwgazowej, odbijające blade, zimne światło szarego nieba, można by pomyśleć, że to jakieś wściekłe zwierzę wije się pod stertą starych szmat. Jednak spod grubej warstwy czerwonej mgły błyskają białka oszalałych z bólu ludzkich oczu. Krew tryskająca z urwanej w łokciu ręki znaczy monotony szary krajobraz nieoczekiwanym barwnym akcentem.

– Seba, zostaw go! – stłumiony przerażeniem kobiecy głos brzmi bardziej jak nieśmiała prośba niż rozkaz, nie robiąc większego wrażenia na atakującym.

Rozjuszony osiłek doskakuje do rannego, siada na nim okrakiem i zaczyna okładać go pięściami, szamocząc się w niekształtnym skórzanym worze powiązanego parcianymi pasami kombinezonu. Tamten odruchowo osłania głowę kikutem i strumień jasnoczerwonej krwi bryzga wprost w maskę napastnika, na chwilę powstrzymując jego furię. Oślepiiony, mieląc w zębach przekleństwa, usiłuje wytrzeć okulary grzbietem rękawicy. W tym momencie potężny, wymierzony w głowę kopniak powala go na ziemię. Spokojny o celność ciosu mężczyzna w wojskowym kombinezonie przeciwdroczym nie zwraca najmniejszej uwagi na padające w śnieg bezwładne ciało. Mimo niemłodego wieku porusza się pewnie i sprężysto. Poprawia pasek przewieszzonego przez plecy kałasznikowa o skróconej lufie – charakterystycznego elementu ekwipunku stalkerów – jakby to, co przed chwilą zaszło, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Staje nad wijącym się na ziemi rannym, opiera dłoń na wiszącej na biodrze kaburze i rozpina ją dyskretnie jednym palcem. Powoli wyciąga pistolet, lecz jego ręka zastyga nagle w połowie drogi. Ukradkiem zerka za siebie i po chwili namysłu dyskretnie wsuwa glocka z powrotem do kabury. Kuca przy leżącym.

– Julio, chodź szybko, zanim się nam do końca wykrwawi! – woła.

Obserwuję tę scenę, wciąż jeszcze nie mogąc złapać oddechu. Serce łomocze mi w piersi, jakby chciało zmienić lokum na jakieś bezpieczniejsze, a żołądek powędrował wysoko, do gardła i wcale nie chce wrócić na swoje miejsce.

– Posrałbym się, gdybym tylko miał czym! – Wciśnięty w załom muru Alex głośno wypowiada to, co od dłuższej chwili tłucze mi się po głowie. Niewiele widzę, okulary maski kompletnie zaparowały. Robię głęboki wdech i ściągam z twarzy śmierdzącą, sparciałą gumę. Przecieram szybką skrajem postrzępionego swetra, gapiąc się bezmyślnie przed siebie.

W tym czasie Julia sprawnie rozcina rękaw rannemu i obwiązuje kikut kawałkiem nylonowej linki. Kiedyś na takiej linie wieszano pranie, by schło na wietrze. W promieniach ciepłego, przyjaznego słońca. Kiedyś. Dwadzieścia lat temu. Prehistoria.

– Franz, przynieś mi apteczkę! – Głos dziewczyny wrywa mnie z przytulnego bagna wspomnień. Stalker wstaje, przechodzi kilka kroków i podnosi z ziemi uwalaną popiołem torbę z naszytym starannie szmacianym czerwonym krzyżem.

– Przeżyje? – pyta, podając torbę dziewczynie. Ona nie odpowiada. Ruchami na tyle delikatnymi, na ile pozwala jej gruby brezentowy kombinezon połatany w tysiącu miejsc (a każda łata jest inna – przychodzi mi zawsze do głowy, kiedy na nią patrzę), wygrzebuje spośród zużytych przyborów medycznych jednorazową strzykawkę z krótką, cienką igłą.

– Nguyen! Popatrz na mnie! Uspokój się! – mówi wolno i wyraźnie, jak do dziecka. Ściąga mu maskę i stara się przytrzymać głowę. Mężczyzna szamoce się jak ryba wyrzucona na brzeg. Wreszcie jego rozbiegane niewidzące oczy skupiają się na twarzy dziewczyny. – Dam ci morfinę, widzisz? Ostatnią. Nic nie będzie cię boleć, będziesz mógł dalej iść, dobrze?

Alex, gramoląc się ze swojego schronienia w kącie na wpół zawalonej ściany, z dezaprobatą kręci głową.

– Nie szkoda jej na to żółte ścierwo?! – rzuca w kierunku sanitariuszki. Franz mierzy go zimnym wzrokiem. Alex odwraca się, udaje, że cała ta historia w ogóle go nie obchodzi.

– Zobaczymy, co powiesz, jak sam zostaniesz ranny i będziesz się wił z bólu... – mamroce, otrzepując się z popiołu i resztek osmalonego tynku. Ostentacyjnie ignorując Julię i Franza, zajętych Wietnamczykiem, podchodzi do olbrzyma leżącego wciąż na ziemi. Trąca go butem. – Seba! Pobudka, jełopie!

Mężczyzna wielką dłonią rozciera ukryte pod gumą maski ucho, bełkoce coś do siebie jak pijany. W końcu z trudem dźwiga się z ziemi.

– Jak mi kiedyś uszkodzisz maskę, to cię zajebię! – warczy w kierunku Franza.

– Śmiało! – Tamten nie odwraca się nawet w stronę groźby. – Dbaj o maskę, to przynajmniej zostanie po tobie coś wartościowego.

Alex przygląda się kucającemu kilka metrów dalej stalkerowi, potem wymownie zerka na Sebę.

– Czego? – denerwuje się osiłek, trąc obolałą czaszkę. – Zabierz mu giwerę, to go zaraz zajebię.

A tego żółtego gnoja...

– Ten żółty gnój i tak sam niedługo zdechnie – cedzi przez zęby Alex. – Bóg jest miłosierny, w nim nasza jedyna nadzieja...

Tymczasem Julia kończy opatrywać rannego. Czyści nożem zakrwawiony kikut, obcina wiszące mięśnie i ścięgna, naciąga na odsłonięte kości stawu łokciowego skórę i – zasypując czerwone, pulsujące mięso resztką szarego proszku z papierowej torebki – zawiązuje kawałkiem nylonowej linki. Morfina działa błyskawicznie: leżący gapi się teraz na wiszące nad nimi niskie chmury niewidzącym, błędnym wzrokiem. Na jego twarzy pojawia się niewyraźny, pełen dziecięcego zadziwienia uśmiech.

– Kiedy dojdzie do siebie? – Franz przygląda się precyzyjnym ruchom dziewczyny.

– Dwie, trzy godziny. Dawka nie była duża, ale on jest bardzo lekki i dlatego tak go wzięło – odpowiada. – Starczy inhalacji – dodaje cicho, delikatnie naciągając na twarz mężczyzny maskę.

– No to za dziesięć minut ruszamy – oznajmia Franz.

– Ruszamy?! A jak sobie, kurwa, wyobrażasz ten spacer bez skanera?! – Seba nie próbuje nawet ukrywać nienawiści, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości od Franza. – Będziemy jak ślepi jak cholerne bachory pogubione w ciemnym tunelu. Zaraz nas coś zeżre albo dostaniemy taką dawkę, że zdechniemy, zanim cokolwiek zdąży nas zeżreć. O to ci chodzi? Chcesz, żeby nas napromieniowało? – W jego głosie słychać z trudem wstrzymywaną histerię. – Nie wiem jak ty, ale ja nie mam zamiaru zamienić się w jakiegoś pierdolonego mutanta!

– Może ci skrzydła wyrosną, a im szybciej to się stanie, tym szybciej będziesz na miejscu – mruczy pogardliwie Franz, lustrując uważnym spojrzeniem okolicę.

– Na miejscu? Na jakim, kurwa mać, miejscu?! Może nam wreszcie raczysz powiedzieć, dokąd tak naprawdę nas wleciesz?

– Do nieba... – Franz uśmiecha się pod nosem, a mnie na widok tego uśmiechu robi się zimno. – Tam ze skrzydłami będzie ci do twarzy. I Alex cię wreszcie pokocha... Kto wie, może zostaniesz aniołem z jego mokrych snów?

– Pierdol się! – warczy Alex. – Lepiej spieprzajmy stąd jak najszybciej, za chwilę ten bydlak wróci dokończyć obiad! Teraz pewnie jeszcze z rodziną. Taka okazja...

– Wreszcie ktoś mówi do rzeczy – zaczynam pojednawczo. Dopiero teraz, dobre kilkanaście minut po ataku potwora, rytm mojego serca powoli wraca do normy, mogę już mówić bez niekontrolowanego koncertu perkusyjnego na wszystkie zęby. – Fakty są takie, że nie mamy skanera i mamy ранego – staram się sprowadzić rozmowę na neutralny grunt rzeczywistości.

– Bo się ścierwu zachciało prognozy pogody... – przerywa mi natychmiast Seba.

– I oddał skaner robalowi – syczy Alex.

– Razem z ręką oddał, odczepcie się od niego! – krzyczy Julia, pakując pośpiesznie apteczkę.

– Chcę... do... domu... – ciche pojękiwania Nguyena, stłumione gumą maski, brzmią niczym skarga dziecka.

Ogarnia mnie zmęczenie, śmiertelne zmęczenie. Mam dość: od dwudziestu lat życie jest nieustanną licytacją, w której los wciąż niestrudzenie podbija stawkę pochłaniającego wszystko codziennego koszmaru. Jednak tam, w ciemnych tunelach warszawskiego metra, udaje nam się przynajmniej utrzymać pozory normalności. Krucha równowaga sił zapewnia złudzenie spokoju. I choć wiem, że to już koniec naszego świata, to rozłożony na raty, jest łatwiejszy do zaakceptowania – oswojony i znajomy. Jeżeli tylko przestrzegasz reguł (nieskończonej liczby stale zmieniających się reguł – podpowiada mi moje bardziej cyniczne ja), w końcu utoniesz w monotonii codzienności, stracisz rachubę czasu i może nawet niepostrzeżenie zdążysz się zestarzeć. Tuż przed czterdziestką, bo dłużej i tak raczej nie pożyjesz. Ale tutaj, na powierzchni? W ciągu ostatnich dwóch dni to wielkie kłamstwo naszego życia: że da się przetrwać tam, gdzie nie miało już być niczego, objawiło się pełnią brutalnej szczerości. Odkąd opuściliśmy ostatni posterunek na Pradze i wyszliśmy na powierzchnię, przysło złudzenie bezpieczeństwa

i stabilizacji. Prysł mit względnej nieszkodliwości otaczającego nas świata, który uparcie wmawialiśmy sobie w ciemnych tunelach metra. Od tamtej pory tempo licytacji na aukcji okropieństw sięgnęło zenitu, a jakby mało było nam grozy świata zewnętrznego, obudziły się demony drzemiące w każdym z nas. Już ledwo pamiętam, jak się to wszystko zaczęło – jakby minęły nie dwa dni zaledwie, lecz co najmniej dwie dekady...

Rozdział 2

Jak się to wszystko zaczęło? W dzisiejszych czasach to bardzo niewygodne pytanie. Za „rozdrapywanie ran”, jak się to najczęściej określa, w najlepszym razie czeka cię towarzyski ostracyzm. Jeżeli jednak trafisz na nerwowego rozmówcę, możesz nieźle oberwać – historia już nie jest w cenie. „A kogo to, kurwa, obchodzi”, to najczęstsza reakcja na dociekania domorosłych historyków. Jakby pamięć tamtego dnia była zbyt trudna do zniesienia. Wciąż, mimo upływu lat. To niby jasne: niewyobrazalna tragedia, ogrom cierpień, skala zniszczeń, ból, smutek, żal... Bla, bla, bla. Krótko: koniec świata. Tego dobrego, przyjaznego, możliwego do zrozumienia i kontrolowania. Świata, nad którego kształtem tak wytrwale przez ostatnie tysiąclecia pracowaliśmy. Ale czy to jedyny powód tej powszechnej amnezji? A może za zgodnym milczeniem ocalałych kryje się coś jeszcze? Poczucie winy? Bo to chyba jednak nie był wypadek, pomyłka, splot nieszczęśliwych okoliczności. Żaden z dysponentów czarnej walizeczki z atomowymi kodami nie oparł się o czerwony przycisk przypadkiem. Wszystko to nie zaczęło się i nie skończyło w jeden dzień. Atmosfera wrogości, napięcia i strachu dojrzewiała miesiącami. Pracowały nad nią zastępy specjalistów od nienawiści: polityków, wojskowych, duchownych. Pracowali też zwykli ludzie – polityczne zaplecze skrajnych ruchów, które po wejściu do mainstreamu nie ucywilizowały się, jak wielu miało nadzieję, ale wręcz zaostrzyły swoją retorykę. Rozwinęły te najgłębiej schowane sztandary i poszły na całość. I stało się jak zawsze – wszyscy nagle zapragnęli wielkich czynów, ostatecznych rozwiązań, wyrównania rachunku krzywd i ustalenia historycznych racji. W takich czasach najmniejsza, dawno zapomniana uraza urasta do rozmiarów narodowej tragedii. Po każdej ze stron.

Ileż to razy ludzkość przerabiała już ten schemat... Wtedy jednak – szczęśliwie dla naszych antenatów – technika nie potrafiła jeszcze tego, co pokazała nam.

Ale kogo to, kurwa, obchodzi? I tak nie wiemy, i już nigdy nie będziemy wiedzieć, kto pierwszy nacisnął ten cholerny guzik. Kto rozpoczął czterdzieści pięć minut najbardziej niezwykłego w historii człowieka spektaklu „światło i dźwięk”. Spektaklu, o którego okrutnym pięknie widzowie nie zdążyli już nikomu opowiedzieć. Nagle, choć nieuczciwością byłoby mówić, że bez ostrzeżenia, ludzkość została zredukowana do garstki szczęśliwców, którzy w tym feralnym momencie mieli co najmniej kilka metrów betonu nad głową. Polska, której infrastruktura z rzadka tylko schodziła pod powierzchnię ziemi, w ciągu tych kilkudziesięciu minut po raz kolejny w swojej historii zniknęła z mapy świata. Jednak tym razem już chyba na dobre. W niecałą godzinę zostało z niej zapewne nieco ponad dwadzieścia kilometrów tuneli warszawskiego metra. Naszym szczęściem w nieszczęściu był moment zagłady, wyznaczony przez los na godzinę popołudniowego szczytu komunikacyjnego. Gdyby bomby spadły kilka godzin wcześniej albo

później, metro byłoby niemal puste.

Z pewnością nie byliśmy jedynymi, którzy przetrwali. Może atak przeżyli też górnicy, którzy akurat byli na dole, może ktoś na najniższych kondygnacjach parkingów w biurach czy centrach handlowych. Ale z tego, co opowiadali nieliczni śmiałkowie, którzy w kilka tygodni po Armagedonie, bo tak teraz najczęściej nazywamy tamten dzień, odważyli się wyjść na powierzchnię, ich szanse przetrwania były praktycznie zerowe. Tymczasowe schronienia szybko zamieniły się w grobowce, których betonowe ściany stały się niemymi – na szczęście, bo któż zniósłby te przerażające świadectwa – świadkami ich na chwilę tylko odroczonej śmierci.

Mówią, że najbardziej niesamowita była scenografia tego spektaklu grozy. Ostateczną wojnę wyobrażano sobie zawsze jako pochłaniające wszystko morze ognia, pokrywające świat pofalowaną taflą ruin. Budowano przecież coraz to większe bomby, zdolne obrócić w popiół całe miasta, prowincje, państwa – takimi „sukcesami” karmiły nas wtedy oszalałe z nienawiści rządy, naiwnie wierząc, że druga strona nie przygotowała równie morderczych niespodzianek. Tymczasem nawet to okazało się cynicznym propagandowym kłamstwem. Może szkoda, ale nie spadła na nas żadna z tych megabomb, inaczej nie pozostałby po nas przecież nawet najmniejszy ślad. Faktycznie zastosowaną strategię nazwano potem „ekonomią nowoczesnej wojny”, chcąc podkreślić, że twórcy tej doktryny planowali najprawdopodobniej normalny, klasyczny podbój zaatakowanych terytoriów, a nie wyłącznie ich ostateczne zniszczenie. Skutkiem czego Warszawa, bo o innych miastach nie mamy niestety żadnych informacji, została prawie nietknięta, pierwsza zima wyrządziła więcej szkód niż kolejne fale ataku. Niewielkie, lecz bardzo liczne ładunki (ot, pewnie jakieś pojedyncze kilotony) wybuchały w troposferze, wysoko nad powierzchnią ziemi, dając minimalną falę uderzeniową, za to maksymalne pole rozpraszania materiału „aktywnego” – to eufemizm, nad którego prawdziwym sensem mało kto się wtedy zastanawiał. A aktywnością materiał ten musiał zaskoczyć chyba nawet swoich konstruktorów – jeżeli przeżyli. Nie wiemy nawet, jak nazywać te bomby – wszystko toczyło się szybko i objęte było tak paranoicznym systemem kontroli informacji, że nie zdążyliśmy nawet poznać nazwy narzędzia, które nas zabiło. Niezależnie jednak od zabawnych imion czy technicznych oznaczeń, zapewne starannie wykaligrafowanych na stalowych korpusach, bomby okazały się nad podziw skuteczne. Efekty były natychmiastowe i spektakularne: materia organiczna rozkładała się jak żaba polana stężonym kwasem solnym. W ciągu kilku godzin ludzie i zwierzęta ginęli w potwornych męczarniach, zmieniając się w błotnistą, cuchnącą breję. Roślinność czerniała i rozsypywała się w pył, jakby strawiona od środka niewidzialnym płomieniem. Nawet papier, tkaniny i drewno szybko przybrały formę toksycznej, gąbczastej masy. A wszystko to w surrealistycznej scenerii nienaruszonych prawie budynków, z których progów jeszcze przez kilka lat sączyły się strumyki brunatnej mazi. Wprawdzie z czasem proces rozkładu wyhamował, lecz zniszczenia były już nieodwracalne. Do tego dołączyły bardziej typowe następstwa eksplozji jądrowych: promieniowanie przenikliwe i skażenie promieniotwórcze, zbierające śmiertelne żniwo wśród tych, którym jakimś cudem udało się uchronić przed skutkami bomb organicznych.

Jednak, choć trudno w to uwierzyć, najgorsze miało dopiero nadejść: świat, a przynajmniej ta znana nam jego część, pogrążył się w ponurym półmroku zimy nuklearnej. Jakby porom roku znudziły się jałowe

próby obudzenia martwego teatrum przyrody. Niektórzy straszili nią już wcześniej, ale patrzono na nich jak na szaleńców, opętanych proroków apokalipsy, których hałaśliwa zgraja od zawsze towarzyszyła społeczeństwom w zwrotnych momentach historii. Cóż, na początku każdy wzruszał tylko ramionami. Zima cały rok? Heło! Przeżyliśmy Armagedon, czy coś gorszego mogłoby nas jeszcze spotkać? Nie! Nam już nic nie jest w stanie zaszkodzić!

W ciągu kilku miesięcy niebo zasnuło się grubą warstwą chmur syjących nieustannie szarym, przypominającym popiół śniegiem. Temperatura spadła do kilkunastu stopni poniżej zera. Od czasu do czasu, w krótkich okresach, których nadejścia nikt nie był w stanie przewidzieć, ocieplało się trochę i padał deszcz. Biada jednak temu, kto zapragnąłby zmyć w jego strugach pokrywającą twarz warstwę lepkiego popiołu! Krople deszczu wypalały skórę do kości, rany powstałe w takiej kąpieli nie chciały się goić i kończyły się tajemniczymi, odpornymi na leczenie śmiertelnymi infekcjami.

Jednak najskuteczniejszym zabójcą był mróz. Przez bomby organiczne drewno stało się towarem niemal niedostępnym. To, co zostało na powierzchni, nie nadawało się do palenia – cuchnący, toksyczny dym nie pozostawiał wątpliwości odnośnie do najwyższych kwalifikacji wojskowych chemików. Paliliśmy więc wszystko, co tylko udało się odnaleźć w tunelach i co miało w sobie jakiś ślad węgla. Na szczęście najstarsza część metra budowana była jeszcze w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku – w czasach dogorywającego socjalizmu. Mnóstwo tam było prowizorki – zapomnianych, kładzionych chaotycznie, bez żadnego planu i kontroli drewnianych szalunków w bocznych tunelach serwisowych i ciągach technicznych. Niestety, zasoby opału nie odnawiały się – bardzo szybko trzeba było wprowadzić jego ścisłą reglamentację. W dwunastym roku, na krótko, sytuację podratował odkryty przypadkiem podziemny magazyn koksu niedaleko stacji Młociny, w bezpośredniej bliskości rdzewiejącej od lat huty stali.

Rok później metro opanowała nagła euforia – wyniki pomiarów zaczęły wykazywać spadek promieniowania. I kiedy już się wydawało, że będziemy mogli rozpocząć penetrowanie coraz dalszych rejonów miasta, zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Najpierw ze swoich wypraw przestali wracać samotni eksploratorzy, poszukujący na tym przerażającym cmentarzysku, jakim stała się Warszawa, opału, jedzenia, jakichkolwiek wartościowych przedmiotów. Potem zaczęły znikać całe ekspedycje. Albo wracały, napotkawszy obszary silnego skażenia tam, gdzie wcześniej już go prawie nie było. Albo z kilku śmiałków, którzy wyruszyli na powierzchnię, wracał jeden, którego śmiałkiem już dłużej nazywać się nie dało: śliniąc się i bełkocząc niezrozumiałe słowa, robił pod siebie, gdy tylko ktoś głośniejszym chrząknął za jego plecami. Po kilku dniach popadał w katatoniczny stupor i wkrótce – przechodząc jeszcze krótką fazę gwałtownego pobudzenia – umierał. Wprowadzono kategoryczny zakaz opuszczania metra, jednak głód szybko wygonił ludzi z powrotem na powierzchnię. Ekspedycje były teraz lepiej zorganizowane: nikt nie poruszał się bez silnej ochrony, trasy były krótkie i starannie zaplanowane. Jednak to, że kilku wyprawom udało się wrócić do bezpiecznego tunelu, właściwie tylko pogorszyło sytuację. Obraz wyłaniający się z relacji uczestników okazał się straszniejszy niż pełna najczarniejszych domysłów niewiedza.

Nie byliśmy już sami.

Rozdział 3

Nikt nie umiał wyjaśnić, skąd się wzięły. Nikt też nie umiał powiedzieć, czym były. Z pewnością nie przypominały niczego, co wcześniej istniało na ziemi. Bogactwo upiornego bestiariusza śmiertelnie nas przerażało. Praktycznie każda wyprawa przynosiła wieści o nowych stworach. Jakby mnożyły się i ewoluowały w nigdy wcześniej nienotowanym tempie. Ich różnorodność mogłaby fascynować, gdyby nie stanowiła sedna zagrożenia: były małe, jak koty, i ogromne, jak prehistoryczne mastodonty. Latały, skakały, pełzały. Biegały szybciej niż najszybszy człowiek lub nie poruszały się prawie wcale, cierpliwie czekając na nieuważną ofiarę. Były niemal wszędzie, mogły zaatakować z każdej strony. I miały jeden cel: jak najszybciej rozszarpać każdego, kto nieopatrznie znalazł się w zasięgu ich zębów, szponów, dziobów. I były w tym naprawdę dobre. Śmiertelnie skuteczne. Choć niektóre pokryte były sierścią, inne czymś na kształt łuski czy piór, jeszcze inne miały nagą, błyszczącą skórę, łączyła je barwa, a raczej jej brak: absolutnie monochromatyczna szarość. Jakby natura w perwersyjnym akcie zemsty postanowiła raz na zawsze wymazać ze świata kolory.

Wydawało się, że ani promieniowanie, ani śmiertelne dla człowieka skażenie chemiczne nie mają na nie żadnego wpływu. Co najdziwniejsze, nowi mieszkańcy ziemi nie wydawali się zmutowanymi potomkami zamieszkujących ją kiedyś zwierząt. Mimo pewnego podobieństwa niektórych form proporcje, zwyczaje i szczegóły budowy nowych gatunków były okrutną kpiną ze swych potencjalnych protoplastów. Mieliśmy zatem olbrzymie, porośnięte zwałnioną sierścią „owady”, biegające na sześciu lub ośmiu nogach, o bezokich głowach uzbrojonych w olbrzymie pajęczę szczęki; stwory wyglądające jak krzyżówka niedźwiedzia z psem, niezbyt zwinne, ale morderczo wytrzymałe i uparte; był też „kotek” – niewinne na pozór zwierzątko, coś pośredniego pomiędzy kotem a fretką, pokryte błyszczącą szarą sierścią, polujące w liczących po kilkaset osobników stadach, z racji niewielkich rozmiarów i kociej zwinności siejące w szeregach nieprzygotowanych na ich atak eksploratorów prawdziwe spustoszenie.

Odkrycie nowego, niebezpiecznego towarzystwa na chwilę zjednoczyło metro, od lat już podzielone na ledwo się tolerujące, a zazwyczaj jawnie zwalczające obozy. Obecność wspólnego wroga zaowocowała powstaniem Rady i budową transterytorialnego szlaku, który miał umożliwić szybkie przemieszczanie się pomiędzy stacjami grupom ratunkowym. Niestety, jedność nie trwała długo. Znaczenie Rady stopniowo malało, a nasza społeczność szybko wróciła do niekończących się sporów, wzajemnych pretensji i aktów drobnego, aczkolwiek skutecznie uprzykrzającego życie sabotażu. Nie bez przyczyny od zawsze mówiło się: gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania. Próbę czasu przetrwał w zasadzie wyłącznie alians Ratusza z Politechniką, stacji stanowiących trzon Rady. Wprawdzie powszechnie uznawano ich

specjalny status, jednak wynikało to bardziej z faktu, że Ratusz jako jedyny dysponował sporymi zapasami broni palnej, natomiast Politechnika miała nie tylko najlepszy dostęp do urządzeń i technologii zapewniających metru egzystencję, ale również ludzi, którzy potrafili to wszystko uruchomić i utrzymać na chodzie. Pozostałe stacje trwoniły czas na wzajemnym podgryzaniu się, zawierając krótkotrwałe sojusze jedynie w sytuacji nagłego zagrożenia zewnętrznego albo by wykorzystać każdą okazję podważenia autorytetu Rady. Tak mijały kolejne lata.

To zadziwiające, jak stabilny może być stan anarchii – rewolucja na jałowym biegu. Nasza codzienność ponad wszelką wątpliwość dowiodła tego, w co pokoleniu przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku trudno było uwierzyć: to nie pokój, ale wojna jest normalnym stanem ludzkości. Permanentna, totalna wojna wszystkich ze wszystkimi. Nie o surowce, nie o ziemię, nie o własność. Wojna o przetrwanie, na wyniszczenie. Najokrutniejszy rodzaj wojny, jaki wynalazł człowiek. Ale czy aby na pewno człowiek? Tak nam się zawsze wydawało. Ale to tylko ten nasz zachodni antropocentryzm... W rzeczywistości nawet tego „wynalazku” nie możemy sobie przypisać. To przecież *modus operandi* największego seryjnego mordercy świata, życia. Czym innym był całkiem zwyczajny dzień na afrykańskiej sawannie sześćdziesiąt tysięcy lat temu? Albo ty mnie, albo ja ciebie. Albo jeszcze inaczej: ja ciebie, zanim on mnie.

Po prostu wróciliśmy do korzeni.

Rozdział 4

Goniec z Ratusza narobił wczoraj na naszej stacji sporego zamieszania. Mimo że w takich sytuacjach zawsze starano się zachowywać najdalej posuniętą dyskrecję, czasy, kiedy tak łatwo było rozplątać się w bezimiennym tłumie pasażerów, dawno minęły.

– Rektor pana prosi, natychmiast! – Wyraz twarzy zaglądnącego do mojej komórki woźnego Straży Akademickiej nie pozostawia wątpliwości, że tym razem chodzi o coś ważnego. Mimo powagi sytuacji omal nie parskam śmiechem.

– Proszę powiedzieć, że już idę.

Głowa strażnika znika za drzwiami z dykty. Tak formalnie, to nasz Rektor nie jest nawet magistrem, ale tytułatura, którą dwadzieścia lat temu wprowadził tu jakiś żartowniś, przyjęła się i jest teraz traktowana z absolutną powagą. Rektor jest szefem stacji Politechnika, podlega mu kilku dziekanów, kierujących wydziałami, czyli komórkami wyspecjalizowanymi w różnych dziedzinach nauki. Bo Politechnika zachowała charakter zgodny ze swoją nazwą – to stacja naukowa. A wszystko dzięki temu, że kiedy ogłoszono alarm bombowy, kilka najbliższych położonych wydziałów Politechniki Warszawskiej potraktowało stację metra zgodnie z jej nieoficjalnym przeznaczeniem, jako schron. Nie bez znaczenia była również bliskość budynków uczelni – mimo sporych w tym rejonie zniszczeń stanowiły bogate źródło sprzętu pomiarowego, radiowego i całego mnóstwa specjalistycznych narzędzi i urządzeń.

W sali Rady – niewielkiej komórcie o ścianach z surowego betonu, położonej na najniższym, technicznym poziomie stacji – jest już tłoczno. Centralne miejsce przy prezydyjnym stole zajmuje osiem postaci w narzuconych na stare kombinezony zielonych fartuchach – „dystynkcjach” dziekanów. Kaganki kopcą niemiłosiernie, wypełniając salę gęstym, gryzącym dymem. Elektryczność jest droższa niż złoto – kilka generatorów cudem odnalezionych i troskliwie pielęgnowanych przez naszych najlepszych mechaników pracuje wyłącznie na potrzeby laboratoriów.

Siadam pod ścianą pokrytą cuchnącym liszajem, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Rektor, jak zwykle, każe nam na siebie czekać, zatem dla zabicia czasu z zainteresowaniem przyglądam się sąsiadom – nieczęsto dane jest mi uczestniczyć w naradach na tak wysokim szczeblu. Osadzone w wychudłych twarzach, błyszczące niezdrowym blaskiem oczy z mieszaniną niechęci i zniecierpliwienia lustrują obecnych. Siedzimy w napiętej ciszy, nikt nie zaczyna rozmowy. Słyszać tylko nerwowe pokaskiwanie i płytkie, astmatyczne oddechy zgromadzonych. W końcu obite rozsypującą się ze starości dyktą drzwi otwierają się i starszy już mężczyzna zajmuje miejsce u szczytu stołu. Ma rzadkie siwe włosy; na wytarty wełniany sweter naciągnął biały fartuch. Choć „biel” nie jest chyba najlepszym określeniem – słowa

ewoluują, wraz ze zmieniającymi się okolicznościami zmienia się ich sens. Dziś nie ma już cudownych proszków do prania, które zwykłą biel zamieniłyby w biel cudowną, prawdziwą, nie ma reklam, które ten prozaiczny efekt z dziedziny mydlarstwa podnosiłyby do rangi estetycznej epifanii. Nie musimy już ścigać się w niekończącym się wyścigu po lepsze, nowocześniejsze, droższe – w tym sensie życie bardzo się uprościło. Nazwijmy więc ten fartuch białym. Ironia braku kontekstu.

Rektor popija łyk wody ze stojącej przed nim na stole niezbyt czystej szklanki.

– Szanowni koledzy! Otóż nie uszło prawdopodobnie panów uwadze to, że mieliśmy ostatnio oficjalnego gościa z Ratusza. Tak, wczoraj... dlaczego kolega tak na mnie patrzy?

Odpowiedzią na zdumioną minę dziekana matematyki są pełne politowania uśmiechy pozostałych uczestników narady.

– Myślałem, że tym razem naprawdę nikt nie przeoczył tej wizyty, ale cóż – kolega, jak widzę, jako jedyny poważnie traktuje swoją pracę... Pogratulować! A panowie – wstyd! – Rektor ma poważną minę, ale ton głosu zdradza rozbawienie. To polityk: bezbłędna orientacja w najświeższych nowinach i plotkach to nie tylko jego obowiązek, ale też pasja. Nie ceni zbyt wysoko ludzi, którzy jej nie dzielają.

Znowu podnosi do ust szklankę, przeciągając napięcie ponad niezbędną konieczność. Odpowiedzią sali są nerwowe pochrząkiwania i pomruk niezadowolenia.

– Ratusz zaprasza nas na pilną naradę. Natychmiast. Zaszły ponoć jakieś niezwykle okoliczności – wyrzuca w końcu na jednym oddechu.

– Co się dzieje? – pyta jednocześnie kilka osób.

– Wiem tyle, ile kolegom przekazałem. Reszty dowiemy się w Ratuszu. Wyruszamy jutro, wszystkie delegacje mają się spotkać z Prezydentem i całą Radą o szesnastej.

– Jak to wszystkie?

– W naradzie mają wziąć udział wszystkie stacje. Jeszcze dziś spodziewamy się przejścia przez Politechnikę delegacji Koalicji, Włanowskiej i Raclawickiej. Północ też już jest podobno w drodze.

– Czy wiadomo, o czym Prezydent chce rozmawiać z całym metrem? – Dziekan fizyki nerwowo kręci się na swoim krześle.

– Już panu mówiłem... Wszyscy dowiemy się tego na miejscu.

– Ale... Czy są jakieś przecieki? Przecież pan musi coś wiedzieć...

– Niech mnie kolega nie bierze pod włos – twarz Rektora rozpromienia uśmiech satysfakcji. – Ale doceniam dobrą opinię kolegi na mój temat. Tym razem jednak to naprawdę coś nowego. Żadnych informacji. Nic. Kompletna cisza.

– To musi być coś poważnego, jeżeli całe metro... – Fizyk nie daje za wygraną.

Rektor wzrusza tylko ramionami i otwiera usta, ale przez najbliższych kilka minut nie uda mu się dojść do głosu. Dziekani będą się teraz prześcigać w spekulacjach na temat możliwych przyczyn zwołania narady.

Są jak niecierpliwie małe dzieci, które tuż przed Gwiazdką żałują, że w liście do Świętego Mikołaja nie poprosiły o więcej.

– Może odkryli jakieś nowe źródło energii?

– Albo pożywienia? Może opracowali jakąś nową technologię obróbki jedzenia?

– Medycyna! Pewnie wynaleźli jakiś lek! Albo chociaż aptekę odkopali gdzieś tam w tych swoich piwnicach...

– Raczej przywlekli skądś jakąś nową zarazę!

– Właśnie! Musieli opracować jakąś nową broń. Albo udało im się coś znaleźć. Może biologiczną właśnie?

– Na mutanty! Wreszcie uda się je wszystkie skutecznie wytępić...

– Właśnie, z mutantami coś! Może same wyginęły?

– Raczej wściekły się ponad miarę. Albo raczej ponad miarę rozmnożyły ...

– A jaka jest zwykła miara rozrodczości mutantów, może nam kolega łaskawie wyjaśni?

Rektor pociąga ostatni łyk wody ze szklanki, krzywi się z niesmakiem i kręcąc z dezaprobatą głową, głośno chrząka. Niewiele to daje, bo nakręcenii fantastycznością swych domysłów czy raczej oczekiwań naukowcy słuchają już wyłącznie własnych głosów. Chrząka więc jeszcze głośniej i w końcu wali dłonią w blat stołu. Blat z trudem wytrzymuje uderzenie, ale odnosi ono zamierzony skutek – chór przekrzykujących się głosów milknie.

– Koledzy! – mówi wolno i spokojnie, jak do dzieci. – Zdajecie sobie oczywiście doskonale sprawę z wartości waszych spekulacji? Po pierwsze, gdyby faktycznie wynaleźli lub odkryli coś niezwykle cennego, to nie sądzę, by zwoływali z tego powodu Wielką Radę. Po co mieliby się tym czymś dzielić, mogąc samodzielnie czerpać z tego profity? Albo sprzedając to z dużym zyskiem, bez zbędnego rozgłosu...

– Oni nie chcą nam niczego dawać, raczej chcą czegoś od nas.

Mówiłem właściwie do siebie, ale na sali zapada nagła cisza, a wszystkie głowy obracają się w moją stronę.

– Trafnie to kolega podsumował... – Rektor wbija we mnie przenikliwe spojrzenie. – Nie traćmy czasu na próżne dywagacje, już jutro wszystko będzie jasne. Stawić się mamy w pełnym składzie, więc na posterunku zostanie tylko trzech dziekanów. Proponuję kolegę matematyka...

W kilku miejscach sali rozlega się rechot, ale Rektor tłumii go z udawaną surowością.

– I kolega z budownictwa może... – rozgląda się po sali, szukając wspomnianego wzrokiem. – Dacie sobie panowie radę, prawda?

Wybrańcy skwapliwie kiwają głowami.

– No i kolega z Radio jeszcze, dobrze? Tylko proszę wyznaczyć kogoś w zastępstwie, kto będzie was reprezentował. Może kolegę...

– Oczywiście wyznaczę, proszę się nie martwić – przerywa mu szpakowaty mężczyzna, nerwowo wymachując ręką.

– No i doskonale! Zatem to by było na tyle, wyśpijcie się koledzy, jutro wycieczka! – Rektor wstaje, dając tym samym znak zakończenia narady.

Szurając krzesłami, dziekani powoli opuszczają salę, tłocząc się w wąskich drzwiach. Mają

rozemocjonowane twarze, większość powraca do spekulacji na temat jutrzejszego spotkania. Rozejdą się teraz po swoich instytutach, zaszyją w gabinetach i jeszcze przez kilka godzin z wypiekami niezdrowej ekscytacji na twarzach będą toczyć zawzięte dyskusje na temat tego, co usłyszeli. A raczej czego nie usłyszeli...

– Panie kolego! – słyszę za plecami głos Rektora i wiem, że mówi do mnie. Czyli jednak, nie pomyliłem się. Nie jestem tylko pewny, czy z tego, o czym – jak się domyślam – chce rozmawiać, wyniknie dla mnie cokolwiek dobrego...

Rozdział 5

Wyruszamy bardzo wcześnie. Choć dzień i noc, to w naszym betonowym świecie tylko puste słowa, cała społeczność usiłuje za wszelką cenę nadać im praktyczny wymiar. To ma być nasz łącznik ze światem, którego już nie ma. Jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie, czy wszyscy budzą się i zasypiają o tej samej porze.

Jest nas spora gromadka – oprócz Rektora i wyznaczonych podczas wczorajszej narady dziekanów towarzyszy nam jeszcze kilka innych osób, urzędników i strażników. Większość znam z widzenia, ale na razie okoliczności nie sprzyjają pogawędkom. Tuż za rozświetlonym chybotliwym światłem lamp naftowych peronem Politechniki wchodzimy w czarną czeluść tunelu. Tory dawno zdemontowano – posłużyły do wzmocnienia nadgryzionych zębem czasu korytarzy oraz jako kraty i barykady zagradzające wejścia na stację. Starannie zebrano również setki tysięcy betonowych podkładów, które odnalazły swe drugie życie w roli podstawowego materiału budowlanego metra, nieco przerośniętych cegieł, z których zbudowaliśmy naszą cywilizację. Tunelami biegły onegdaj setki kilometrów kabli, zostały po nich jedynie niekompletne szkielety pustych tras kablowych. Rozebrano wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. A że na Politechnice niewiele jest rzeczy, które do niczego się nie przydadzą, sąsiadujące z naszą stacją tunele zostały wyczyszczone niemal do gołych ścian.

Początkowy odcinek tunelu, tuż za każdą stacją, to betonowy tor przeszkód: tutaj torowisko zachowane jest w oryginalnym stanie. Gęsta płatanina podkładów ma za zadanie spowolnić ewentualnych napastników i – trzeba to przyznać – spełnia swoje zadanie perfekcyjnie. Każdy nieuważny krok to pewna kontuzja, bieg jest wykluczony. Dopiero kilkaset metrów dalej dno tunelu jest oczyszczone, a ułożone z podkładów barykady przegradzają szczelnie światło tunelu. I znowu: wartownicy, kontrola przepustek, raporty o sytuacji. Przez te wszystkie przeszkody pokonanie niecałych dwóch kilometrów dzielących Politechnikę od Centrum zajmuje nam prawie dwie godziny.

Metro Centrum. Niegdyś centralny punkt Warszawy, dziś jej najbardziej niebezpieczne miejsce. W dzień Armagedonu strop stacji został uszkodzony przez bomby i runął, odkrywając obie tuby tunelu. Gdyby nie natychmiastowa akcja zjednoczonej jeszcze wówczas społeczności, skażone promieniowaniem powietrze wtargnęłoby do tuneli, urządzając ocalałym śmiertelne dożynki. Olbrzymim wysiłkiem, bez użycia ciężkiego sprzętu, a w większości przypadków w ogóle jakichkolwiek narzędzi, zawałono wyloty tuneli, wyposażając je z czasem w system śluz i zapór – skomplikowany, szczelny labirynt, obsadzony uzbrojonymi po zęby posterunkami, uniemożliwiający wnikanie skażeń oraz nieproszonych gości. Ci intruzi to jeden z epizodów historii metra, o którym wszyscy chcieliby jak najszybciej zapomnieć. Przez

pierwsze tygodnie szukały tu schronienia tłumy ocalałych, lecz tak silnie skażonych mieszkańców stolicy, że leczenie ich, i tak niemal w stu procentach nieskuteczne, pochłaniało większość nader skromnych zasobów medycznych podziemnej społeczności. Dlatego zdecydowano o okrutnej, lecz w szerszym kontekście uzasadnionej, czy może raczej łatwej do uzasadnienia, selekcji. Wpuszczano wyłącznie tych, którzy jakimś cudem uniknęli silniejszego napromieniowania oraz nie mieli kontaktu ani ze skażeniem chemicznym, ani biologicznym. Nawet oni przechodzili jednak przez skomplikowany system kilkietapowej kwarantanny. Przyjmowano też tych albo może przede wszystkim tych, którzy ze względu na swoje umiejętności, wiedzę czy przytargane na własnych plecach lub w drucianych wózkach z supermarketów sprzęty i zaopatrzenie stanowili dla społeczności konkretną, wymierną wartość. Warto jednak dodać, że kryteria oceny przydatności uległy daleko idącej redefinicji: za stalowymi kratami jedyne otwarte w tamtym czasie wejścia do metra – od nazwy znajdującego się nieopodal osiedla mieszkaniowego dowcipnie nazywanego Żelazną Bramą – zostało wielu znanych aktorów, dziennikarzy i wszelkiej maści celebrytów, skazanych tym samym na powolną i okrutną śmierć. Wygnano też każdego polityka, którego udało się rozpoznać wartownikom. Próżno wstępu domagali się biznesmeni z walizkami wypełnionymi fortuną – znacznie lepszą inwestycją we własną przyszłość okazywały się dwa kanistry benzyny czy oleju napędowego. W tamtym okrutnym czasie stacja Centrum zyskała miano stacji filtracyjnej. I nazwa ta do dziś kojarzy się wszystkim mieszkańcom metra jak najgorzej.

Po kilku miesiącach strumień uchodźców zaczął powoli wysychać, aż w końcu zamarł zupełnie. Przez długie lata zapory i śluzy niszczały niewykorzystane, straż zredukowano do symbolicznej warty honorowej. Aż do momentu gdy posterunek zaatakowały pierwsze mutanty. Wtedy okazało się, że to, co z łatwością zatrzymywało ludzi, w nowych okolicznościach – chciałoby się powiedzieć: przyrody – stało się dramatycznie niewystarczające. Potwory ze zdumiewającą celowością atakowały systemy zabezpieczeń w ich najsłabszych punktach, odkrywały luki i przejścia, z których istnienia nie zdawano sobie do tej pory sprawy. I choć tę pierwszą potyczkę ostatecznie udało się ludziom wygrać, nie obyło się bez wielu ofiar, a wojna uszczupliła i tak już skromne zapasy paliwa i broni. Chaos, który towarzyszył tym dramatycznym wydarzeniom, poważnie i trwale nadszarpnął autorytet władzy.

Pokonanie kilkuset metrów tunelu z uszkodzonym w bardzo poważnym stopniu stropem to jedna z najbardziej niebezpiecznych tras wycieczkowych stolicy – za widok Pałacu Kultury oplecionego siecią gigantycznych czarnych pajęczyn, podtrzymujących gniazda latających mutantów, często przychodziło płacić życiem niedostatecznie ostrożnym „turystom”. Dlatego przeciskamy się wąskimi tunelami technicznymi i rurami dawno nieczynnej kanalizacji. Mijamy gęsto rozstawione posterunki, strzegące wszystkich newralgicznych punktów skomplikowanej infrastruktury tuneli, kanałów i włazów. Większość z nich ma mieszaną, pochodzącą z różnych stacji obsadę. Jak mawiał klasyk: kontrola jest podstawą zaufania. Strażnicy przyglądają się nam z zainteresowaniem – nie wyglądamy na karawanę kupiecką, a tak dużej „wycieczki” musieli tu dawno nie widzieć. Pytające spojrzenia mówią wszystko – skutecznie zagospodarujemy ich wyobraźnię rozbudzoną przez długie godziny stresującej służby.

Obejście stacji Centrum zabiera nam prawie trzy godziny. Ścieżka zdrowia, jak popularnie nazywa się ten odcinek. Co chwila zmieniamy poziomy labiryntu tuneli, przeciskając się przez wąskie włazy

i studzienki, przeczołgujemy się pod na wpół zawalonymi stropami betonowych galerii. Przewodnik, bez którego trudno byłoby się przedostać przez ten labirynt, zatrzymuje się co kilkadziesiąt metrów, wykrzykując w stronę niewidocznych posterunków hasło i cel wizyty. Te kilka sekund, jakie mija pomiędzy hasłem a odzewem wartownika, postarza każdego z nas o kilka lat – wszyscy wiemy, że otwierają ogień bez ostrzeżenia. Wystarczy, by któryś z żołnierzy przysnął, i zniecka obudzony hałasem tłoczących się w wąskim przejściu ludzi nie zrozumiał nerwowo wykrzykiwanych w jego stronę słów – na przedpolu posterunku jesteśmy niczym wielkie pluszowe misie na strzelnicy: nie sposób nas nie trafić.

Mniej więcej w połowie stacji nasza trasa bardzo zbliża się do powierzchni. Właściwie oddziela nas od niej jedynie kilka warstw blachy, przysypanych dla niepoznaki gruzem i podpartych lasem betonowych podkładów. Przez dziury w stropie sączy się mdłe niebieskie światło, nadając temu miejscu charakter upiornej świątyni. Blaszany sufit działa jak pudło rezonansowe, w którym przeciągły, piskliwy wrzask przelatujących tuż nad naszymi głowami mutantów odbija się zwielokrotnionym echem. Zmysły z najwyższym trudem znoszą natężenie bodźców. Po kilku krokach nie wytrzymujemy nerwowo i puszczamy się biegiem. Wszyscy. Nawet Rektor, do przesady dbający o powagę i godność własnej osoby, ze zwinnością zajaca kłusuje pomiędzy betonowymi stemplami. Ledwie kilkanaście metrów dzieli nas od bezpiecznej, ciemnej rury tunelu, gdy głuche tąpnięcie rzuca wszystkich na ziemię. Słysząc zgrzyt pazurów drących grubą blachę i chwilę później ciężki łopot skrzydeł podrywającego się do lotu potwora. Jego wrzask tuż nad głową będzie świdrować mi mózg jeszcze przez długą chwilę. Zrywamy się na równe nogi jeszcze szybciej, niż upadliśmy. W biegu otrzepujemy się z kurzu. Dopadamy wreszcie kraty posterunku – ta okazuje się zamknięta. Wyraźnie rozbawiony sytuacją strażnik przetrzymuje nas, ciężko dyszących, jeszcze kilkanaście sekund, wpatrując się w głąb krypty rozświetlonej setkami świetlnych słupów, w których wirują miriady iskier ceglanego pyłu.

– Czysto, otwieraj! – głos dowódcy posterunku brzmi jak obietnica długiego szczęśliwego życia. Irytuje tylko rozbawiona gęba wartownika, odsuwającego ciężką, przeraźliwie skrzypiącą kratę. Ale płomyczek zapalnika pełgający na końcu okopconej lufy miotacza ognia należącego do dwóch kolejnych żołnierzy, którzy przycupnęli za betonową osłoną, gasi pragnienie obrony urażonej dumy. Przewodnik zamienia z dowódcą kilka zdań, potem tamten macha niedbale ręką i na powrót zagłębiamy się w mrok betonowej tuby. Tutaj, ze względu na ciągłe walki z przenikającymi do metra mutantami, nie udaje się utrzymać żadnego stałego oświetlenia. Po chwili słychać już tylko sapanie, szuranie i stłumione przekleństwa potykających się i wpadających na siebie w ciemnościach ludzi. Co kilka minut przewodnik zatrzymuje kolumnę i kręci korbką starego rowerowego dynama przerobionego na latarkę. Zachłannie zapamiętujemy te kilkanaście metrów przywołanej nagle z niebytu przestrzeni, by za chwilę pogрузić się znowu w gęstej, nasączonej atramentem ciemności wacie dźwięków.

Rozdział 6

W metrze brak jest tej charakterystycznej dla starego świata naturalnej łagodności przejść: ciemności w światło, ciszy w gwar. Tu albo wszystko jest, albo nic nie ma. Z ciemnego korytarza wpadasz wprost w żółte, migotliwe objęcia sodowego światła, z gęstej, pulsującej napięciem oczekiwania ciszy – w sam środek nerwowego gwaru peronu.

Świętokrzyska. To specyficzna stacja. Jedyne skrzyżowanie tuneli, jedyne rozstaje w naszym prostym, linearnym świecie. Druga nitka metra: z jednej strony wrzyna się daleko w biurowe zagłębienie Woli, z drugiej pozwala względnie bezpiecznie przedostać się na drugą stronę Wisły. Ale dwa tunele to podwójna liczba wejść, włazów, pionów technicznych i wentylacyjnych – podwójna liczba miejsc wymagających stałego dozoru i podejmowanych częściej, niżby sobie ktokolwiek życzył, interwencji zbrojnych.

Świętokrzyska to dwie stacje w jednej: linie metra krzyżują się na różnych poziomach, połączonych systemem ciągów komunikacyjnych, które w godzinach szczytu miały obsługiwać tysiące pasażerów. Jednak większość przejść dawno została zawałona lub zabarykadowana, pozostawiono tylko kilka niezbędnych korytarzy. Starszy, płytszy poziom (z wyłączeniem ciągów komunikacyjnych i galerii handlowych łączących obie linie) to typowa placówka wojskowa: właściwie nie ma tu stałych mieszkańców, są tylko ciągle zmieniające się posterunki w rejonie Centrum. Ich zadaniem jest kontrola zawałonej stacji oraz utrzymywanie bezpiecznego połączenia z Ratuszem. Już w pierwszych dniach po Armagedonie, kiedy nikt nie myślał jeszcze, że kilkadziesiąt kilometrów betonowej tuby stanie się całym naszym światem, nowszy, głębszy poziom metra został skolonizowany przez zamieszkującą Warszawę społeczność Wietnamczyków. I jak niegdyś Stadion X-lecia, teraz Świętokrzyska Poziom 2 stała się warszawską Małą Azją. Wietnamem, jak ją powszechnie nazywano. Kilka lat później, kiedy metro ogarnęła fala gwałtownych niepokojów związanych z kończącymi się w zastraszającym tempie zasobami, wiele społeczności, ogarniętych nagle stacijnymi nacjonalizmami, zapragnęło poszerzenia swej „przestrzeni życiowej” kosztem Wietnamu. Wtedy jednak okazało się, że stara szkoła subtelnej dyplomacji nadal jest w cenie – sieć powiązań biznesowych, handlowych, i kto wie jakich jeszcze, jaką potrafili przez te kilka lat zbudować Azjaci, zagwarantowała im nietykalność. Oni wiedzieli wszystko, o nich nie wiedziano prawie nic. Ale choć z jednej strony było to ich najlepszą bronią, z drugiej jednak podsycalo i tak już silną atmosferę podejrzliwości i budziło w radykalnie nastawionych społecznościach głęboką niechęć. Fanatycy z północnych stacji podejrzewali ich o najgorsze zbrodnie i wynaturzenia, nawet stosunkowo otwarta i liberalna Koalicja Radom – związek trzech stacji: Ursynowa, Stokłosów

i Imielina, zachowywała wobec Wietnamu pewną nieufność. Co zresztą nikomu nie przeszkadzało w prowadzeniu z Azjatami interesów na wielką skalę.

Wychodzimy na peron Świętokrzyskiej. Żołnierze skupieni w małych grupkach wokół niewielkich ognisk czekają na wyjście na patrol. Wieje nudą i rutyną. Ktoś czyści broń, inni grają w karty. Odprowadzają nas krótkie, nieobecne spojrzenia.

– Niech pan spojrzy, tam! – Rektor ruchem głowy wskazuje kierunek. Znam to miejsce, ciemny wylot schodów prowadzących w dół, na niższy poziom stacji. W półmroku, za barykadą wzniesioną z bramek biletowych, wzmocnioną solidnie zespawaną kratą, błyszczą dwie pary oczu. Wartownicy są mali, niemal jak dzieci. Oparci plecami o nieprzeniknioną ciemność korytarza, wydają się nierzeczywiści, jak zjawy. Widząc nasze zainteresowanie, cofają się pół kroku i znikają, jakby ich tam nigdy nie było.

– Ostatnio bardzo wzmocnili ochronę – Rektor, który od wczoraj nie odezwał się do mnie ani słowem, nagle staje się bardzo gadatliwy. Milczę. Znam go i wiem, że i tak nie powie mi nic więcej ponad to, co już wiem. Chce po prostu odwrócić uwagę od ostatnich kilku godzin, które, jak uważa, mogły źle wpłynąć na jego reputację. Nie doczekawszy się z mojej strony należnego zainteresowania, obrażony wydyma wargi i pod pretekstem poprawienia czegoś przy dyndającej mu u boku czarnej raportówce pozwala się wyprzedzić. Po chwili słyszę za plecami, jak zagaduje kogoś z posapujących dziekanów.

Tunel pomiędzy Świętokrzyską a Ratuszem to najlepiej utrzymana arteria komunikacyjna metra. Po niecałych czterdziestu minutach spokojnego marszu, minąwszy pół tuzina punktów kontrolnych, na których jednak odprawy odbywają się bardzo sprawnie, docieramy do opancerzonego wagonika zagrządzającego całe światło tunelu – ostatniego posterunku strzegącego wejścia na peron centralnej stacji metra. Ratusz Arsenal. Te dwa słowa najlepiej oddają charakter tego miejsca: siedziba władzy i jej zbrojnego ramienia. I choć to ironia historii, bo „arsenał” w nazwie stacji pochodzi od znajdującej się niedaleko królewskiej zbrojowni z siedemnastego wieku, która od kilkuset lat z bronią nie miała już nic wspólnego, obecnie jedynym rozumieniem nazwy jest to dosłowne: to stacja, która resztę metra trzyma w szachu dzięki dostępowi do magazynów uzbrojenia stołecznej komendy policji. Ponieważ bezpośrednio przed Armagedonem stolicą wstrząsały gwałtowne niepokoje społeczne, policja zbroiła się na potęgę. Miejscy włodarze, którzy ukryli się w podziemiach ratusza połączonych ze stacją skomplikowanym systemem korytarzy, bardzo szybko zrozumieli, jaki jest prawdziwy potencjał tego miejsca. I stając się nieświadomymi beneficjentami faktu, że wtedy jeszcze wyjście na powierzchnię wiązało się jedynie (!) z ryzykiem skażenia, minimalizowanym zresztą przez niezłe wyposażenie ochronne, jakie zgromadzono w ratuszu, dokonali starannej i bardzo efektywnej eksploracji Pałacu Mostowskich. Plotka głosiła, że broń znoszono do skrytek na stacji i w podziemiach ratusza przez kilka miesięcy. W kraju, w którym dostęp do broni ograniczony był do wojska i policji, nie licząc oczywiście garstki myśliwych i bandytów, posiadanie czegokolwiek, co strzela, daje posiadaczowi tego czegoś miażdżącą przewagę nad nieuzbrojoną większością. I choćby stanął sam naprzeciw wściekłego tłumu, przy odrobinie zdolności psychologicznych ma szansę rozegrać każdą sytuację tak, by nikt nie zdecydował się umrzeć pierwszy.

Mieszkańcy Ratusza potrafili wykorzystać przewagę, jaką dał im dostęp do kilku tysięcy kałasznikowów i ton amunicji. Szybko zorganizowali i uzbroili własną milicję, trzymając ją jednak

w rezerwie, a pierwszeństwo dając dyplomacji. A jak powszechnie wiadomo, trudno o coś bardziej skutecznego niż dyplomacja dyskretnie wspierana łufami karabinów. I choć od tamtej pory kilka stacji próbowało się wyrwać z troskliwych objęć i narzucić swoim sąsiadom własne reguły gry, Ratuszowi zawsze udawało się obronić i utrzymać tę niby-demokrację na własnych warunkach.

Idziemy przez peron w kierunku górnej galerii, gdzie mieści się reprezentacyjna część stacji, zajmowana przez Radę. Rektor nie zagaduje już nikogo: z nieco przesadnie manifestowaną dumą maszeruje na czele grupy, tuż za przewodnikiem, który niczym średniowieczny herold anonsuje nas na kolejnych, coraz lepiej uzbrojonych i wyposażonych posterunkach.

– Niech pan zobaczy, kolego, ile oni tu marnują energii... – dziekan chemii rozgląda się z niesmakiem po rozświetlonej dziesiątkami świetlówek galerii.

– Kwestia prestiżu – uśmiecham się do niego.

– Taaa... A ja na swoje badania od półtora roku nie mogę się doprosić nowego generatora – kręci z dezaprobatą głową.

Na ludziach spędzających całe życie w ciemnościach, z rzadka rozpraszanych chybotliwym, śmierdzącym płomykiem lampki oliwnej, Ratusz musi robić piorunujące wrażenie czegoś nierealnego. Jak średniowieczna katedra na pielgrzymach, dla których murowany pański dwór był zawsze szczytem ludzkich możliwości.

Wydaje się, że to już tu... Chyba jesteśmy na miejscu. Obite szarą blachą drzwi nie wyróżniają się niczym szczególnym, ale wartownicy wzbudzają respekt swoją postawą i uzbrojeniem. Ponadto z układu korytarzy domyślam się, że dotarliśmy do ostatnich pomieszczeń metra. Kontrola dokumentów trwa kilka minut. Paszporty dyplomatyczne Rektora i dziekanów nie robią na wartownikach żadnego wrażenia, podobnie jak jego oburzone posapywanie i cierpkie uwagi na temat „gościnności” władz. Wreszcie drzwi otwierają się bezszelestnie, bez widocznego udziału stojących po naszej stronie wartowników. Wchodzimy do jasno oświetlonego, wąskiego korytarza, dość stromo opadającego w dół. Jest tak wąski, że w jego świetle mieści się tylko jedna osoba. Staram się rejestrować w pamięci odległość i kierunek i kiedy – pamiętając z młodości topografię tego fragmentu miasta – jestem już pewien, że znajdujemy się pod budynkiem ratusza, korytarz faktycznie zaczyna się lekko wznosić, po czym docieramy do jego końca. Stoimy w niecierpliwym ogonku pod zamkniętymi na głucho stalowymi drzwiami bez śladu klamki. Nie jestem jedynym, który jest tu po raz pierwszy – wraz z kilkoma osobami rozglądamy się ciekawie po korytarzu, szukając szkiełka judasza czy innego śladu dyskretnej inwigilacji. Bezskutecznie. Rektor znowu przyjmuje pozę obrażonego dyplomaty, nie zniża się do tego, by zapukać czy w jakikolwiek inny sposób domagać się wpuszczenia. Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach drzwi wreszcie się otwierają. Zauważam, że mają dobre trzydzieści centymetrów grubości. Wchodzimy do przestronnej sali o przykrytych grubą warstwą czerwonego pyłu ceglanych ścianach. Pod sufitem miga nerwowo stara świetlówka. Od tej strony drzwi również nie mają żadnej klamki.

– Witamy w naszych skromnych progach! – tubalny głos tuż za plecami Rektora powoduje, że ten aż podskakuje. Z ciemności wyłania się mężczyzna w cudacznym, teatralnym uniformie. Nie kryje satysfakcji z wrażenia, jakie udało mu się zrobić na kilku z nas. Rektor posyła mu znudzone, pełne pogardy

spojrzenie. – Prowadź pan! – rzuca. – I wymyśl sobie ciekawszą rozrywkę – dodaje już ciszej w stronę naszej grupy.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że to wszystko jest celowe, przemyślane i zaaranżowane. Skąpany w świetle korytarz, słabo oświetlony przedsiónek. Musi minąć chwila, zanim gość przyzwyczai się do półmroku. Dezorientuje go to, a przy okazji ułatwia odźwiernemu te deprymujące przybyszów gierki.

Tutaj, we wnętrzu Ratusza, korytarze oświetlone są już znacznie skromniej, jakby ta powódź światła na stacji była tylko na pokaz.

– Prestiż... – chemik mruga do mnie porozumiewawczo.

Dobre kilka minut kluczymy w labiryncie krzyżujących się korytarzy, mijamy szeregi identycznych magazynów zastawionych metalowymi regałami, szafami i skrzyniami pełnymi jakichś tajemniczych dóbr. Po kilku minutach nie jestem już pewien, czy bez przewodnika dotarłbym sam z powrotem do przedsiönka. Jest to o tyle dziwne, że od stacji metra do Ratusza nie powinno być dalej niż jakieś dwieście metrów. Odźwierny gna przed siebie, jakby nie chciał dać nam szansy na zapamiętanie drogi. Kilku starszych dziekanów zaczyna głośno protestować, ale w tym samym momencie przewodnik zatrzymuje się nagle. Tłoczmy się w ciemnym, wąskim korytarzu, zakończonym solidnymi drzwiami.

– Pan Prezydent zaprasza! – teatralnym gestem wskazuje kierunek i kładzie rękę na klamce.

Uderza mnie potop jaskrawego światła.

Rozdział 7

Mrużąc oślepienie nagłym blaskiem oczy, rozglądam się po zaskakująco obszernej sali. Surowe betonowe ściany, żadnych okien. Przynajmniej tu nie ma niespodzianki – nadal jesteśmy pod ziemią. Za to liczba wejść prowadzących do tego miejsca przywołuje na myśl labirynt – odruchowo szukam wzrokiem czającego się w kącie Minotaura. Na przeciwległych ścianach mnóstwo identycznych drzwi – już chwilę po wejściu do środka nie jestem w stanie ze stuprocentową pewnością wskazać, którymi się tu dostaliśmy. Niemal połowę sali zajmuje długi, ustawiony w podkowę stół, zestawiony z dwóch tuzinów staromodnych fornirowanych biurek. Biurka mają różne wymiary i niejednakową wysokość, wyglądają, jakby pamiętały nie tylko tę ostatnią, ale również poprzednią wojnę. Najwyraźniej wygrzebano je z jakiejś rupieciarni. Domyślam się, że za stołem zasiada Rada. Nad środkowym, najbardziej okazałym fotelem powieszono wyciętego ze sklejki orła, starannie pomalowanego białą farbą. Przypięty do czerwonej tarczy niczym unieruchomiony wbrew swej woli wielki drapieźny motyl, łypie ponuro swoim jedynym okiem na zgromadzonych w sali ludzi. A ci stoją zbici w grupki pomiędzy wypełniającą pozostałą część pomieszczenia zbieraniną krzeseł, ław i starych wygniecionych sof. Naradzają się nerwowo ściszonymi głosami. Sala powoli się zapełnia. Co kilkanaście minut otwierają się kolejne drzwi (zawsze inne) i kilku zmęczonych podróżnych mruży odwykłe od światła oczy. Potem stają gdzieś w kącie i dołączają do nerwowych narad. Nikt się z nikim nie wita; nowo przybyli rozglądają się po sali niewidzącymi spojrzeniami, starannie unikającymi obcych spojrzeń. Stoję pod ścianą i przyglądam się bladym, poznaczonym chorobami twarzom. To niesamowite, jak dwadzieścia lat potrafiło zmienić ludzi. Jak zbiło w małe grudki stacyjnych społeczności homogeniczną masę przypadkowych pasażerów, którzy w dniu Armagedonu znaleźli w podziemiach metra ocalenie. Niby nadal różnych, ale już jakoś do siebie podobnych. Podobnie myślących, wyznających zbliżone wartości, ba – nawet wyglądających podobnie. Wiem, że wygląd to głównie kwestia stroju: niewielki i specyficzny dla każdego miejsca wybór dostępnych materiałów oraz ta sama ręka krawca latającego w nieskończoność stare, rozpadające się łachy, aż całkowicie zatracą swój pierwotny styl i staną się czymś nowym i oryginalnym. Mundurkiem, noszonym z dumą znakiem rozpoznawczym. Bo resztę załatwi już wychowanie i permanentna, łatwa w tak ograniczonej przestrzeni indoktrynacja. Gdy niewiele mamy powodów do dumy, to dumnym można być choćby z kroju spodni – tak niewiele potrzeba, by uzasadnić swą niechęć do sąsiada z sąsiedniej stacji...

Po półgodzinie robi się ciasno – mamy już chyba komplet. I faktycznie, nagle kilku mężczyzn w tych cudacznych uniformach, podpierających do tej pory ściany, rusza żwawym krokiem w obchód od jednej delegacji do drugiej, zapraszając szefów do stołu Rady. Mimo że wiadomo, o co chodzi, żaden

z przywódców z zabawną ostentacją nie rusza się z miejsca, dopóki nie zostanie o to osobiście poproszony. Po chwili za stołem pozostaje już tylko jedno wolne miejsce. Czekamy. Rada siedzi, choć wokół pełno wolnych krzeseł, członkowie delegacji stoją. Ciszę przerywa tylko astmatyczne posapywanie i co chwila to tu, to tam wybuchające długie ataki ciężkiego kaszlu. Po kilku minutach drewniane drzwi uderzają z rozmachem o ścianę. Długi szereg żołnierzy ubranych w galowe mundury wmaszerowuje do sali, oddzielając publiczność szczelnym kordonem od stołu Rady. Teraz wiem, dlaczego nikt nie siadał – pod naporem wojskowych większość krzeseł i tak się przewraca, a nasza przestrzeń zostaje ograniczona do kilku metrów pod ścianą. Żołnierzy odgradza od ponurych spojrzeń słoczonych gwałtownie gości blask perfekcyjnie wypolerowanych bagnetów na budzących respekt automatach. I znowu tych kilka wlokących się w nieskończoność minut. Członkowie Rady wstają nieśpiesznie, muszą na pamięć znać scenariusz tej szopki. Po takim wejściu obstawy spodziewam się co najmniej fanfar. Ale nic z tych rzeczy – Prezydent pojawia się za kordonem tak niepostrzeżenie, że nie jestem nawet pewien, jak się tutaj znalazł. Wolnym krokiem przemierza pustą przestrzeń sali i siada na swoim miejscu. Stary, odrobinę przygarbiony, z kilkoma siwymi włosami z trudem trzymającymi się łysej czaszki, wygląda bardzo niepozornie. W jego schludnym stroju nie ma nic z kiczowatej teatralności liberii jego „dworu”. Jest tak zwyczajny, że gdybym nie znał jego twarzy z porozwieszanych w metrze oficjalnych portretów, pewnie uznałbym, że to jakiś przypadkowy urzędnik.

– Siadajcie państwo! – mówi zaskakująco mocnym głosem. – Witam serdecznie!

Kordon oddzielający Prezydenta od reszty sali cofa się dwa kroki i robiąc w lewo zwrot, znikają z chrzęstem butów za drzwiami, z których się pojawił. Dobiegający zza ściany szczęk odkładanych karabinów miesza się z szuraniem ustawianych na sali krzeseł. Członkowie Rady patrzą na to zamieszanie jak na kolejny akt wyjątkowo nudnego przedstawienia – cierpliwe maski polityków nie zdradzają żadnych emocji, choć jestem pewien, że ciekawość zżera ich tak samo jak wszystkich pozostałych.

Prezydent wciąż stoi za swoim biurkiem. Milczy, wpatrując się intensywnie w zgromadzonych na sali. Pod wpływem tego spojrzenia rozemocjonowane głosy przechodzą w szept, a i ten stopniowo milknie.

– Zapewne jesteście państwo ciekawi celu naszego zgromadzenia – rozpoczyna dopiero wtedy, kiedy cisza na sali staje się trudna do zniesienia.

Wiem już, czyj styl przemawiania naśladuje Rektor.

– Nasza dominacja nad światem skończyła się dwadzieścia lat temu. Wydawać by się mogło, że teraz kończy się również nasz świat. – Prezydent ma wyraźną słabość do efekciarskich wstępów. Kilka głów potakuje skwapliwie, większość jednak patrzy znudzona, oczekując na konkrety. – Ale z tym dzisiejszym światem nigdy niczego nie można być pewnym, lubi nas zaskakiwać...

Szum zniecierpliwienia powoli przechodzi w coraz głośniejszy gwar. Prezydent bezbłędnie odczytuje nastrój sali. Znowu milknie, a kiedy atmosfera jest bliska wybuchu, rzuca szybko:

– W zeszłym tygodniu odebraliśmy sygnał radiowy. Kontakt, proszę państwa. Nawiazaliśmy kontakt!

Zalega cisza, w której byłoby słycać brzęczenie komara... Gdyby tylko jakiś przetrwał Armagedon. Żaden nie przetrwał, to chyba jedyna dobra strona tego, co nas spotkało.

Mija dobrych kilka sekund. I wtedy zza drzwi, za którymi zniknęła prezydencka eskorta, dobiega

siarczyste pierdnięcie. I stłumiony rechot gwardzistów.

Jak na umówiony sygnał, sala eksploduje: w tej samej sekundzie wszyscy zaczynają mówić, krzyczeć, gestykulować. Litania pytań, komentarzy, propozycji. Milczą tylko członkowie Rady, wlepiając zdumione spojrzenia w Prezydenta, i on sam – przyglądając się wzburzonym twarzom z niewinną miną jedyne rozsądnego pośród wariatów. Harmider trwa dobrych kilka minut. Wreszcie Prezydent opada ciężko na krzesło, a sala milknie jak na komendę.

– Zgodzicie się chyba wszyscy, że coś takiego nie miało miejsca od bardzo dawna.

– Od dziewiętnastu lat mniej więcej – facet z pierwszego rzędu nie może się powstrzymać, ale natychmiast milknie, skarcony surowym spojrzeniem Prezydenta. Nikt nie powinien mieć wątpliwości, kto jest narratorem tej historii, kto tu zadaje pytania i kto sam na nie odpowiada.

– Dzięki Politechnice – Prezydent delikatnie skłania głowę w stronę Rektora – dysponujemy aparaturą radiową, która pozwala nam prowadzić nieustanny nasłuch.

Kątem oka widzę zbaraniałe miny dziekanów. Radio! Wczoraj jakoś żaden z nich na to nie wpadł. Spoglądam na Rektora, ale on unika mojego wzroku, za wszelką cenę starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Początkowo myśleliśmy, że to jakaś anomalia, że sprzęt zgłupiał... Z całym szacunkiem, panie Rektorze! – Rektor macha tylko ręką, więc Prezydent kontynuuje. – Ale identyczny przekaz odebraliśmy kilka razy. Potem radio zamilkło.

– Co to za sygnał, co konkretnie odebraliście? – Elegancko jak na warunki metra ubrana starsza kobieta, naczelniczka Koalicji Radom, wpatruje się w Prezydenta bystrym wzrokiem, a sala odbiera jej pytanie jako zaproszenie do dyskusji. Narastający od kilku chwil gwar znowu eksploduje. Każdy równocześnie wykrzykuje swoje pytania, bezskutecznie uciszając przy tym sąsiadów, czym powoduje jeszcze większe zamieszanie. Prezydent daje dyskretny znak stojącemu koło prezydielnego stołu woźnemu, a ten z całych sił dmucha w blaszany gwizdek. Przeciągły, świdrujący pisk działa. Gwar milknie.

– Przepraszam, pani naczelniczko, zaraz odpowiem na pani pytanie. Chciałbym jednak najpierw poprosić państwa o spokój. Jesteście tutaj, bo – jak widzicie – nie mamy nic do ukrycia i nie chcielibyśmy, żeby ktoś nam coś takiego zarzucił. Jednak w takich warunkach nie uda nam się porozmawiać. Dlatego proponuję, żeby od tej chwili w dyskusji brali udział wyłącznie szefowie stacji. W sumie to wasi przedstawiciele, prawda? Wszystkich pozostałych proszę o powstrzymanie się od zadawania pytań i od wszelkich komentarzy, będzie na to czas pod koniec naszej narady. Czy przystajecie państwo na takie warunki?

Prezydent omiata wzrokiem salę, intensywnie wpatrując się w twarze kilku najgłośniejszych delegatów. Nie są zadowoleni, ale po chwili milkną posłusznie.

– Dziękuję. Wracając zatem do pani pytania, komunikat jest prosty, choć chwilę zajęło nam jego odkodowanie. Typowe wywołanie: „Halo, tu jednostka ileś-tam, odezwiście się, zmiana planów, awaria”. Coś takiego, słowo w słowo nie powtórzę, zresztą szczegóły nie są istotne. Nie wiemy, do kogo to wywołanie jest skierowane, bo poza tym w eterze cisza. Aha, i najważniejsze: współrzędne

geograficzne. Uprzedzając państwa pytania – Prezydent spogląda w stronę członków prezydium Rady, którzy już nabierają w płuca powietrze, by zasypać go kolejnymi pytaniami – nie podam wam dokładnej pozycji. Oszczędzimy wam pokusy dotarcia tam na własną rękę, co mogłoby narazić naszą społeczność na niebezpieczeństwo. Powiem tylko, że to niedaleko, jakieś trzydzieści, czterdzieści kilometrów. W obecnych warunkach trudno to dokładnie oszacować, ale około trzech dni drogi stąd.

Ostatnie zdanie wzbudza na sali pomruk niezadowolenia pomieszanego z niezdrową ekscytacją. Prezydent wykonuje dłonią gest przedszkolanki uciszającej rozbrykane dzieci. A te, o dziwo, milkną.

– Co pan zamierza? – pyta szpakowaty elegant w czarnym płaszczu z białą koloratką pod szyją; to szef Placu Wilsona.

– Myślę, że powinniśmy tam pójść i nawiązać kontakt z tymi ludźmi.

– Ludźmi? A skąd pewność, że to w ogóle są ludzie? Może to jakaś cholerna maszyna?

– Wprawdzie sygnał był nadawany cyfrowo, ale za każdym razem w odrobinę zmodyfikowanej wersji, jakby ktoś dyktował go jakiemuś radiooperatorowi, więc nie mógł to być automat. Byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności...

– A czy nie wydaje się panu trudnym do wyobrażenia zbiegiem okoliczności już tylko to, żeby ktoś przeżył i przez dwadzieścia lat błąkał się po tej pustyni, tam, na górze, nie trafiając do Warszawy? Będąc trzydzieści kilometrów stąd, nie wpadł na pomysł, że może warto by sprawdzić? Nie znalazł czasu, by nas odwiedzić? – Szefowa Koalicji nie spuszcza z Prezydenta pełnego nieufności wzroku. – Bo jakoś nie mogę uwierzyć w to, że nie udało mu się Warszawy odnaleźć...

– Może był z Radomia! – rzuca teatralnym szeptem ktoś z tłumu delegatów. Odpowiadają mu stłumione rechoty kompanów i zimny, pełen niechęci wzrok kobiety.

– Pani naczelnik, ja nie do końca rozumiem, jak nam udało się przeżyć tyle czasu! Poza tym niewiele wiemy na temat tego, jakie warunki panują na powierzchni kilka kilometrów od naszego tunelu. Wie pani doskonale, jak ograniczony jest zasięg naszych wypraw. Proszę też zwrócić uwagę na to, że przekaz nie był skierowany do nas. I nie wiemy, kto był jego adresatem. Może zwyczajnie nie wpadli na to, że mimo wszystko mógł tu ktoś przeżyć? Jakkolwiek by patrzeć, ulice naszego miasta raczej nie zachęcają obecnie do długich spacerów. Może szukali, ale nas nie znaleźli? Musieli się wycofać do swojej bazy? Nie wiemy, gdzie ona może być – skąd przyszli i dokąd wracają. Ale może mają jakąś technologię, która umożliwia im dłuższe przebywanie na powierzchni? Może ona umożliwiłaby to również nam? Im bardziej zdaję sobie sprawę, jak mało wiemy, tym jestem pewniejszy, że powinniśmy się tego dowiedzieć!

– To co właściwie wiemy, do ciężkiej cholery? – denerwuje się ogolony na zero osiłek w średnim wieku, który od początku narady wierci się nerwowo na swoim krześle. To naczelnik Wawrzyszewa – końcowej, północnej stacji metra, rządzonej przez prostych chłopców wyznających politykę silnej ręki.

– Dokładnie to, co panu, panie Krupa, i wszystkim obecnym już powiedziałem. I nie będziemy wiedzieć więcej, jeżeli nie pójdziemy tam i nie sprawdzimy.

– Czy odezwaliście się do nich? – Rektor wpatruje się w Prezydenta, ale z jego twarzy nie sposób czegokolwiek wyczytać.

– Oczywiście, choć dziwię się, że dopiero teraz pada to pytanie! – Na twarzy Prezydenta pojawia się ironiczny uśmiech. – Próbowaliśmy wielokrotnie, ale niestety pewnego kontaktu nie udało się nawiązać. Może ich, a może nasz sprzęt szwankował? Bez urazy oczywiście! – dodaje szybko, widząc spojrzenie Rektora. – Jest jednak coś, co utwierdza nas w przekonaniu, że po drugiej stronie są ludzie: po każdym naszym wywołaniu ich komunikat był powtarzany, jakby chcieli odpowiedzieć, tylko coś szło nie tak. Niestety, powtarzam, pełnego kontaktu nie udało nam się nawiązać – dodaje po chwili i spuszcza wzrok.

– Ponownie proszę o odpowiedź: co pan zamierza?

– Panie naczelniku...

– Ojczy. Ojczy, jeśli wolno! Nowy Watykan jest stacją kościelną.

– Z Kościołem to oni tyle mają wspólnego, że wszystkie okoliczne rozszabrowali – komentuje stojący obok mnie mężczyzna. – No i jeszcze pewne skłonności... – uśmiecha się obleśnie.

– Na szczęście metro jest świeckie. Pańskie ewentualne ojcostwo mnie nie interesuje, a pańska stacja nosi nazwę Plac Wilsona! – odpowiada zimno Prezydent, wzbudzając uśmiechy sympatii na kilku twarzach i gniewne pomruki oburzenia wśród członków wyglądającej jak wycieczka kleryków delegacji Placu Wilsona. – Powtarzam zatem: naszym zdaniem należy posłać tam dużą wyprawę badawczo-dyplomatyczną. Od prawie dwudziestu lat los nie zesłał nam takiej okazji – to prawdopodobnie jakaś spora społeczność, zorganizowana i nieźle wyekwipowana. Musi mieć dostęp nie tylko do nowoczesnej techniki, ale również do źródeł energii. Nawiązanie stosunków handlowych może oznaczać dla nas zupełnie nowe życie...

– Jak pan to sobie wyobraża? – Młody naczelnik Raławickiej milczał do tej pory, uważnie przysłuchując się dyskusji.

– Słucham? Co jak sobie wyobrażam?

– Pytam, jak sobie pan wyobraża taką wyprawę. Od prawie dziesięciu lat nie zapuszczamy się na powierzchnię dalej niż kilkaset metrów od stacji. Z powodów, które wszyscy tu obecni doskonale znają. Chce pan nas wysłać na trzydniowy spacer...

– Trzy dni to tam, a z powrotem? – naczelnik Wawrzychewa mruczy do siebie, ale jego tubalny głos słyhać w najodleglejszym kącie sali.

– Słusznie! Jak kolega słusznie zauważył, pozostaje jeszcze kwestia powrotu. Przecież trzysta metrów od ostatniego posterunku zostanie z nas tylko krwawa kałuża!

– Z nas?! – Elegant w czarnym płaszczu jest wyraźnie zaniepokojony, nerwowo poprawia koloratkę.

– Niech pan się nie boi, panu nic nie grozi! Pan będzie się modlił za powodzenie wyprawy w jakimś bezpiecznym miejscu!

– Ojciec, proszę nazywać mnie ojcem! I nie kpij, córko, nie doceniasz siły modlitwy! – Mężczyzna nagle odzyskuje pewność siebie.

– Nie jestem pańską córką! – Kobieta macha ze zniecierpliwieniem ręką, nie patrząc nawet w jego stronę.

– To powinien być mały, silny oddział wojskowy – przerywa tę wymianę uprzejmości szef Raławickiej. – Ratusz przecież powinien dać sobie z tym radę, a wysyłanie tam kogokolwiek innego to

niepotrzebne szafowanie jego życiem. Nie bardzo rozumiem, dlaczego chce pan angażować w to inne stacje.

Prezydent kieruje na niego niezadowolone spojrzenie.

– No, to, co pan mówi, ma sens: mały, silny oddział. Mobilny i uzbrojony po zęby... – włącza się Rektor, a kilku członków Rady potakuje z aprobatą.

– Proszę państwa! – Prezydent cedzi słowa, ledwo maskując złość. – Jeżeli uważacie, że Ratusz sam udźwignie koszty zbrojnej ekspedycji, to jesteście w błędzie. Poza tym nie demonizowałbym tak tych waszych mutantów. Muszę państwu coś powiedzieć... – Znowu zawiesza głos. – Od kilku miesięcy wychodzimy na powierzchnię i udaje się nam nawet...

Nagła wrzawa zagłusza jego ostatnie słowa. Woźny, niecierpliwie obracając w palcach gwizdek, wpatruje się w Prezydenta jak zahipnotyzowany. Ten daje ręką dyskretny znak, że interwencja nie jest na razie potrzebna. Sala wrze.

– Zajebicie, noc cudów! Co jeszcze? Może kolejkę podmiejską uruchomiliście?! – Naczelnik Wawrzyszewa zrywa się ze swojego miejsca z takim impetem, że omal nie wywraca prezydialnego stołu.

Kilku członków Rady kręci z niedowierzaniem głowami, członkowie wszystkich delegacji krzyczą niezrozumiale do swoich szefów, oczekując od nich zajęcia stanowiska. Ci jednak wyglądają na kompletnie zdezorientowanych. Prezydent wreszcie postanawia zakończyć ten rozgardiasz. Podnosi rękę i wyczekująco patrzy ponad głowami krzyczących. To działa. Sala milknie, w oczach wszystkich widać niecierpliwe oczekiwanie: czego jeszcze się dzisiaj dowiemy?

– Chciałem tylko powiedzieć, że ostatnio udaje się nam odbywać coraz dłuższe... – unosi do góry rękę, tłumiąc w zarodku ponownie wzbierającą falę wzburzenia – wyprawy. Nie wiem, jak inne stacje, ale Ratusz i... – Prezydent odwraca głowę w stronę siedzącego po jego lewej stronie Wietnamczyka, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, ale teraz skwapliwie kiwa głową – ...i Świętokrzyska zaryzykują. Nie muszę chyba dodawać, że udział w zyskach z wyprawy przypadnie tylko tym stacjom, które zgodzą się ponieść jej ryzyko...

Jestem pewien, że tumultu, który wybucha po tych słowach, nie da się uspokoić charyzmą Prezydenta wspartą blaszanym gwizdkiem woźnego. Domyślając się dalszego ciągu, ukradkiem przepycham się pod ścianę, mijając kipiących emocjami delegatów. Członkowie Rady nie zachowują się dużo lepiej – Krupa z czerwoną twarzą tłucze butem w blat stołu, bełkocząc coś niezrozumiale, inni pohukują na siebie gniewnie, gestykułując niebezpiecznie blisko twarzy swoich sąsiadów. Zaraz zacznie się ordynarna bijatyka. Po kilkunastu długich sekundach milczący Prezydent daje woźnemu dyskretny znak i drzwi, za którymi wcześniej zniknęła obstawa, otwierają się z hukiem. Szereg wojskowych bezceremonialnie spycha co bardziej krewkich dyskutantów pod ścianę, robi krok do tyłu i przeładowując, unosi broń. I nagle przed wykrzywionymi agresją twarzami protestujących wyrasta długi szereg cyklopich oczu, których czarne, puste spojrzenie ma zbawienny dar kojenia emocji. W lustrach bagnetów widać, jak usta przed chwilą wykrzykujące litanie oskarżeń, teraz sinieją, zaciśnięte w niemej wściekłości.

– Kochani państwo! – Prezydent mówi cicho, a cisza pomiędzy każdym słowem aż dźwięczy. – Ochłonmy wszyscy, złość donikąd nie prowadzi. Poza tym domyślacie się więcej, niż chciałem

powiedzieć. Nie oszukiwaliśmy was, a tym bardziej was nie zdradziliśmy. Gdybyśmy faktycznie weszli w posiadanie jakiegoś Świętego Graala, o co nas podejrzewacie, czyż nie byłoby lepiej wykorzystać go po cichu? Nie dzielić się z nikim i samemu czerpać korzyści z faktu jego posiadania?

Wzrok ludzi słoczonych po drugiej stronie szpalery ochrony nie pozostawia złudzeń co do tego, czy ktokolwiek uwierzył w słowa Prezydenta. Ten jednak kontynuuje niezrażony.

– Zaprzestaśmy wzajemnych oskarżeń i zarzutów, przecież wszyscy jedziemy na tym samym wózku! Siedzimy w jednym wagonie, że tak powiem. – Jediną osobą na sali, którą rozbawił ten żart, jest jego autor. – Wszyscy wiemy, jak niepowtarzalna szansa rysuje się przed nami, nie będę państwu opowiadał, jak wygląda nasza sytuacja, jeżeli chodzi o zaopatrzenie w wodę, żywność, źródła energii. Dlatego zaapeluję jeszcze raz: zorganizujemy to przedsięwzięcie wspólnie!

Zapada głucho milczenie. Szefowie stacji spoglądają po sobie, jakby starając się nawzajem odgadnąć swoje myśli. Nikt nie kwapi się z odpowiedzią. Tylko naczelnik Wawrzychewa jak zaczarowany wpatruje się w sylwetki stojących przed nim żołnierzy, pięści wzrokiem karabiny i wiszące u pasów kabury pistoletów.

– Proszę państwa, oczekuję od was jedynie prostej deklaracji: tak, wchodzimy w to, albo nie, nie interesuje nas ta sytuacja, nie zamierzamy skorzystać z możliwości, jakie daje nam kontakt z inną grupą ocalałych. – Prezydent wpatruje się czujnie w twarze członków Rady, jednak większość z nich unika jego wzroku, nie odwracając nawet głowy w stronę mówiącego. – Wiem, że sytuacja jest trudna, a ryzyko olbrzymie, ale też to, co możemy zyskać, jest zdecydowanie tego ryzyka warte. Myślę, że to uczciwa propozycja...

– To nierealne! Nie ma szans, żeby się udało. – Szefowa Koalicji z rezygnacją kręci głową. Przytakuje jej kilka osób. – Gdyby chociaż wziąć radio... – dodaje z odrobiną nadziei.

– Co, chciałyby mieć pani transmisję na żywo z kolacji u mutantów? Z naszymi ludźmi w charakterze dania głównego... – Naczelnik Raławickiej patrzy na nią z politowaniem.

– Nie mamy dostatecznie mobilnego nadajnika – Rektor uznaje za stosowne pośpieszyć z wyjaśnieniami. – I, przede wszystkim, nie mamy odpowiednich źródeł zasilania. Nikt nie da rady taszczyć ze sobą generatora i kanistrów z paliwem. Na zewnątrz, w tej temperaturze i tych warunkach, jakie tam panują, natychmiast odmówią współpracy. Niestety.

Prezydent kręci głową i przecząco macha rękami. Już ma coś powiedzieć, gdy nagle przerywa mu Krupa.

– Broń nam dajta...

– Słucham?

– Dajta nam broń, to sobie poradzim! Pójdziemy i inni też pójdą. Wawrzychew pokaże temu całemu bydłu! – Tłucze pięścią w blat biurka, aż siedzący najbliżej podskakują przestraszeni. – I przyprowadzim tutaj te zagubione sieroty!

Twarz Prezydenta na chwilę rozjaśnia szczerzy uśmiech triumfu.

– Broni jest bardzo niewiele, nie możemy sobie pozwolić na wojenki z mutantami. Wystrzelacie amunicję w pół godziny i taki będzie koniec imprezy... – szef Raławickiej kręci głową.

– Mało broni, kurwa?! Tym zabierzem – wskazuje głową na stojących wciąż przed nim gwardzistów – i styknie!

– Nic nie będziemy nikomu zabierać – rzuca Prezydent. Ale nie za ostro, wyraźnie nie chcąc urazić niespodziewanego sojusznika. – Bo zbrojną ochronę oczywiście zapewnimy... – dodaje już całkiem łagodnym tonem.

– To każ pan ich wyprowadzić, niech się szykują! – Krupa uśmiecha się szeroko.

Prezydent odwzajemnia uśmiech. Na jego znak gwardziści sprawnie opuszczają salę. Krupa przygląda się im wyraźnie zauroczony. Kiedy drzwi zatraskują się za ostatnim żołnierzem, rozgląda się wokół siebie.

– I co, ważniaki?! Wchodźcie w to?

Odpowiada mu milczenie, ale po twarzach członków Rady widać już, jaki będzie wynik głosowania, które za chwilę zarządzi Prezydent.

Rozdział 8

Siedzimy w klitce o surowych, betonowych ścianach. Dwunastka wybrańców, jak nas określił chwilę po głosowaniu w entuzjastycznym przemówieniu Prezydent. Jednak już rzut oka na nasze twarze zdradza, że samopoczucie zbliża nas raczej do skazańców oczekujących rychłego końca w celi śmierci. Zaledwie kilka godzin minęło od głosowania, w którym, jak można się było spodziewać, nikt nie wyrzekł się obietnicy nowego wspaniałego świata. Było to tym łatwiejsze, że dla żadnego z głosujących nie wiązało się z koniecznością opuszczenia ciepłej i bezpiecznej kiszki metra i wyruszeniem na poszukiwanie tegoż świata osobiście. Prezydent stoczył jeszcze tylko małą potyczkę z Radą o liczbę uczestników ekspedycji, ale tu obszar negocjacji był bardzo ograniczony – ponieważ, jak to określił, każda godzina była na wagę złota, ekspedycja wyruszyć miała natychmiast i nie było czasu na ściąganie posiłków z macierzystych stacji, uczestników miano wybrać spośród delegatów, którzy przybyli na zebranie Rady. W tym celu delegacje zebrały się we własnym gronie na szybkie narady, naczelnicy wskazali „wybrańców” (podobno tylko z Wawrzyszewa byli ochotnicy), przekazali im oficjalne pełnomocnictwa oraz ostatnie instrukcje i – z kiepsko skrywaną ulgą – ruszyli w drogę powrotną do domów. Ku niezadowoleniu Prezydenta jedynie Wawrzyszew wystawił trzyosobową grupę; Plac Wilsona, Koalicja Radom, Wilanowska i Politechnika zgodziły się wysłać po dwie osoby, Wietnam – jedną, a Raclawicka, jako stacja magazyn bez stałej obsady, została z tego obowiązku zwolniona. Zadaniem Ratusza było zapewnienie emisariuszom wsparcia logistycznego i zbrojnej eskorty.

Potem trafiliśmy tutaj. My dwaj – bo Politechnikę reprezentować będzie oprócz mojej skromnej osoby znany mi z widzenia specjalista od radia. Z jego niewyraźnej prezentacji zrozumiałem tylko, że nosi tytuł doktora i tak go chyba powinienem nazywać. W odróżnieniu od nazwiska, swoją niechęć do tego przedsięwzięcia wyartykułował aż nadto wyraźnie, jednak – w świetle nowych faktów, które wyjawiono nam podczas narady – nie miał wiele do powiedzenia odnośnie wzięcia w nim udziału.

Nakarmiono nas, a potem od jakiegoś ratuszowego urzędnika dostaliśmy obtłuczoną aluminiową manierkę z brązowym płynem.

– Wypić to, każdy po cztery łyki – zaordynował, podając naczynie stojącemu najbliżej. – I oddać potem! I uważać, nie rozlewać!

Wszyscy grzecznie, bez zbędnych pytań i marudzenia wysiorbali po kilka łyków. Płyn Lugola – smak dzieciństwa mieszkańców metra. Z czasów kiedy jeszcze wychodziło się czasem na powierzchnię. „Kiedyś była coca-cola, dzisiaj pijesz płyn Lugola” – każdy znał to kretyńskie zawołanie. Nazywaliśmy go colą naszej młodości, jednak ten żart szybko przestał śmieszyć – dziś już właściwie nikt nie pamięta

smaku słodkiego oryginału.

Potem usłyszeliśmy, że na razie mamy się kłaść spać. Obudzą nas nad ranem i wtedy wyruszymy. Wszyscy w kółko powtarzają, że nie ma na co czekać, bo tamci prawdopodobnie potrzebują pilnie naszej pomocy i nie wiadomo, jak długo jeszcze wytrzymają. Zdrzemnęliśmy się chwilę, o ile snem można nazwać to nerwowe oczekiwanie na twardej drewnianej ławie na rozłożoną w czasie egzekucję, jak większość z nas wyobrażała sobie nadchodzące dni. Tuż po północy do sali wtoczyła się baba z dymiącym garem i bezceremonialnie zarządziła pobudkę. Nakarmiono nas ponownie, ale parujące miski nie poprawiły zbytnio humorów grupy – widok ponurych, zaspanych ludzi pochłaniających posiłek mechanicznie, siłą odruchu, nie podnosił na duchu. Ściśnięte strachem żołądki odmawiały zainteresowania szarą pulpą, nad której pochodzeniem nikt w metrze od lat woli się nie zastanawiać.

Siedzimy, milcząc, i nerwowo spoglądamy na drzwi, które już dawno powinny ukazać nam gwarancję naszego bezpieczeństwa – obiecaną przez Prezydenta zbrojną obstawę. Oczekiwanie wystawia nasze nerwy na ciężką próbę – drzwi otwierają się kilkakrotnie, ale to albo kobieta z parującym dzbankiem grzybowego naparu, albo posłańcy ze stacji z ostatnimi, przekazywanymi szeptem instrukcjami. Gdy w drzwiach staje mężczyzna w krótkiej wojskowej kurtce, początkowo nikt nie zwraca na niego uwagi. Stoi, cierpliwie czekając, aż wszystkie twarze obrócą się w jego stronę. Przygląda się nam, ale bez specjalnego zainteresowania.

– Jestem Franz, będę waszym przewodnikiem – oznajmia w końcu obojętnym tonem. Ma około czterdziestu lat, krótko ostrzyżone szpakowate włosy i bystre oczy osadzone głęboko w pokrytej siecią zmarszczek twarzy. Lewą ręką drapie się po zarośniętym policzku.

– Ruszamy za dwie godziny. Jakies pytania? – rzuca krótko.

– Ilu was będzie? – Osilek w naciągniętym na stare robocze spodnie błyszczącym dresie, niemal klon swojego naczelnika z Wawrzyszewa, patrzy na mężczyznę podejrzliwie.

– Ja będę.

– Sam?!

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Z nim! – Przesuwa parcianą taśmę i zza pleców wyciąga karabinek szturmowy z obciętą lufą. Palcami gładzi przetłoczenia sklejonych czarną taśmą magazynków. Uśmiecha się do kałasznikowa, jak dumny ojciec do syna, który w trakcie rodzinnej imprezy bezbłędnie wystukał na pianinie fugę Bacha, wzbudzając tym wśród gości pomieszane z zazdrością oszołomienie.

– Pierdolisz, kurwa! – Duży jest szczerze zdumiony. – A czołg masz? Bo jak nie, to ja się, kurwa, nigdzie nie ruszam!

Patrzę na moich współtowarzyszy. Doktor kręci z rezygnacją głową, ludzie z Koalicji i Wilanowskiej wpatrują się w przewodnika prerażeni. Mężczyzna w czarnym sukiennym płaszczu i koloratce, wyglądający jak tańsza kopia naczelnika Placu Wilsona, wydyma z pogardą wargi, gestykułuje nerwowo, jakby chciał coś powiedzieć, lecz odpowiednie słowa najwyraźniej nie przychodzą mu do głowy. Jego świecki towarzysz gapi się na Franza z wyrazem takiej bezmyślności na twarzy, że w innej sytuacji można by to nawet uznać za zabawne.

– Na razie – rzuca przewodnik od niechcienia. – Do naszego ostatniego stanowiska. Potem spotkamy się z oddziałem z wysuniętego posterunku na Wschodniej. To raptem kilka kroków stąd. Oni pójną z nami. Kilku, może kilkunastu, zobaczymy, na ile sytuacja pozwoli. Dobre chłopaki, zaprawiony oddział. Najlepsi.

Po wyjaśnieniu tego nieporozumienia atmosfera nieco się rozluźnia. Łysi z Wawrzyszewa śmieją się nerwowo do siebie, poklepując się po szerokich plecach, uduchowiony przedstawiciel Placu Wilsona wznosi do góry ręce w dziękczynnym geście, ci z Wilanowskiej i Koalicji nadal trzymają się na uboczu, ale nie są już tak spięci. Wszyscy usiłują nagle dodać otuchy jedynej dziewczynie w naszej grupie, wyraźnie dodając jej przede wszystkim sobie.

Sielanka nie trwa długo. Po chwili drzwi otwierają się z hukiem i do sali wchodzi kilku mężczyzn objuczonych ogromnymi brezentowymi worami. Bezceremonialnie wysypują ich zawartość na środek sali i wynoszą się bez słowa.

– Podzielcie się tym i przebierzcie, ja za kilka minut wrócę – rzuca Franz i też znika za drzwiami.

Dostaliśmy nasz ekwipunek: kombinezony ochronne i maski przeciwgazowe. Dla każdego jest też niewielki plecak, wypchany kilkoma konserwami, trzema butelkami wody i kompletem ciepłych ubrań. Zabieramy się za przeglądanie i rozdzielanie sprzętu. Jak z rozczarowaniem i wyraźną irytacją zauważa jeden z chłopaków z Wawrzyszewa, brak jest jakiejkolwiek broni. Za to konserwy – rarytas – trzydziestoletnie już prawie, wojskowe racje żywnościowe, podobno wciąż w doskonałym stanie. Nie sposób nie docenić gestu Ratusza. Gorzej jest z ubiorami ochronnymi. Nie jestem w stanie pozbyć się dręczącego niepokoju, że ta sterta starych, kiepsko połatanych łachów nie uchroniłaby nikogo przed letnim kapuśniaczkiem, a co dopiero przed atrakcjami warszawskiego klimatu.

– To chyba z trupa zdjęte... – największy z osiłków z obrzydzeniem podnosi stary skórzany płaszcz, powypychany i ponaddzierany na całej powierzchni. To jednak jedyny kombinezon, w który da radę się wcisnąć. Stroje „ochronne” innych nie wyglądają dużo lepiej: brudne, nieforemne, brezentowe płaszcze, chałupniczym sposobem zszyte z podgumowanymi, drelichowymi spodniami roboczymi. Przyglądam się im bliżej i widzę, że to, co brałem za gumę, jest po prostu cienką warstwą wtopionej niezbyt starannie w płótno smoły. Gdyby nie to, że za chwilę mamy w tych strojach wyjść na powierzchnię, byłoby nawet zabawnie obserwować zgraję łachmaniarzy, w jakich się przeobrażamy.

– Jak trupa wędrownych cyrkowców – uśmiecham się do dziewczyny z Koalicji, która w swoim jednoczęściowym, połatany w tysiącu miejsc jasnym kombinezonie przypomina nieudolną karykaturę Arlekina. Szamoce się z jakąś niesforną sprzączką i wyraźnie nie wie: ma się śmiać czy płakać.

Prawdziwa tragedia to dopiero maski przeciwgazowe. Stara sparciała guma, brudne zmatowiałe szybki okularów i filtry, za które nie oddałbym talerza wietnamskiej zupy. Największy optymista bałby się ich używać, a my mamy im zaufać na kilka długich dni. Wciągam swoją maskę na twarz, sprawdzam szczelność węża, nieufnie wciągam smakujące kurzem powietrze. Oddychać się wprawdzie da, ale jeżeli nie zabije mnie skażenie, to z pewnością zrobi to pylica płuc. Dużo gorzej jest, niestety, z widocznością. Przy każdym oddechu szybka zachodzi mgłą i obawiam się, że przy odrobinę większym wysiłku przyjdzie mi się poruszać po omacku.

Kiedy reszta grupy zabiera się za przymierzanie masek, okazuje się, że tylko nieliczni radzą sobie z ich zakładaniem. Dociera do mnie, że przecież większość z nas nigdy nie opuszczała tunelu i maska przeciwgazowa jest dla nich sprzętem równie egzotycznym jak balon na ogrzane powietrze. Korzystając z niezdecydowania innych, Wawrzyszew i Plac Wilsona szybko wybierają dla siebie najlepszy sprzęt. Doktor ze straceńczą rezygnacją sięga po pierwszą maskę z brzegu i po prostu wciąga ją na głowę, zaś reszta długo grzebie w stosie gumowych czerepów, szukając tam nie wiadomo czego. Potem nieudolnie starają się naśladować ruchy tych bardziej doświadczonych, ale i tak dziewczyna dusi się prawie, zapomniawszy o korku uszczelniającym filtr. Pomaga jej nieodstępujący jej na krok chłopak o szczerym, sympatycznym uśmiechu. Po kilkunastu minutach szamotaniny stajemy wreszcie jak stado niezdarnych słońi, gapiąc się na siebie głupkowato zza szybek okularów. Wtedy w drzwiach pojawia się Franz. Patrzy na nas rozbawiony. Ma na sobie solidny gumowy kombinezon ochronny, odrobinę zużyty, ale w niezłym stanie. Przy pasie dynda mu maska przeciwgazowa z bocznymi pochłaniaczami i panoramicznym okularem – cud techniki w porównaniu ze sprzętem, który nam podarowano. No i karabin, ale mam wrażenie, że on bez niego nie chodzi chyba nawet do kibla. W ręku trzyma nieduży zielony plecak, w którym pobrzękuje coś metalicznie. Zastanawiam się, czy to konserwy, czy zapasowe magazynki.

– Gotowi? – pyta krótko, rzucając plecak na stół.

Nikt nie odpowiada, ale po naszych minach, czy może raczej postawie, bo guma masek mocno ogranicza ekspresję twarzy, widać wyraźnie, co każde z nas myśli o wychodzeniu w czymś takim na powierzchnię.

– Dobra, dacie radę – mruczy, grzebiąc w plecaku.

Patrzymy na niego z zainteresowaniem, ale on wyciąga tylko starą blaszaną benzynową maszynkę do gotowania i rzuca ją w stronę jednego z osiłków.

– Masz, żebyście z głodu nie pozdychali. To dla wszystkich, nie zgub!

Tamten odruchowo chwyta maszynkę i mamrocząc coś pod nosem, pakuje ją do plecaka. Potem Franz rozdziela resztę ekwipunku.

– Znasz się trochę na tym? – pyta dziewczynę, wręczając jej niewielki chlebak z czerwonym krzyżem na kłapie. – I zdejmijcie to na razie z głów, jeszcze zdążycie się nimi nacieszyć.

– Mdleję na widok krwi – dziewczyna uśmiecha się filuternie, poprawiając dłonią potargane włosy.

Stalker też się uśmiecha i przez krótką chwilę wydaje się nawet całkiem sympatyczny. Ale uśmiech szybko znika z jego twarzy. Zarzuca swój niewielki plecak na lewe ramię (przez prawe ma przewieszony karabinek) i zarządza wyjście.

Bez oglądania się za siebie zostawiamy podziemny labirynt Ratusza. Tym razem idziemy inną, prostszą drogą. Równie szybko, nie zatrzymując się na żadnym posterunku, opuszczamy uśpioną stację. Przez chwilę nasze buty dudnią na wysprzątaną posadzkę peronu, potem znowu połyka nas tunel.

Spacer znaną drogą zajmuje nam dosłownie chwilę. Nie rozmawiamy: na przedzie idzie Franz, a za nim reszta wycieczki w karnym szeregu. Dowódcy posterunków salutują nam grzecznie, nikt o nic nie pyta. W najmniejszym stopniu nie przypomina to naszej wędrówki w przeciwną stronę. Po czterdziestu minutach od wyjścia jesteśmy na Świętokrzyskiej. Tutaj panuje trochę większy ruch – właśnie zmieniają

się warty, mimo to jesteśmy w centrum niezbyt dyskretnego zainteresowania. Wieści z narady musiały się już rozejść po metrze. I ci schodzący z posterunków, i ci, którzy je dopiero za chwilę obejmą, jednym uchem wysłuchując raportów o sytuacji na swoich odcinkach, tak naprawdę zajęci są głównie zerkaniem w naszą stronę. Mam wrażenie, że taksują nas wzrokiem. Jakby obstawiali zakłady: ten mały przeżyje, wróci? A ten grubas? Dwadzieścia do jednego, że go szlag trafi zaraz po wyjściu na powierzchnię... A ta panienska? No, lepiej by tu z nami została...

Schody prowadzące na górę, na poziom galerii, są szczelnie zagrodzone konstrukcją z szyn i betonowych płyt – tutaj nie ma przejścia. Idziemy na koniec peronu, do krótszego łącznika z drugą linią. Odgradza go od naszego świata solidna krata, którą widzieliśmy w drodze do Ratusza. Tutaj najwyraźniej kończą się znajomości Franza – wietnamscy strażnicy długo przyglądają się każdemu z nas, sprawdzają papiery, dyskutują o czymś zawzięcie między sobą, przepytując przewodnika i towarzyszącego naszej grupie Wietnamczyka. Wreszcie furta otwiera się. Odgłosy stacji wpadają w ciemne gardło kamiennego korytarza i toną w nim jak w studni bez dna.

Rozdział 9

Najpierw schodzimy krótką rampą, chyba podstawą rozebranych schodów ruchomych, potem są już normalne stopnie. Cały czas w dół. Poruszamy się po omacku w kompletnych ciemnościach. Po kilkunastu krokach drogę zagradza nam ściana. Robi się nerwowo, ale Franz krzyczy, żeby skręcić w lewo. Potykamy się na krawędzi schodów, ktoś turla się po kamiennych stopniach, hałasując wypełnionym konserwami plecakiem, inni klną głośno, nieustannie wpadając na siebie. Po chwili poziom się wyrównuje i tłoczmy się w maleńkiej, pogrążonej w grobowych ciemnościach salce. Prowadzący nas Wietnamczyk wykrzykuje coś tuż obok mnie i nagle jedna ze ścian okazuje się drzwiami. Wychodzimy na szeroki surowy peron przecięty wzdłuż dwoma rzędami solidnych betonowych słupów, oświetlony pomarańczowym światłem lamp sodowych. Za plecami mamy ścianę śluzy, przed nami wstępu na peron broni jeszcze jedna linia zasieków wzmocnionych betonowymi zaporami. Niezwykle, nawet jak na nasze standardy, środki ostrożności. Jednak najciekawsze nie są wcale te umocnienia, ale wewnątrz stacji. Peron i północne torowisko wypełnia labirynt blaszanych bud, jakby żywcem przeniesionych tu spod Stadionu X-lecia. Jednak, by jak najlepiej wykorzystać każdy dostępny kubik ciasnej stacji – piętrowy, trójwymiarowy. Ażurowe ni to chodniki, ni drabiny łączą pozlepiane ze sobą jak w plastrze miodu komórki z blachy i prętów zbrojeniowych. A wśród tych niewiarygodnych konstrukcji jak mrówki uwijają się ludzie. Ciekawe, dokąd tak pędzą, co z takim zapałem przenoszą z jednej komórki do drugiej. Chciałbym tu zostać chwilę dłużej, z pewnością można się tu dowiedzieć mnóstwa ciekawych rzeczy. Widzę, że przynajmniej jedna osoba podziela moje zainteresowania – Doktor stoi przy zasiekach z otwartymi ustami i jak urzeczony wpatruje się w ten jedyny w swoim rodzaju przekrój przez podziemne miasto. Tymczasem Franz kończy rozmawiać z wartownikami pilnującymi wejścia na peron i energicznie formuje nas na powrót w kolumnę marszową.

– Idziemy szybko, nie gapimy się... Ty, w okularach, nie gapimy się, rozumiesz?! I nikogo nie zagadujcie. I tak się niczego nie dowiecie, a oni nie lubią, jak tranzyt im się przygląda. – Instrukcje są krótkie i rzeczowe. – Aha, i pod żadnym pozorem nie wychodźcie za te druty, wzdłuż których będziemy szli. To, że nie widać uzbrojonej ochrony, nie znaczy, że jej nie ma!

– Pierdolenie! Ale swoją drogą, nieźle się te żółte małpy urządziły, jak w dżungli tu mają!

Trudno wyczuć, czy za stwierdzeniem jednego z osiłków kryje się wyłącznie niechęć, czy również zazdrość.

– Schowaj swoje przemyślenia dla siebie. Morda w kubeł i żadnych uwag, jasne? – Franz nie wdaje się w interpretacyjne niuanse.

Odkąd znaleźliśmy się na Świętokrzyskiej, drużyna z Wawrzyszewa nie odstępuje go na krok. Zagadują go, jak z rękawa sypią czerstwymi żartami, polecenia odgadują wręcz z wyprzedzeniem. Teraz też ten największy, chyba ich szef, reaguje od razu.

– Słyszałeś Kam, nie komentuj, bo się mały pogniwają!

– I co?! Mnie, kurwa, głównem obrzuca?!
Odpowiada mu rechot kolegów. Idący z nami Wietnamczyk przysłuchuje się tej rozmowie z dziwnym uśmiechem na ustach.

– Zamkniecie się wreszcie? – przerywa dyskusję Franz. – Dla waszego dobra, grzecznie proszę – dodaje. – Gotowi? No to w drogę! Czeka rzeka, czeka las!

– A tam ciągle nie ma nas – kończy pod nosem Doktor.
Franz narzuca takie tempo, że niektórzy muszą podbiegać, by go dogonić. Idziemy dnem południowego tunelu, po rozebranych torowisku. Drogę wytyczono celowo w ten sposób, by maksymalnie utrudnić najmniejszy choćby kontakt z przytulonym do samej krawędzi peronu miastem, odwróconym do nas plecami z blachy falistej. Mur nie jest jednak szczelny – co kilkadziesiąt metrów jest w nim zamknięta metalową siatką przerwa, przez którą można podejrzeć życie tego niezwykłego miejsca. Te przerwy to najwyraźniej bramy łączące stację ze szlakiem komunikacyjnym, którym się właśnie poruszamy. W podłożu miejscami wysypanym piachem widać zresztą wyraźnie świeże ślady kół. Oglądam się za siebie i widzę przyćmione światło żarówek rozświetlających tunel w stronę Woli, tam, gdzie według całej dostępnej mi wiedzy, nie powinno już być niczego.

– Człowiek tak długo żyje na świecie, a tak mało wie o miejscu, w którym przyszło mu to życie spędzać, nieprawdaż? – zagaduje mnie Doktor, jakby odgadując moje myśli.
– To najnormalniejsza autostrada. Ciekaw jestem bardzo, co też tędy się najczęściej przewozi...
– Ciii! – Idący obok nas Wietnamczyk kładzie palec na ustach. – Potem będziemy rozmawiać, zaraz. Teraz nie.

Tymczasem ekipa z Wawrzyszewa nie zamierza powstrzymywać dręczących jej przemyśleń aż do chwili opuszczenia stacji.
– Ty, a wiesz, co oni tu robią – zagaduje ściszym głosem dryblas – że się tak skurwiele kryją?
– Nie, a co?
– Przerabiają szczury na żarcie...
– Dla kotów? – Na twarzy Kama pojawia się głupawy uśmiech.
– Dla jakich, kurwa, kotów?! Koty już dawno przerobili. Na żarcie dla ludzi, jełopie! Dla nas. Dla ciebie. Wpieprzasz to białe, nie? To ze szczurów jest...
– Pierdolisz!
– Sam pierdolisz! Oni szczury wpieprzają. I nas nimi karmią.
– A ty niby skąd...
– Skończyć pogaduchy – syczy lodowatym tonem Franz i przyśpiesza kroku.
– Te, Franz! – zagaduje po chwili przewodnika zdyszany Kam. – Powiedz mi tylko: czemu te wejście tu takie dziwne było? Ten korytarzyk ciemny i ta komórka cośmy w niej na koniec stali? Co te kurwy

wymyślili?

Franz patrzy na niego dłuższą chwilę. I kiedy już wydaje się, że zignoruje pytanie, najwyraźniej zmienia zdanie.

– A widziałeś tam w tej – jak ją nazwałeś? – komórce takie małe okienka wysoko, pod sufitem?

– Nie.

– A są. Jak im wejdiesz tam nieproszony, to przez te okienka wrzucą tam granat obezwładniający i wyniosą cię sztywnego i grzecznego na peron, żebyś przemyślał swoje zachowanie w ichnim pierdłu.

– Ożeż ty, w beret czochrany! To wy takie cwaniaki jesteście?! Jebać was! Metro dla Polaków! – Ryk Kama słyhać chyba na sąsiedniej stacji.

I wtedy wszystko dzieje się błyskawicznie. Franz obraca się w miejscu i jego pięść z głuchym stęknieniem ląduje na szczęce osiłka wznoszącego wciąż prawą rękę do góry i ryczącego w stronę wietnamskiego miasteczka. Zaskoczony krzykacz wali się na swoich kompanów, którzy chyba nawet nie zdążyli zarejestrować, co się stało. Zaplątani w swoje za duże kombinezony padają na ziemię. Kątem oka widzę towarzyszącego nam Wietnamczyka, który rozkładając ręce i krzycząc coś nerwowo, biegnie w stronę krawędzi peronu. Dopiero po chwili orientuję się, do kogo krzyczy. Jego dwóch rodaków wyrasta jak spod ziemi i już biegną w naszym kierunku, szczękając bezpiecznikami kałasznikowów. W tym czasie Franz przygniata pierś Kama ciężkim butem do ziemi, przeładowuje karabin i mierzy wprost w głowę leżącego.

– Mówiłem grzecznie, skurwysynu, żebyś trzymał mordę na kłódkę. Wolisz, żebym ja cię zastrzelił czy oni? – cedzi przez zęby. – Nguyen, powiedz, że jesteśmy poselstwem, mamy immunitet! – krzyczy, nie odwracając głowy. – Ja się tym gnojem zajmę! Powiedz im, że ja się nim zajmę!

Stoimy zbici w ciasną gromadkę, przerażeni i zdezorientowani. Nasz Wietnamczyk, gestykułując nerwowo, stara się uspokoić wrzeszczących żołnierzy, którzy wciąż mierzą to we Franza, to w leżących na ziemi Wawrzyszewiaków.

– *Nhà ngoai giao! Nhà ngoai giao!* – powtarza spokojnym, stanowczym głosem Franz.

– Tylko mi się nie ruszać! – rzuca w naszą stronę.

Na torowisku pojawia się ktoś starszy stopniem w przypominającej wojskową czapce i z olbrzymim rewolwerem w dłoni. Wyciągnął go z sięgającej mu prawie do kolan kabury. Nerwowe negocjacje trwają kilka minut. Wreszcie, nie przestając gniewnie pokrzykiwać, każe jednak swoim opuścić broń, a nam zbierać się stąd jak najszybciej. Nikomu z nas nie trzeba tego dwa razy powtarzać – w pełnym napięcia milczeniu, ale już bez ekscesów, docieramy do granic miasta.

Kilkaset metrów dalej tunel zaczyna łagodnie opadać w dół. W ciszy delikatnie buczą rozwieszane co kilkanaście metrów świetlówki. Po paru minutach Franz każe się wszystkim zatrzymać. Podchodzi do rozcierającego siną szczękę Kama.

– Masz coś do powiedzenia?!

– Spierdalaj!

– Życie ci uratowałem, gnoju. Ostatni raz. A okazji, żebyś je stracił, będzie jeszcze sporo.

– Dobra, odpiardol się ode mnie! No, sorry... Szczęśliwy?

– Się Kam, kurwa, hamuj, jak pan Franz prosi! – włącza się do rozmowy ten, który wygląda na mózg drużyny z Wawrzyszewa. Na twarzy ma obłudny uśmiech nie do końca szczerze nawróconego specjalisty od gry w trzy karty.

– Juuuz, dobra?! Opuść, Seba. Mamy gdzieś iść? To chodźmy, bo się, kurwa, ściemni!

– Chwila! – Franz mówi cicho, ale nikt nie ma wątpliwości, że należy go uważnie słuchać. – Zaraz będzie drugi posterunek Wietnamu. Nowy Świat Uniwersytet – tak się to kiedyś nazywało. Naukowców tam nie uświadczysz. Za to sporo nerwowych chłopaków z bronią. Tak, tam jest już wyłącznie wojsko. Nasze, ale ich też. Tam już się taki numer nie uda – wyskoczysz z czymś głupim, albo pierdniesz za głośno – nie żyjesz. Ty! – kiwa głową w stronę wyszczerzonego w uśmiechu łysego. – Jak ty się nazywasz?

– Sebastian Wypych! Dla przyjaciół Seba, znaczy się dla pana oczywiście też! – recytuje zapytany, nie przestając się szczerzyć. – A to moi koledzy: Kamil Pytlakowski i Krzysztof Jankowski. Krzysiu, uklonisz się państwu?

– Pojebało cię, Seba... – mamrocze pod nosem Kamil.

Krzysiu, który nie odezwał się dotąd ani słowem, nie zamierza chyba zmieniać przyzwyczajęń. Przygląda się za to wszystkim spode łba, z niezbyt przyjaznym wyrazem twarzy.

– To, Sebastianku, pilnuj łaskawie siebie i swoich kolegów. Jeszcze raz powtarzam: teraz nawet nie będę próbował ratować waszych dup.

– Oczywiście, psze pani! – Seby nie opuszcza dobrego humor. Hardo patrzy prosto w oczy Franza. Na szczerą i serdeczną przyjaźń raczej się nie zanosi.

– To może, skoro przyjdzie nam spędzić te kilka dni razem, przedstawimy się sobie? – zagaja elegant z koloratką pod szyją. Nikt nie podchwytuje tematu, jednak jego potrzeba autoprezentacji jest zbyt silna. – Jestem ojciec Alex Bujak. Modłę się nieustannie w intencji powodzenia naszej misji i jestem przekonany, że Bóg nas wysłucha. I będzie nam błogosławił... – mówi natchnionym głosem. – A to jest Stefan. Diakon – dodaje już całkiem normalnie, wskazując głową na stojącego obok niego młodzieńca z wyrazem całkowitego zagubienia na twarzy.

– Skończyliście już? – wzrusza ramionami Franz.

– To może my też się przedstawmy! – rzuca pośpiesznie jedyna w naszym towarzystwie dziewczyna. – Mam na imię Julia, jestem z Imielina, z Koalicji. – Dyga zabawnie i nawet połatany workowaty kombinezon nie jest w stanie ukryć jej dziewczęcego wdzięku. – A to Piotrek – wskazuje na swojego towarzysza.

– Piter! Stokłosy. – Mężczyzna podnosi rękę w przyjaznym geście.

– Dobra, idziemy! Pogadacie sobie po drodze – przerywa Franz. – Ale tylko tutaj, w tunelu. Jak dojdziemy do posterunku – gęby na kłódkę!

Ruszamy. Franz idzie pierwszy, za nim trzech łysych. Facet musi mieć mocne nerwy i zaufanie do swojego refleksu – żądza, z jaką Seba, Kamil i Krzyś wpatrują się w wiszący na jego ramieniu karabinek, musi chyba parzyć go w plecy nawet przez grubą gumę kombinezonu. Za nimi dostojnym krokiem maszeruje Alex ze swoim permanentnie zdezorientowanym przybocznym. Potem reszta grupy. Przedstawianie się trwa w najlepsze, jakby nagle niektórzy z nas zaczęli tęsknić za przyjacielem na całe

życie. Waldek i Janek z Wilanowskiej ściskają wszystkim ręce, Nguyen tłumaczy, że wolałby, żeby mówić do niego Dung, bo tak brzmi jego imię, ale Polacy nie chcą zapamiętać, że Nguyen to nazwisko i on często ma takie wrażenie, że posługując się tym określeniem w stosunku do wszystkich mieszkańców Świętokrzyskiej, dają wyraz lekceważącego stosunku do wietnamskiej społeczności; ale potem uśmiecha się pobłaźliwie i opowiada, gdzie w mijanym niedawno labiryncie Świętokrzyskiej przez moment można było dostrzec jego komórkę. Nawet małowówny Doktor ulega fali powszechnej fraternizacji.

– Doktor ...ski – mamrocze. – Politechnika – dodaje głośniej. – I kolega też! – wskazuje ręką w moją stronę.

Kiwam głową, półgębkiem rzucam swoje nazwisko. Nie zauważam specjalnego zainteresowania. Mimo pozorów rozluźnienia, każdy jest spięty, zajęty wyłącznie sobą, skoncentrowany na własnych odczuciach i słuchający co najwyżej własnych słów. Gadaniem zagłuszamy przerażenie, niepewność i bezradność. Po kilku minutach docieramy, dobrze utrzymanym i oświetlonym tunelem, do stacji Nowy Świat Uniwersytet. W naszym zasadniczo zdemilitaryzowanym świecie rzadko widzi się podobny obrazek: kilka linii uzbrojonych po zęby, nieźle umundurowanych żołnierzy, kraty i labirynty betonowych zapór, zasieki z drutu kolczastego od podłogi po strop tunelu, gniazda karabinów maszynowych. Mieszane polsko-wietnamskie obsady. Franz musi tu być częstym gościem – z niektórymi z wartowników wita się jak ze starymi znajomymi. Przed wejściem na peron każe się nam zatrzymać, długo omawia coś z dowódcą warty. Potem formuje nas w zwartą kolumnę i jak stado baranów przepędza truchtem przez ten podziemny militarny tor przeszkód.

Rozdział 10

Ciężka, pancerna brama zamyka się z głuchym stęknieniem. Cienkie promienie światła macają przez otwory strzelnicze gęstą materialną ciemność podpełzającą ku nam z czeluści tunelu. Nadal idziemy południową tubą.

Franz grzebie w kieszeni swojego kombinezonu.

– Mamy tylko dwie latarki – mówi po chwili. – Ja idę pierwszy z jedną, a na końcu... – rozgląda się po naszych bielejących w ciemności twarzach. – Ty! – podaje Waldkowi małą, napędzaną ręcznym dynamem latarkę. – Uważajcie, jeżeli ktokolwiek się potknie, zgubi, przewróci i zostanie za drugą latarką, natychmiast się odzywa. Tylko nie drzeć się jak obdzierani ze skóry. Chyba żeby was coś ze skóry obdzierało! – uśmiecha się nieprzyjemnie. – Wystarczy zameldować, tak żeby ostatni usłyszał. I wtedy on przekazuje to do czoła. Zrozumiano?

Kilka osób mruży coś niewyraźnie, większość milczy, daremnie usiłując przeniknąć wzrokiem najbliższe kilka metrów tunelu. Promienie światła to wyłuskują nas na moment z ciemności, to znów w nią wtrącają. To wojsko po drugiej stronie bramy – patrzą na nas, cwaniaki. Czekają, kiedy pójdziemy. Pewnie jak ci tam, na Świętokrzyskiej, obstawiają nasze szanse przeżycia.

– Czy... czy tu jest niebezpiecznie? – pyta cicho Stefan.

– Nieee... Teraz nie. Chyba że sobie nogę złamiesz – mówi Franz, poprawiając na ramieniu karabin i sprawdzając zapięcie kabury. Nie dodaje to wiarygodności jego słowom.

– A ta brama i ci żołnierze?

– To komitet powitalny. Czasem tu coś przyłazi. Ale teraz powinno być spokojnie. Aż do Powiśla. Ruszamy! – pada komenda. – Aha, teraz będzie mocno z górki. W drogę!

Ostatnie dwadzieścia lat, prawie połowę swojego życia, spędziłem w tunelach. Ale chyba nigdy się do nich nie przyzwyczaję. Dość często opuszczam Politechnikę, parę razy zdarzyło mi się przejść całe metro z północy na południe i z powrotem, ale zawsze z ulgą wracałem do swojej komórki na oświetlonym, pełnym ludzi peronie. Z każdym rokiem, z każdą wyprawą jest coraz trudniej. To śmieszne, że człowiek młody, przed którym jeszcze całe życie, tak łatwo kładzie je na szali niepewnych inwestycji, zaś starzec, który wszystko już przeżył i w perspektywie ma już tylko choroby i codzienne powolne umieranie, czepia się życia, drżąc ze strachu przed najmniejszym niebezpieczeństwem. Na szczęście nie jestem chyba jeszcze aż tak stary, by nie odważyć się zaryzykować. Stawiam pierwszy krok i pochłania mnie tunel. Nurkuję w butelce z atramentem.

Po kilku minutach oczy przyzwyczajają się do ciemności na tyle, by w lichym światełku żarzącej się

kilka metrów dalej latarki móc dostrzec plecak idącego z przodu. Nawet nie wiem, kto to jest. Na szczęście torowisko jest uprzątnięte i idzie się dość łatwo – wąska betonowa rynna nie pozwala się zgubić. W oblepiającej nas ciszy słychać tylko skrzypienie butów i burczenie w brzuchach. Czasem stukają konserwy w plecakach. Milczymy bez żadnego upominania – w panujących tu ciemnościach słuch staje się ważnym zmysłem.

Tunel opada stromo w dół. Po kilkunastu minutach zaczynam odczuwać dziwny niepokój – jakbyśmy zbyt głęboko zeszli pod ziemię. W głowie pulsuje mi natrętna mantra klaustrofoba: wyjść stąd, muszę stąd wyjść! Wiem, że to tylko złudzenie – ziemi nad głową wcale nie przybywa – w tym miejscu grunt opada stromą wiślaną skarpą do rzeki i dlatego my zniżamy się wraz z nim. Ale głuchy na wszelkie racjonalne wytłumaczenia paniczny strach zaciska mi palce na szyi, ohydnie łaskocze żołądek. Wrażenie schodzenia w czeluści piekieł jest tak silne, tak realistyczne i przejmujące, że aż paraliżuje ciało i wolę. Dookoła słyszę ciężkie chrapliwe oddechy, ktoś łka po cichu. Zwalniam kroku, z trudem zmuszam się do marszu, jakby z każdym metrem nogi stawały się coraz cięższe.

– Szybciej, to się zaraz skończy! – mówi cicho Franz. Ma zmieniony głos i z trudem łapie powietrze. Więc nawet on nie jest od tego wolny!

Przede mną ktoś siada na torowisku, zaciskając ręce na głowie, szlocha nienaturalnym głosem. Wpadamy na siebie, wszyscy nerwowo macają ciemność. Wciągają do płuc powietrze, skowycząc cicho, nieludzko.

– Weź go, i ty, niech wstaje! Pod ręce! – krzyczy Franz. – Dalej, jeszcze tylko chwila!

Pokrzykując, zbiera nas do kupy. Latarki terkoczą głośno, przez chwilę robi się jaśniej. Ruszamy niemal biegiem, potykając się o siebie nawzajem i jakieś betonowe przeszkody. Mam wrażenie, że coś straszliwego, czego nie umiem sobie nawet wyobrazić, biegnie tuż za mną. Czuję na plecach jego zimny oddech i wiem, że za moment lodowate stalowe palce chwycą mnie za gardło. Przyśpieszam. Biegnący za mną młóci rękami, wyjąc jak przerażone zwierzę i rozpaczliwie usiłując mnie wyprzedzić. Ja kopię po łydkach tego z przodu. Nie wiem, jak długo tak biegniemy. Nie mogę zaczerpnąć powietrza, zaczynam się dusić.

I wtedy z ciasnego tunelu wypadamy do ogromnej, wysokiej na kilka pięter komory.

– Staaać! – drze się Franz.

Stajemy wszyscy jak wryci. W tej samej sekundzie strach znika. Nagle, niespodziewanie i bez śladu zdejmuję z zaciśniętych gardeł zimne dłonie. Rozglądam się, wciąż jeszcze oszołomiony. Snopy światła z podziurawionego przez bomby stropu rozświetlają wnętrze sali, wydobywając z mroku szczegóły jej tajemniczej architektury. Czyli na powierzchni jest już dzień – przychodzi mi do głowy.

– Czemuś nam o tym nie powiedział?! – charczy zdyszany Seba.

– O czym, że tutaj tak ładnie?

– Nie pierdol, o tamtym, tam – rzezi Kamil.

Franz tylko wzrusza ramionami.

– Coś by to zmieniło? Poza tym czasem tak jest, czasem nie. Czasem jest też dużo gorzej...

– Ale gdybyś nas, synu, uprzedził...

– To zaczęłyby się wcześniej i wzięło was mocniej. Za pierwszym razem, jak nie wiesz, przeważnie jest najlżej.

– A co to w ogóle było?

Znowu wzruszenie ramion. Chyba nie warto więcej pytać.

Stoimy na sporej betonowej półce u wylotu tunelu. Przed nami, w miejscu, gdzie powinien być peron stacji Centrum Nauki Kopernik, zieje otchłań olbrzymiej, głębokiej na kilkanaście metrów studni. Po jej drugiej stronie majaczy czarny wylot tunelu. Tam musimy się znaleźć.

– Chodźcie tu, tylko ostrożnie. – Franz podchodzi do krawędzi platformy. – I założcie maski, za dużo tu świeżego powietrza.

Wychylam się niepewnie i zerkam w dół. Gdyby nie okoliczności, mógłbym nawet uznać, że faktycznie jest pięknie. Niedługo po katastrofie olbrzymie zapadlisko musiała wypełnić woda. I teraz, kilkanaście metrów poniżej krawędzi tunelu, w półmroku połyskuje lazurowa tafla lodu. Jest nieskazitelnie gładka, a docierające do niej nieliczne promienie światła rozświetlają ściany studni tajemniczym błękitnym blaskiem. Widok jeziora działa hipnotyzująco. Franz nie pozwala nam gapić się zbyt długo.

– Tam, po prawej... – wskazuje ręką w mrok, a ja z trudem odrywam oczy od lodowego blasku. – Tam jest, widzicie? Ścieżka. Zejdziemy tędy, trzeba mocno uważać, bo grunt trochę się osypuje, i wejdziemy do tunelu. Od lodu trzymajcie się jak najdalej, nie gapić się, nie włązić. Ścieżka jest stroma, ale dość bezpieczna. Tylko trzymać odstępy, nie deptać sobie po piętach. W tunelu będzie można zdjąć maski. W drogę, już późno!

– Dałbyś dziewczynie odpocząć, jest zmęczona – prosi Piter, pomagając Julii założyć plecak.

– Jeszcze nie, lepiej za długo tu nie siedzieć. Idziemy!

Gdyby nie ta cholerna maska, w której prawie nic nie widzę, droga nie byłaby taka zła – ścieżkę wytyczono całkiem sprytnie i umocniono w krytycznych miejscach betonowym złomem. Gdybym tylko widział ją normalnie, a nie musiał domyślać się jej przebiegu. Na szczęście nie jest długa – po chwili znajdujemy się już na poziomie zamrożonego jeziora. Musimy się teraz wdrapać na peron, który osunął się tutaj razem z całą masą gruzu i wcina się w taflę lodu jak ekstrawaganckie podziemne moło. Franz staje plecami do wody i pośpiesznie przegania kolejno nadchodzących ludzi na drugą stronę, z powrotem na ścieżkę. Podciągam się właśnie na krawędź peronu, gdy Janek, zeskakujący z niego po drugiej stronie, zawadza o jakiś wystający z betonu pręt i spada półtora metra w dół, na gruzowisko. Franz zeskakuje do niego, klnąc siarczyście. Robi się spore zamieszanie. Stefan szedł za Jankiem i stoi teraz zdezorientowany na środku peronu, rozglądając się bezradnie. I nagle rusza wzdłuż peronu, jakby wyszedł na przechadzkę po moło. Na końcu powoli siada na betonie i wlepia nieobecne spojrzenie w połyskującą migotliwymi promykami światła powierzchnię lodu. Odruchowo idę za nim. Staję za jego plecami i wtedy moim oczom ukazuje się upiorny widok: w idealnie przejrzystym lodzie, jak muchy zatopione w błękitnym bursztynie, lewitują w nieprawdopodobnych pozach ludzkie ciała. Są jak skoczki do wody zatrzymani przez mróz w rozciągniętym w wieczność ułamku sekundy. Zakonserwowani w czasie, wyglądają, jakby znaleźli się tu przed chwilą. Mężczyźni, kobiety, dzieci. W różnym wieku. W lekkich wiosennych ubraniach, w zimowych paltach i ciężkich butach, niektórzy nadzy. Nie mogę oderwać

wzroku od twarzy ładnej dziewczyny, zawieszona tuż pod powierzchnią lodu w efektywnym *Pas de poisson*. Jej pokryte bielmem oczy intensywnie wpatrują się we mnie. Czas zwalnia, przestaję słyszeć głosy towarzyszy szamocących się z wyjątkiem z bólu Jankiem, przestaję widzieć cokolwiek innego. I wtedy ciało dziewczyny przeszywa wyraźny gwałtowny dreszcz. Wrażenie jest tak przerażające, że zmysły wracają mi momentalnie. Najpierw czuję zimno. Trzęsę się cały, od lodu wionie śmiertelnym chłodem. Nie wiem, kiedy usiadłem, ale zrywam się na równe nogi i szarpię za kombinezon Stefana wpatzonego w długowłosego trupa z rozrzuconymi szeroko rękami. On też rozłożył już ramiona, stoi na krawędzi peronu jak na krawędzi trampoliny, szykując się do efektywnego salta. Szarpię się z nim długą chwilę, nie spodziewałem się, że może być tak silny. Odciągam go jak najdalej stąd, w stronę naszych. Jest zimny i mokry, jak topielec wyciągnięty z lodowatej otchłani. Przewraca się, potem wstaje, dochodzi do siebie powoli. Cały czas mówi, ale nie jestem w stanie zrozumieć ani jednego słowa. Potem robi kilka kroków w stronę naszych i nagle pada jak rażony piorunem. Silny skurcz wygina jego ciało w pałąk, chłopak orze paznokciami beton. Po kilku sekundach zaczynają nim miotać spazmatyczne drgawki. Beładnie kopie ziemię, rzezi, krztusząc się toczoną z ust pianą.

– Alex! – drę się wystraszony.

Alex obserwuje nas już ze ścieżki ponad peronem.

– Nic mu nie będzie, trzeba mu tylko zdjąć maskę, bo się we flegmie utopi! – macha lekceważąco ręką.

– Mam z nim coś zrobić?! Coś mu włożyć między zęby? – przypominam sobie, co słyszałem o postępowaniu z epileptykami.

– Nie, nic nie trzeba, nic mu nie będzie. Zaraz mu przejdzie – ucina rozmowę.

Faktycznie, po kilku sekundach Stefan otwiera oczy. Nawet nie jest, jak zwykle, przerażony – jest zmęczony, jakby przebiegł sto kilometrów. Patrzy na mnie przepaszająco z tej swojej otchłani wyczerpania. Pomagam mu z powrotem założyć maskę, potem wstać. Z trudem robi kilka kroków.

– Alex, pomóż mu!

– Da radę, już mu lepiej! – odkrzykuje, nie odwracając się nawet w moją stronę. Jest już prawie u wylotu tunelu.

Podchodzi do nas Franz. Bez słowa pomaga mi zataszczyć Stefana z powrotem na ścieżkę. Studnia ma akustykę sali koncertowej – słyszę dobiegające z góry głosy Seby, Kamila i Alexa. Wesoło komentują sytuację. Krzyś, jak zwykle, nic nie mówi, rechoce za to ubawiony błyskotliwymi komentarzami kolegów. Franz każe ruszać Julii i Piterowi, Waldek pomaga wstać Jankowi i też rozpoczyna wspinaczkę. Idziemy i my: pierwszy kuśtyka poobijany Janek, potem Stefan i ja. Franz zamyka pochód.

– Ty, sierota, co żeś się tak tam darł na dole, połamałeś się? – Seba jest już wyraźnie znudzony przedłużającym się postojem.

– Nie, na szczęście nie, potłukłem tylko dupę – próbuje się uśmiechnąć Janek.

– To czemu tak darłeś ryja?

– Bo, w mordę, myślałem, że się połamałem. Zaplątałem się w te pieprzone łańchmany i nie mogłem się ruszyć. Ale mi koleżanka dała morfinki i już mi lepiej.

Odpowiedzią jest szczerzy śmiech osiłeków.

– Ojciec! Ta twoja łamaga wreszcie dupę przywlokła!

Stefan gramoli się na półkę. Z miną psa, który właśnie narobił na dywan i spodziewa się tęgiego lania, podchodzi do Alexa. Ten obrzuca go pełnym niechęci spojrzeniem.

– Gdzie jest twój plecak? – warczy. – Tam były też moje konserwy!

Zdejmuję go z ramienia i rzucam pod nogi Alexa.

– Pilnij go lepiej!

Seba patrzy na mnie spode łba.

– Alex, przypierdolić mu?

– Zostaw! – mówi tamten z wyższością. – A ty bierz to, idziemy! – warczy w stronę swojego ordynansa.

– U nas to taki duposzczak by długo nie pociągnął, nie Seba? – Kam spluwa pod nogi Stefana szamocącego się z ciężkim plecakiem.

– No przecież! Wawrzyszew to nie sanatorium!

– Idziemy? – Piter zagaduje Franza.

Ten otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienia zdanie.

– Wisła – mruczy tylko. – Idziemy!

Rozdział 11

I znów zanurzamy się w ciemność, nierzeczywiści, umowni, zamknięci w cudzysłów światła dwóch terkoczących latarek. Ten odcinek nie jest już tak dobrze utrzymany, potykam się co chwila o jakieś betonowe odłamki i fragmenty konstrukcji, dno torowiska pokrywa śliskie błoto. Zniekształcone echo kroków napełnia tunel dźwiękami, które mojej zanurzonej w nieprzeniknionej ciemności głowie podpowiadają istnienie światów, w które oczy nigdy nie pozwoliłyby jej uwierzyć. Zatrzymuję się na chwilę. Szmer miliardów kropeł na betonowych ścianach tunelu otępia, usypia zmysły. Kiedy ruszam ponownie, wita mnie jeszcze jeden dźwięk. Początkowo trudno odróżnić go od tamtego – jest jednostajny, mrukliwy. Ale szybko narasta, staje się coraz niższy, dudniący.

– Wisła nad nami – szepce Franz.

Choć wiem, że to bez sensu, odruchowo zadzieram głowę. Dudnienie przechodzi w głuchy łoskot. Tak jakby pływająca prawie dziesięć metrów nad moją głową rzeka zamiast wody toczyła ciężkie głazy.

Trwa to tylko chwilę, może kilka minut. Potem znowu wchodzę w świat ciszy zaludnionej wyłącznie metalicznym echem kroków.

– Słyszeliście to zawodzenie? – poznaję w ciemności głos Pitera.

– Ja słyszałam płacz... Ktoś strasznie szlochał.

– Tu każdy słyszy co innego – mówi Nguyen. – I za każdym razem można co innego usłyszeć. Nasi zawsze sobie opowiadają...

– Ja tam, kurwa, nic nie słyszałem! Tylko jak się Siebie beknęło.

– Chcesz wpierdol, Kam?!

– Zamknijcie się wszyscy! – mówi cicho Franz. – To jest dziwne miejsce, lepiej tu nie gadać. Zaraz będzie stacja.

Nikt nie protestuje, tupiemy dalej w niezwykłej symfonii ech. Tunel wznosi się dość ostro, potem gwałtownie skręca w lewo. Kilka minut później potężny snop światła wyłuskuje nas z ciemności. Bolać oślepienie oczy, światło razi mimo zaciśniętych powiek.

– Zgaś to! Swoi! – krzyczy Franz.

Ten posterunek jest nietypowy – nie mieści się na peronie, lecz w tunelu, tuż przed wyjściem na kompletnie zrujnowaną stację Stadion Narodowy. Sama stacja też była inna – olbrzymia, przestronna, z szeroką galerią zawieszoną nad dwoma peronami rozdzielonymi ażurową betonową kolumnadą. Zaraz za pierwszym posterunkiem w tunelu, od tej strony raczej symbolicznie umocnionym, naszym oczom ukazuje się robiący wrażenie obóz wojskowy. Obie nitki tunelu łączą się tu z rozjazdem technicznym,

tworząc coś na kształt podziemnej hali – olbrzymiego bunkra szczelnie wypełnionego wojskowym sprzętem i ludźmi. Nawet Franz wydaje się zagubiony. Rozgląda się niepewnie, wyraźnie czegoś lub kogoś szukając. Wreszcie macha ręką do jakiegoś oficera i zostawiając nas bez słowa, szybkim krokiem odchodzi w jego stronę. Czekamy. Dookoła trwa gorączkowa krzątania, żołnierze noszą skrzynki i skrzynie z bronią, amunicją i Bóg raczy wiedzieć czym jeszcze. Stoimy stłoczeni między nimi, a Seba, Krzys i Kamil wpatrują się w to całe dobro z wyrazem erotycznego wręcz pożądania na twarzach. Dookoła kręci się kilku żołnierzy. Pilnują nas, przypatrując się przy okazji z ciekawością. Jeden z nich, najwyżej kilkunastoletni chłopak o dziecięcej jeszcze urodzie, nie może oderwać oczu od Julii.

– Co się tak na mnie gapisz? – pyta dziewczyna.

Młody milczy trochę speszony, ale nie odwraca wzroku.

– Cywili nie widziałeś? Pewnie w ogóle tędy nie chodzą, co?

– Czasem chodzą... – odpowiada, strzykając śliną pod nogi.

– Naprawdę?! Szedł ktoś tędy? Wychodził z metra? Kiedy ostatnio?

– Ja tam nic nie wiem, my tu są wszyscy od niedawna... – chłopak odwraca głowę, żeby splunąć ponownie, i napotyka wpatrzone w siebie oczy jakiegoś starszego żołnierza z krokiewkami na pagonach. Blednie gwałtownie, kuli się w sobie.

– Wypad stąd, młody. Potem pogadamy... – cedzi tamten przez zęby. – A wy – zwraca się do nas – zamknąć się, bo zamknę za szpiegostwo...

Nikt nie polemizuje. Julia i Piotr zerkają tylko na siebie porozumiewawczo. Franz zjawia się wreszcie i choć milczy, to jego spojrzenie jest dostatecznie wymowne. Zarzuca na ramię plecak i rusza przed siebie. Posłusznie idziemy za nim.

Część bunkra sąsiadująca z dawną stacją przegrodzona jest masywną barykadą z betonu i stali. Zostawiono w niej podobno tylko jedno przejście. Do niego właśnie zmierzamy. Jednak w połyskującej w półmroku masywnej stalowej płycie, najeżonej gęsto lufami karabinów maszynowych, nigdzie nie widać wrót, które pozwalałyby opuścić posterunek. Zagadka szybko znajduje rozwiązanie: mały korytarzyk w ścianie barykady – zamykana dwiema parami pancernych drzwi śluza. Jest wąsko i nisko, z trudem, niemal bokiem przeciskam się do wyjścia pomiędzy stalowymi stemplami podtrzymującymi strop. I nagle moim oczom ukazują się okopcone i śmierdzące prochem lufy, które chwilę temu oglądałem z drugiej strony. Nie wyglądają przyjaźnie, wolałbym nie zjawić się tu jako nieproszony gość. Choć trudno oprzeć się wrażeniu, że tutaj każdy jest nieproszonym gościem.

Od wyjścia na stację dzieli nas jeszcze kilkanaście metrów przekopu w barykadzie. Dopiero tutaj widać, jak jest masywna. Jeszcze kilkanaście metrów i staniemy na krawędzi naszego świata. Za chwilę dotknę firmamentu nieba. Wysunę wtedy głowę przez jakąś szczelinę i ujrzę kosmiczną maszynę wszechświata w całej okazałości. Dwadzieścia lat pod ziemią zrobiło swoje. Za każdym razem gdy opuszczam betonowe wnętrza metra, mam tremę. Przeraża mnie ten dodatkowy stopień swobody – awans z dwóch do trzech wymiarów. Kątem oka rejestruję, że zbliżając się do wylotu tunelu, pozostali również zwalniają, podświadomie celebrując ten moment.

Co wizualizuje właśnie nasza zbiorowa wyobraźnia? Świeże powietrze, błękit nieba, szeroki

horyzont...

– Zakładać maski, bo was zaraz wszystkich szlag trafi! – drze się do gromadki rozmarzonych turystów Franz.

W pośpiechu szamocę się ze sparcialym płótnem chlebaka, potem wciągam w płuca śmierdzące gumą i stęchlizną powietrze, gapię się przez porysowane szkiełka wizjera w szare, ciężkie chmury wiszące tuż nad zawalonym na całej długości stropem stacji. Impet uderzenia wbił perony głęboko w ziemię – dno rumowiska leży kilka metrów poniżej pierwotnego poziomu szyn. Na przeciwnym końcu olbrzymiego betonowego koryta ciemnieje szeroki wylot obu tuneli, jakimś cudem niezasypany gruzem. Dno niecki przykrywa gruba warstwa czarnego od tłustej sadzy śniegu, pociętego gęstą pajęczyną śladów. Trochę dalej dogasa olbrzymi, kilkumetrowej wysokości szary stos. Podchodzę zaciekawiony bliżej i obrzydzenie ściska mi żołądek, a potworny odór dusi mimo maski przeciwgazowej. Śnieg dookoła jest stopiony, beton pokrywa gruba warstwa zaschniętej ciemnej mazi. Częściowo tylko spalone, porozrywane pociskami karabinowymi ścierwa mutantów najrozmaitszych kształtów i rozmiarów dymią jeszcze. Obnażone pod nadpalonymi wargami żółte zęby, zaciśnięte w agonii pazury. Nie mogę oderwać oczu od tego teatru potworności. Nagle wystająca spod stosu poskręcanych ciał niemal ludzka, lecz zakończona zakrzywionymi szponami łapa porusza się w spóźnionym, pośmiertnym skurczu. Zaciska pazury na osmalonym łbie ni to psa, ni niedźwiedzia, rozdziera grubą zwęgloną skórę i orze głębokie bruzdy w czaszce potwora.

– Chodź tu! Bo tak zaśmierdniesz, że będziesz musiał iść pół kilometra za nami! – krzyczy w moją stronę Franz.

Zbieramy się na krótką naradę.

– Słuchajcie mnie uważnie, bo zabawa już się skończyła – zaczyna przemowę. – Wychodzimy z tunelu. Ktoś z was był już na powierzchni?... No właśnie. Tutaj nie za bardzo można się gdzieś schować. A jest przed czym. To, co tutaj widzicie – wskazuje głową na dymiący kopiec – to plon jakichś dwóch dni. Mają chłopaki co robić. Idziemy teraz w tamtą stronę, przez Warszawę Wschodnią. To była stacja kolejowa, duża. Pójdziemy torami, przez sam środek dworca. To matecznik tych przyjemniaczków, ale nie wiedzieć czemu tamtędy zwykle najłatwiej jest przejść. Innej drogi zresztą nie ma. Ja przynajmniej nie będę ryzykował. Tuż za stacją jest nasz posterunek – tam właśnie chcemy dotrzeć. Powinni tam czekać ludzie od nas. Spotkamy się i już wszyscy razem, wesołą kompanią idziemy dalej.

– Dokąd? – wykrzykuje zniecierpliwionym tonem Waldek. – Może nam wreszcie zdradzisz, dokąd idziemy?

– Cierpliwości...

– Dlaczego, do cholery, nie chcesz nam tego powiedzieć? Co to za miejsce i o co w tym wszystkim właściwie chodzi? I przestań wreszcie wciskać nam tę bajeczkę o...

– Cierpliwości – przerywa mu Franz. Długą chwilę patrzy Waldkowi prosto w oczy, aż tamten, speszony, opuszcza głowę. – Ci z posterunku znają dokładną pozycję. To oni prowadzą nasłuch – dodaje po chwili.

– Ale ten posterunek to jest pewnie dobrze uzbrojony, co? – pyta z niewinną miną Seba.

– Dobrze? Nawet bardzo dobrze!

– A jak go zaopatrują? W sensie w broń, żarcie, cały ten sprzęt? – wtrąca się Piter.

– O co ci chodzi? – Franz stara się być cierpliwy, ale ton głosu zdradza, że cierpliwość nie jest jego najmocniejszą stroną.

– No, jak oni noszą te skrzynie z amunicją? I całą resztę...

– Normalnie, wyjdziem i tą drogą, którą my pójdziemy.

– Ale jak wyjdziem? Przecież tamtędy to myśmy się ledwo precyzyjnieli... Tamtędy taka skrzynia, jakie na posterunku stały, nie ma szans przejść!

– Innym wyjściem, towarowym – cedzi przez zęby Franz. – Tu niedaleko jest. Mogę kontynuować? Dziękuję! To powiem wam, jak będzie wyglądało przejście przez Wschodnią. To znaczy jakbym chciał, żeby wyglądało. I dla nas wszystkich będzie najlepiej, by tak właśnie było. Tam są dwa budynki, po obu stronach torów, i dwa tunele łączące budynki, pod torami. Z wyjściami na każdy peron. W żadnym z tych budynków nie chcielibyście się znaleźć. W tunelach też nie. Ale pamiętajcie: błogosławieni cisi. Mam rację, Alex? No to, jeśli cichutko jak myszki pomaszujemy sobie torami, mamy spore szanse nie obudzić tamtejszego towarzystwa. Ono zazwyczaj rozłazi się na boki, a środek dworca zostawia czysty. Tylko lojalnie ostrzegam: jak jakiś cymbał obudzi tę menażerię, szanse, że wydostaniemy się stamtąd, są właściwie zerowe.

– Masz przecież broń! – zauważa rezolutnie Kamil.

– No... I wiesz, do czego jej użyję? Żeby sobie w łeb palnąć. Potem jest twoja. Bo nie mam ochoty być zanieiony żywcem przez jakiegoś bydlaka do gniazda, żeby jego młode ćwiczyły na mnie jedzenie obiadu. Jak was to kręci, to polecam inną wycieczkę, kiedy indziej, beze mnie.

Zapada grobowa cisza.

– Dobra! Ruszamy. I nie srać mi tu teraz w gacie ze strachu, po prostu bądźcie cicho! Powiem kiedy...

Nie oglądając się za siebie, rusza w górę. Waldek przepuszcza wszystkich przodem, czeka na Julię i Pitera. Ja idę ostatni.

– Oni wszyscy nieźle kręcą, co? – mówi szeptem.

– O co ci chodzi? – Piter patrzy na niego podejrzliwie.

– Dobrze wiesz o co. O Franza i tych na posterunku, a najbardziej o tych cwaniaków u koryta. Od was też chodziły ekipy?

– Dokąd? – wtrąca się Julia.

– Sam chciałbym wiedzieć, dokąd – odpowiada. – Ale ze stacji wychodziły. I z metra pewnie też. Cywile. I szli najpewniej tędy, jak przyznał nam ten młodzik na stacji. Zawsze to była jakaś tajna historia, ale wiecie, jak to u nas z tą tajnością...

– I co z tego? – pyta nieufnie Piter.

– Nic. Po prostu mówię, nie? Myślałem, że się tematem interesujecie...

– A ci wasi ludzie, jak wracali, to nie mówili, gdzie byli? – pyta Julia.

– A widzisz! – Waldek rozgląda się dyskretnie. – Problem w tym, że nie wracali. Podobno tylko przewodnik wracał, czasem z kimś jeszcze jednym. Nikt nie wiedział, co się stało. Szli i słuch po nich

ginał, nie można się było nawet zapytać ani nic. Bo jak ktoś pytał, to zaraz też znikał.

– Dobra, chodźcie, bo się na nas gapi – ponaglam ich dyskretnie.

Gęsiego wdrapujemy się po niemal pionowej ścianie. Sapiąc, pnę się po pokruszonych betonowych płytach ku powierzchni. Jest ślisko, wszystko jest oblodzone i przysypane brudnym śniegiem, trzeba chwycić się czego się da, by nie runąć w dół, na zasypane torowisko. Workowaty kombinezon i maska na twarzy nie ułatwiają zadania. Na szczęście wokół pełno jest poskręcane żelastwa, po którym można się wspinać prawie jak po drabinie. Wreszcie stoję na powierzchni. Mimo nisko wiszących ciemnych chmur ilość światła oślepia, muszę na moment zdjąć maskę, by przetrzeć zmrużone łzawiące oczy.

Stąd stacja wygląda jeszcze gorzej – potrzaskane rumowisko zaścielające podłużny betonowy krater. Aż trudno uwierzyć, że to tutaj jest wejście do naszego podziemnego świata, do arki ocalonych. Do małego królestwa pełnego intryg, nienawiści i nieustannego podgryzania. Gdybym nie wiedział, że to tu, pewnie przeoczyłbym to miejsce, błądząc po pokrytych śniegiem ulicach umarłego miasta.

– Franz, co tu było? – Piter wskazuje ręką na puste baseny po lewej stronie stacji.

– Port Praski.

– Jak to port? A gdzie woda?!

– Wyszła. Jeszcze przed wojną poziom wody był bardzo niski. A potem, jak się zaczęło robić zimno, to – nie wiedzieć czemu – wszystko tu wyschło.

– A Wisła? Jak wygląda? – pyta Julia.

– W ogóle nie wygląda – Franz wzrusza ramionami.

– A możemy ją zobaczyć?

– Nie ma na co patrzeć, zamarznięta i tyle. Lód do dna, stoi. Cisza jest, rzeki nie ma. Tylko...

– Jak to zamarznięta? A te głosy, które słyszeliśmy? Bulgotało, jakby jakiś górski potok walił... – przerywa Waldek.

– Tobie bulgotało – przypomina mu Nguyen.

– No, chodźmy zobaczyć! To przecież stąd minuta osiem... – dołącza się do prośby Janek.

– Mało ci przygód? – Franz patrzy na niego karcącym wzrokiem. – I bulgotanie? Ktoś jeszcze słyszał bulgotanie?... Człowieku, tam każdy słyszy co chce. Już o tym mówiliśmy. Rzeki nie ma. Lód stoi. Chodzą tam tylko szaleńcy. Jest bardzo niebezpiecznie.

– A ten tunel? – odzywa się cicho Stefan.

Wszyscy patrzą na niego zaskoczeni.

– Który tunel?

– Ten stąd, tylko dalej. Dokąd on prowadzi?

– Do śmierci, jak większość dróg tutaj.

– Pytam poważnie.

– A czy ja wyglądam na niepoważnego? Nikt jeszcze z niego nie wrócił. A wielu próbowało... – Stalker patrzy przez chwilę na wyraźnie stąd widoczną czarną niszę, kryjącą wlot do tunelu. – Tak teoretycznie, to do stacji Dworzec Wileński. Tam było wielkie centrum handlowe i podobno niewielkie zniszczenia. Wiecie, jaka to pokusa... Może komuś się kiedyś uda... Ale na razie nie polecam!

– Oj tam, oj tam! Ale tu lepiej luknijta! – Kam wpatruje się w górujący po drugiej stronie nasypu kolejowego biało-czerwony koszyk Stadionu Narodowego. Wdrapujemy się na nasyp, by móc mu się lepiej przyjrzeć. Musiało tu spaść kilka bomb – jedna zarwała strop stacji metra, druga zdmuchnęła z nasypu przystanek kolejki podmiejskiej. Jednak jakimś cudem Stadion pozostał niemal nietknięty. Jego dwukolorowa okładzina wygląda w tym szarym, pozbawionym kontrastów krajobrazie jak kiczowaty fotomontaż. Przed nami u stóp nasypu rozpościera się olbrzymia pusta przestrzeń. Kiedyś był tu wietnamski bazar, potem ni to parkingi, ni błonia, które nigdy nie doczekały się zagospodarowania. Dalej był park – teraz są wydmy szarego popiołu, leniwie przesypywane przez wiatr. Dopiero po chwili dociera do mnie, czego brakuje w otaczającym krajobrazie. W zasięgu wzroku nie ma ani jednego drzewa, ani jednego krzaka. Nie wiem, jak jest pod śniegiem, ale domyślam się, że z roślinnością już się pożegnaliśmy.

Cisza aż brzęczy w uszach. Sto metrów od nas, równoległe do nasypu, cienka kreska tropów przecina pusty plac. Z tej odległości nie sposób rozpoznać, co to było i dokąd zmierzało. Odwracam głowę w stronę Franza i widzę, że on też wpatruje się w linię śladów.

– Co to było?

Odpowiada mi wzruszeniem ramion.

– Byłeś tam, synu? Kiedyś nauczał tam wielki człowiek, uzdrowiciel i wskrzesiciel zmarłych... – wtrąca się Alex, wskazując Stadion.

– No, moja staruszka mi opowiadała. Była tam. W ogóle kupa ludzi tam wtedy była! – przypomina sobie Kamil. – Mówiła, że zajebiste cuda robił!

– On był z Afryki – podpowiada Nguyen.

– Ale serce i duszę miał białe! Wypad stąd, gnoju, już!

Franz uspokaja ich spojrzeniem. Rozmowy milkną. Wpatrujemy się w biało-czerwoną szachownicę, zmagając się z ciężarem własnych wspomnień i skojarzeń.

– Ja nie byłem, ale opowiadał mi jeden stalker, że tam w środku jest coś jakby wielki basen... – zagaja przewodnik po chwili.

– Co?! – Janek i Waldek szturchają się, rechocząc.

– No, woda stoi cały czas. Nie zamarza. Wszędzie zamarznięta, Wisła skuta lodem do dna, a tam pływać by można. I syrenka tam pływa...

– Co to syrenka? – Stefan przysłuchuje się rozmowie z otwartą buzią.

– Taka baba, głąbie, z płetwą zamiast dupy – karci go Seba.

Stefan wycofuje się speszony.

– Ale jaja se robisz, nie? – Janek trochę się w tym wszystkim pogubił.

– Tylko trochę – śmieje się Franz. – Syrenki pewnie nie ma, ale z wodą to ponoć prawda. Chociaż... – dodaje po namyśle – kto wie, co za ścierwa tam naprawdę pływają...

Ta myśl sprowadza go z powrotem na ziemię. Poprawia plecak.

– Dobra, pamiętacie co mówiłem o Wschodniej? To w tamtą stronę – wskazuje ręką. – Idziemy. A od tego wiaduktu mordy w kubeł! I nie tupać, nie rozłazić się, nic nie dotykać. Patrzeć na mnie, będę wam

dawał znaki, co robić. Jak ktoś coś spieprzy, to rzucę go pierwszemu mutantowi na przekąskę, potem go ten cudak od Alexa wskrzesi, a ja go wtedy osobiście zabiję. Ale tak, żeby mu się już odechciało zmartwychwstawać.

Ruszamy gęsiego. Pierwsze kroki na powierzchni nie są łatwe – powoli brniemy w sięgającym do pół łydki śniegu. Może gdybym szedł gdzieś bliżej końca, byłoby mi lżej. Ale jestem trzeci i sapię tak głośno, że zapewne to tylko wystarczy, aby zaalarmować wszystkie mutanty w okolicy. Co chwila ktoś potyka się o ukryte pod śniegiem przeszkody. Już po kilkudziesięciu metrach mamy pierwszą ofiarę: Stefan zaplątuje się w jakieś druty i ląduje w śnieżnej zaspie. Kiedy wreszcie wstaje, krew z rozkwaszonego nosa zalepia mu od środka całą maskę. Mam wrażenie, że hałas wywołany upadkiem jego wypchanego konserwami plecaka było słychać w promieniu kilometra. Nikt mu nie pomaga, przestraszony chłopak zbiera pośpiesznie z ziemi swój dobytek i wstrzymując oddech, czyści rękawem szkła okularów.

– To teraz wiecie, czego unikać? – rzuca ironicznie Franz. – Idziemy wolno, jak ktoś nie będzie nadązał, klepie tego z przodu w ramię, on klepie tego przed nim, zatrzymujemy się, odpoczywamy, na mój sygnał idziemy dalej. Pod żadnym pozorem nie gadać, jasne?

Daje ręką znak, ruszamy. Kilkaset metrów dzielących nas od wiaduktu udaje się pokonać bez żadnych przygód. Ostrożnie przechodzimy po konstrukcji naruszonej raczej przez czas niż przez wojnę. W dole, pod nami zastygła w bezruchu rzeka na wpół zasypanych śniegiem aut. Niezliczone nitki wydeptanych tysiącami łap ścieżek pokrywają całą okolicę. I choć przez brezent kombinezonu przenika przejmujący mróz, na widok tych odcisniętych w śniegu tropów robi mi się gorąco. Franz zatrzymuje się i obraca w naszą stronę.

– Teraz cisza – szeptem.

Potem rusza, torując drogę w głębokim śniegu.

Tuż za wiaduktem tory skręcają w prawo i nagle rozgałęziają się w dziesiątki nitek. Zza zakrętu wyłaniają się perony, po chwili widzimy budynki dworca. Podobnie jak większość okolicznych budynków są w doskonałym stanie, jakby tutaj nic się nie wydarzyło, nigdy nie było tu żadnej wojny. To usypia czujność. Tak jak zapowiadał stalker, śnieg pomiędzy peronami jest czysty – żadnych podejrzanych śladów. Tym bardziej dziwnie wyglądamy, skradając się jak banda złodziei w cichym, sielankowym krajobrazie. Idziemy torami. Choć nie jest to zbyt wygodne, bo nieustannie trzeba dopasowywać rytm kroków do rozstawu podkładów, przynajmniej nie grożą nam żadne ukryte pod śniegiem pułapki: ciągnące się wzdłuż torów kable, linki, chyba do obsługi sygnalizatorów, walający się wszędzie metalowy złom – resztki słupów trakcyjnych, barierek i ogrodzeń.

Mijamy pierwsze z przejść podziemnych, o których mówił przewodnik. Poznają je po wystającym spod śniegu przerdzewiałym świetliku i widocznym niedaleko po prawej stronie wyjściu na duży plac przed południowym budynkiem dworca. Zwalniając na moment, zaglądam ciekawie do środka i natychmiast tego żałuję. Kątem oka dostrzegam długi szary ogon, nieśpiesznie znikający w tunelu. Natychmiast wracam do szeregu i staram się stawiać kroki jeszcze ostrożniej. Jestem właśnie przy krawędzi peronu, gdy ciszę przerywa nagły brzęk tłuczonego szkła i huk metalu o kamienną posadzkę. Echo łoskotu ginie w głębi tunelu, by po kilku sekundach wrócić narastającym bulgotem, skowytami i rykiem, od których jeżą

się włosy na całym ciele. Odwracam się przerażony i widzę Janka opierającego jeszcze rękę w miejscu, gdzie przed chwilą spod śniegu wystawała konstrukcja świetlika. Na twarzy ma maskę, nie widzę więc jego miny, ale oczy są tej samej wielkości co szkła okularów.

– Bieg! – ryczy Franz. – Na peron, szybciej!

Rozpaczliwie wdrapujemy się na obludzoną krawędź peronu i bezładną gromadą pędzimy przed siebie. Tędy biegnie się trochę łatwiej, bo osłonięty resztkami przerdzewiałego dachu peron jest wolny od śniegu. Jesteśmy w połowie drogi, kilkadziesiąt metrów zostało do linii drugiego przejścia podziemnego. Stalker wysforowuje się na przód grupy. Jest już przy drugim zejściu do tunelu. Wszyscy kierujemy się w jego stronę. Ale on w biegu chwyta stojący na środku peronu kosz na śmieci i ciska go w dół. Kosz toczy się po schodach z głuchym, dudniącym łomotem. Mam wrażenie, że zwariował. Czy pół dworca mutantów to za mało, by zginąć z fasonem? Koniecznie potrzebuje całego?

– Co ty robisz?! – rzezi, nie mogąc złapać tchu Seba. Znalazł gdzieś kawał metalowej rurki i wywija nim teraz, jakby miało mu to zapewnić wygraną w starciu z setką uzbrojonych w żółte kły paszcz i czterema setkami łap zakończonych ostrymi jak brzytwy pazurami.

– Nie zatrzymywać się! Zeskakiwać stąd i dalej przed siebie! – wywrzaskuje komendy stalker. – Szybciej!

Nie zastanawiam się nad niczym, zeskakuję z peronu, jakbym miał dwadzieścia lat mniej, o dziwo, udaje mi się nawet nie zabić o szyny. Gnam przed siebie, nie oglądając się na innych. Widzę tylko śnieg, prowadzi mnie podwójna kreska torów. Za sobą słyszę zgraję mutantów wysypującą się na peron z pierwszego tunelu. Chyba przystają na moment, rozglądając się za ofiarą. Z ich płuc (o ile mają płuca) wydobywa się ryk satysfakcji – zobaczyły nas! Mijam właśnie linię drugiego tunelu. Ziemia aż wibruje od pędzącego nim drugiego stada żądnych krwi potworów. Za chwilę one również wydobędą się na peron i chwilę później pożegnam się z życiem w pysku jakiegoś szarego paskudztwa, któremu nawet nie zdążę się przyjrzeć. Umysł podpowiada mi, że właściwie wysilam się na próżno – po prostu umrę bardziej zmęczony. Łatwiej byłoby usiąść i poczekać na przeznaczenie. Nie musiałbym czekać długo. Ale jakieś głębiej ukryte, pierwotne partie mózgu wiedzą swoje: galopuję więc jak oszalały, tym szybciej, im bliżej i wyraźniej czuję na karku oddech śmierci. Nikt nie zostaje w tyle: Julia, Stefan, nawet najstarszy z nas Doktor sady susy niczym gazela umykająca przed gepardem. Mijamy kraniec peronu, przed nami po horyzont ciągnie się gęsta platanina torów. Kilkaset metrów dalej nad okolicą góruje samotna sylwetka wieży nastawczej. To idealny punkt obserwacyjny, ponadto praktycznie wszystkie budynki w okolicy są zniszczone, domyślałam się więc, że to był nasz cel. Czuję w piersiach ucisk żalu, było tak blisko...

I wtedy wydarza się coś nieoczekiwanego: pierwsze stado jest już w połowie peronu, gdy z tunelu, który właśnie minęliśmy, wypada druga sfera, ta obudzona czy może przywołana przez Franza. Stają naprzeciwko siebie jak wryte. My nie zatrzymujemy się, gnamy dalej. Po kilku sekundach dogania mnie wściekły tumult, charkot, kwik i rżenie przegryzanych gardeł. Gdzieś z tyłu, daleko. Zdumiony zatrzymuję się na chwilę i widzę, że to samo robi większość naszej grupy. Tylko Seba z kolegami biegną jeszcze kilkadziesiąt metrów, zanim i oni w końcu staną – ciekawość okazuje się silniejsza niż strach. Nie mogę uwierzyć w to, co widzę: po peronie przetacza się drgające nienawiścią i tryskające obficie czarną

posoką kłębowisko szarych łap, grzbietów, pazurów i zębów, które całkowicie straciło zainteresowanie nami.

– Dalej! Nie zatrzymywać się! Tam, do wieży! – pogania nas Franz szeptem.

Biegniemy, ale już spokojniej, bez tego jeżącego włosy na karku, zimnego, obcego oddechu. Wciąż trudno mi uwierzyć, że wyszliśmy z tego cało. A nie oddaliliśmy się od wyjścia z metra dalej niż na jakiś kilometr... W porównaniu z tym incydent na Świętokrzyskiej można uznać za niewinny figielek.

Po kilku minutach, kilkaset metrów dalej, zagrożenie wydaje się już przeszłością. Na peronie wciąż trwa walka, ale teraz już odległa i zupełnie nas nie dotycząca. Jakimś cudem udało się nam dotrzeć do posterunku. Teraz wszystko powinno być już inaczej – silna obstawa, bezpieczeństwo, przyjemna podmiejska wycieczka. Tak nam przynajmniej obiecywano. Dysząc ciężko, ściągamy maski, dyskutujemy o tym między sobą zawzięcie, wciąż oszołomieni buzującą w żyłach adrenaliną. Spocone czerwone twarze promieniają jednak ulgą. Janek uśmiecha się głupawo, zagaduje wszystkich drżącym ze zmęczenia i podniecenia głosem, komentuje możliwe scenariusze tego, co ma się za chwilę wydarzyć. Za wszelką cenę stara się odwrócić uwagę wszystkich od swego udziału w tym, czego przed chwilą byliśmy uczestnikami. Waldek i Wawrzyszewiacy patrzą na niego z niechęcią i politowaniem, Doktor opędza się, jak od natrętnego owada i odchodzi, tylko Julia i Piter cierpliwie słuchają jego nerwowego trajkotania, uśmiechając się cierpko.

Franz stoi już pod wieżą, reszta grupy dociera tam po chwili. Stajemy kilka kroków za stalkerem, milknąc na widok jego uniesionej w ostrzegawczym geście ręki.

– No i co jest? – Seba podchodzi do przewodnika, bawiąc się wciąż metalową rurką znaną przy wejściu na peron, której jakimś cudem nie zgubił.

Wspólnie wpatrują się w obite ciężką blachą drzwi prowadzące na górę. Noga, na której opiera się spodek centralnej nastawni dworca, ma ażurową konstrukcję, ale z szyb, które kiedyś wypełniały całą przestrzeń pomiędzy betonowymi żebrami, pozostały już tylko smętne resztki. Zastąpiono je stalowymi płytami, blachą i złomem wszelkiej maści. Wnętrze wieży zostało dobrze ukryte przed wzrokiem ciekawskich.

– Nie podoba mi się to – mówi powoli Franz, nie spuszczać wzroku z drzwi.

– Co ci się nie podoba? To jest ten posterunek?

– No...

– To tutaj ten arsenał trzymają?

– Tutaj.

– No to jest, kurwa, pięknie, nie?!

– Tylko coś cicho...

– Nam orkiestra powitalna niepotrzebna, nie, chłopaki?

Kamil i Krzyś rechoczą, wciąż jeszcze ciężko dysząc po niedawnym sprincie.

– Ale chłopaków nie widać. Nas było widać i słyszać z daleka, ktoś musiałby się zainteresować. Muszę coś sprawdzić... – Franz grzebie w kieszeniach kombinezonu.

– Że co? Że oni sobie stąd, kurwa, poszli? – pyta Seba, a szeroki uśmiech wypełza mu na usta.

– Tak jakby. Posterunek niezamknięty, a ludzi nie ma... – niezadowolony stalker kończy przeszukiwanie kieszeni, przekłada kałasznikowa na pierś i wiesza sobie na brzuchu plecak. Teraz w nim czegoś szuka.

– No to jest cudnie! – Seba dobitnie cedzi słowa.

I znowu wszystko dzieje się jak w zwolnionym filmie. Osilek bierze krótki zamach i wali Franza rurką w zgięcie kolan. Gdy tamten klęka podcięty impetem ciosu, splecionymi dłońmi, jak młotem, tłucze go w kark, powalając na ziemię, w śnieg. Podniecony stara się wyszarpnąć spod ciała stalkera karabin, ale mu się to nie udaje, więc błyskawicznym ruchem wyciąga z buta krótki nóż i siada na plecach mężczyzny, przykładając mu ostrze do szyi.

– Drgnij tylko, fagasio! – warczy. – Kam, Krzyś! Wywalić te drzwi i zapierdalać po giwery. Bierzecie wszystko, co znajdziecie. Wy dwaj! – wskazuje głową na Waldka i Janka. – Za nimi, już! Pomożecie im zabrać amunicję! Nie opierdalać się! Macie brać wszystko, co tam znajdziecie. Migiem! – ryczy.

– Co ty robisz?! Zwariowaliście wszyscy?! Zostaw go! – krzyczy Julia. Piter trzyma ją za ramiona, bo wygląda, jakby chciała rzucić się na Sebę z pięściami.

– Zamknij się, śliczna, z tobą potem się zabawimy! – Seba uśmiecha się szeroko. – I co, niunieki? – zwraca się do Franza. – Myślałeś, że to się tak skończy? Nie? Ja też nie. Myślałem, że będziemy musieli jeszcze tym twoim koleśiom manto spuścić. A oni, proszę, taką nam niespodziankę sprawili i sobie poszli! Ale chyba wszystkiego nie zabrali ze sobą, co? Panowie, co jest, kurwa?! Ruchy! – drze się na kumpli mocujących się z drzwiami.

– Myślałeś, że nas jakieś wasze radio, jakieś wasze ewakuacje sracje obchodzą? – kontynuuje monolog. – W dupie to mamy! Nam jest broń potrzebna. Nie uważasz, że to niesprawiedliwe, że tylko wy się nią bawicie? Gdzie tu demokracja, gdzie równość szans? Że co, że ja jestem gorszy niby? No to zaraz, śmieciu, zobaczysz...

Nguyen wciska się w załom niskiego muru, rozgląda się dyskretnie, szukając możliwych dróg ucieczki. Stoję bez ruchu. Gorączkowo staram się coś wymyślić, lecz sytuacja nie jest prosta. Nic nie zrobimy – przyjdą z bronią, zastrzelą nas wszystkich, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Żeby zlikwidować świadków, ale i dla zabawy. Rzucę się na niego – poderżnię gardło Franzowi. A potem: patrz scenariusz pierwszy. Tylko dopóki Franz żyje, jest jeszcze jakaś nadzieja. Ale jak nic nie zrobimy, to już długo nie pożyje... Za to Alex nie próżnuje.

– Patriotyczne pobudki tobą kierują, synu... – uśmiecha się przymilnie. – Pamiętaj, kto jest najważniejszym sprzymierzeńcem Wawrzyszewa! Pamiętaj, że tylko trzymając się razem...

Przerywa mu łoskot wrywanych z zawiasów drzwi – Kam i Krzyś z zapalonymi ruszają kręconymi schodami w górę, Waldek i Janek oceniają jeszcze przez chwilę nowy układ sił i błyskawicznie dokonują wyboru: co sił biegną za nimi. Najważniejsze to być potrzebnym.

Franz chce coś powiedzieć, ale Seba przygniata go ciężarem całego ciała do ziemi.

– Cichaj, niuniuś! – warczy. – Nic nie mów, chłopaki zaraz wrócą. Jakby zamknięte było czy co, to nam jeszcze tylko pomożesz otworzyć, a potem – spocznij! A ty, ojciec, luzik! Mamy od naszych dokładne instrukcje. Wiemy, kto prawdziwy Polak, a kto zdrajca! Wiemy, co mamy z tymi – tu wskazuje głową

w naszą stronę – zrobić, jak się nimi...

Szczegółów planu Wawrzyszewa, jak się domyślam, dotyczących między innymi mojej skromnej osoby nie jest nam dane poznać, gdyż monolog Seby zostaje brutalnie przerwany przeraźliwym wrzaskiem dochodzącym z wieży. Potem słycać tumult, gwałtowną szamotaninę, jeszcze kilka ludzkich krzyków i brzęk szyby. Potem krótki świst i umazane czerwienią ostrze szklanej tafli z cichym szurnięciem wbija się w śnieg metr od osiłka. Ten wstaje z rozdziawioną ze zdumienia paszczką, zapominając o stalkerze. Robi dwa kroki w stronę wyrwanych drzwi i staje, gapiąc się w nie bezmyślnie. Franzowi to wystarcza. Zwinnie podrywa się na nogi. Plecak zostawia w śniegu, poprawia karabinek na ramieniu i podnosi z ziemi metalową rurkę. Alex chce krzyknąć, ale spojrzenie przewodnika wystarcza, by zamknąć mu usta. Staje obok Seby i spokojnie, bez emocji patrzy w zdumioną facjatę olbrzyma. A potem krótkim, szybkim ciosem wali go prosto w żołądek. Gdy tamten zgięty w pół pada na kolana, obcasem kopie go w głowę. Mocno.

– Mówiłem, że coś jest nie tak, prawda? – rzuca w naszą stronę.

– Ty... ty... – jąka się Alex.

– Zamknij się, cwaniaku! – gasi go Franz. – O tobie wiem już wszystko, czego mógłbym chcieć się dowiedzieć. Jak to ścierwo się ocknie – mówi, wskazując brodą rozciągniętego na śniegu Sebę – idziemy dalej. Tutaj nie ma już czego szukać.

Podchodzę do leżącego. Kucam, chcąc sprawdzić, czy faktycznie żyje. Po takim ciosie wcale nie wydaje mi się to pewne. W tym momencie z wieży daje się słyszeć ryk i jakiś ciężar stacza się po krętych stromych schodach. Przerazenie odrzuca mnie do tyłu, siadam w śniegu. Franz nie traci zimnej krwi – błyskawicznie odbezpiecza karabinek i rzuca się w stronę wieży, mierząc w czarny otwór drzwi. Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach to coś wytacza się wreszcie na próg budynku. Z trudem rozpoznaję Janka. Jest cały zbryzgany krwią, z trudem dźwiga się na nogi i chwieje się, uczepiony kurczowo framugi. Maskę zsunęła mu się z twarzy i rura pochłaniacza sterczy teraz na wysokości czoła. Chłopak stara się coś powiedzieć, ale nie może złapać powietrza. Wszyscy, jak na komendę, zrywają się do biegu, by pomóc rannemu, ale Franz zatrzymuje ich w pół kroku stanowczym: „Stać!”. Nie zdejmując palca ze spustu i nie przestając celować, podchodzi do Janka na kilka kroków.

– Co tam się, do cholery, stało? – pyta głośno.

– Mu... Mutant – jąka się przerażony mężczyzna.

– Ktoś oprócz ciebie żyje?

– N... Neee, chyyyba nie...

– A co z tobą?

– Nie wiem, chyba nic mi nie jest!

– On jest ranny! Nie zbliżać się, to może być cholernie toksyczne! – krzyczy w naszą stronę.

– Neee... To nie moja krew. Scho... Schowałem się...

Franz błyskawicznym ruchem przekłada karabinek na ramię i jeszcze szybciej wyciąga z kabury pistolet. Znowu mierzy w głowę Janka.

– Nic mi nie jest, słyszysz?! Nic mi nie jest! To nie moja krew! – drze się tamten histerycznie, nie

mogąc oderwać wzroku od lufy na wysokości swojej twarzy.

– Dobrze, dobrze... Oddychaj! – mówi spokojnie stalker i lewą ręką ściąga mu z głowy maskę. – Oddychaj.

– Franz?!

– Co?

– Tam nic nie...

Huk wystrzału niesie się echem po okolicy. Głowa Janka zamienia się nagle w ogromny purpurowy kwiat. Dojrzewa krwawą rosą i błyskawicznie więdnie. Bezwładne ciało wali się w śnieg, barwiąc go na czerwono.

Rozdział 12

Siedzę na śniegu, ogłuszony strzałem. Kilka metrów przede mną Franz odwraca trupa na brzuch i ściąga z niego plecak, który jakimś cudem ten wciąż miał na ramionach. Rzuca ciężki, umazany krwią wór pod moje nogi.

– Podziel konserwy.

– A nie są toksyczne? – nie potrafię się powstrzymać.

Ignoruje moje pytanie.

– Ruszać dupy, i tak tkwimy tu za długo!

Podchodzi do stękającego ciężko Seby i kopie go w bok.

– Wstawaj, głąbie, albo cię tu zostawię!

Osilek wyraźnie boi się wstać. Klęka na śniegu i zerka na trupa. Na podłany malinowym sosem budyń mózgu w potłuczonym naczyniu czaszki. Gwałtownie zdziera z twarzy maskę i wymiotuje żółtym cuchnącym płynem.

Franz pochyla się nad nim.

– Nóż! – wyciąga rękę. W drugiej wciąż trzyma pistolet. – Zanim go zarzygasz... – dodaje.

Seba trzęsącymi się rękami długo maca ubity wokół śnieg, nim udaje mu się podnieść czarne, osadzone w drewnianej rękojeści ostrze. Nie patrząc w górę, podaje go stalkerowi. Ten przygląda się chwilę ostrzu i wsuwa je do kieszeni kombinezonu.

– Masz jeszcze coś?

– N... N... Neeee... – stęka, wyginając się w gwałtownych skurczach jak pies, który udławił się kością.

Podchodzę do oszołomionej wciąż grupy i wysypuję na ziemię zawartość plecaka. Julia szlocha, opierając się na ramieniu Pitera, Doktor przysiadł na niewysokim murku i przygląda się rozwojowi wypadków, wyraźnie roztrzęsiony. Nguyen stoi z tyłu, przyczajony, gotów w każdej chwili do ucieczki. Alex siedzi na śniegu i patrzy tępym wzrokiem w swoje buty. Za to Stefan jest dziwnie pobudzony: chodzi dookoła nas, mamrocząc wciąż do siebie. Podchodzi do trupa, przygląda mu się długo, podnosi fragment czaszki za pozlepiane krwią ciemne włosy, potem przyklada go do opróżnionego z mózgu czerepu, szukając dla swojego puzzla właściwego miejsca.

– Długo zamierzacie się tak guzdrać? – rzuca Franz, jakby nigdy nic. – Te dworcowe bydlaki zaraz tu będą, niech tylko nażrą się swoim ściervem...

– A jak teraz wrócimy? – pyta cicho Piter. – Przecież tam na peronach wciąż się roi od mutantów...

– Bystry jesteś! – Stalker otrzepuje ze śniegu mały czarny przedmiot, który Seba wytrącił mu z rąk w momencie ataku. – Dlatego ja się tam nie wybieram. Idziemy dalej.

– Sami?! Po tym, co się wydarzyło? – Doktor kipi oburzeniem.

– A co się wydarzyło? – Franz staje o dwa kroki od niego i mierzy go zimnym wzrokiem.

Doktor spuszcza oczy.

– A Sebastian? On... – Nguyen podchodzi do grupy i bierze z kupki konserwę. Pakuje ją do swojego plecaka.

– Co Sebastian? – pyta z niewinną miną stalker.

– On jest niebezpieczny. Dla nas wszystkich. Będzie chciał się zemścić...

– Nie obawiaj się, poradzimy sobie z nim.

– Powinieneś go...

– Zabić?

– Nie, nie chciałem tego powiedzieć. Powinniśmy go zawrócić.

– Kazać mu wracać do metra – włącza się Stefan.

Alex patrzy na niego z nienawiścią.

– Nie, idzie z nami. Może się jeszcze przydać. Brać konserwy! Niech się nie zmarnują! – dodaje po chwili. – Cenne są... Jak pan Sebastian! – uśmiecha się do siebie.

– Jak chcesz dalej iść?! – wykrzykuje nagle Alex. – Przecież nigdy nie damy rady bez broni. Takie niespodzianki mogą na nas czyhać na każdym kroku...

– No to czas na moją niespodziankę! – uśmiecha się szeroko Franz, wyciągając przed siebie rękę z niewielkim, płaskim pudełkiem i błyszczącą kolorowo szybką wyświetlacza. – Ładny?

– Co to jest?

– Skaner. Gdyby te chciwe głąby dały mi go uruchomić, żyłyby wciąż i mogły by dalej knuć swoje ambitne, złowrogie plany podboju świata. Kto wie, może gdyby wyczaili lepszy moment?...

– Jaki skaner? Co to znaczy?

– To telifon jest! – krzyczy podniecony Stefan.

– Telefon, jeżeli już, cymbale! Zejdź mi z oczu! – Alex patrzy na niego z odrazą.

– Może być i telefon. Do kogo zadzwonimy? – kontynuuje niezrażony wściekłością swojego szefa Stefan.

– Do twojej dupy zadzwonimy! – sapie Seba, próbując stanąć na nogach. – Nie ma dokąd dzwonić. To jeszcze jedna ściema... – dodaje cicho, rozcierając obolałą głowę. Wyciera rękawem twarz i z powrotem zakłada maskę, zasłaniając czerwony ślad podeszwy wojskowego buta na łysej czaszce.

– To się państwo zdziwicie! – Franz manipuluje przy urządzeniu. Nagle pudełko popiskuje, wygrywa kilka taktów i miga kolorowymi napisami. Na ekranie wyświetla się mapa upstrzona różnokolorowymi symbolami.

– Można rzucić okiem? – pyta ostrożnie Doktor.

– Jasne! – odpowiada Franz uprzejmie. – Jesteśmy tu, a tutaj, o, ta czerwona kropka, to jest ten przyjemniaczek, co zagnieździł się w wieży. A te delikatne trzaski, co słyhać, to promieniowanie. Bo

licznik Geigera też tu jest. Z tym akurat nie jest tu najgorzej...

– Ale jak... Dlaczego? To przecież niemożliwe! Jaka jest zasada... I skąd to macie? – Doktor nie nadaje wyartykułować wszystkich pytań, które cisną mu się na usta.

– Dlaczego, to ja nie mam pojęcia. Może jakieś lepsze mózgi potrafiłyby ci to wytłumaczyć. Jak dla mnie, to po prostu działa. I w pewnym sensie wiem nawet jak: całkiem nieźle. Sporo razy mi dupę uratował. No a skąd, to rozumiesz, staruszk, nawet gdybym wiedział, to i tak bym nie powiedział. Tajemnica wojskowa!

– Ale my na Politechnice...

– Koniec! – ucina rozmowę. – Najbliższe parę kilometrów jest w porządku. Dalej nie wiem, nie ma zasięgu, a baterie trzeba oszczędzać, więc na razie – do kieszeni!

Stalker zarzuca plecak na ramię, na drugim poprawia karabinek, zapina kaburę.

– To nie wiem, jak państwo, ale ja właśnie ruszam w drogę. Tu nie jest zbyt bezpiecznie, to bydlę z góry może w każdej chwili się tu do nas na dół pofatygować.

– Ja nigdzie nie idę, ja chcę wracać! – wrzeszczy histerycznie Alex.

– Proszę bardzo, droga wolna.

– Co?!

– No, ruszaj! Nie będę cię zatrzymywał.

– Ale... Ale jak mam wracać?

– Jak chcesz, mnie to gównem obchodzi. Może po śladach czy jak? Tylko cichutko koło peronów, może cię nie zauważą...

– Przecież ty nie wiesz, dokąd mamy iść! – mówi spokojnie Piter.

Wszyscy milkną jak na komendę, a Franz patrzy na niego uważnie.

– Dlaczego sądzisz, że nie wiem?

– Sam tak przecież mówiłeś, na Stadionie. Że tu, na posterunku, nam powiedzą, bo tu jest nasłuch.

– No, jest. Ale coś tam mimo wszystko wiem. Trafimy.

– Co ty knujesz? – pyta cicho Julia.

– Nic nie knuję. Kazali mi was zaprowadzić, to prowadzę. Kazali się dowiedzieć, co tam jest, to się dowiem. I kazali godnie reprezentować, to reprezentuję.

– Ale dlaczego nie chcesz nam powiedzieć, gdzie to jest?!

– Zaraz nie chcesz! Czepiacie się tego, jakby to było wasze jedyne zmartwienie. Podali mi współrzędne, nie wiem, co tam jest, na mapie tylko widziałem, jak dojść. To środek niczego, żadnych punktów charakterystycznych. Jak dojdziemy, to zobaczymy. Myślałem, że chłopaki mi coś tu podpowiedzą, którędy najszybciej, najbezpieczniej i tak dalej. Ale ich tu nie ma. To znaczy może są, tam – na górze. Ale ja nie będę sprawdzał. Grunt, żeśmy się nie skontaktowali. Ale spokojna głowa – będziemy improwizować. No dobra, dość pieprzenia, w drogę!

Rusza, nie oglądając się za siebie. Stefan i Nguyen natychmiast biegną za nim. Stoimy, gapiąc się na siebie bez słowa.

– Chodź – mówi wreszcie cicho Piter, pomagając Julii założyć plecak.

Doktor patrzy na mnie i wzrusza ramionami.

– A ja myślałem, że to nam wskaże drogę – w wyciągniętej dłoni trzyma mały plastikowy kompas.

Wskazówka wiruje wokół własnej osi jak oszalała.

Podbiegamy, by nie zostać zbyt daleko w tyle. Alex jest zdezorientowany. Patrzy na wymijającego go chwiejnym krokiem Sebę, wreszcie zbiera z ziemi kilka ostatnich konserw i dogania grupę. Nikt nie ogląda się za siebie.

Rozdział 13

Brodząc w śniegu po kolana, wdrapujemy się na prowadzący na wschód nasyp i w milczeniu wleczeni się za stalkerem. Tutaj, na górze, idzie się odrobinę łatwiej, wiatr przewiał śnieg z torów i nie trzeba już przekopywać się przez zaspy. Otacza nas księżycowy krajobraz. Po lewej torowiska i pordzewiałe powywracane słupy trakcji elektrycznej, na horyzoncie czernieje wypalona wieża kościoła. Po prawej rozpadające się ze starości biurowce i hale niewielkich fabryk czy magazynów, do których nie odważyłbym się wejść z obawy, że wszystko zaraz runie mi na głowę. Czarne kikuty zamiast drzew.

– Tu musiały jeszcze jakieś inne bomby spaść... – zagaduje mnie Doktor, rozglądając się po okolicy.

Uśmiecham się szczerze rozbawiony.

– To kolega nie stąd?

– Nie, a co?

– Nic, nic! – śmieję się. – Tutaj już tak przed wojną było. Wiele się nie zmieniło. No, może teraz to wszystko w odrobinę gorszym stanie...

– Co kolega mówi, taka ruina?

– No... Chociaż przepraszam, tamten kościół tam – pokazuję ręką – to bazylika przy Kawęczyńskiej, ona akurat była w całkiem dobrym stanie.

Doktor z niedowierzaniem kręci głową, a ja rozpoznaję niewidziane od dwudziestu lat szczegóły krajobrazu. Co ciekawe, nigdy potem go nie wspominałem. Był tak oczywisty, tak nieistotny jak codzienna fizjologia życia. Przez kilka lat jeździłem tędy kolejką podmiejską. Najpierw do jednej szkoły, potem do drugiej. Na pewno przyglądałem się okolicy, cóż było robić, gdy czasem zmęczenie lub kac nie pozwalały zająć się czymś pożyteczniejszym? Ale nigdy nic mnie z nią nie łączyło, nie miałem z krajobrazem za oknem żadnych konkretnych skojarzeń. Inaczej niż pewien kolega, z którym przez kilka dni jeździliśmy razem na egzaminy na uczelnię. Każdego dnia zastygał z nosem przy szybie dokładnie w tym samym miejscu i powtarzał: „Widzisz ten czerwony dach? Speluna, warsztaty tam miałem”. Nigdy więcej go nie widziałem.

Kiedy jechałem tędy ostatni raz? Nie pamiętam dokładnie, ale chyba też była zima. Tylko taka z widokami na wiosnę. No i ośnieżone korony drzew stanowiły miłe urozmaicenie krajobrazu. Mróz potrafił być taki jak teraz, czasem może nawet większy. Choć w kolejce się tego nie odczuwało. Problem był raczej odwrotnej natury: im na dworze było zimniej, tym w pociągu cieplej. Pokryte warstwą brudnego lodu szyby były z lubością wylizywane przez okutane w wełniane paltociki dzieciaki, których matki wizualizowały sobie w tym czasie lepszą i ładniejszą rzeczywistość, inspiracje czerpiąc obficie

z kolorowej prasy. Pasażerowie w parujących grubych kurtkach i kożuchach, zimowe buty topiące się na nogach od nagrzanym do czerwoności grzejników pod siedzeniami. Baby z siatami, staruszkowie z rowerami, matki z dziećmi, taki podmiejski folklor, za którym miałem jeszcze nieraz zatęsknić. Bo wtedy człowiek wysiadał w końcu na swoim przystanku i oddychał rześkim zimowym powietrzem. Teraz mam w ustach smak gumy i kurzu.

Franz przystaje od czasu do czasu, lustruje okolicę uważnym spojrzeniem. Domyślam się, czego szuka, ale śnieg jest na szczęście czysty, nienaruszony żadną linią tropów zwiastujących kłopoty. Po kilkuset metrach dochodzimy do rozjazdów. Tu tory, wspinając się na wysokie nasypy, rozchodzą się w dwóch kierunkach. Zatopiony we wspomnieniach odruchowo skręcam w prawo, na południowy wschód. Po minucie orientuję się, że śnieg skrzypi już tylko pod moimi nogami – idę sam. Gdzie są wszyscy? Zatrzymuję się jak wryty i gwałtownie odwracam za siebie: stoją w ciasnej gromadce pięćdziesiąt metrów za mną i gapią się na mnie zdumieni. Franz obraca w dłoniach skaner, nie spuszczać ze mnie badawczego spojrzenia. Wreszcie daje grupie znak i ruszają w moją stronę.

– Skąd wiesz, że tam właśnie idziemy? – pyta po chwili z niewinną miną.

– Eee... Nie wiem, skręciłem odruchowo... – tłumaczę się speszony.

– Intuicja?

– Raczej przyzwyczajenie – odpowiadam. – Kiedyś jeździłem tą linią. Skręciłem do domu – uśmiecham się kwaśno.

Doktor ze zrozumieniem kiwa głową; Julia uśmiecha się do mnie.

– Jak koń do stajni! – śmieje się Piter.

– Tak, jak koń...

Pozostali maszerują przed siebie w śniegu, udając, że nie zwracają na mnie najmniejszej uwagi. Ale nieprzyjemny smrodek podejrzeń zagęścił i tak już duszną atmosferę. To dokąd idziemy? Trzydzieści kilometrów... O ile to oczywiście prawda. Żałuję teraz, że wychodząc z Politechniki, nie zabrałem ze sobą żadnej mapy, coś chyba powinienem w swoim pudle z rzeczami znaleźć. W metrze mapy nie są niczym cennym, to tylko denerwująca pamiątka czasów, które już nie wrócą. A przynajmniej nie za naszego życia. Ale ja zawsze je lubiłem. Mam kilka, znalezionych gdzieś w tunelach i na stacjach. Trzymałem je, sam nie wiem po co, a teraz, kiedy mogłyby wreszcie okazać się przydatne, zostały w mojej komórce.

Mijamy składy pociągów połamane jak dziecięce zabawki. Musiały wjechać na siebie, gdy wybuchały bomby elektromagnetyczne i elektronika sterująca w sposób niedostrzegalny, acz totalny naszym ówczesnym życiem, zgłupiała i zdechła w krótkich elektrycznych konwulsjach. Przerdzewiałe wagony, wywrócone lokomotywy, które w mechanicznej agonii wyrzygiwały z siebie tony czarnego, zużytego oleju. Wszystko okryte szarym całunem śniegu. Okolica sprawia przygnębiające wrażenie. Straszą niegdyś kwitnące i zadbane ogródki działkowe – maleńkie spłachetki ziemi, regularnie ogrodzone skleconymi ze złomu i wszelkich odpadków płotami. W środku puste, szare, zasypane śniegiem i popiołem.

Franz zatrzymuje się nieoczekiwanie, dłużej niż zwykle lustruje horyzont. Potem podrzuca w górę garść

sypkiego śniegu, obserwuje, w którą stronę wiatr unosi szare płatki.

– Pójdziemy teraz tędy, trochę bardziej na lewo – mówi. – Musimy się odsunąć od tej drogi. I śpieszcie się, im prędzej minimy te budynki, tym lepiej – dodaje.

– A co to jest? – pyta Julia, wpatrując się w rozciągający się na przestrzeni kilkuset metrów kompleks pawilonów, komórek i magazynów, zwieńczony posępną bryłą kilkupiętrowego gmaszyska, straszącego okopconymi ścianami i wypalonymi oczodołami okien.

– Szpital. To znaczy to był szpital. Wojskowy.

– A co tam teraz jest? Znów mutanty?

– Nieee... To znaczy one też są, ale to akurat najmniejszy problem. Wkrótce po Armagedonie przeszukiwano intensywnie wszystkie szpitale. Wiadomo, były potrzebne opatrunki, leki, cały sprzęt, każdy medyczny drobiazg był na wagę złota. A ten tutaj to był jeden z większych szpitali w Warszawie. Ci, co tu przyszli, spodziewali się złotych gór. Ale mieli pecha. Na szpital spadła jedna, jedyna bomba. Tam, na prawe skrzydło – wskazuje ręką. – Dokładnie tam, gdzie chyba akurat nie powinna była spaść. Tam było jakieś laboratorium, pewnie tajne, bo nikt, kogo pytano, o nim nie wiedział. Wojsko musiało w nim pracować nad jakimiś biologicznymi świństwami. Na szczęście większość stalkerów nie zdążyła dotrzeć z powrotem do metra. Ale kilku było zbyt szybkich – wrócili, zanim pojawiły się pierwsze objawy, i trzeba było puścić z dymem cały oddział na Filtracyjnym. Razem z pacjentami. Potem do szpitala poszła już tylko jedna, ostatnia ekspedycja – żeby tu trochę posprzątać. Ci stalkerzy już w większości nie żyją, ale jeden znajomy opowiadał mi, że to, co się tam działo na oddziałach z chorymi, którzy nie zdążyli się ewakuować, śniło mu się od tamtej pory co noc.

– I tyle dobra się zmarnowało? – wzdycha Alex, wpatrując się zachłannym wzrokiem w ponurą bryłę budynku.

– Nie chciałbyś, żeby ktoś ci najmniejsze skaleczenie opatrywał przyniesionym stąd bandażem! Był zakaz, oficjalny, ale i tak bandy różnych cwaniaczków się tu zapuszczały i usiłowały na czarnym rynku sprzedawać różne ciekawostki. Ech, sporo z tym było kłopotów...

Po kilkuset metrach teren się wyrównuje, wchodzimy na gigantyczny kolejowy plac manewrowy. Dziesiątki torów ciągną się niemal po horyzont, daleko przed nami mającą w śnieżnej kurzawce długie blaszane wiaty – to już Olszynka, tam właśnie, według słów Franza, idziemy. Tymczasem przyglądamy się z zaciekawieniem ponuremu cmentarzysku pociągów. Te tutaj nigdzie nie jechały, po prostu stały sobie, czekając na coś: remont, sprzątanie, wyjazd w trasę. Przerdzewiałe, niektóre powywracane, bo podmyte nasypy lub wypalone podkłady spowodowały, że szyny powyginały się, jakby były z miękkiego plastiku. Jest nawet ówczesna дума kolei – kilka ultraszybkich składów, które nie zdążyły się chyba nawet porządnie rozpędzić. Swoją drogą, są całkiem nieźle zachowane, wyglądają, jakby zaraz miały wyruszyć w trasę.

– A to oglądaliście? – pyta Doktor. – Tu pewnie można znaleźć sporo ciekawej techniki...

– Wszystko wielokroć przegrzebane. I od dawna już tam nie chodzimy, w wagonach lubią się lęgnąć mutanty. A jak do takiego gniazda przez przypadek wleziesz, to masz przerypane, choćby to jakieś gówna wielkości szczura były... A zwiewać stąd nie jest łatwo, można się zaplątać w te cholerne druty.

Faktycznie, plac wygląda jak gigantyczny tor przeszkód. Przeszkody podzielić można na kilka kategorii: największe – wagony, to pierwszy poziom trudności. W zasadzie da się uciekać tylko wzdłuż nich. Powyginane, powywracane słupy trakcyjne – to poziom drugi. Te nie mają już żadnej kierunkowości. Ale druty i kable wystające gdzieś pod śniegu, w większości jednak zdradziecko ukryte pod jego powierzchnią – poziom trzeci – to już chaos w czystej postaci.

Martwe przedmieścia po prawej wyglądają równie zniechęcająco. Brzydkie, pozapadane domki, rozsypujące się ceglane czynszówki, obnażona przez brak roślinności struktura niepotrzebnych już ogrodzeń. Śmieszne wydaje mi się teraz to zazdrosne przywiązanie niegdysiejszych właścicieli do skrawków tej brzydkiej okolicy. Od chaosu podmiejskiej zabudowy oddziela nas kordon garaży, wymurowanych z najtańszej, białej cegły. Drzwi zniknęły, jak wszystko, co z drewna, zostały tylko te blaszane, szczelnie pokryte wyblakłym graffiti. Szcherbaty szereg komórek duka coś do nas w niekompletnym, ale zaskakująco zrozumiałym języku: „KIB.LE LE.I. WI.AJA”, „TU.K ZD.AJCA”, „JE...Ć...KSP”. Z niektórych garaży wpatrują się w nas zmętniałe szkła reflektorów.

– Przepraszam – Stefan zwraca się nieśmiało do Franza. – A może dałoby radę któryś z tych samochodów uruchomić? Taki dobrze zachowany? Jest nas chyba dosyć, jakbyśmy się zebrali, można by popchnąć...

Stalker patrzy na niego rozbawiony.

– To wszystko trupy. Zapomnij.

– Bomby elektromagnetyczne – wyjaśnia Doktor. – Te same, które unieruchomiły cały ten tabor. A paliwo? – pyta po chwili. – Paliwo powinno się dać jeszcze ściągnąć...

– Nawet mi o tym nie mów, mądralo – denerwuje się niepodziewanie Franz. – Żadnemu stalkerowi o tym lepiej nie mów, jak nie chcesz w papę dostać.

– Dlaczego? – Doktor patrzy na niego zdumiony.

– Głupa rzniesz?

– Nie, nie rozumiem...

– Bo to nasza najgorsza robota. Ciężka, brudna, cholernie niebezpieczna, słabo dochodowa. I najczęstsza. Co ty myślisz, że my do metra same złote serwisy i pamiątki z Muzeum Narodowego znosimy? Gówna prawda, każdy stalker dyma w kółko z dwoma kanistrami, jak jakiś pierdolony wielbłąd. Fajki zapalić nie mogę, bo mi się benzyną odbija...

– Głodny jestem, kiedy coś zjemy? – Stefan zmienia temat.

Odpowiadają mu pomruki poparcia.

– Jeszcze chwila, tu jest zbyt niebezpiecznie. Ruszcie dupy, to szybciej dotrzemy do lepszego miejsca.

Jest przejmująco zimno. Mimo że ruszam się żwawo, a pod kombinezon założyłem wszystkie ciepłe ubrania, jakie dostaliśmy w Ratuszu, głód i zmęczenie powodują, że coraz mniej interesuje mnie okolica, coraz mniej uważnie słucham, co kto ma do powiedzenia. Powoli popadam w łagodne ośpienie i pilnuję tylko tego, żeby plecy idącego przede mną Pitera nie oddalały się nadmiernie. Po kilkudziesięciu minutach zbliżamy się wreszcie do Olszynki. Zatrzymujemy się, Franz wyciąga zza pazuchy lornetkę i znowu dokładnie bada teren przed nami. Mruczy coś do siebie, uruchamia skaner i dłuższą chwilę

wpatruje się w ekran. Wreszcie daje znak, że mamy iść za nim. Schodzimy z torów, przełazimy przez rozsypujący się betonowy płot i zasypaną śniegiem uliczką docieramy do miejsca, które było niewielką pętlą autobusową. Stoją tu dwa wraki przegubowców. Jeden jest w niezłym stanie, ma niemal komplet szyb i całe drzwi. Stoi na betonowych klockach. Zastanawiam się, kto i w jakim celu zdjął z niego koła. Tył pojazdu obłożony jest arkuszami grubej blachy. Franz podchodzi do przodu autobusu, wkłada rękę w jakiś otwór i drzwi kierowcy otwierają się z cichym syknięciem.

– Ładować się! – zachęca. – To taka nasza mała baza.

Faktycznie, autobus urządzony jest bardzo praktycznie: większość siedzeń usunięto, by zrobić więcej miejsca, wzdłuż burt ułożono kilka sienników, w środku zamontowane są dwie kraty – domyślam się, że to służy i równocześnie barykady zabezpieczające opancerzony tyłu pojazdu. Jest nawet niewielki piecyk z rurą komina wyprowadzoną na zewnątrz.

– A czym tu palicie? – pytam zdziwiony, przyglądając się kupce popiołu w palenisku kozy.

– Czym się da – odpowiada stalker, wzruszając ramionami. – Czasem ktoś węgiel przyniesie, czasem jakieś drewno...

– Jak to drewno?!

– Normalnie, tutaj jeszcze drewna nie uświadczysz, bo wciąż jeszcze jesteśmy za blisko centrum, w zasięgu bomb organicznych. Ale są też na szczęście miejsca, gdzie wszystko jest prawie po staremu. Te bomby miały dość ograniczoną strefę rażenia...

– Zobaczymy drzewa? – Doktor nie potrafi ukryć wzruszenia.

– Jak dożyjemy, to zobaczymy. Na razie zjemy coś i ruszamy dalej. Ty! – warczy na Sebę. – Zdejmuj plecak i dawaj maszynkę, odgrzejemy sobie coś!

Seba rzuca plecak na podłogę autobusu.

– Grzeczniej, gnoju! Nie zniszcz tego, bo mi się w końcu skończy cierpliwość. Wyjmij z łaski swojej maszynkę i odpal ją. Masz jakiś ogień?

Osilek mamroce coś pod nosem, nie odważa się jednak na żadną głośną uwagę. Rozpina plecak, majstruje przy kocherze, nie bardzo wiedząc, jak go złożyć. Kiedy Nguyen chce mu pomóc, cedzi tylko przez zęby krótkie: „Spierdalaj, sam ogarnę!”.

– Jestem głodny... – marudzi jak dziecko Stefan, a Seba rzuca mu mordercze spojrzenie. Obawiam się, że zatłucze go bez wahania, gdy tylko Franz odwróci się na wystarczająco długą chwilę. Tymczasem ustawia wreszcie palnik, łączy go z butlą, wyciąga z kieszeni zrobioną z karabinowej łuski zapalniczkę i uruchamia kuchnię.

– Dobrze, ale jak ja mam to otworzyć? – Julia obraca w rękach konserwę z grubej blachy.

– Powinnaś mieć w plecaku jeszcze taki mały otwieracz – śpieszy z pomocą Piter. – Daj zresztą, ja otworzę!

Franz wyciąga ze schowka pod siedzeniem garść metalowych prętów wygiętych na końcu w pętlę. Pokazuje jak zamocować w niej konserwę i podgrzewać nad płomieniem kochera.

– Łyżki jakieś macie, nie?! – pyta, napychając usta parującą breją z puszek.

Konserwy nie mają żadnych etykiet, nie mam pojęcia, jak nazwać to ciepłe coś, co delikatnie bulgoce

w mojej puszcze, ale pachnie i smakuje wspaniale. Od kilkunastu lat nie miałem w ustach nic równie dobrego. I doskonale rozgrzewa. Czuję, że znowu nabieram energii do dalszego marszu. Dopijam jeszcze do końca aromatyczny rosół z dna i mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy.

– Teraz jeszcze tylko drzemka, i żeby się ten sen nie skończył, nie? – mruczy siedzący obok Doktor.

Rozleniwiony kiwam głową. Julia i Piter siedzą oparci o siebie plecami z wyrazem błogości na twarzach. Franz znalazł sobie miejsce nieco dalej. Nie odstępują go Nguyen i Stefan, dla którego Alex przestał już właściwie istnieć. A ten patrzy na swego byłego przybocznego i kamerdynera spode łba i mruczy coś do siebie. Z ruchu warg widzę, że nie są to raczej słowa błogosławieństwa. Sebastian siedzi sam. Mimo że je to samo co wszyscy, minę ma, jakby musiał przełykać gówno. Założę się, że jedyne, co go interesuje, to dokończenie planu. Z tym, że teraz zadowolili się już nawet wyłącznie karabinkiem Franza.

Po kilkunastu minutach stalker dźwiga się ociężale i poprawia ekwipunek.

– Dobra, wypoczęli? To czas na nas. Musimy przed zmrokiem dotrzeć w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Młodzież, pobudka! – krzyczy w stronę Julii i Pitera.

Podnosimy się z trudem, rozleniwieni ciepłem wypełniającym żołądki i rozlewającym się po całym ciele.

– Podnieś to! – warczy Franz w stronę Seby, który kopnął opróżnioną konserwę w kąt autobusu. – Puszki zabieramy ze sobą! – instruuje. – Żeby jakieś ścierwa nie zwęszyły tego miejsca i nie zaczęły się nam tu naprzykrzać.

Gęsiego opuszczamy przytulne wnętrze autobusu. Franz wychodzi ostatni, starannie sprawdzając drzwi.

– Tam idziemy! – Wskazuje kierunek ręką. – Najpierw tą ulicą, potem zobaczymy.

Wchodzimy między budynki. Trochę mniej tu śniegu niż na odkrytej przestrzeni, ale nie idzie się wcale łatwiej: ulica pełna jest porzuconych pojazdów, zastygłych w miejscach i sytuacjach, w jakich zastały je pierwsze wybuchające nad miastem rakiety. Zdezorientowani kierowcy, zanim jeszcze dosięgło ich zabójcze promieniowanie, kończyli życie w gigantycznych karambolach. Mimo że to boczna ulica o niewielkim natężeniu ruchu, co kilkadziesiąt metrów mijamy samochody wbite w witryny sklepowe, bramy kamienic, zagradzające w poprzek chodniki. Na szczęście nie widać trupów – swoje zrobił upływający czas i mutanty. A nawet jeżeli coś zostało, miłosiernie przykryła to gruba warstwa śniegu. Ale to nie pamiątki przeszłości są tym, od czego najbardziej siada psychika. Naszą drogę co rusz przecinają podejrzone tropy, powodując skoki adrenaliny i przyśpieszenie tętna. Ślady są przeróżne: pojedyncze i wydeptane dziesiątkami łap, przypominające psie, kocie i niedźwiedzie; są też ptasie: ni to wronie, ni kaczce, tylko znacznie większe. Jest nawet dziwny ślad obłego, wleczonego zakosami cielska. Jakaś zmutowana foka? Tutaj? Nie widzimy żadnego mutantu, ale odciski łap wystarczająco skutecznie rozpalają wyobraźnię. Szczególnie po nauczce ze Wschodniego. Bez żadnych zachęt ze strony stalkera wszyscy przyśpieszają kroku. Mijamy duży kościół. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie niemal nienaruszonego. Jednak wyrwane z zawiasów ogromne brązowe drzwi i ślady, które ze wszystkich stron zbiegają się na jego schodach i prowadzą prosto do ciemnego wnętrza, studzą religijny zapach Alexa.

– Czego one tam szukają? – zastanawia się głośno.

– Rozgrzeszenia – śmieje się Doktor.

– I zapasów wina – dodaje cicho Stefan.

Docieramy do skrzyżowania z Grochowską. Jest zablokowane przez ciągnący się dobry kilometr w obie strony sznur unieruchomionych tramwajów. Na szczęście są między nimi wąskie przerwy, przez które udaje się nam przedostać na drugą stronę. Tutaj znowu potraskane auta, tym razem dużo więcej. I samochody, i tramwaje są strasznie zdemolowane. Wybite szyby, poorana tapicerka siedzeń, powyrywane kable i wybebeszone silniki. Trudno ocenić, czyja to robota – ludzi czy mutantów. I jaki był cel tego wyraźnie nieprzypadkowego zniszczenia. Zapytany o to Franz znów tylko wzrusza ramionami.

Zatrzymujemy się. Jak rozumiem, musimy teraz wybrać drogę. Franz lustruje okolicę, włącza skaner. Wreszcie decyduje: na razie idziemy Grochowską, potem spróbujemy przedostać się do Ostrobramskiej. Ślady mutantów stają się coraz rzadsze, w końcu znikają całkowicie – wybór okazuje się słuszny. Trochę uspokojeni idziemy luźną gromadą.

Mijamy koszmarne brzydkie przedmieścia, zabudowane domami, o których nie jestem w stanie powiedzieć, czy to architekt o wyjątkowo złym guście, czy może wroga artyleria odpowiedzialna są za ich wygląd. Paskudne nieproporcjonalne bryły, mury obrane z tynku, brudnoszare szyby okien, tak zmętniałe, że nie odbija się w nich nic. Czuję się trochę jak wampir, gdy zaglądając z ciekawości w okna suterren, nie widzę w nich swojego odbicia.

– Franz, te domy wyglądają na zupełnie nienaruszone – zagaja Piter. – Chodziliście tu? Przeszukiwaliście je? Pewnie sporo ciekawych rzeczy można by tu znaleźć...

– To trochę daleko, w centrum jest łatwiej. Po co aż tu się zapuszczać? A potem taka sama droga z fantami.

– W sumie racja, ale one aż zapraszają, żeby tu wejść, pomieszkać.

– Nie polecam! – odpowiada krótko. – Po pierwsze, tutaj cały czas utrzymuje się jeszcze stosunkowo wysokie promieniowanie, a po drugie – karaluchy.

– Polecam to, nie polecam tamto! – Seba z bezpiecznej odległości i szeptem przedrzeźnia Franza, wzbudzając szczery uśmiech na twarzy Alexa. – Kelner jebany!

– Jakie karaluchy? Takie robaki? – interesuje się Stefan.

– Taa, tylko wielkości królika. I wiecznie nienażarte – odpowiada stalker, ignorując Sebę. – Nie wiem, jak one z mieszkania do mieszkania przełazą, ale wszędzie są. Prawie nie wychodzą na zewnątrz, tylko po tych mieszkaniach się kręcą. I lepiej nie wpaść w ich czułe czułki. Tutaj to jeszcze pikuś, ale zaraz będziemy mijać takie osiedle, a tam to jest masakra. Wejdiesz na klatkę, i już nie wyjdiesz.

– Niezbyt tu przyjaźnie... – podsumowuje Julia. – Ciekawe, jak ci, do których idziemy, dali radę przeżyć. Przecież tam nie ma żadnego metra, prawda?

– W promieniu jakichś pięciuset kilometrów od Warszawy nie ma żadnego metra, więc tam pewnie też nie! – śmieje się Doktor. – Ale i tak chciałbym wiedzieć, dokąd idziemy.

Przewodnik milczy, nie podejmując tematu. Zabudowa staje się luźniejsza, kiedyś musiały tu rosnąć jakieś drzewa lub krzaki, teraz brzydkie domki wyrastają wprost ze śnieżnego klepiska. Zostawiamy Grochowską i przy dużym pustym placu skręcamy w stronę ponurego blokowiska, strzelającego w niebo

kilkunastoma piętrami betonu. Stojące pośród morza szarego niczego bloki są w kiepskim stanie: wybite przez podmuch niedalekiej eksplozji szyby, odłazące wielkimi płatami blaszane okładziny, spod których zwisają girlandy skołtunionej, nadtopionej szklanej wełny. U stóp każdego bloku zalega kilkumetrowe osypisko gruzu i poskręcane metalu – to resztki balkonów, które nie wytrzymały próby czasu. Jeszcze kilkaset metrów i docieramy do Ostrobramskiej – głównej arterii wylotowej z Warszawy w kierunku południowo-wschodnim. Jezdnia w stronę centrum jest prawie pusta, za to ta druga – szczelnie zastawiona uwięzionymi w śmiertelnym ścisku autami. Kilkaset metrów dalej, po prawej, w delikatnej śnieżnej mgiełce mającą ruiny centrum handlowego. Musiała na nie spaść spora bomba – kompleks wygląda teraz jak gigantyczny kopiec kreta, połyskujący potłuczonym szkłem i stopionym metalem. Obok stoi szkielet kilkunastopiętrowego wieżowca, którego złota elewacja rozrzucona w promieniu kilkuset metrów dyskretnie przebłyskuje spod śniegu. Zatrzymujemy się pod niebezpiecznie przechylonym słupem z wielkim „M” na szczycie. Franz sprawdza skaner. Głośniczek trzeszczy niepokojąco, ale poza kilkoma dość odległymi czerwonymi kropkami nie widać nic podejrzanego.

– Dobra, powinno być okej – mruczy i ruszamy dalej. – Przyśpieszamy trochę, tutaj blisko nieźle pierdyknęło – dodaje po chwili. – Wciąż jest bardzo wysokie promieniowanie.

Mijamy zajezdnię autobusową, kompletnie zakorkowaną bezładną masą pojazdów. Słyszałem tę historię: po pierwszej fali bombardowania wszystkie miejskie autobusy zostały wysłane do ewakuacji rannych ze strefy rażenia. Ale zanim zdążyły w ogóle wyjechać z baz, eksplodowały głowice elektromagnetyczne, te same, które sparaliżowały kolej. Komunikacja i łączność umarły i od tamtej pory niepodzielnie rządził już chaos.

Po kilku minutach docieramy do estakad dużego, wielopoziomowego skrzyżowania. Od tej strony jest nawet nieźle zachowane. Chcę wejść na górę, żeby rozejrzeć się po okolicy, ale przewodnik szybko mnie zawraca. Natychmiast doceniam jego ostrożność: ledwo znikamy pod osłoną wiaduktu, nad głową słyszę głośny świst i przenikliwy wrzask. Kulimy się odruchowo, podobnie jak podczas przejścia przez Centrum. Czekamy potem jeszcze kilka minut, by sprawdzić, czy bestia nas nie zauważyła, ale na szczęście jej wrzask powoli cichnie w oddali. Idziemy wzdłuż betonowej kolumnady i nagle, za zakrętem, wychodzimy wprost na olbrzymi biały kształt leżący wśród odłamków zawałonych wiaduktów. To wrak dużego samolotu pasażerskiego. Jest tak zniszczony, że nie sposób rozpoznać ani jego typu, ani linii lotniczych, w barwach których latał. Poskręcane, porozrywane blachy poszycia, walające się elementy wyposażenia, wszystko to robi upiorne wrażenie. Przed nami ciągnie się kilkusetmetrowy pas przeoranego asfaltu, zmielonych samochodów i skoszonych słupów – ostatnia droga kolosa. Prawie wszyscy chcą zbadać wnętrze samolotu, ale stalker sprzeciwia się temu stanowczo. Poniekąd trudno nie zgodzić się z jego argumentami: robi się późno, a musimy jeszcze przejść dobrych kilka kilometrów, by wyjść ze strefy skażenia rozciągającej się wokół zbombardowanego centrum. O ile oczywiście nie wejdziemy w jakąś inną strefę skażenia... Zostawiamy więc wrak w jego betonowym grobie i znowu maszerujemy przed siebie. Po dwóch kwadransach stajemy nad krawędzią zerwanego wiaduktu. W dole biegną tory, które porzuciliśmy kilka godzin temu. Szlak kolejowy jest tu w fatalnym stanie: dwa rzędy powywracanych, połamanych słupów trakcyjnych i zwoje powyginanych szyn wyglądają jak nieudany

rollercoaster, byle jak rozciągnięty u naszych stóp. Na niedalekiej stacji żółto-niebieska kolejka podmiejska odmierza długość peronu niczym gigantyczna gąsienica. Z wysokości wiaduktu jak z tarasu widokowego lustruję rozciągającą się przed nami dzielnicę. I nagle coś przykuwa moją uwagę.

– Patrzcie! Patrzcie! – krzyczy w tym samym momencie Julia, wskazując palcem punkt po drugiej stronie torów. – Drzewo! Tam jest drzewo!

Rozdział 14

Przeprawa przez płataninę torów zajmuje nam dobrych kilkanaście minut. Przedzieramy się przez kłębowisko poskręcane metalu, wspinamy się na sterczącą na sztorc betonową klawiaturę podkładów. Trzeba być niezwykle ostrożnym, bo najmniejsze potknięcie grozi nadzianiem na ukryte pod śniegiem żelastwo. Alex o mało nie łamie sobie nóg, zawadzając o kłęb kabli. Wyklada się jak długi, a ciężki plecak wgniata mu głowę w śnieg. Stefan wybucha śmiechem, ale milknie zaraz, kuli się w sobie pod wściekłym spojrzeniem Alexa, który klnąc siarczyście, gramoli się na nogi. Julia pokonuje ten tor przeszkód jako pierwsza. Biegnie w stronę samotnego drzewa i kiedy dociera tam reszta grupy, stoi już przy nim i ogląda je uważnie. To nieduża poskręcana sosna, najpospolitsze kiedyś drzewo miejscowych piasków. Jest martwa, sucha jak wiór, ale stoi.

– Zobaczcie, ono nie spłonęło! – Rozentuzjasmowana dziewczyna gładzi suchą, odłazącą płatami korę.
– Jeżeli ono stoi, to może uda się sprawić, żeby życie tu wróciło! Może...

– To sosna – przerywam jej.

– Co?

– Sosna. To drzewo to sosna. Ono jest martwe. Nie odrosło tu po Armagedonie. Ono po prostu nie spłonęło jak pozostałe. To może oznaczać tylko tyle, że ładunki biologiczne, które spadły na centrum, mają ograniczony zasięg. I gdzieś tutaj się ten zasięg kończy.

– Tak czy inaczej, to świetna wiadomość, prawda?! – wtrąca Piter, obejmując Julię ramieniem.

– Jasne! – zgadzam się dla świętego spokoju.

– Nie chciałbym psuć entuzjazmu młodości, ale ładunki jądrowe mają o wiele większy zasięg i powodują znacznie trwalsze skażenie – psuje nastrój Doktor. – Daleki byłbym od nadmiernego optymizmu...

Franz majstruje coś przy skanerze, Alex i Seba patrzą na drzewo obojętnie, Nguyen poprawia paski plecaka, a Stefan rozgląda się po okolicy zdziwionym spojrzeniem nowo narodzonego.

– O! Tam jest jeszcze jedno! – woła nagle podekscytowany.

– No to co, wszyscy szczęśliwi? – zamyka dyskusję Franz. – Dwa drzewa to już prawie las. Jest super. Idziemy, bo robi się naprawdę późno.

Zarzuca my plecaki i ruszamy zwartą grupą za przewodnikiem.

– To dokąd mamy dziś dojść? – zagaduje go po chwili Doktor.

– Zobaczmy, dokąd się uda. Musimy przed zmrokiem znaleźć jakieś bezpieczne miejsce na nocleg.

– Coś tu jest takiego? Niedaleko...

– Rozejrzyj się, staruszkule! Mało tu domów? Któryś się nada.

– A może moglibyśmy zobaczyć na mapie?

– A masz mapę?

– Nie, ale chyba pan ma?

– Jasne, że nie mam! – stalker wzrusza ramionami.

– Jak to?! – włącza się do rozmowy Alex. – To jak niby mamy trafić tam, dokąd mamy trafić?

– I gdzie to, kurwa, jest?! – dorzuca z bezpiecznej odległości Seba.

– A wy macie ze sobą jakieś papiery?

Kilka osób kręci przecząco głowami.

– No właśnie, a dlaczego ja miałbym zabierać? Taka mapa teraz to cholernie cenna rzecz. Szczególnie dla stalkera. Ale jak tylko wyjdiesz z nią z metra, to po godzinie nie ma mapy. Rozpuszcza się. Nie zauważyliście, że coś nie tak jest tu z drzewami? Celuloza... Tak się chyba nazywa to, co te bomby tak pięknie załatwiły.

– A w tym niby skanerze? Tam miałeś mapę! – podpowiada Seba.

Franz patrzy w jego stronę przez chwilę.

– Cwana z ciebie gapa! Miałem, ale już nie mam. Zasięg kończy się tak gdzieś w okolicach wraku samolotu.

– To znaczy, że teraz już nie wiemy nic o mutantach?! – Przerażony Alex aż przystaje.

– Mówię o zasięgu mapy, skaner działa dalej. Tylko teraz, od kilku kilometrów, wszystko jest na białym tle.

– Ale nas wystraszyłeś! – Nguyen wybucha nerwowym śmiechem.

Z szerokiej pustej ulicy biegnącej wzdłuż torów skręcamy pomiędzy rozsypujące się wille.

– Pan nam jednak nie odpowiedział – wraca do początku rozmowy Doktor. – Jak zamierza pan trafić we właściwe miejsce bez mapy? Może pan już tam był?

Stalker nie odwraca się do Doktora, uśmiecha się tylko szyderczo.

– Może tobie trudno to sobie wyobrazić, ale ja mam tę cholerną mapę w głowie – odpowiada po chwili. – Popatrzyłem sobie dokładnie w Ratuszu i wystarczy. Ja zapamiętuję takie rzeczy. Zawodowa umiejętność, bez tego długo bym się na tym łez padole nie utrzymał w dobrej formie! Wystarczy? Spokojniejsi będziecie? – dodaje po chwili.

Kluczemy w labiryncie wąskich uliczek, kierując się jednak konsekwentnie na południowy wschód. Gęstą, szczelnie otulającą nas ciszę przerywa tylko skrzypienie śniegu pod nogami i delikatne pbrzękiwanie konserw w plecakach. Niskie ciężkie niebo nad nami powoli, acz nieustannie ciemnieje. Delikatnie sypie się z niego szary łupież śniegu. Mijamy okazałe domy, to była kiedyś droga dzielnica. Luksusowa sypialnia Warszawy. Nie z tych najdroższych, ale już z wyższej półki. Duże działki, jeszcze większe wille. Piętrowe, ładnie wykończone, z podjazdami na kilka samochodów. Większość nawet niezłe zachowana. W ogródkach coraz częściej pojawiają się drzewa. Suche, martwe, ale są. Korniki też trafił szlag, jak wszystko, więc mimo upływu lat drewno prawie nie niszczeje. Nie sądziłem, że po kilku godzinach na powierzchni najbardziej będzie mi brakować właśnie widoku drzew i to ich pojawienie się

tak mnie w końcu ucieszy. Niestety, radości i entuzjazmu płynących z tej nieoczekiwanej odmiany krajobrazu nie starcza na długo. Mróz i forsowny marsz wysysają ze mnie siły. Znow jestem głodny, zziębnięty i zmęczony. Śniegu jest wyraźnie mniej niż wcześniej, ale zmęczenie powoduje, że nie idzie mi się wcale łatwiej. Znużenie jest powszechne – już nawet tropy mutantów, sporadycznie przecinające nasz szlak, nie robią na nikim większego wrażenia. Dzielnica eleganckich domów zamienia się w zwykły, podmiejski bałagan. Budynki znowu są brzydkie, chaotycznie poustawiane na coraz mniejszych działkach, zlepione z niepasujących do siebie brył. Pseudoarchitektura, której brzydota kryła się kiedyś we wszechobecnej zieleni, wystawiając swą pokraczność na krótkie światło dnia tylko przez kilka zimowych miesięcy.

– A mogliśmy sobie jakiś taki fajny domek przysposobić na biwak... – marudzi Piter. – A teraz znowu same kurniki... O, chyba żeby ten! – wskazuje samotną, nieźle zachowaną willę.

– Nieee... – marszczy czoło Franz. – Trochę niebezpiecznie.

– Dlaczego? Zobacz, drzwi i okna całe, okiennice nawet są...

– Za mała na dobrą melinę. Jak nas zwącha nawet niewielkie stado, otoczą bez trudu cały budynek i będą tak długo atakować, aż nas stamtąd wygrzebią. A my nie mielibyśmy jak uciec.

– To czego szukasz? Jakiegoś pałacu?

– Pałacu nie, ale powinno tu być niedaleko dobre miejsce. Jeszcze chwilka...

I wtedy dostrzegamy go wszyscy – olbrzymi zielonkawy prostopadłościan wyłania się niespodziewanie zza niskich zabudowań. Ogromny. Nie pasuje do tego miejsca, wygląda jak statek kosmiczny, który zaraz oderwie się od ziemi i zniknie, jakby go tu nigdy nie było.

Rozdział 15

Właściwie powinienem od razu domyślić się, że to będzie nasz cel. Pamiętam przecież czasy, kiedy każdy w Polsce przynajmniej słyszał o tym miejscu. Centrum Zdrowia Dziecka. Największy szpital dziecięcy w kraju, może największy szpital w kraju w ogóle. Ileż to już lat temu? Teraz nie wygląda najlepiej. Eksplozje zdmuchnęły z większości pięter zewnętrzne ściany, odsłaniając szkielet budynku, udekorowany zwisającymi na zewnątrz girlandami kabli, rur i strzępów zszarzałej materii wykładzin. A te kondygnacje, których pokryta grubą warstwą brudu zielonkawa elewacja pozostała z grubsza nienaruszona, straszą mozaiką czarnych, wypalonych okien. Olbrzymi gmach stoi na wzniesieniu, co jeszcze bardziej podkreśla jego upiorną dominację nad tym miejscem. Szeroka aleja u stóp szpitala zastawiona jest porzuconymi samochodami. Wolno posuwamy się w labiryncie wybitych szyb, wypalonych silników i przerdzewiających na wylot kadłubów, kryjących w sobie wysuszone, szare szczątki ludzi, którzy w ostatniej chwili szukali tutaj ratunku. A może chcieli się stąd wydostać? Rozumiem już, dlaczego wszystkie samochody w Śródmieściu są puste – to nie mutanty, to efekt działania bomb biologicznych. Tam kierowcy i pasażerowie rozpuścili się i wsiąkli w tapicerkę, na długo zanim pojawiły się pierwsze potwory. Przez szkło maski widzę załzawione oczy Julii. Nie mówiąc nic, wskazuje na przypięty sparciałymi pasami do siedzenia fotelik. W pierwszej chwili trudno oprzeć się wrażeniu, że to duża, zniszczona przez czas i pogodę lalka. Jednak kolorowy płaszczyk, który jakimś cudem przez tyle lat zachował swe żywe barwy, okrywa suchą jak pergamin, wykrzywioną bólem twarz dziecka.

Stajemy u stóp szerokich schodów, prowadzących do głównego wejścia do Centrum. Wiatr oczyścił je ze śniegu.

– Chcesz tam wejść? – Piter patrzy na Franza z niepokojem.

– Tak! Przenocujemy tu.

– Przecież tam musi się roić od jakichś paskudztw!

– To co, chcesz spać pod gołym niebem? Patrz, namiotu nie wzięliśmy...

Ironia chyba nie pomaga.

– Ale tam naprawdę może ich być mrowie!

– Może. Ale jeszcze więcej kręci się tutaj dookoła...

Nguyen rozgląda się z niepokojem, jakby słowa stalkera miały moc przywoływania upiorów z otaczającego nas cementarzyska rdzy i plastiku. Schody pokryte są ciemnymi, lepiącymi się do butów plamami. Makabryczne materialne cienie. Bezskutecznie staram się je omijać, ale trudno znaleźć wolną drogę. Tylko kości zniknęły i nietrudno odgadnąć dlaczego.

– Co jest?! – Seba zainteresował się moimi nietypowymi ruchami.

– Omijam to...

– A co to jest?

– Ludzie.

– Alex, słyszałeś?! To ludzie są! – osiłek wskazuje na plamę połyskującą przed nim w gasnącym świetle dnia.

– Byli, głupcze! Byli. Teraz to jest gówno...

Seba gapi się na Alexa i rży, jakby usłyszał dobry dowcip. Nagle przerywa i puszcza wiązanek przekleństw.

– Co się stało? – pyta Alex.

– Kurwa, w gówno wlałem! Jezu, w mutancie gówno wlałem! Alex, ale będę miał szczęście!

Teraz śmiechem wybucha Stefan. Seba bierze na niego zamach i chłopak odskakuje w bok, chowając się za Franza.

– Nie wydaje mi się, żeby to przynosiło szczęście – mówi cicho stalker. – Ale na pewno będziesz spał na innym piętrze niż my. A tak poza tym, przestań drzeć ryj – dodaje. – I ty też! – rzuca do Stefana.

Seba, klnąc pod nosem, usiłuje wytrzeć but w śnieg. Stoimy przed wejściem. Szereg zwyczajnych, przeszklonych drzwi. Aluminiowe ramy dyndają na powyrywanych zawiasach, większość szyb jest wybita lub kompletnie zmętniała. Franz ostrożnie naciska klamkę, drzwi ustępują z cichym skrzypnięciem. Kiedy wchodzimy do holu, kroki ciężkich butów niosą się głośnym echem po pustych korytarzach. Każdy ruch podrywa delikatną mgiełkę kurzu. W środku panuje nieopisany bałagan: wszędzie walają się sterty papierów, ubrania ze znajdującej się nieopodal wejścia szatni, połamane meble, resztki trudnych do zidentyfikowania przedmiotów.

– Przytulnie tu... – Piter podnosi z podłogi pęknięty talerz, ogląda go i już ma go wyrzucić, gdy Franz łapie go za rękę. Karcąco kręci głową, kładzie palec na ustach, a potem pokazuje ręką schody i kilka razy wskazuje palcem w górę. Piter delikatnie odkłada talerz.

Wspinam się po schodach najciszej, jak potrafię, ale i tak mam wrażenie, że cały budynek musi już wiedzieć o naszej obecności. Jeżeli nawet nie zdradzi nas tupanie, to będzie to z pewnością sapanie. Niebo gaśnie szybko, korytarze kolejnych pięter pograżają się w mroku. Wdrapujemy się wysoko, goniąc tę odrobinę światła, jaka nam jeszcze została. Siódme, może ósme piętro. Niemal surowy stan – potężna eksplozja wyczyściła wnętrze z wyposażenia, a ścianę z elewacji. Franz wybiera kąt u zbiegu dwóch solidnie wyglądających ścian w centrum budynku i rzuca tam plecak. W tym momencie szare niebo ciemnieje ostatecznie. Zapada zmrok.

– Rozgośćcie się! – zachęca. – I idźcie pozbierać trochę boazerii ze ścian, noce potrafią tu być zajebiście rzeńskie. Hej, hej! – strofuje Pitera, który ochoczo biegnie w stronę klatki schodowej. – Tylko nie ruszać mi się z tego piętra! Aha, i można zdjąć maski – dodaje, wpatrując się w ekran skanera.

Rozłazimy się po naszej kondygnacji. Zniszczenia nie wszędzie są identyczne, bez trudu odnajduję epicentrum eksplozji. To musiał być magazyn tlenu czy jakiegoś innego łatwopalnego gazu. Raczej dość duży magazyn. Butle wybuchły efektownie: wszystkie ściany działowe w promieniu kilkunastu metrów

zniknęły, a sufit i podłoga udekorowane zostały z elegancką symetrią mozaiką poskręcanych szrapneli. Na szczęście gruby żelbetowy rdzeń budynku osłonił spory fragment piętra przed zdmuchnięciem. Gdy tam docieram, widzę, jak Nguyen i Piter taszczą kilka materacy z dziecięcych łóżek. Doktor buszuje po szafkach w poszukiwaniu skarbów, a Stefan pracowicie obdziera ściany z resztek boazerii. Seba i Alex spiskują, kiepsko udając, że czegoś szukają. Pomagam Stefanowi znosić boazerię, zbieram trochę papieru na rozpałkę i wracamy do Franza, który dyryguje już rozstawianiem obozu. Julia majstruje przy maszynie benzynowej, otwiera konserwy. Tym razem jest bardziej elegancko – przekładamy zawartość puszek do okopconego garnka, który Franz wyciąga z plecaka Seby. Po kilku minutach smakowita woń gorącego rosółu, w którym pływają kawałki mięsa i prawdziwe warzywa, ściąga wszystkich do kochera. Nguyen, który na ochotnika przejął obowiązki kucharza, rozlewa pachnący wywar do opróżnionych puszek. Jemy łąpczywie, parząc sobie ręce i usta.

– Tylko dla tego smaku warto było się tu telepać, nie? – Piter rozsiada się wygodnie na materacu, osuszając łąpczywie puszkę z resztek zupy.

– Co prawda, to prawda. Nasza codzienna strawa niestety nawet się nie umywa do tego... – wzdycha Alex.

Piter patrzy prosząco na Nguyena znad pustej miski. Ten jednak rozkłada bezradnie ręce, wskazując równie pusty gar.

– Starczy... – rzuca Franz. – Żebyście z przezarcia się nie pochorowali!

– A co to właściwie jest ta pulpa, którą nas karmią? – Piter nie może przestać myśleć o jedzeniu.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Doktor uśmiecha się ironicznie.

– Zmielone trupy. I oczyszczone gówno – mruczy Seba, wylizując z puszek resztki rosółu.

Julia robi przerażoną minę, Stefan niebezpiecznie blednie, a Franz uśmiecha się pod nosem.

– No, może nie dosłownie, ale to głównie białko. Mocno przetworzone, bezpieczne. I nie z ludzi, nie ze szcurków, ale z grzybów. Przeważnie. Reszta to wypełniacze: skrobia i inne – wyjaśnia Doktor. – Wygląda, jak wygląda, bo nie ma tej całej chemii, którą kiedyś ludzie jedli w olbrzymich ilościach. To ona pachniała i smakowała. Ta nasza papka jest za to całkiem zdrowa.

– U nas jedzenie jest dużo lepsze... – rozmarza się Nguyen. – My potrafimy tak je robić, że nadal jest smaczne, papkę jedzą tylko dzieci i starcy.

– Szczury wpierdalacie! – warczy Seba.

– Szczura to nie jest wcale łatwo złapać...

– Ohyda!

– Jakby cię kto poczęstował, tobyś chętnie udka poobgryzał! – włączam się do rozmowy.

– Tylko by mu trzeba było powiedzieć, że to wiewiórka! – śmieje się Nguyen.

– Zejdźcie ze mnie, dobra? – warczy Seba.

– A co to jest wiewiórka? – pyta Julia.

– To taki szcur, tylko rudy i z puszystym ogonem – tłumaczy Doktor. – Ale to już raczej przeszłość. Za to szczury mają przyszłość – dodaje. – Szczególnie w gastronomii.

Milkniemy. Przyjemne ciepło wypełnia żołądki, pozwala na chwilę zapomnieć o przejmującym zimnie.

Franz sprawnie układa i rozpala nieduże ognisko. Płomyczek pełgający po szczątkach boazerii budzi w tym smutnym miejscu odrobinę magicznego ciepła. Układamy materace tak, by wszystkie były jak najbliżej ognia. Obok leży przygotowany stos równo połamanych desek, powinien wystarczyć na całą noc. Zwijam się na zbyt krótkim materacu, opatulając szczelnie cienkim, wytartym kocem. Obserwuję krzątanie pozostałych, zauważam, że Seba i Alex tak manewrują swoimi siennikami, żeby znaleźć się po dwóch stronach Franza. Cel nietrudno przewidzieć. Jednak zanim zdążę zareagować, stalker wstaje, jakby sobie o czymś przypomniał i wygrzebuje z kieszeni płaszcz kajdanki.

– Jesteś prawo- czy leworęczny? – pyta z niewinną miną Sebę.

Ten gapi się na niego ponuro, nie ruszając się z materaca. Milczy.

– Pytam, bo chcę, żeby ci było łatwiej, jak ci się zachce łać...

– Czego chcesz?

– Jak prawo, to zapnij to sobie na lewej ręce. I wstań, idziemy. – Rzuca kajdanki pod nogi zdumionego Seby i wyjmując z kabury pistolet, przeładowuje go błyskawicznym ruchem. – Podnoś się! – patrzy zimno w oczy osiłka.

Seba wstaje powoli. Jest od Franza prawie o głowę wyższy i potężniej zbudowany. Wojna na spojrzenia jest krótka, ale wymowna.

– Nguyen! Sprawdź, czy dobrze zapiął.

Wietnamczyk zbliża się z wahaniem. Seba wbija w niego morderczy wzrok, ale stalker unosi pistolet i mierzy mu w głowę.

– Wiesz, że nie warto, prawda? I nie zasłaniaj się nim, po prostu zabiję was obu.

– Jest dobrze! – melduje Nguyen, patrząc na stalkera dziwnym wzrokiem.

– Co chcesz ze mną zrobić?

– Nic, chcę mieć po prostu spokojną noc. Jutro mamy szmat drogi do przejścia, muszę się wyspać.

– To śpij!

– Będę! – śmieje się. – A te bransoletki to gwarancja mojego spokojnego snu. Rusz dupę, tutaj, na schody! – wskazuje lufą kierunek.

– Nie zabijaj go! – zrywa się nagle Alex.

Franz nie reaguje. Schodzi za Sebą pół piętra niżej, poza zasięg światła rzucanego przez ognisko i każe mu się przykuć do poręczy schodów. Wstaje i podchodzi kilka kroków w kierunku klatki schodowej. Za mną stają Alex i Stefan.

– Nie zostanę tu, chyba cię pojebało! – drze się histerycznie Seba. – Rozwal mnie od razu!

– Przestań się mazać! – rzuca Franz. – Chłopak nie płaczą!

Seba trzęsie się ze strachu.

– Przypnij się – mówi spokojnie stalker. – Czego się spodziewałeś? Że pozwolę sobie w nocy łeb ukręcić? Obrażasz mnie...

– Zabij mnie lepiej! Nie zostanę tu!

– Zostaniesz. I nie zabiję cię, najwyżej przestrelę ci rękę. Wierz mi, boli jak jasna cholera. I zakażenie może się wdać. Ale iść będziesz mógł. Mówiłem ci już, że jesteś cenny, Sebastianku! Im liczniejsze nasze

poselstwo, tym lepsze notowania ma szansę zebrać nasza podłużna ojczyzna!

– Pierdol się! – krzyczy Seba przez łyzy.

– Ostatni raz proszę...

Stoją naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Wtedy Franz opuszcza powoli lufę w stronę ramienia Seby.

– Dobra! – wrzeszczy ten jak opętany. – Dobra! Szczęśliwy?!

Bransoletka kajdanek zatrząskuje się na rurce poręczy.

– Dobranoc!

Seba siada ciężko na schodach. Nie podnosząc głowy, żegna przewodnika wyprostowanym środkowym palcem.

– Co się gapicie? – wita nas Franz. – Psy na noc zapinamy na łańcuchu, nie?

– Zamarznie tam... – mówi cicho Alex.

– Słuszna uwaga. Zanieś mu jego siennik i koc. Raz w życiu spełnisz dobry uczynek.

Alex szuka wzrokiem Stefana.

– Pomóż mi!

– Dasz radę! – odważa się odszczeknąć Stefan, a Piter przybija mu piątkę.

Taszczy siennik na półpiętro, ale nie próbuje nawet rozmawiać z więźniem. Nerwowo oglądając się za siebie, pośpiesznie wyrwa się z objęć ciemności, w krąg chybotliwego światła.

– Właściwie ciebie też powinienem przykuć, nie? – mówi stalker, patrząc na zasapanego Alexa. – Mam jeszcze jedne kajdanki, byłoby wam raźniej.

– Brzydzę się przemocą! – odpowiada szybko Alex drżącym ze strachu głosem.

– Jasne, chyba że zadawaną cudzymi rękoma...

– Z mojej strony nic ci nie grozi!

– Wiem, jesteś zbyt wielkim tchórzem.

Gapimy się w płomień, jednak nastrój sprzed kilku minut jakoś się ulotnił. Każdy z nas na nowo układa się do snu.

– Myśleliście, że teraz tak po prostu wszyscy pójdziemy w kimono? – pyta stalker, przerywając niespodziewanie ciężką ciszę. – Nie ma tak dobrze! Będą warty. Po dwóch, będziecie spokojniejsi i będziecie się nawzajem budzić. Kto ma zegarek?

Odpowiada mu cisza.

– Dobra, Alex cwaniaku! Wyskakuj z sikora. Widziałem wcześniej. Nie bój się, ja ci go nie zabiorę. Kładziesz go tu, przy ognisku i każdy widzi, kiedy mijają dwie godziny. Zaczynacie ty i ty – wskazuje na mnie i na Pitera. – Potem staruszek i panienska, Nguyen i Alex, a na końcu ja ze Stefanem. Jakby się coś działo, cokolwiek podejrzanego, nie robić rabanu, tylko po cichutku mnie budzić. Tylko nie wszczynać alarmu, jak któryś głośniej pierdnie! I pamiętajcie o ognisku. Drewna powinno wystarczyć, jak nie zrobicie tu jakiegoś stosu ofiarnego.

Doktor podnosi rękę.

– Mamy tu siedzieć czy trzeba chodzić?

– Można się poruszać, żeby nie zasnąć i żeby się trochę od czasu do czasu rozgrzać. Tylko ostrożnie: żeby nikt nie wlaźł po ciemku w jakąś dziurę, nie spadł z piętra i nie robił niepotrzebnie łomotu, jak się o coś potknie. Aha, i jak jeden łązi, drugi siedzi tutaj i pilnuje ogniska. I jakby co, budzi mnie. Wszystko jasne?

Wyłazę spod koca, pod którym zdążyłem się już zagrzebać, ale właściwie jestem zadowolony: lepiej przedłużyć sobie trochę dzień, niż zrywać się w środku nocy wyrwany z pierwszego snu. Rozglądamy się z Piterem po okolicy, próbując znaleźć najlepsze miejsca do pełnienia warty. Reszta układa się bez gadania i cienkie koce naciąga na głowy. Po kilku minutach od strony ogniska słychać już tylko miarowe pochrapywanie. Na schodach Seba monotonnie mamrocze litanie przekleństw, niespełnionych gróźb i niewysłuchanych skarg. Siedzę przy krawędzi budynku. Za plecami płomień ogniska rzuca na sufit i ściany chybotliwe cienie, przede mną rozciąga się morze ciemności. Po kilku minutach gruba warstwa chmur rozstępuje się na chwilę i na mroźnym niebie rozbłyskują miriady gwiazd. W ich niebieskim świetle skrzy się nawet mały obłoczek pary, unoszący się przed moją twarzą. Gdziekolwiek by spojrzeć, otacza nas cicha ciemność. Świadomość, że oto siedzimy przy jedynym ognisku w promieniu setek, a może tysięcy kilometrów, przygniata.

– Jesteśmy jak jaskiniowcy, co? – zagaduję Pitera.

– No... Tylko mamutów brakuje.

– Mamy mamuty, nawet lepsze! – uśmiecham się. – Tylko że to nie my na nie, ale one na nas polują.

Milczymy znowu, nie mogąc oderwać oczu od rozgwieżdżonego nieba.

– Widziałeś takie kiedyś? – pytam.

– Gwiazdy? Nie... To znaczy może widziałem, ale nie pamiętam. Miałem cztery lata...

– To niesprawiedliwe, co?

– Co jest niesprawiedliwe? – budzi się z zamyślenia.

– To, że nam je zabrano. Gwiazdy znaczy. Że już ich nie oglądamy.

– No, ktoś je jednak czasem ogląda...

– Co masz na myśli? – pytam z ciekawości.

– No, on – kiwa głową w stronę Franza. – Czasem je pewnie widzi. Wychodzi przecież non stop. I inni stalkerzy też chyba wychodzą. My wychodzimy... No i wychodzą też czasem cywile...

– ?!

– Nie słyszałeś tego młodego na Stadionie?

– Mów ciszej – ostrzegam, domyślając się, co chce powiedzieć.

– Dobra, śpi przecież.

– Śpi albo i nie śpi. A tamtego słyszałem...

– No, a słyszałeś o jakichś innych cywilnych wycieczkach ostatnio?

– Zupełnie nie, słyszałem za to wiele razy, że nikt w ogóle nie wychodzi.

– No widzisz! Mi to się wszystko układa! – mówi podekscytowany. – A wiesz, co znaleźliśmy kilka miesięcy temu?...

– Cicho! – przerywam mu i sam zastygam w milczeniu. Mam wrażenie, że głos stalkera odłączył się

kilka chwil temu od chóru chrapiących.

– Franz! – szepcą cichuteńko. Cisza.

– Śpi – mówi po chwili Piter.

– Dobra, jutro o tym pogadamy, za dnia – ucinam.

Niebo ponownie zasnuwa się nieprzeniknioną zasłoną chmur. Wstaję i dorzucam kilka deseczek do ogniska. Przy okazji zerkam na Franza. Leży z otwartymi ustami, pochrapując cicho. Głowę opiera na karabinku przywiązanym do nadgarstka parcianą taśmą.

– Nie pamiętasz tamtego świata, prawda? – pytam dwie minuty później. Widzę wpatrujące się we mnie błyszczące oczy chłopaka. Namysła się długo, zanim odpowie.

– Nie wiem właściwie – wzrusza w końcu ramionami. – Miałem cztery lata, w zasadzie powinienem coś pamiętać. Ale to chyba raczej opowieści matki, wszystkich tych przyszywanych ciotek, wujków i znajomych ze stacji. To, co pamiętam, to bardziej ich wspomnienia niż moje.

– A ten świat, ten tutaj, nie w metrze? Pasuje do tamtego obrazu?

– Nie bardzo. Tego świata nikt z moich bliskich wtedy nie widział, nie mógł mi o nim opowiedzieć. Więc dla mnie to nowość...

– Jak wycieczka do krainy baśni...

– Taaak! – śmieje się. – Ale takich groźnych baśni.

Jakby na potwierdzenie jego słów gdzieś nisko, u naszych stóp, rozlega się stłumiony ryk, odgłosy krótkiej szamotaniny i przeraźliwy kwik zagryzanego stworzenia. Potem chrzęst rozrywanego mięsa i odgłosy krótkiej gwałtownej uczty. Potem znowu wszystko cichnie.

– A ty, co robiłeś wcześniej? – pyta po chwili Piter.

– W metrze? Pracuję na Politechnice...

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi – przerywa mi. – Wcześniej, przed Armagedonem.

– Uczyłem się. Studiowałem. Właśnie miałem założyć rodzinę.

– Przykro mi...

– Mnie też.

– A... A możesz mi powiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło?

– Do tego? – pytam, zataczając ręką łuk i wskazując gołe okopcone ściany, potrzaskaną elewację budynku i zwisający nad moją głową stalaktyt czarnych od brudu bandaży z wyższego piętra.

– Tak, do tego.

Milczę dłuższą chwilę. Patrzę w lepką czarną pustkę przede mną.

– A tego ci ciotki i wujkowie nie opowiadali?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Kręcili tylko, że nie powinno było do tego dojść, że wszyscy są trochę winni, że im przykro...

– To nie poczucie winy, żadna skrucha...

– To co?

– Pomyśl, dlaczego nie chcą o tym mówić.

– Dlaczego nie chcą mówić? – powtarza pytanie.

– No...

– Nie wiem.

– Bo nic się nie zmieniło.

– Jak to nic się nie zmieniło? Wszystko się przecież zmieniło!

– Wszystko, tylko nie ludzie. Ludzie się nie zmienili. Myślisz, że jakby teraz jeszcze było co odpalić, to

by się ktoś przez sekundę zawahał?

– Jakby wiedział, jak to się skończy?

– No, jakby wiedział.

– No, nie wiem... Pewnie by się zawahał...

– Gówno prawda! Sekundy nawet by się nie zawahał. To żadne poczucie winy – w nas ciągle siedzi ta nienawiść. Niczego się nie nauczyliśmy. My się w ogóle nie uczymy. Popatrz na tamtych...

– Na Sebę i Alexa? – domyśla się bezbłędnie.

– No, choćby na nich. Słyszałeś, co ten wielki cymbał powiedział? Że on to z przekonania jest demokratą! Bo wszystkich równo nienawidzi. Wszystkich by równo zajebał, że go zacytuje. Z czego płynie to jego dobre samopoczucie? A z czego płynie samozadowolenie tego cwaniaka, co udaje papieża? Czym oni się pasą?

– ?

– Nienawiścią, młodzieńcze. Silniejsza jest tylko miłość, ale głupsza i bardziej naiwna.

Piter milczy. W wąłym świetle ogniska widzę, że patrzy na Julię.

– Idź, dorzuc do ognia – mówię. – I zobacz, która godzina. Już tu trochę siedzimy, spać mi się chce.

Wraca po chwili.

– Jeszcze pół godziny.

Wstaję, żeby rozprostować kości. Przeciagam się, nieźle zmarzłem siedząc tu, z dala od ogniska.

– Przejdę się trochę, posiedź tu, jakoś damy radę te kilka minut.

Wreszcie dopada mnie całodziennie zmęczenie. Nie śpię już przecież ponad dobę. Ziewam tak, że o mało nie zwichnę sobie szczęki. Spaceruję po pięttrze, nie oddalając się zbyt od ogniska. Najpierw zaglądam na klatkę schodową. W ciemności połyskują bransoletki kajdanek, Seba śpi na schodach, chrapiąc nieregularnie. Potem zataczam szeroki łuk. Widzę Pitera kucającego przy ognisku, wpatzonego w delikatną, uśpioną twarz dziewczyny, sylwetki śpiących powiększone na ścianach przez światło płomieni. Widzę otaczającą nas nieprzeniknioną czerń, która przepływa swobodnie przez ażurową, odsłoniętą konstrukcję budynku. Siadam na chwilę na betonie i wciągam do płuc zimne, pachnące dymem powietrze. Roztapiam się w nim.

– Chodź! – macha do mnie Piter. – Budź Doktora, już czas.

Chwilę trwa, zanim Julia i Doktor zaczynają pojmować, czego od nich chcemy. Układam się w tym czasie jak najbliżej ognia i owijam szczelnie kocem. Pół minuty później zapadam w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Rozdział 16

Budzę się tak samo nagle, jak zasnąłem. Jest już jasno, ale świt jest blady, bez wyrazu, nie sposób ocenić, która może być godzina. Ognisko dawno wygasło, trzęsę się z zimna. Rozglądam się dookoła. Coś jest nie tak. Julia siedzi na krawędzi materaca, rękoma obejmuje kolana i cicho szlocha, koło niej klęczy z ponurą miną Stefan, trzymając w rękach kilka desek. Nguyen kiwa się w kuckach pod ścianą, gapiąc się bezmyślnie w stronę klatki schodowej. Doktor śpi jeszcze, kręci się nerwowo pod kocem, a Franz krząta się przy ognisku, starannie układając podpałkę pod deseczkami boazerii. Obok stoi kilka butelek wody i garnek. Zrywam się gwałtownie i dopiero teraz spostrzegam siedzącego na piętach za moimi plecami Alexa. Ma soczyście fioletowego siniaka pod okiem, a z rozciętej, spuchniętej jakby miała pęknąć wargi i rozbitego nosa sączy się krew. Wpatruje się intensywnie w porwany, pokryty brunatną skorupą zaschniętej krwi siennik. Rozmazany krwawy ślad ciągnie się od niego w kierunku klatki schodowej.

– Co się stało?! Gdzie jest Piter?! – krzyczę.

Odpowiada mi milczenie. Julia zanosi się szlochem, Franz nie przerywa zabawy z rozpalaniem ogniska. Doktor mruczy, przeciąga się i wystawia głowę spod koca.

– Co się dzieje? Dlaczego kolega tak się drze?

Rozgląda się i momentalnie zrywa na równe nogi.

– O jasna cholera! Co tu się stało?!

– Julia! – podchodzę do dziewczyny i przykucam koło niej. – Co tu się stało?

Podnosi na mnie załzawione oczy.

– Nie wiem, Piotr zniknął...

– Kiedy?

– Nie wiem, ja spałam. Jak kończyliśmy naszą wartę, to on spał, wszystko było jeszcze w porządku...

– zanosi się płaczem.

– Obudziliśmy Alexa i Nguyena – mówi Doktor, osuwając się ciężko na podłogę.

– Alex, co się stało?!

– Odpiełdolił się, to piesz tego szmaciasza – odpowiada, nie patrząc na mnie. Delikatnie dotyka ręką opuchniętej wargi.

– Nguyen, to prawda? – pytam, podchodząc do Wietnamczyka.

– Ja już wszystko tłumaczyłem Franzowi. To wcale nie moja wina. On miał pełnić wartę ze mną, prawda? A jak tylko pan starszy i dziewczyna zasnęli, to poszedł spać. Zbluzgał mnie strasznie i powiedział, że ma to wszystko w dupie i chce się wyspać. I że bym sam pilnował, bo mi nogi z dupy

powyrywa.

– Dlaczego nie obudziłeś Franza?!

– Nie chciałem, myślałem, że dam radę sam.

– To jego było chociaż budzić, nie dać mu zasnąć!

– Próbowałem, ale zaczął mi strasznie grozić. Powiedział, że Seba mi rano łeb ukręci. Albo że wypadnę stąd na dół. Różne rzeczy obiecywał, że mi Seba zrobi.

– Sebastian! – przypomina sobie nagle Doktor, patrząc w kierunku schodów, gdzie znika krwawy ślad.

– Byłem tam, nic mu nie jest – włącza się nagle do rozmowy stalker. – No, może tylko z higieną ma pewien problem...

Podchodzę do klatki schodowej i schodzę kilka stopni w dół. Seba siedzi na sienniku, podkurczając nogi wysoko pod brodę, jakby obawiał się dotknąć krwawego śladu, który mija go w odległości kilkunastu centymetrów. Wygląda, jakby wpadł w stupor – nie reaguje na nic, niewidzący wzrok zawiesił gdzieś w nieokreślonym punkcie przestrzeni. Bransoletka kajdanek wrzyna mu się w przegub, krew cienką strużką ścieka po rękawie. Kapiąca z nogawki gęsta, brunatna ciecz tworzy u jego stóp małą kałużę. Smród na schodach aż mdli. Wracam na górę.

– On musiał to wszystko widzieć – mówię do stalkera. – Mówił coś?

– Nie. I nie sądzę, żeby kiedyś opowiedział.

– Dlaczego?

Franz wzrusza ramionami. Ustawia na palniku kochera garnek z wodą.

– Daj herbatę! – wyciąga rękę do Nguyena.

– To coś przeszło koło niego dwa razy, na pewno coś widział... – krzyczę.

– Pewnie, że widział, widziałeś go przecież.

– No to wie, co to było, i wie, dokąd poszło!

– A co? – Franz odwraca się powoli w moją stronę i patrzy mi prosto w oczy. – Chcesz iść i go szukać?

Milknę.

– A nie powinniśmy? – staje po mojej stronie Doktor.

Julia przestaje płakać, podnosi głowę. Słucha uważnie.

– Jak chcecie, to droga wolna! Nie będę was powstrzymywał. Ale powiem wam, co tak naprawdę wszyscy powinniśmy. Powinniśmy się cieszyć, może nawet w ramiona sobie paść i się wyściskać czy co, że tak tanim kosztem się obeszło...

– Tanim kosztem? – Julia wpatruje się w przewodnika zapłakanymi oczami.

– Dobra, przepraszam panienko. Że nikt więcej nie zginął. Żyjecie, cieszcie się! Nauczyliście się już chyba, że życie to tutaj stan bardzo przejściowy.

– I ta wykwintna maksyma zwalnia pana z obowiązku niesienia pomocy i odczuwania współczucia, tak? – denerwuje się Doktor.

– To ci, mądralo, powiem wprost: jeżeli mam położyć na szali swoje życie i twoje dobre samopoczucie, bo tamtemu już i tak nie pomogę, on jest już od dawna trupem, to wybór jest dla mnie

oczywisty. A ty, jak chcesz, to zasuwasz! – I dodaje po chwili: – A teraz herbatka i w drogę.

Nguyen rozlewa gorący grzybowy napar, który w smaku bardziej przypomina stary skisły rosół niż herbatę, ale wszyscy przywykli go tak nazywać. Pijemy, nie patrząc na siebie.

– Czo s Szebą? – mamrocze Alex.

– Nic, zabierzemy go ze sobą.

– A jemu co się właściwie stało? – pytam Nguyena, wskazując głową Alexa.

– Franz mu wytłumaczył, że źle zrobił, zasypiając.

Przewodnik pakuje kocher i garnek do plecaka Seby, wstaje, rozgarnia nogą ognisko. Poprawia swój ekwipunek i broń, szuka czegoś w kieszeni spodni.

– Zebrać koce, sienniki na kupę i tu, w ką. Nie wiadomo, czy się jeszcze komuś nie przydadzą...

– Może nam, w drodze powrotnej? – mówię cicho.

– Może nam... – wzrusza obojętnie ramionami. – I zobaczyć, czy niczego nie zapomnieliście. Alex, twój zegarek!

Zbieramy się powoli, niechętnie. Wiążę tylko mocniej buty, poprawiam sweter pod kombinezonem i zaciskam pasek. Do plecaka ładuję koc i pustą puszkę po konserwie. Podchodzę do krawędzi budynku. Dopiero teraz, w świetle dnia widać ogrom, ale też opłakany stan Centrum. Większość otaczających główny gmach pawilonów jest kompletnie zrujnowana: zarwane stropy, poprzewracane ściany, fragmenty szpitalnego wyposażenia wyrzucone na śnieg, pordzewiałe i połamane. Śnieg na podjeździe do szpitala jest wydeptany i pokryty zastygłymi kałużami czarnej posoki – świadectwami nocnych harców mutantów. W oddali majaczy szczerbata panorama centrum Warszawy. Obchodzę piętro dookoła i tutaj czeka mnie niespodzianka: od południa i od południowego wschodu szpital otoczony jest lasem. Przytłaczająco ponurym, martwym, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niedaleko, gdzieś na horyzoncie unoszącej się w powietrzu szarej mgły, dostrzegam kilka zielonych plam. Przywołuję Doktora i dzielę się z nim moim odkryciem. Stoimy, wpatrując się jak urzeczeni w rozciągający się u stóp Centrum krajobraz.

– Napatrzycie się jeszcze, tamtędy idziemy. – Podskakuję jak dźgnięty rozżarzonym prętem, dobrze, że stałem w bezpiecznej odległości od krawędzi budynku. Za to Franz jest wyraźnie rozbawiony wrażeniem, jakie udało mu się wywołać swoim bezgłośnym pojawieniem się za naszymi plecami. – Idziemy już – mówi. – Wszyscy są gotowi.

Rusza pierwszy, niosąc w ręce plecak Seby. Schodzi po schodach, pochyla się nad nim i odpina mu kajdanki. Potem wiesza mu plecak na ramieniu. Olbrzym nie reaguje, nie wykonuje żadnego ruchu.

– Wstawaj! – stanowczym tonem nakazuje stalker. – Ja pierdolę! Powinienem być założyć maskę!

Schodzi pierwszy. Seba wstaje posłusznie. Stoi z opuszczonymi rękoma, gdy mijamy go gęsiego, wstrzymując na chwilę oddech. Alex idzie jako ostatni.

– O Bosze, ale szmród! – wzdycha, wywracając oczami. Łapie się za nos, ale puszcza go natychmiast z sykiem. – Jeszu, jak ja tego szkurwyszyna nienawidzę! – syczy do siebie. Potem trąca Sebę palcem wskazującym. – Chocz, wesz ten pleczak i rusz szę!

Pomaga mu włożyć ręce w pętle pasków, a potem ciągnie go za sobą za jakiś wiszący przy kombinezonie trok. Seba rusza posłusznie, stawiając kroki mechanicznie, jak cyborg. Nie odzywa się ani

nie patrzy na nikogo. Nie jest też zainteresowany niczym dookoła. A jest na co popatrzeć, wczorajszy mrok oszczędził nam mnóstwa szczegółów. Nasze piętro było dokładnie oczyszczone przez eksplozję, ale widoki, które teraz migają nam przed oczyma, mogłyby nas skutecznie powstrzymać przed pomysłem nocowania tutaj. Wiem, że na zewnątrz byłoby bez porównania bardziej niebezpiecznie, ale widzę teraz, jak bardzo naiwne było przekonanie, że tutaj będzie lepiej. Co chwila napotykamy ślady mutantów: odchody, zachlapanie czarną posoką korytarze, śluzowate ścieżki biegnące we wszystkich kierunkach. Smród jest nie do wytrzymania. Zastanawiam się, dlaczego wczoraj tego nie czułem. Odruchowo sięgam po maskę i już wiem. Smród znika.

Czerwony krwawy ślad prowadzi nas schodami w dół, jakby Piotr chciał być przed nami tam, dokąd idziemy. Julia cicho łka, nie odrywając od niego wzroku. Po chwili jesteśmy na dole, w lobby przy głównym wejściu. Tutaj ślad zakręca, znika w zejściu do podziemi. Julia staje w pustych drzwiach i patrzy w nie, jakby czekała, aż czająca się tam ciemność również po nią wyciągnie swe czarne ramiona. Stalker podchodzi do niej cicho, otacza ramieniem.

– Chodź – mówi zaskakująco ciepło i delikatnie.

Julia stoi chwilę bez ruchu, po czym nagle odpycha rękę Franza.

– Odejdź! Zostaw mnie, potworze! – krzyczy, okładając go drobnymi piąstkami.

Stalker nie broni się, ale chwyta stanowczo ramiona dziewczyny i powtarza:

– Chodź!

I nagle z piwnicy wydobywa się głuchy, dudniący warkot, jakby głos ogromnego psa. Jest blisko, tuż za zakrętem schodów. Za chwilę ciemność wypuści go ze swoich objęć. Na chwilę, ale to z pewnością wystarczy. Musi już widzieć sylwetki stojących w drzwiach ludzi. Warknięcie przechodzi w wysoki, świdrujący wrzask. Czuję ten wrzask w głowie, ściska mi żołądek i jeży włosy na całym ciele. Kątem oka widzę, jak Seba z cichym stęknieniem pada na ziemię, zaciska wielkie dłonie na głowie, jakby chciał ją zmiażdżyć, aż oczy wychodzą mu z orbit. Reszta stoi jak zahipnotyzowana, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Franz obraca się gwałtownie, odpycha Julię daleko, w stronę drzwi, po czym odwraca się z powrotem, zrywając z ramienia kałasznikowa.

– Wiaaaać! – ryczy do nas i posyła krótką serię w ciemny otwór drzwi.

Błyszczące łuski szybują w powietrzu i zanim zdążą zabrzęczeć na marmurowej posadzce, Franz wyrывa coś zza paska i ciska z rozmachem w ciemność. Słyszę dźwięczny stukot metalu na schodach piwnicy. Potem stukot milknie, milknie też wrzask potwora, zamieniając się w pełen zaciekawienia pomruk. A potem jego ciekawość zostaje zaspokojona. Najpierw czuję, jak podłoga usuwa mi się spod nóg, potem na chwilę wraca, kopie mnie w stopy, falując, jakby była nie z betonu, lecz ze sprężystej blachy. Fala uderzeniowa przewraca mnie i toczy w chmurze fruujących wokół papierów w stronę drzwi z taką lekkością, jakbym był tylko jeszcze jedną zbutwiałą tęczką historii choroby. Huk wybuchu wgniata bębenki uszu i wypycha z czaszki gałki oczu. Widzę, jak szklane drzwi strzelają na zewnątrz miliardem odłamków, na szczęście jestem jeszcze w środku. Potem równie nagle wszystko cichnie, zamiera, a z piwnicznych drzwi majestatycznie wypływa czarna chmura cuchnącego dymu. Podmucha zerwał stalkerowi maskę, krztusi się teraz, biegnąc w kierunku wyjścia. Też zrywam się na równe nogi,

dziwić się w duchu, że nic sobie nie połamałem. Wybiegam na ośnieżone schody, zrywam z głowy pokrytą lepkiem pyłem maskę i chciwie zaciągam się zimnym, pachnącym pustką powietrzem.

Rozdział 17

Padam na kolana i dyszę jak zziajany pies. Usiłuję zogniskować wzrok na przerdzewiałej kratce wycieraczki, z całej siły zaciskając na uszach dłonie. Żeby choćby na moment wyłączyć świdrujący czaszkę pisk!

– Jazda, nie możemy tu siedzieć, zaraz tu będzie cała horda! – Franz wrzeszczy jak opętany, ale słowa docierają do mnie z opóźnieniem, z daleka, jak przez grubą warstwę waty. – Wszyscy cali? Nikt się nie połamiał?!

Odpowiada mu cisza. Oszołomione niewidzące spojrzenia. Po minucie jest już trochę lepiej – zmysły na powrót ustawiają rozsypaną układankę otaczającego świata. Rozglądam się, liczę obecnych. Wstają powoli, chodzą, nie jest źle.

– Idziemy tędy! – woła stalker. – Ruszać się! I zakładać maski!

Pomagam wstać Julii, Nguyen prowadzi Doktora, Alex poszturchuje Sebę, wciąż obecnego między nami wyłącznie ciałem. Stefan płacze się bez celu, aż w końcu puszcza się biegiem za przewodnikiem. Obchodzimy olbrzymi kompleks szpitala od wschodu. Pełno tu krzyżujących się śladów najdziwniejszych łap, udeptany śnieg upstrzony jest czarnymi plamami. Krew i gówno. Spod śniegu wystają ogryzione do czysta kości. Czuję się, jakbym obudził się nagle z koszmarne snu, w którym pożerają mnie tygrysy. W samym środku wybiegu dla lwów. Tym razem mamy jednak szczęście – nie spotykamy żadnego z uroczych mieszkańców tej okolicy.

– Jak on mógł nas tutaj przyprowadzić? – szepce oburzony Doktor.

Mijamy zastawiony rdzewiejącymi autami parking, kilka zawalonych pawilonów i docieramy do dziurawego ogrodzenia szpitala. Po drugiej stronie czeka na nas las. Choć jeszcze przed momentem cieszyłem się tak na jego widok, to teraz, patrząc na niego z bliska, czuję obezwładniający strach. Zupełnie jakbym schodził do krypty, w której czają się złe wspomnienia. Przedzieram się przez zwoje zardzewiałej siatki i powoli, z nabożeństwem podszytym lękiem wchodzę między pierwsze drzewa. Są suche i martwe, jak teatralne dekoracje. Julia rozgląda się z obawą w oczach, Franz i podążający za nim krok w krok Stefan prą do przodu. Alex podchodzi do zmiany krajobrazu praktycznie: wynajduje sobie solidny kostur, który posłuży mu do bezdotykowego kierowania Sebę.

Po kilkuset metrach przedzierania się przez plątaninę suchych połamanych gałęzi i powywracanych drzew wychodzimy na leśny trakt. Ten, wytyczony jakby od linijki, ciągnie się na południowy wschód aż po horyzont. Franz mówi, że to nasza droga. Zatrzymuje się na chwilę, sprawdza na skanerze poziom promieniowania i ruchy mutantów: po ekranie urządzenia powoli przemieszcza się kilka czerwonych

punktów. Według słów przewodnika są daleko i nie powinny nam zagrażać. Chciałbym wierzyć w jego zapewnienia, ale przecinające co chwila dukt łańcuszki tropów nie do końca mi na to pozwalają. Mimo że w lesie śnieg nie jest już takim problemem jak na odkrytej przestrzeni, marsz skutecznie utrudniają pnie powalonych drzew. Te mniejsze da się po prostu przeskoczyć, ale te naprawdę duże musimy mozolnie obchodzić lub gramolić się między połamanymi gałęziami. Grupa rozciąga się na dobre kilkadziesiąt metrów. Na przedzie idzie Franz z nieodstępującym go od rana Stefanem. Nguyen zagaduje Doktora o szczegóły jakichś badań prowadzonych na Politechnice, a Alex za pomocą kija motywuje poruszającego się jak zombi Sebę do szybszego marszu. Wbrew zaleceniom Franza zdjął maskę, przykłada do rozbitej wargi grudki śniegu. Ja pilnuję Julii. Dziewczyna jest załamana, mam wrażenie, że zostawiona bez opieki, usiadłaby zaraz w śniegu i została tu sama na pewną śmierć. Nie umiem jej pocieszyć, trudno znaleźć coś dającego otuchę w naszej historii. A przyszłość nie zapowiada się dużo lepiej. Cel naszej wędrówki wciąż pozostaje daleki i niejasny, historyjka o grupie rozbitków, którym mielibyśmy nieść pomoc, coraz bardziej przypomina kiepską bajkę dla wyjątkowo naiwnych dzieci. Jeżeli ktoś tu jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje pomocy, to jedynie my. Aż śmiać mi się chce, gdy pomyślę, jak łatwo daliśmy się wciągnąć w to beznadziejne przedsięwzięcie.

– Julia? – Staram się mówić jak najciszej, bo w zimowym lesie głos niesie się daleko. – Ostatniej nocy rozmawialiśmy trochę z Piotrem... Mam wrażenie, że chciał mi coś powiedzieć, coś ważnego...

Dziewczyna patrzy na mnie załamionymi oczami. Zatrzymuję się, pozwalam Alexowi przepchnąć Sebę kilkanaście kroków do przodu.

– Powiedział, że coś znaleźliście...

Długo patrzy na mnie w skupieniu.

– Nie wiem, czy mogę ci zaufać – mówi.

Milczę.

Choć zapłakana, prostuje się, bacznie mi się przyglądając z poważnym wyrazem twarzy. Zdejmuje maskę i odrzuca z czoła spocone włosy.

– Ale teraz to i tak nie ma już chyba większego znaczenia – zaczyna.

Rozdział 18

To nie było dawno, zaledwie kilka miesięcy temu. Było wtedy bardzo zimno. Nie tak zwyczajnie zimno jak zawsze, jak teraz. Wy tam, na Politechnice, pewnie macie termometry, ale u nas to rzadkość. A na pewno nie mają ich ci, którzy wychodzą na górę. Piotr nie miał, ale mówił potem, że było zimniej niż zwykle. To dobrze, bo wtedy psów jest mniej, a i niedźwiedzie gdzieś się zagrzebują. To znaczy ani psy nie są psami, ani niedźwiedzie niedźwiedziami, ale tak je nazywamy, bo są trochę podobne. Psy biegają całymi stadami i strasznie trudno je zabić. Są zwinne i szybkie, i bardzo niebezpieczne. Inaczej niedźwiedzie – te nie są ani zwinne, ani szybkie, ale jeszcze bardziej niebezpieczne. Praktycznie w ogóle nie da się ich zabić. I chodzą tymi ścieżkami co ludzie. Też ciągle czegoś szukają i tak się składa, że bardzo często w tych samych miejscach co my. W sklepach, mieszkaniach, piwnicach. Po biurach nie chodzą, widać nic tam nie ma dla nich interesującego. Podobnie jak dla nas. Bo dziurkacze i zszywacze nie są nam za bardzo potrzebne. Nie za bardzo mamy nimi co zszywać ani co dziurkować. Jak chłopaki natkną się na niedźwiedzia, to najlepiej jest uciekać. Nie ma co walczyć, trzeba wiać. Jak najszybciej. Gorzej, jak to niedźwiedź wpadnie na nich. Bo wtedy zwykle odcina im drogę ucieczki. Dlatego zawsze starają się najpierw dobrze przyjrzeć miejscówce, żeby obczaić ewakuację. Tak mówią: obczaić ewakuację. Ale przecież najlepsze rzeczy znajduje się w nowych, nieznanach miejscach. A jak miejsce jest nieznanne, to i droga ewakuacji też jest nieznaną. A czasem po prostu jej nie ma. Ślepa uliczka. No i jak wtedy niedźwiedź wejdzie, muszą walczyć. Piotr opowiadał, że znalazł się w takiej sytuacji tylko dwa razy. Za każdym razem ktoś z grupy nie wracał do domu. Bo to w zasadzie jedyne, co zatrzymuje niedźwiedzia. Jak ma zdobycz, to resztę zostawia w spokoju. Piotr strasznie się bał, że na niego w końcu padnie. Mówił, że nie boi się promieniowania, że psów nawet mniej, ale najbardziej tego, że kiedy będzie go miś rozszarpywał, chłopaki po cichutku wtedy zwieją. Ujdą z życiem. Nie bał się bólu czy śmierci. Mówił, że to szybka śmierć, tylko chrup, chrupnie czaszka i potem jesteś już tylko mięsem. Ale bał się tego upokorzenia, że on tam zostanie w charakterze obiadu, a oni uciekną i nawet go potem nikt specjalnie nie będzie wspominał, bo takich się nie wspomina. To przynosi pecha.

No wiem, przepraszam. Ale nie mogę, same lecą. Zaraz przestanę.

No i wtedy poszli aleją KEN, z Imielina do Stokłosów. To krótki odcinek, ale dość niebezpieczny i dlatego rzadko sprawdzany. I zabudowa jest rzadsza, więc się trzeba więcej nachodzić. A jak dłużej jesteś na powierzchni, to dłużej się prosisz o kłopoty, chłopaki tak mówią. I dlatego zazwyczaj chodzi się w kierunku Natolina – tam mają kilka szybów technicznych po drodze i w razie niebezpieczeństwa łatwiej się ukryć czy wrócić nawet tamtędy do metra. No, ale jak wszyscy tam chodzą, to nie jest wcale

łatwo coś ciekawego znaleźć. I dlatego wtedy, z powodu tego mrozu, postanowili, że zaryzykują i pójdą na Stokłosy. Bo ryzyko powinno być mniejsze niż normalnie. Przeszli mniej więcej połowę drogi, do Ciszewskiego, tam jest taki olbrzymi magazyn, a może sklep... Piotruś mówił, że tam jest w środku strasznie niebezpiecznie, ale warto zajrzeć, bo tyle lat tam już chodzą, a jeszcze wszystkiego nie zdołali przejrzeć. I że czasem niesamowite rzeczy się tam znajduje, nawet konserwy można, jak się ma szczęście. Ale wtedy znaleźli coś zupełnie innego.

Nie wiem, czy to było szczęście, czy może wcale nie. Chyba raczej nie, bo gdyby nie to, wszystko przecież potoczyło by się zupełnie inaczej. Znaleźli ją. Znajdę. Tak o niej mówimy. Nie daliśmy jej imienia, bo trochę nam było głupio... Bo Znajda... Ona nie do końca jest chyba człowiekiem. To znaczy ja sama nie wiem. Przecież ona tak długo z nami była... Opiekowałam się nią tyle czasu i patrzyłam na nią ciągle, i ciągle miałam wątpliwości. To znaczy, bo Znajda to dziewczynka, mała, ma tak z dziesięć lat mniej więcej, bo dokładnie to nie sposób powiedzieć. No, jest dziwna, ale ja dużo dzieci widziałam, bo u nas w Koalicji jest sporo dzieci, i – moim zdaniem – sporo jest nawet bardziej od niej dziwnych. W sensie, że niekontaktowych, nie można się z nimi dogadać, patrzą tak przez ciebie, jakby cię nie było, jak przez szklaną szybę. No, są inne po prostu. I Znajda trochę też taka jest, ale to nie to jest najdziwniejsze...

Ale może zacznę od początku, przepraszam, normalnie nie jestem tak chaotyczna, ale teraz... Już przestaję... Przepraszam.

Więc oni szli we trzech KEN-em i z daleka widzą, że ktoś stoi przy Ciszewskiego. Zbaranieli. Tak mi Piotr opowiadał, że najpierw się przerazili, a potem zgłupieli. Bo tam stało dziecko. Mała dziewczynka, w szarej sukience, właściwie takim łachmanku, który może kiedyś był sukienką. Z gołą głową, a ręce i nóżki tylko takimi strzępami szmatek owinięte. W zasadzie można by powiedzieć, że na bosaka. Przyglądali się jej przez lornetkę z pół godziny z daleka, bo byli pewni, że to jakaś pułapka. Bali się podejść. Ale nic się nie działo, zmarzli na kość, więc w końcu zdecydowali, że trzeba podejść i zobaczyć. Nie wszyscy się zgadzali, Bartek strasznie się awanturował, że jak tak stoi, to niech sobie stoi, co ich to obchodzi, ale Piotr i Krzysiek go przegłosowali. Że dziecko jest dziecko i nie można go samego zostawiać. Szczególnie gdy mróz większy niż zwykle. Piotr podszedł do niej pierwszy. Wyglądała normalnie, tylko kontaktu z nią za bardzo nie było. Nie mówiła, nie odpowiadała na pytania, ale słyszała normalnie i wszystkie polecenia wykonywała. I Piotr zauważył jeszcze jedno, że jak do niej podchodził, to dookoła nie było żadnych śladów. Jakby nie wiadomo, skąd się tam wzięła albo tak długo tam stała, że śnieg zasypał ślady, skąd przyszła. Tylko że od paru dni śnieg nie padał. Piotr zwracał uwagę na takie szczegóły.

O Boże, tak, przepraszam... Że płacze ciągle. Tak, wiem, już dobrze.

Tego dnia niczego już nie szukali, postanowili wracać jak najszybciej. Poszli do Imielina, a Znajda poszła za nimi. Nie wiem, czy byłś kiedyś na Imielinie. Aha, to wiesz, że wszystkie normalne wejścia są zamknięte. Wchodzimy bocznym korytarzem, przez parking takiego budynku, w którym kiedyś było kino. Tam nie jest zbyt bezpiecznie, ale to jedyna droga. Ma też dwie zalety, bo wejście jest dobrze ukryte i łatwo go bronić. Tyle że trzeba bardzo uważać, wchodząc i wychodząc, bo na parkingu lubią czaić się

mutanty. Nie wiem, może chłopcy nie byli dość ostrożni, może ten mróz i kompletny spokój ich zmyliły, osłabiły czujność? Dali się podejść. Zaatakowały ich koty. Znaczący nie takie zwykłe koty, jakie widziałam na zdjęciach, tylko olbrzymie, ludzie mówią, że kiedyś żyły jakieś tygrysy, i te nasze koty są bardziej do nich podobne. Znaczący jeżeli chodzi o wielkość, bo nie są w żadne paski, tylko normalne, szare. I są potwornie niebezpieczne. Tak w ogóle to rzadko się je spotyka, ale przy naszej bramie lubią się zacząić. Opowiadała mi matka, że prawdziwe koty tak właśnie polowały na myszy: zaczajały się przy jakiejś dziurze, w której te myszy mieszkały, i potrafiły godzinami cichuteńko siedzieć i czekać. Jakby ich nie było. Tylko tamte podobno były samotnikami, a te nasze polują po dwa, trzy. Nie wiem, może jako myszy jesteśmy groźniejsi? No i te doczekały się na swój łup. Chłopcy byli już tuż przy wejściu, to taka zamaskowana studzienka, trzeba wiedzieć, jak ją otworzyć od zewnątrz, gdy one nagle jak spod ziemi na nich wyskoczyły. Bartek to podobno nie zdążył nawet krzyknąć – jeden rozerwał go pazurami od razu. Piotr i Krzysiek zaczęli się bronić. My też, niestety, nie mamy żadnej broni. A przydałaby się. Chłopcy chodzą z takimi solidnymi metalowymi rurkami. Ale to jest dobre na psy, ewentualnie jakieś mniejsze paskudztwa. W tej sytuacji nie mieli szans. Piotr odepchnął tylko Znajdę, bo ona stała, jakby nie zdawała sobie w ogóle sprawy z tego, co się dzieje, i zaczęli okładać koty tymi rurkami. Jeden nawet nieźle oberwał i przestał tak zaciekle atakować, ale jak już mieli go dobić, to drugi zdołał w tym momencie złapać Krzyśka. I Piotr usłyszał tylko chrupnięcie. Mówił, że wtedy wszystko w nim umarło. Sam nie miał szans – żeby otworzyć przejście, trzeba mieć chwilę spokoju, bo mechanizm jest daleko od bramy i do jego otwarcia potrzebne są obie ręce. Usiadł na betonie i tylko zasłonił się rękami. I wtedy Znajda podeszła do niego i krzyknęła coś do kotów. To znaczący on się domyślił, że krzyknęła, bo widział, że otwiera usta, chociaż nic nie słyszał. A koty przyłgnęły do ziemi, prychały i szczyrzyły kły, przez chwilę biły nerwowo ogonami, ale dziewczynka wyciągnęła rękę i wtedy one odwróciły się i odeszły. Piotr mówił, że wyglądały, jakby były obrażone, ale posłusznie odeszły. Znajda wzięła go za rękę i kazała wstać. Tak mi opowiadał: kazała. Nie wiem jak, czy mu powiedziała, czy jakoś inaczej... Otworzył bramę i zeszli do metra.

Tam czekałam. Na Bartka i Krzyśka nie czekał nikt, to w sumie lepiej, bo nikt nie cierpiał. U nas w ogóle tymi wychodzącymi ludzie za bardzo się nie interesują. Niby wszyscy potrzebują tego, co się z powierzchni przynosi, ale każdy chyba udaje, że to samo przychodzi. Oficjalnie jest to zabronione, wychodzenie znaczący, bo niebezpieczne. Ale wszyscy wiedzą, że samo nic się nie przyniesie, a w metrze to tylko beton we wszystkich stanach skupienia i nic więcej. Więc trzeba wychodzić. I ciągle ktoś to robi, tylko się z tym nie afiszuje. Pełna dyskrecja. Ludzie o tym nie rozmawiają, nawet ci, co chodzą. Poza swoją grupą nie wymieniają się żadnymi informacjami. Głównie chyba ze skąpstwa, bo nikt nie chce, żeby drugi na gotowe poszedł i wyczyścił jakieś miejsce, które on z narażeniem życia znalazł. Chociaż z drugiej strony, pozwoliło to by ludziom unikać wielu tragedii, gdyby się wzajemnie ostrzegali przed różnymi niebezpieczeństwami. No, ale wszystko, co chcę powiedzieć, to to, że i o wyjściu chłopców nikt nie wiedział. Tylko oni i ja.

Zaraz za wejściem jest taki labirynt korytarzy technicznych, tam łatwo się ukryć i tam przeważnie ukrywają się ci, którzy wracają z powierzchni, żeby obejrzeć fanty, zobaczyć, co ile może być warte,

i zastanowić się w spokoju, co, komu i za ile można sprzedać. Bo u nas handlarzy jest mnóstwo, ale każdy się w czymś specjalizuje. I jak chcesz takiemu od jedzenia sprzedać sztukę, to on za wysoko jej nie wyceni. No to trzeba się dobrze we wszystkim orientować, żeby przyzwoicie zarobić. No, a my mieliśmy chyba najbardziej nietypowy towar, jaki się kiedykolwiek trafił – Znajdę. Ja chciałam z nią natychmiast biec do ludzi, do zarządu stacji, ale Piotr, po tym co zobaczył, powiedział, że powinniśmy być bardzo ostrożni. Im mniej osób będzie o niej wiedziało, tym lepiej. Dla niej, ale też chyba dla nas. Postanowiliśmy zaprowadzić ją do nas, do domu. Na szczęście mieszkamy w takim miejscu, że nikt tam o nic nie pyta. Sami przemytnicy i paserzy. Gdyby ktoś się jednak zainteresował dziewczynką, mieliśmy mówić, że jest to dziecko dalekiej kuzynki Piotra, która musiała nagle gdzieś pójść i tak dalej, taką jakąś historyjkę sobie obmyśliliśmy. Poszłam do domu zebrać jakieś ciuszki, na szczęście miałam jeszcze trochę moich z dzieciństwa. Wróciłam, a Piotr siedzi wciśnięty w kąt, przerażony, patrzy tylko na mnie, jakby chciał powiedzieć: co ja najlepszego narobiłem? Dziewczynka stoi pod ścianą, normalnie, tylko te szmatki z rąk ma rozwinięte, leżą koło niej na posadzce. Pytam, co się stało, a on wskazuje na jej ręce. Wzięłam ją za rączkę i też mi się zrobiło słabo: zamiast paznokci, jak człowiek, ona ma pazury. Niewielkie, nie jakieś szpony, ale wyraźnie – pazury. I u nóg tak samo. Wszystko pozostałe, normalnie, jak u dziecka w tym wieku. Obejrzałam ją dokładnie, jak ją przebierałam. Była czysta, żadnych poważnych ran, tylko kilka zadrapań. A i te następnego dnia już poznikały. Tylko te włosy, to nam powinno dać od razu do myślenia. Szare. Nie takie całkiem, jak na mutantach, ale też ludzie takich nie mają. Ubrałam ją ciepło, chociaż ona się potem ciągle ze sweterków i kurtek rozbierała, założyłam rękawiczki, takie miałam fajne, zielone, i czapkę na głowę. Z pomponem. Wyglądała całkiem jak normalna dziewczynka. Gdyby tylko jeszcze potrafiła mówić i nie patrzyła tak wskroś człowieka, jakby był z powietrza, to można by o tych pazurach nawet zapomnieć. Chociaż czasem skupiała na mnie wzrok, i wtedy robiło mi się bardzo dziwnie. Jak czegoś chciała, to od razu wiedziałam, o co jej chodzi. A jak czegoś nie chciała, to jeszcze szybciej. Jakby się w ten sposób ze mną porozumiewała. Ale nie słyszałam słów, po prostu wiedziałam, o co chodzi. Piotr mówił, że on też to czuje.

Zamieszkała u nas. Można by powiedzieć – dziecko idealne. Siedziała przeważnie w jednym miejscu przez pół dnia i patrzyła w ścianę tak, jakby obserwowała drugi koniec tunelu za tą ścianą. Jedynym problemem było jedzenie. Nie to, że za dużo jadła, wręcz przeciwnie. Naszej pulpy za nic nie tknęła, w zasadzie nic naszego nie chciał. Raz się wykosztowaliśmy i kupiliśmy z Piotrem konserwę, taką mniej więcej, jak wczoraj jedliśmy...

O Boże, no przepraszam. Chwilka...

Nawet nie spojrzała w jej stronę, jakbyśmy jej cegłę na talerzu podtykali. Ale głodna chyba nie była, wyglądała dobrze. Myślę, że ona coś sobie zbierała czy na coś polowała, jak znikąca. Bo na drugie pół dnia zawsze znikąca. Wychodziła po prostu, nawet się nie ubierała. A i tak, jestem pewna, nikt jej nie widział. Ona umie się tak poruszać, że nikt jej nie zobaczy. Za pierwszym razem chciałam ją powstrzymać, myślałam, że chce uciec. Wtedy spojrzała na mnie i wiedziałam, że mam jej nie przeszkadzać. Za drugim razem próbowałam za nią pójść dyskretnie, ale straciłam ją z oczu, zanim przeszła dziesięć kroków.

W sumie, jak teraz o tym myślę, to wydaje mi się to dziwne. Tak jak opowiadam, to potwór, prawda? Sprowadziliśmy mutantą, tylko czekać, aż nam wszystkim w nocy poprzegryza gardła. Ale ona była też jak normalne dziecko, nawet kilka razy przytuliła się do mnie. Nie, nie uśmiechała się. Ale znam wiele dzieci, które się nie uśmiechają. Piotra też chyba lubiła. On się z nią dużo bawił. To znaczy mówił do niej, czytał jej bajki. Wyraźnie czuliśmy wtedy, że jej się to podoba, lubiła to.

Nie zastanawialiśmy się nad przyszłością. Była z nami kilka tygodni, może miesiąc, może półtora. A potem odeszła. Wstała jak zwykle i stanęła w drzwiach. Ale spojrzała na mnie i wiedziałam, że to jest pożegnanie. Była smutna i wiem, że nie chciała odchodzić, ale chyba musiała. Płakałam wtedy. Podeszła do mnie i, co jej się wcześniej nigdy nie zdarzyło, pogłaskała mnie po twarzy. Tymi swoimi pazurkami. I potem zniknęła.

Następnego dnia na stacji pojawił się kurier z Ratusza. Mieliśmy zebranie i Elżbieta, szefowa naszej koalicji, zapytała, kto chce iść – miała to być silna ekipa. Piotr powiedział, że on i tak już pewnie nie zbierze grupy na wyjście. Odkąd chłopaki zginęli, nikt nie chciał z nim wychodzić. Niby nikt nic nie wiedział, ale tak jakoś się zawsze składało, że każdy miał inne plany. Ja pomyślałam, że odejście Znajdy musi mieć z tym jakiś związek, że może ta wyprawa będzie dobrą okazją, żeby ją odnaleźć. Zgłosiliśmy się. I potem w Ratuszu też powiedzieliśmy, że możemy iść. Wszyscy byli nam wdzięczni, ale patrzyli na nas jak na idiotów. Teraz to im się nawet bardzo nie dziwię. Nie trafiliśmy na żaden ślad naszej dziewczynki, ale Piotr zaczął kojarzyć inne fakty. Najbardziej mu pomógł ten młody żołnierz na Stadionie, który przyznał, że wychodzą tamtędy z metra jakieś grupy cywilów. Bo jedyne, co nam zostało po Znajdzie, to tylko to zdjęcie. Nie wiem, jak ona je schowała, że kiedy ją przebierałam, to go nie widziałam, ale znalazłam je dopiero potem, na jej posłaniu. O, to! Ładna, prawda?

Rozdział 19

Julia wyciąga do mnie rękę z małym, wygniecionym kartonikiem. Biorę go ostrożnie, zdumiony oglądam uważnie.

– Załóż maskę – proszę. – Dość się nawdychałaś tego powietrza.

Zdjęcie jest jak wizytówka z innego świata – nie mógł go zrobić nikt z nas – nie słyszałem, by w krainie wiecznego półmroku ktoś jeszcze uprawiał szlachetną sztukę malowania światłem. Nie może być stare, bo dziewczynka w centrum kadru, jak się domyślam Znajda właśnie, wygląda na mniej więcej dziesięć lat, a więc dokładnie na tyle, na ile oceniła ją Julia. Stoi w szarej sukience, w tej samej, w której znalazł ją Piter. Fotograf wyostrzył obiektyw na dziecko, drugi plan jest nieostry, ale można rozpoznać, co przedstawia. Na zdjęciu jest kilkanaście osób. Mężczyźni, kilka kobiet. Cywile. Klęczą lub siedzą na piętach, stłoczeni, ręce mają nienaturalnie wygięte do tyłu, jakby związane lub skute kajdankami. Niektórzy mają spuszczone głowy, ale większość patrzy przerażona gdzieś poza kadr. Obok leży sterta starych wojskowych plecaków. Na pierwszym planie, po prawej stronie kadru, ktoś wyciąga dłoń w skórzanej rękawicy do Znajdy, jakby chciał wziąć ją za rękę. Po drugiej stronie też ktoś stoi. Widzę tylko kawałek jego nogi w ciężkim wojskowym bucie i lufę dziwnej broni, którą musi mieć na ramieniu. Nigdy nie widziałem takiego karabinu. Przy nim kałach Franza prezentuje się jak zdezelowany obrzyn wiejskiego kłusownika.

– Myślisz, że oni szli tędy przed nami? – pytam.

– Nie wiem, ale chyba Piotr tak uważał. Mówił, że jak tam dojdziemy, to się dowiemy, skąd się wzięła Znajda. I pewnie ją nawet znajdziemy, bo to przecież niemożliwe, żeby po tym pustkowiu snuło się więcej ludzi. Jeżeli ktoś nadaje jakiś sygnał, to ona musi tam być, z tym kimś. I jak tego kogoś znajdziemy, to dowiemy się, skąd ona się wzięła.

– A ty nadal chcesz się tego dowiedzieć?

– A co miałabym teraz robić? Ta dziewczynka to wszystko, co mi zostało. Bo żyje, tego jestem pewna.

– Myślisz, że wróciła do... Tam, dokąd nas teraz prowadzi Franz?

Dziewczyna wzrusza ramionami. Jest zmęczona. Wyciągam do niej rękę ze zdjęciem. Kręci głową.

– Zatrzymaj je. Boję się je nosić. Jestem pewna, że przez to zginął Piotr.

– Nie sądzę, po prostu spał najbliżej schodów. To bydlę capnęło pierwszą z brzegu zdobycz.

– Może... Ale i tak się boję. Proszę, zatrzymaj je.

Składam starannie kartonik i chowam go do wewnętrznej kieszeni kombinezonu.

Doganiamy resztę grupy. Stoją półkolem wokół jakiegoś drzewa i wpatrują się w nie jak urzeczeni.

Wszyscy, oprócz Franza. Po chwili zauważam przyczynę ich zainteresowania i nie mogę powstrzymać okrzyku zdumienia. Zieleń! Nieduża, poskręcana jak korkociąg sosna wachluje się dyskretnie czupryną ciemnozielonych igieł. Jedna w morzu martwych drzew. Na wysokości półtora metra do pnia przyczepiona jest stareńka, zniszczona kapliczka, zdobna w metalowy krzyżyk i plastikowe, kompletnie wypłowiałe kwiaty.

– Nie cieszcie się tak bardzo – studzi nasz entuzjizm stalker. – Dużo widziałem, ale nigdy nie widziałem drugiego takiego.

– A odchodziłeś kiedyś tak daleko od metra? – pyta Nguyen.

– Nawet dalej. I z drugiej strony miasta też. To jakiś mutant, jak te niby-zwierzaki. – Podnosi na chwilę maskę i spluwa z obrzydzeniem w stronę drzewa.

– Ale jest zielona – kręci głową Doktor. – Nie szara.

– Może to z tymi kolorami nie dotyczy roślin?

– Gadanie! – denerwuje się Alex. – To jest znak od Pana, że pszywróci życie tej nieszczęsnej krainie...

– Żeby je ludzie z powrotem mogli unicestwić! – dodaje z przekąsem Doktor.

– Brak w tobie wiary, szynu! Bóg jeden cud uczynił, uczyni i kolejny, patsz, módl się i nawraczaj! To jest święte miejsce! Bóg go uszdrowi! – Popycha patrzącego tępo przed siebie olbrzyma w kierunku drzewa. Z obrzydzeniem na twarzy stara się zgiąć mu nogi w kolanach, próbując zmusić go tym samym do klęknienia przed kapliczką.

Od kilku godzin Seba daje sobą kierować w sporym zakresie, jednak klękania nie ma chyba w pakiecie. Alex próbuje rękami, ale wstręt przed zafajdanym kombinezonem jest nie do przezwyciężenia. Nie pomaga również kostur, którym okłada go po łydkach, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Przyglądamy się temu rozbawieni. Wściekły, kopie w końcu Sebę z całej siły w zgięcie kolan. Olbrzym traci równowagę na śliskim śniegu i z impetem wali głową w sam środek kapliczki. Słysząc solidny trzask i przez chwilę zastanawiam się, czy to sakralna miniatura nie wytrzymała, czy czaszka Seby.

– Ożeż ty, w mordę! – wyje ten sekundę później. – Co to, kurwa, ma być?!

– Cud! Cud! – drze się Alex, ciesząc się jak dziecko. Chyba zapomniał o rozbitej wardze, bo mówi normalnie.

– Jaki, kurwa, cud?! Że sobie mało łba nie rozwaliłem?!

– Alleluja! Widzicie, niedowiarki?! Cud! Odzyskał mowę!

Rechoczymy jak banda gimnazjalistów. Doktor krztusi się ze śmiechu, musi na chwilę ściągnąć maskę, żeby się nie udusić. Nawet Franz wygląda na rozbawionego, choć może to raczej uśmiech politowania.

– Dobra, ogarnijcie się, mamy jeszcze kawał drogi!

Zakładamy z powrotem maski, poprawiamy paski plecaków. Po kilkuset metrach las gwałtownie się kończy. Wchodzimy do kolejnej podmiejskiej sypialni. Dzielnica jest chyba jeszcze bardziej elegancka niż ta, przez którą szliśmy wczoraj po południu: olbrzymie wille, podjazdy, leśne ogrody. Stalker wyciąga skaner, długo wpatruje się w ekran.

– Trzymać się razem, nie oddalać się i nie rozciągać grupy! – instruuje nas, patrząc dłużej na mnie i na Julię. – Musimy przejść tędy jak najszybciej.

Idziemy znowu zwartą grupą. Alex szturcha Sebę, zostają odrobinę z tyłu.

– Co tam się wydarzyło? Musisz mi powiedzieć! – szepce.

Olbrzym patrzy na niego niezbyt przytomnym wzrokiem. Przyśpiesza kroku, goniąc grupę. Alex szarpie go za rękaw.

– Mów, musisz mi powiedzieć!

– Zabiję gnoja, kurwa, jak pragnę cudu, zabiję go! Przysięgam... – warczy tylko.

– Cisza! – Nagły syk Franza zatrzymuje wszystkich w pół kroku.

Za jego przykładem kucamy błyskawicznie na środku drogi i gapimy się w stronę, w którą on kieruje lornetkę. Przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje, aż nagle widzę, jak daleko, kilkaset metrów od nas, drogę przecina kilkanaście szarych kształtów wielkości dużego psa. Są absolutnie bezgłośnie. Biegną równo i szybko, jeden za drugim, jak szare koraliki nanizane na niewidzialną nitkę. Po paru sekundach nie ma po nich śladu. Odczekujemy jeszcze kilka minut. Franz delikatnie podrzuca garść śniegu. Szare płatki osiadają mu na szklach maski.

– To był prawdziwy cud, cymbale – rzuca do Alexa. – Że wiatr wieje w naszą stronę.

Mężczyzna próbuje oponować, ale stalker powstrzymuje go ruchem ręki.

– Cisza teraz. Idziecie za mną, równo, ostrożnie. I absolutnie bez gadania.

Kiedy mijamy trop, który zostawiły przebiegające tędy przed chwilą mutanty, Franz ściąga maskę, wciąga nosem powietrze, jakby chciał zapamiętać ich zapach. Naśladuję go dyskretnie, ale nie czuję nic. Kilka przecznic dalej zabudowa rzadnie, rozproszone na znacznej przestrzeni domy otoczone są zasiwkami powywracanych, przerdzewiałych płotów. Otacza nas znowu martwy las. Jednak coraz mniej drzew jest przewróconych, czyżby natura rzeczywiście toczyła tu z człowiekiem nierozstrzygniętą wciąż walkę?

Idziemy może godzinę – pięć, sześć kilometrów. Zaczynam być poważnie głodny, tracę siły. Inni chyba też, co kilka kroków potykają się o własne nogi, Stefan już dwa razy lądował w śniegu.

– Powinniśmy chyba coś zjeść, zaraz padniemy – skarży się w końcu Julia.

Franz rozgląda się po okolicy, patrzy na skaner.

– Dobra – mówi wreszcie. – Rozglądajcie się, a jak ktoś zauważy sensowną kwaterę, meldować.

Jest bardzo wybredny. Tu nie, bo za głęboko w lesie, zbyt daleko od drogi, tu widoczność kiepska, tu dach uszkodzony, będzie widać dym, tam chaszcze takie, że blokują ewentualną drogę ucieczki. Idziemy jeszcze dobre pół godziny, nim Nguyen dostrzega wreszcie ładnie zachowaną willę, spełniającą według stalkera wszystkie warunki bezpieczeństwa. Zbliżamy się do niej ostrożnie, wypatrując niepokojących znaków. Zatrzymujemy się przed bramą, Franz mierzy w drzwi z karabinu, a Seba rzuca w nie ciężkim drągiem. Nasłuchujemy potem dłuższą chwilę. Cisza, żadnych podejrzanych dźwięków. Na szczęście drzwi nie są zamknięte. Liczyłem na darmowy pokaz wojskowego rzemiosła – stalkera wbiegającego do środka z odbezpieczonym karabinem, przemykającego pod ścianami, wykonującego kilka efektownych przewrotów i zaglądnącego w każdy kąt domu, by na końcu krzyknąć: „Czysto!”. Coś takiego oglądałem

w młodości w kinie. Spotyka mnie jednak rozczarowanie. Mimo obiecującego początku – Franz uchyla drzwi nogą, zagląda do środka, potem wchodzi omiatając wszystkie kąty lufą kałacha – koniec jest zdecydowanie mało spektakularny.

– Seba, idziesz obejrzeć drzwi do piwnicy! – wydaje dyspozycje. – Aha, i plecak zostaw. Stefan, na górę, rozejrzyj się tam. Alex, ty sprawdź tamte kąty. I czy przejście do garażu jest zamknięte.

Sam rozsiada się na kanapie, ściąga z twarzy maskę i wyciąga z plecaka Seby kocheł. Stoimy z Doktorem i Julią w drzwiach, nie bardzo wiedząc, co mamy dalej robić.

– Co jest, panienki?! – rzuca w naszą stronę. – Drzwi zamknąć, buty wytrzeć i do roboty! Nguyen, zajmij się kominkiem!

Nie trzeba nam tego dwa razy powtarzać: podczas gdy Franz rozpala maszynkę, ja otwieram konserwy, a Doktor i Julia przekładają ich zawartość do garnka, debatując nad walorami smakowymi tworzonych *ad hoc* mieszanek. Po chwili garnek stoi już na palniku, a jego zawartość bulgoce zachęcająco. Dopiero teraz mam chwilę, by rozejrzeć się po domu. To musiało być kiedyś eleganckie miejsce – designerskie meble, egzotyczne drewno, drogi kamień i szlachetny parkiet na podłodze, wysmakowane bibeloty na kominku. Wprawdzie dwadzieścia lat zimy zrobiło swoje: drewno jest zbutwiałe i powypaczane, podłoga faluje jak jezioro wzburzone nagłym szkwałem, ale wciąż można ludzić się, że można byłoby się tu przyjemnie urządzić, zapomnieć o świecie na zewnątrz i przynajmniej przez kilka dni smakować pokryty grubą warstwą patyny luksus.

– Któż z nas nie marzył kiedyś o takim domu, prawda? – odgaduje moje myśli Doktor.

Uśmiecham się z żalem. Wracają pozostali.

– O, i jak tam? Wszystko w porządku? – Franz nawet nie podnosi głowy znad garnka.

Alex mruczy coś niezrozumiałego, Seba nie odzywa się w ogóle.

– Melduję, że na górze wszystko w porządku! – drze się za to Stefan.

Alex patrzy na niego z obrzydzeniem.

– A, ty, duży! – przypomina sobie stalker. – Ty siedzisz tam, przy tamtych drzwiach. – Wskazuje ręką najdalszy kąt ogromnego salonu. – Bo wiesz, bez urazy, ale jak odtajesz, to się tu wszyscy zaraz porzygamy.

Stefan wybuchu histerycznym śmiechem, ale spojrzenie Seby go ucisza. Olbrzym stoi w miejscu z zaciętą miną.

– Do jasnej cholery, czy tobie trzeba wszystko dwa razy powtarzać? – denerwuje się Franz, kładąc dłoń na karabinie. – Wypierdalaj stąd, bo będziemy jeść! Wielebny Alex przyniesie ci talerzyk.

Na szczęście Seba nie potrafi zabijać wzrokiem. Ociągając się jak tylko może, odchodzi jednak posłusznie we wskazane miejsce.

Julia i Nguyen rozlewają bosko pachnący gulasz do puszek. Jemy. Pełny brzuch sprawia, że nagle staję się bardzo senny. Zapadam głęboko w wygodny, aczkolwiek zalatujący stęchlizną fotel.

– Nie spać, nie spać – mówi sennym głosem Franz, oblizując po raz dwudziesty łyżkę z wojskowego niezbędnika. – Jeszcze pół godzinki i musimy lecieć dalej.

– Dlaczego nie moglibyśmy tu zostać? – Nguyen grzeje plecy przy kominku.

– Właśnie! – włącza się Alex. – Posiedzimy do wieczora, odpoczniemy, potem przenocujemy jak ludzie, w ciepłe. Tam na górze pewnie są sypialnie, można by zabarykadować pięterko...

Franz kręci tylko głową.

– Powariowaliście? Jeszcze nie ma południa! Mamy szmat drogi, a wam się wydaje, że do kurortu żeście przyjechali.

– Ale tych kilka godzin... – protestuje Alex.

– Policz konserwy, cwaniaku! A przed nami jeszcze co najmniej jeden dzień drogi i powrót. Nie ma mowy!

Po stanowczych słowach stalkera wizja ciepłej i sytej sielanki pryska jak bańka mydlana.

– A czy to palenie w kominku jest bezpieczne? – pyta nagle Doktor. – Nie ściągnie nam na głowy mutantów?

– Dopóki nie będziesz tam smażył mięsa, to nie powinno – odpowiada Franz. – Przynajmniej do tej pory nie zauważyłem, żeby reagowały na zwykły dym, tu często coś się pali.

– Nie widziałem żadnego pogorzeliśka – mruczy ze swojego kąta Seba.

– Możesz mi wierzyć – rzuca Franz.

– O właśnie, właśnie! *À propos* wiary... – najedzony Alex wyraźnie poczuł w sobie przemożną potrzebę nawracania i czekał tylko na odpowiedni moment. – Byliśmy dziś wszyscy świadkami cudu...

Julia patrzy na niego z obrzydzeniem, potem ostentacyjnie się odwraca i ukrywa twarz w dłoniach. Mężczyzna, zasłuchany w natchniony ton własnego głosu, nie zauważa gestu dziewczyny.

– Wydawało się, że ten oto człowiek – teatralnym gestem wskazuje na siedzącego w kącie Sebę – po olbrzymim cierpieniu, jakiego doznał, nigdy już nie podźwignie się, nie przemówi.

Julia szlocha cicho. Nie wiem czemu, ale ten wariat mówi to do mnie. Doktor wytrzeszcza oczy na Alexa, jakby patrzył na dobrze się do tej pory maskującego szaleńca, który właśnie odrzucił wszelkie konwenanse i stoi przed nami nagi w blasku swego obłąkania. Franz, rozparty na kanapie, obserwuje to przedstawienie z miną doświadczonego cyrkowego tresera, którego pudle walczą właśnie o pozycję numer dwa w sforze.

– Ale nie wszyscy chcieli ten cud dostrzec, niektórzy odwracają się od Boga i szydzą z Niego – kontynuuje tonem nawiedzonego kaznodziei. – Na przykład ty, synu...

– Powiedz mi – przerywam mu – skąd ta obrzydliwa maniera zwracania się do obcych ludzi per synu? Mam wrażenie, że słychać w tym wyższość i pogardę.

– Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi...

– A ty naszym ojcem? Myślałem, że to twój Bóg jest tym ojcem.

– Ja mówię w Jego imieniu!

– Bredzisz w swoim.

– Przeogromne jest miłosierdzie Boże!

– O Boże! – wzdycham. – Czemu Cię nie ma?!

– No właśnie, powinieneś poznać cud wiary! Nawrócić się, uwierzyć.

– Po co?

– Religia jest jedyną drogą, która prowadzi cię do celu, do Boga!

– Religia jest wymówką, kiepskim usprawiedliwieniem mentalnej schizofrenii. Jest przyjacielem w twojej głowie, którego fajnie jest mieć. Tym bardziej że to przyjaciel wszechmocny, nieograniczony żadnym z naszych ograniczeń. Fajnie do niego pogadać, poprosić go o coś. Miło jest też mu za różne rzeczy dziękować – czujesz się wtedy grzeczny, dobry, rozczuła cię podziw dla samego siebie. Możesz podzielić się z nim swoimi planami, o obawach opowiedzieć. Wspólnie będziecie zabijać to jedno jedyne uczucie, które towarzyszy ci przez całe życie i do ostatniej twojej chwili, do końca, do momentu śmierci z tobą zostanie. Może właśnie wtedy szczególnie je poczujesz...

– O miłości mówisz...

– Nie, o samotności.

– Z Panem nigdy nie będziesz sam. Wiara daje siłę...

– Siłę czynienia zła.

– Mylisz się, daje siłę czynienia dobra.

– Właśnie o tym mówiłem: wszystko, co zrobisz, to przecież w słusznej sprawie, prawda? Czyli to będzie dobro. Twoje dobro.

– Tylko człowiek wierzący znajdzie w sobie prawdziwą miarę dobra i zła.

– Ojejku, jejku! Jakim relatywizmem moralnym tu zaleciało... A czyż nie jest to ta cecha, ta największa, zasługująca na najwyższe potępienie wada ludzkiej kondycji, jaką z automatu każdy wierzący przypisuje niewierzącemu?

– Jeszcze raz powtórzę: bez Boga nie ma dobra i zła, to On jest alfą i omegą, Jego słowo jest ostateczną wyrocznią moralności.

– A ty mi to słowo przekażesz? Zaiste, w komfortowej się znajdujesz sytuacji. Stary już jestem, ale wciąż nie potrafię zrozumieć, jak ktoś potrafi w te bzdury uwierzyć...

– Bóg niektórych palcem dotyka, mówi do nas, cuda czyni...

– Taaa, widziałem. Gdyby to Nguyen walnął się w czerep, powiedziałbyś, że mu po prostu jakaś kłapka pod kapturem przeskoczyła. To niewiarygodne, jak kapryśna jest ludzka wola akceptowania rzeczywistości. Od „nie uwierzę, dopóki nie zobaczę” do „nie muszę zobaczyć, by i tak wierzyć”. W jednym zdaniu, na jednym oddechu.

– Cuda spotykają tych, którzy na nie zasługują!

– Tak, sami przecież tego doświadczyliśmy niedawno. Czyż nie był cudem boski ogień obracający w popiół nieprzyjaciół naszych? Dopóki nie spadł na nas. Ale wtedy stał się natychmiast szatańskim narzędziem w rękach zbrodniarzy.

– Błędzisz, synu, a wiara... Wiara tyle tłumaczy!

– Tak, wszystko tłumaczy! I każdego. Pod jednym wszakże warunkiem: że swoje bezceństwa usprawiedliwiamy. Czy było takie skurwysyństwo, które skwitowane prostym: „Bóg tak chciał”, nie pozwoliłoby jego sprawcy zasnąć spokojnym snem sprawiedliwego? Wystarczy jednak znaleźć się po drugiej stronie, by ze świętym oburzeniem, domagając się głowy zbrodniarza, tłumaczyć, że żadna religia nie pozwala na takie barbarzyństwo?

– Posłuchaj, synu...

– To ty posłuchaj: jeszcze raz powiesz do mnie „synu”, to ci przypierdolę.

– Brak ci wiary, wiary dziecka...

– Nie mieszaj w to dzieci.

– Dzieci pięknie wierzą – uśmiecha się obleśnie.

– To naturalne. Dzieci, nawet niepoddane religijnej indoktrynacji, tworzą w swojej głowie przyjaciół.

Ale potem z tego wyrastają. Jeżeli dwunastolatek wciąż opowiada o tajemniczym koledze mieszkającym w jego szufladzie, powinno to zaniepokoić rodziców. To może i staremu, jak wciąż gaworzy z Aniołem Stróżem, ktoś powinien zwrócić uwagę, że to trochę dziwne?

– Kościół to wspólnota, wspólnota czynienia dobra...

– Przestań wreszcie pierdolić! – krzyczy nagle Stefan.

Wszyscy patrzą na niego zaskoczeni. Nawet Nguyen, który do tej pory ignorował naszą dyskusję, budzi się z sennego zamyślenia.

– Nie mogę już słuchać tych bredni! Wiecie, co te świętoszki robią u nas na stacji?! Nie patrz tak na mnie, zboczeńcu! Mam już tego wszystkiego dość!

Z twarzy Franza znika pobłażliwy uśmiech, teraz on też przysłuchuje się wrzaskom Stefana ze szczerym zainteresowaniem.

– Oni mają największy burdel w mieście. Właściwie cała ta zaszracona stacja to jeden wielki burdel. Myślicie, że po co on tu idzie? Pomagać? Nawracać? Gównu! Sprawdzić, czy coś nowego się nie znajdzie: nowy klient albo jakaś nowa dupa do roboty! Myślicie, że za co tak go te łyse prymitywy kochają?!

Alex zrywa się z pufa, na którym siedział, i biegnie z zaciśniętymi pięściami w stronę Stefana. Ale w pół drogi wali się jak długi na podłogę.

– Ups! – mówi z chytrym uśmieszkiem Doktor, cofając nogę. – Przepraszam!

– Najszczęśliwszy byłby, jakby kożę znalazł! – kontynuuje Stefan. – Bo już tylko kozy tam brakuje!

Wybucha niepohamowanym, dziecięcym płaczem i wybiega na zewnątrz, trzaskając z całej siły drzwiami.

Zapada krępująca cisza.

– Cóż? – wzrusza w końcu ramionami Franz. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie wiedziałem. Myślałem, że się czegoś nowego dowiemy... Dorzuć, Nguyen, do kominka, niedługo będziemy się zbierać.

Powoli składa kocher, pakuje go do plecaka. Przeciągamy się, łapczywie chłonąc ostatnie chwile w cieple. I wtedy leniwą ciszę przerywa wysoki, przeraźliwy pisk. Rozglądam się zdezorientowany, nie mogąc w pierwszej chwili zlokalizować jego źródła. W końcu widzę Sebę wijącego się na podłodze i machającego rękami, jakby mu ktoś wsypał w spodnie wiadro skorpionów. Drze się przy tym opętańczo, starając się chwycić czegokolwiek w zasięgu rąk. Po sekundzie już wiem dlaczego – coś wciąga go za kombinezon w ciemny otwór drzwi prowadzących do garażu.

– Na górę! – drze się Franz, zrywając się z kanapy. – Brać plecaki!

Chwytam plecak swój i Julii, pomagam jej wydostać się z za ciężkiego fotela. Wbiegamy po schodach na piętro, rzucam plecaki i rozglądam się za czymś, czym można by zatarasować klatkę schodową. Na szczęście jest tu stary, ciężki regał, powinien się nadawać.

– Nguyen, pomożesz mi, chodź tutaj! – krzyczę. – Bierz z Doktorem ten mebel, przewróćcie go tu, jak wszyscy będą na górze.

Kątem oka widzę stalkera wbiegającego wielkimi susami na górę.

– Stefan! – drze się przez ramię w kierunku drzwi. – Alex!

Biegnę sprawdzić górę, czy stąd nam nic nie grozi. Wpadam do jednego z pokoi – to zajmująca chyba pół piętra sypialnia z przepięknym, panoramicznym i otwierającym się na las widokiem. Przez szerokie drzwi wychodzę na taras i włosy jeżą mi się na całym ciele. Na podjeździe przed domem kłębi się stado kilkunastu szarych, olbrzymich niby-psów. Są identyczne, jak te, które widzieliśmy przed dwoma godzinami. Miałem nadzieję, że nie będę musiał ich oglądać z bliska. Czarne ślepia, wyszczerzone żółte kły i krótkie łyse ogony – są przerażająco brzydkie. Nie ma w nich tej morderczej elegancji dawnych drapieżników, wyglądają jak nieudany eksperyment obdarzonego wyjątkowo złym gustem hodowcy. Tym niemniej trudno odmówić im skuteczności – jakimś sposobem wyczuły lub wypatrzyły nas, zaatakowały bez ostrzeżenia i prawdopodobnie nie odejdą stąd głodne. Po kolei znikają w uchylonych wrotach garażu.

– Stefan! – drę się, kiedy plac przed domem pustoszeje. – Na górę, biegiem!

Nie widzę go, ale musi gdzieś tu być. Wracam do środka.

– Dlaczego nie strzelasz?! Zabij je! – krzyczę do Franza.

– Kogo? – odpowiada spokojnie. – Widzisz coś?

– Tam z tarasu było je widać! Może jakiegoś ustrzelisz!

Stalker rusza we wskazanym przeze mnie kierunku, a ja wyglądam ze schodów na dół. Potwory jeszcze nie dostały się do wnętrza. Dzięki swoim gabarytom Seba skutecznie zabarykadował przejście do garażu.

– Czekać do ostatniej chwili! – rzucam pilnującym regału i zbiegam po schodach.

Alex z całej siły szarpie Sebastiana za kombinezon, jednak szczęki trzymające go z drugiej strony są silne – olbrzym powoli, aczkolwiek nieubłaganie zapada się w przejściu. Skamle przy tym dziecięcym piskliwym głosem. Nagle na zewnątrz słychać kilka pojedynczych strzałów i skowyt rannego potwora. Te w środku na chwilę głupieją. To wystarcza. Alex szarpie kolejny raz i tym razem obaj wpadają na środek salonu jak wystrzeleni z procy. Zawracam w miejscu i pędzę w kierunku schodów.

– Tędy! – drę się. Za plecami słyszę tupot ciężkich butów.

– Zamykaj to! – wrzeszczy Alex do Nguyena.

– Zaraz, jeszcze Stefan!

– Zamykaj, gnoju!

Siadam zziębnięty pod ścianą i patrzę w dół schodów. Nagle drzwi wejściowe otwierają i staje w nich Stefan. W poranionych dłoniach ściska drewniany kłoc. Dyszy ciężko, patrzy w naszą stronę, łapie mój wzrok. Macham do niego, zrywam się z podłogi. Biegnie w stronę schodów. W tym samym momencie z za rogu salonu wypadają pierwsze potwory. W całkowitej ciszy, ślizgając się na kamiennej podłodze, pędzą w tym samym kierunku. Stefan jest pół kroku przed nimi.

– Czekaście, biegnie! – krzyczę jak opętany.

– Zamykaj! Zamykaj to, do kurwy nędzy! – jeszcze głośniej drze się Alex. – Zamknij to! – rozkazuje Sebie.

A ten bez zastanowienia odpycha Nguyena, wyrywa regał z rąk Doktora i przewraca go w otwór klatki schodowej. Tuż przed przerażoną twarzą Stefana. Rzucam się na niego z pięściami, ale cios w splot słoneczny odrzuca mnie z powrotem pod ścianę. Przez następne pół minuty nie mogę złapać oddechu.

– Chcesz tam, do niego? – syczy Seba.

Przeraźliwy krzyk z dołu trwa chwilę, kilka sekund. Potem znowu nastaje cisza przerywana odgłosami dartego płótna, rozrywanej skóry i miażdżonych kości.

Franz wraca z tarasu. Szybki rzut oka wystarcza mu, żeby zorientować się w sytuacji.

– Te bydlaki zabiły Stefana – skarży się cicho Nguyen.

– Widzę – odpowiada. – Dzięki temu mamy jakąś szansę ująć z życiem...

Nie zwracając uwagi na nasze zdumione spojrzenia, wygrzebuje ze sterty plecaków ten Seby i wyjmując z niego kanister z benzyną do kochera oraz szklaną butelkę z wodą. Trochę wody wypija, resztę wylewa na podłogę i oddziera kawałek walającej się na podłodze szmaty. Pośpiesznie napełnia butelkę benzyną i wkłada do niej szmaciany knot.

– Podnosić dupy! – rozkazuje. – Pochować graty i przechodzić tam. Na tarasie czekacie na dalsze komendy. Ty! – wskazuje palcem na mnie. – Zostajesz tu ze mną.

Bełta przez chwilę butelką, aż śmierdząca ciecz zaczyna skapywać z nasączonego knota.

– A dla ciebie – patrzy na Sebę – mam specjalne zadanie. Zejdiesz przez taras na dół i zablokujesz czymś te drzwi do garażu, przez które bestie weszły. Tylko zrób to lepiej niż Alex.

Przerażony osiłek kręci głową.

– Przydaj się choć raz na coś, bo cię rzucę tam na dół, żeby zyskać na czasie – mówi zimno stalker. – Masz minutę. Od teraz.

– Gotowi? Dobra, to ruszać się – pogania resztę. – A ty odsuń ten mebel, tylko ostrożnie, kawałek, żebyśmy zobaczyli, jak sytuacja.

Seba gramoli się przez poręcz tarasu, ciężko spada na ziemię. Ja siłuję się z ciężkim regałem.

– Dobra, wystarczy! – mówi cicho Franz.

Zaglądam mu przez ramię i od razu wiem, że będę tego długo żałował. Stefan leży na środku salonu z rozrzuconymi na boki rękami. Właściwie nie ma już głowy, został z niej ogryziony czerwony kikut. Nie ma też na sobie żadnego ubrania, potwory obrały go do czysta. Jelita z rozprutego brzucha zaścielają nasiąkły czerwienią jasny dywan, na którym jeszcze przed chwilą siedzieliśmy. Dookoła kłębi się ciżba rozedrganych szarych grzbietów. Nie kłócą się, nie awanturują, jakby z góry wiedziały, że każdemu przypadnie w udziale jakiś fragment zdobyczy. Nagle jeden z nich unosi łeb usmarowany krwią aż po kark. Patrzy na mnie i przysięgłbym, że w jego oczach widzę syte zadowolenie.

– Dobra, starczy podziwiania – szepce stalker. – Na mój znak odsuniesz to najdalej, jak dasz radę, a potem zasuniesz. Tylko poczekaj, aż tu wejdę, bo rzucę cię im na deser! – grozi, a ja wiem już, dlaczego nie wyznaczył do tego Seby.

– Dobra, odsuwaj!

Ciągnę ile sił, ale regał łatwiej byłoby chyba podnieść. Udaje mi się w końcu przesunąć go na tyle, że Franz przeciska się przez szczelinę. Zapala knot, schodzi kilka stopni w dół, bierze solidny zamach i ciska butelkę w sam środek kłębowiska potworów. Słyszę brzęk tłuczonego szkła, syk płomieni obejmujących w posiadanie salon i przeraźliwy skowyt mutantów. Zamykam z powrotem piętro i nie czekając na komendę Franza, biegnę na taras. Rozglądam się szybko po okolicy – chyba wszystkie psy zajęte były ucztą. Gdyby było inaczej, już słyszelibyśmy wrzask Seby – przemyka mi przez głowę. Przełazę przez poręcz, opuszczam się najniżej jak się da na rękach i skaczę. Przetaczam się po betonowym podjeździe, jestem poobijany, ale wstaję – nic mi się nie stało.

– Na co czekacie?! Macie iść w jego ślady! – wydziera się Franz, przeskakując przez barierkę. Ląduje sprawnie, nawet się nie przewraca.

– No, ruchy! Nie bać się, nie jest wcale wysoko! – zachęca resztę grupy.

– Julia, skacz! Złapię cię! – wołam do dziewczyny. – Ty łap Doktora, dla mnie będzie za ciężki – proszę Franza.

Wreszcie wszyscy są na dole. Alex mocno kuleje.

– Seba! Odwrót!

Biegniemy w stronę drogi. Przez duże okna parteru widzę miotające się w ogniu potwory, drapiące szyby i drzwi. Nie zatrzymujemy się nawet na chwilę. Jesteśmy już dobre kilkaset metrów dalej, gdy dogania nas huk wybuchu. Odwracam się błyskawicznie i widzę rozżarzone odłamki szyb przyskające na zaśnieżony ogród. Za nimi wypada kilka szarych pochodni, gnających przed siebie, w las. Płomienie ogarniają budynek aż po dach.

Rozdział 20

Pierwszy przewraca się Alex.

– Już nie mogę – rzezi ciężko rozciągnięty w śniegu. – Zatrzymajmy się na chwilę, nie gonią nas przecież! – prosi, nie mogąc złapać tchu.

Seba pomaga mu się dźwignąć z ziemi. Stoją we dwóch naprzeciwko reszty grupy.

– Franz, my nie chcemy, żeby oni dalej szli z nami – mówi za wszystkich Nguyen.

– To potwory, prędzej czy później, zabiją też nas – dodaje Doktor.

– No tak, to co proponujecie? – pyta z ironicznym uśmiechem Franz.

Odpowiada mu cisza. Seba zerka na nas ponuro spode łba, Alex ma przerażoną minę.

– Mam ich zastrzelić? Gwizdnąć na jakiegoś przebiegającego mutantą? Czy może wystarczy im kilka klapsów?

– Nie chcemy, żeby z nami szli. Jeżeli oni mają reprezentować naszą społeczność, to ja się na to nie zgadzam! – mówi stanowczo Julia.

– Domyślam się, że ty też za nimi nie przepadasz? – Rzuca Franz w moją stronę. Kiwam głową. – I pewnie też uważasz, że to kiepska reprezentacja? No dobra – kontynuuje po chwili. – A ja wam powiem, że nie będziemy tutaj robić żadnych samosądów. Wszyscy pamiętamy, co nasi mili koledzy mają za uszami, i po powrocie do metra opowiemy o tym komu trzeba. Zajmie się nimi prokurator. I już jego zmartwieniem będzie, jak ocenić ich występy. Ja nie będę teraz wchodził w kompetencje prokuratora, sędziego i kata, bo – jak rozumiem – takie byłyby wasze oczekiwania. Przypominam, że nie jesteśmy tu na wycieczce, tylko mamy do wypełnienia misję. Gdzieś tam – wskazuje ręką kierunek – czeka na naszą pomoc grupa rozbitków. Im nas będzie więcej, tym bardziej prawdopodobne, że uda nam się dotrzeć do celu i coś zdziałać. Nic osobistego, żadnej moralności, osądów i innych pierdół. Po prostu statystyka. Nawet gdyby jeszcze kilkoro z nas miało trafić szlag, to ci, którzy zostaną, łatwiej sobie poradzą, jeśli będzie ich więcej. I nawet gdyby znowu trzeba było poświęcić kogoś w ofierze dla naszych braci mniejszych, to przecież zawsze lepiej mieć wybór, nie? Pozwólcie zatem, że w komplecie, tak jak tutaj stoimy, udamy się w dalszą drogę i znajdziemy wreszcie to cholerne miejsce!

Rusza, nie oglądając się za siebie. Po chwili skwapliwie truchtają za nim Alex i Seba, korzystając z tej niezасłużonej przychylności losu. Stoimy, patrząc po sobie. Wreszcie Doktor wzrusza ramionami i idzie w ich ślady. Julii i mnie nie pozostaje nic innego. Po chwili słyszę za sobą kroki Nguyena.

Idziemy w milczeniu ponad godzinę. Las, nadal martwy, mizerne, mocno naruszone przez czas, biedne podmiejskie domki. Z rzadka mijamy jakąś okazalszą willę. Trakt niezmiennie prowadzi prosto, na ile

jestem to w stanie ocenić, mniej więcej na południowy wschód. Po kilku kilometrach dochodzimy do szerokiej drogi przecinającej nasz szlak. Drzew jest tu niewiele, zatrzymujemy się na sporej polanie. Franz rzuca plecak, zaczyna majstrować przy skanerze. Rozsiadamy się na przewróconym pniu i obserwujemy go znużeni. Najpierw długo wpatruje się w ekran, potem stuka w niego palcem, chodzi po drodze, wymachując urządzeniem. To podnosi je wysoko ponad głowę, to opuszcza do ziemi, obracając się wokół własnej osi. Klnie pod nosem, wczytuje się w coś na ekranie, wodzi po nim palcem.

– Co się dzieje? Może mógłbym pomóc? – zaciekawia się Doktor.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiada po długiej pauzie i serii przekleństw wymamrotanych pod nosem. – Musiałem go tylko skalibrować, bo się coś rozjechało...

– Czy mógłbym jednak...

– Nie – rzuca krótko i chowa skaner do kieszeni.

Kuca przy plecaku, udając, że czegoś w nim szuka, ale tak naprawdę lustruje uważnie okolicę. Przed nami rozpościera się idealnie gładka powierzchnia śniegu. Żadnych śladów, żadnych wskazówek, dokąd iść, a którego kierunku lepiej unikać. Na wprost i po prawej mamy karłowaty martwy las, kilkadziesiąt metrów dalej po lewej stoi murowana kamienica. Obłazący całymi płatami tynk odsłonił brzydkie, rozbiórkowe cegły. Za budynkiem straszy rząd drewnianych latryn i rozpadających się komórek. Dalej zaczyna się osiedle, wyjątkowo biedne nawet jak na okoliczne standardy: koślawe małe domki pozlepiane z byle czego, dachy pokryte pasami złuszczonej czarnej papy, druciane szkielety gołębników. Tam właśnie prowadzi nas przewodnik. Idziemy wzdłuż poprzewracanych płotów, przez podwórka zawalone wrakami na wpół rozebranych samochodów. Wszędzie walają się sterty śmieci: niewykorzystane materiały budowlane, gruz, jakieś zbutwiałe beczki. Jedyne, co cieszy wzrok, to całkowity brak śladów obecności mutantów.

Coś niepokojącego dzieje się z Franzem. Od ostatniego postoju stracił dotychczasową pewność siebie. Nie idzie już prosto przed siebie, jakby znał tę drogę od lat, często się zatrzymuje, gapi w skaner, rozgląda z niepokojem wypisanym na twarzy. Nie chce z nami rozmawiać, wszelkie pytania zbywa milczeniem bądź niegrzecznym burknięciem. Po półgodzinie mijamy ostatnie domy. Zamiast, jak dotąd, iść jakimś wygodnym duktem, przedzieramy się na przełaj przez las. Dopóki jest to wysoki starodrzew, nie ma problemu. Jednak kilka minut później wchodzimy w niski gęsty młodnik. Suche gałęzie drapią po rękach, szarpią kombinezon i chłoszczą po twarzy. Po kilkunastu minutach zupełnie tracę orientację. Mimo maski odruchowo zamykam oczy, kiedy idący przede mną Doktor strzela mi w twarz gałązkami. Szare niebo, jednolicie zasnuwane chmurami, nie daje żadnej wskazówki co do kierunku. Nie widać słońca, nie ma cieni. Monotonny trzask kruszącego się drewna i nużące bicowanie usypiają zmysły. Jest mi wszystko jedno, przedzieram się przez gęstwinę z uporem automatu. Nie wiem już, jak długo idziemy, ale nagle wpadam na plecy Doktora. Stoimy. Franz gapi się w śnieg pod nogami i mamroce przekleństwa. Przedzieram się do przodu i natychmiast widzę przyczynę zatrzymania: świeży ślad wielu nóg w głębokim śniegu, usłany połamanymi gałęziami.

– O Boże, ktoś tędy niedawno szedł! – wykrzykuje Alex.

– Tak, my! – Nguyen patrzy na niego z politowaniem.

Franz drapie się po czaszce z głupią miną.

– Zabłądziliśmy? – pyta z niepokojem Julia.

– Nie, jeszcze nie, ale się trochę zagapiłem. Dobra! Robimy tak: idziemy tam! – Wskazuje kierunek. –

Patrzcie, te drzewa były sadzone w rzędach. Problem jest taki, że cała ta połać lasu musiała być orana na raty i bruzdy idą w różne strony. To mnie zmyliło. Nie zwracamy uwagi na kierunek bruzd! Idziemy w dużych odstępach, co pięć, dziesięć metrów. I ten na końcu kontroluje, żeby cały czas była linia prosta. Pamiętajcie, to jak z karabinem: muszka – szczerbinka. Jak zaczniemy zbaczać, drzeć się!

– Tych chaszczy nie powinno być dużo – wtrąca się Doktor. – Ze dwa kwartały maksimum, większych wycinek raczej nie robiono...

– No to tym bardziej. W drogę!

Młodnik musiał jednak zajmować więcej niż dwa kwartały – przedzieramy się przez niego prawie godzinę. Na szczęście metoda stalkera zdaje egzamin i w końcu wychodzimy z lasu. Nie mam pojęcia, czy we właściwym miejscu, ale przewodnik wygląda na zadowolonego. Droga robi się dużo wygodniejsza. Choć nadal idziemy na przełaj, luźno stojące, wysokie sosny nie utrudniają marszu i nie ograniczają widoczności. Dotąd płaski jak stół teren staje się bardziej pofałdowany. W końcu dochodzimy do piętrzącego się na kilkanaście metrów w górę pasa wydm.

– O! Tego szukałem! – cieszy się Franz. – Pamiętałem to z mapy, ale coś nie mogliśmy tu trafić. Teraz już będzie łatwiej – obiecuje.

Faktycznie, po krótkiej wspinaczce na grzbiet wydmy okazuje się, że prowadzi tędy wygodna, szeroka ścieżka. Idziemy między niskimi, poskręcanyimi sosnami i kępami burch, rozsypujących się przy każdym dotknięciu jałowców. Tutaj też nie ma żadnych śladów życia. W pewnym momencie wychodzimy na dużą polanę – wierzchołek wydmy, z którego roztacza się imponująca panorama okolicy.

– Patrzcie! Tam! Tam! – krzyczy Nguyen. – Pałac!

Faktycznie, daleko na horyzoncie majaczy sylwetka Pałacu Kultury otoczonego wianuszkami średniejskich wieżowców.

Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę miał okazję oglądać ten widok. I choć nie dalej jak wczoraj szedłem tunelem pod tymi budynkami, patrzę teraz na nie jak na jakiś obcy brzeg, na który bardzo chciałbym się dostać, lecz obawiam się, że może to już nigdy nie być mi dane.

– Dobra, nie rozczulać mi się tu! – Franz wydaje się czytać w moich myślach. – Za parę dni będziemy tam z powrotem.

Kilkaset metrów dalej przechodzimy na drugą, wschodnią stronę grzbietu i stajemy jak wryci. Od stóp wydmy niemal po horyzont ciągnie się szara, wypalona pustynia.

– Co jest, do kurwy nędzy? – mruczy Franz pod nosem. – Masz swoje pogorzeliśko! Mówiłem, że tu ciągle coś się pali – rzuca do Seby.

Tamten tylko wzrusza ramionami, nie okazując większego zainteresowania. Zbiegamy z wydmy szerokim duktem, wzbijając w powietrze chmury popiołu. Idziemy szybko popędzani przez stalkera, który nagle zaczął się bardzo śpieszyć.

– Robi się późno – mówi w odpowiedzi na narzekania kulejącego coraz mocniej Alexa. – Musimy

znaleźć coś bezpiecznego na nocleg. Już niedaleko.

– Coś powinno się znaleźć niedaleko... – dodaje szybko, widząc moje pytające spojrzenie. – Na nocleg.

Ponieważ ani śnieg, ani drzewa nie są już przeszkodą, idziemy luźną gromadką. W tyle zostają właściwie tylko Alex i podtrzymujący go od czasu do czasu Sebastian. Długie godziny marszu i wszystkie koszmary ostatnich dni dają mi się mocno we znaki. Mróz wysysa ze mnie energię dużo szybciej niż tam, w metrze. W sumie to nic dziwnego – jeszcze niedawno rzadko pokonywałem w ciągu dnia więcej niż kilkaset metrów, a od wczoraj musieliśmy zrobić co najmniej trzydzieści kilometrów. Bolał mnie pokryte bąblami stopy, pieką otarcia od twardego, niewygodnego kombinezonu i ciężkiego plecaka. Jestem cały obolały i nienawykłe do wysiłku ciało buntuje się coraz mocniej. Nawet ten ostatni garnek rosółu z wkładką mięsną nie pomógł na długo. Choć muszę przyznać, że gdyby nie to królewskie żarcie, którym tak hojnie raczy nas od dwóch dni Ratusz, pewnie w życiu nie dotarlibyśmy tak daleko. Za tym smakiem będę tęsknił w metrze – przychodzi mi do głowy. O ile kiedykolwiek tam wrócę...

Z zamyślenia wrywa mnie Franz, chwytając nagle mój plecak. Zatrzymuję się w pół kroku i patrzę na niego pytająco. Nie odpowiada. Kuca, przygląda się czemuś na ziemi. I znowu to znajome uczucie: wszystkie włosy na całym ciele, jak na komendę, stają dęba. W miękkim popiele, jak w plastelinie, odcisnięte są ślady łap. Różnych, najdziwniejszych. Od znajomych, przynajmniej na pierwszy rzut oka przypominających tropy psa, lisa, niedźwiedzia, racice dzika czy czegoś, co ma racice jak dzik, ale kilkakrotnie większe, przez ptasie: wronie, kaczce i Bóg jeden raczy wiedzieć jakie jeszcze, po całkiem fantastyczne tropy zwierząt, w których stworzeniu żaden z ludzkich bogów nie mógł maczać palców. Tropy tworzą szeroką na kilka metrów ścieżkę. Mdłe rozproszone światło niskich chmur, nierzucające żadnego cienia, powoduje, że nietrudno byłoby ją w ogóle przeoczyć. Linia śladów wygina się w wielki łuk, którego końce nikań gdzieś między wypalonymi kikutami drzew. Tajemniczy pierścień, ukrywający coś w swoim wnętrzu. Franz rozgląda się zakłopotany, długo wpatruje się w skaner. Przekłada karabin na ramię, sprawdza magazynek, a ja mam znowu to nieprzyjemne przecucie niespodzianki, na którą wcale nie czekam i której nie chcę.

– Co to jest? – pyta Alex.

– Ślady – wzrusza ramionami stalker.

– Ale co one tak w koło chodziły?

– Jak któregoś spotkamy, to się zapytasz.

– Ja nie chciałbym żadnego spotkać – mówi z przejęciem Nguyen.

– Co to, kurwa, za mowa? – denerwuje się Seba. – Idziemy w końcu? Czy czekamy, aż tu do nas przyleżą?

Wysoko unosząc nogi, jakbyśmy się bali nadepnąć na potworne tropy, niezdarnie przekraczamy zdeptany pas popiołu. Teraz każdy gapi się pod nogi w takim skupieniu, że mógłby nie zauważyć, gdyby nagle stanął twarzą w twarz z prawdziwym potworem.

– Jak stare były te ślady? – zagaduje Franza Doktor.

– Sam chciałbym wiedzieć. W tym cholernym popiele wszystko odbija się jak w gipsie. Na pewno po

ostatnim śniegu, ale kiedy padał, nie mam pojęcia.

Mijamy niewysoki wał pokrytych popiołem wydm i wychodzimy na szeroką przecinkę. Tutaj teren zdeptany jest tak, że właściwie trudno znaleźć jakiś nietknięty kawałek gruntu. Stalker każe się nam zatrzymać, uważnie bada tropy, starając się na ich podstawie odtworzyć przebieg wydarzeń. My jednak patrzymy w milczeniu na coś zupełnie innego: po drugiej stronie drogi z metalowych słupków zrujnowanego ogrodzenia szczerzą do nas żółte zęby okopcone łby przypominających konie stworów. W tym mroźnym świecie trudno ocenić, jak długo tu wisiały, zanim uwędził je dym pożaru. Pokryte spękaną skórą łby wytrzeszczają na nas ścięte białka martwych oczu. Wyglądają przerażająco i trudno się oprzeć wrażeniu, że tak właśnie miały wyglądać.

– Nie powinniśmy tędy iść – szepce Alex.

Czuję mdlący uścisk w żołądku.

– W drogę, mamy mało czasu – mówi Franz, patrząc w skaner. – Robi się późno.

Ostrożnie mijamy makabryczną dekorację. Potem przedzieramy się przez wypalony młodnik, pomiędzy czarnymi kikutami drzew i kępami osmalonych krzaków. Po kilku krokach każdy wymazany jest od stóp do głów węglem i pokryty grubą warstwą szarego popiołu. Kilkadziesiąt metrów dalej znowu wychodzimy na odkrytą przestrzeń.

– O kurwa! – krzyczą równocześnie Seba i Franz, ale nikomu nie wydaje się to w tej chwili zabawne.

Na środku dużej polany piętrzą się ruiny niegdyś zapewne eleganckiej willi, której centrum wyznacza złamany wpół komin. Ściany są gęsto zryte pociskami, poznaczone odłamkami granatów. Jednak autorzy tej artystycznej instalacji (bo musiało być ich co najmniej kilku) nie ograniczali swych destrukcyjnych talentów wyłącznie do pracy w materii nieożywionej. Przed domem na wysokich palach kołysze się dostojnie pięć niezbyt kompletnych szkieletów: obdarte ze skóry czaszki i kręgosłupy zwisające smętnie jak długie smocze ogony. Okopcone i zszarzałe, jak wszystko tutaj, ale z resztkami mięśni i ścięgien wciąż uczepionymi kości. Brakuje kończyn, klatek piersiowych i miednic, i nie wiem, czy ich nigdy nie było, czy ktoś po prostu wyrwał głowy razem z kręgosłupami z ciał potworów. Jeżeli tak się rzeczywiście stało, kim był ten ktoś i jaką musiał dysponować siłą? Na pierwszy rzut oka szkielety przypominają ludzkie, są jednak sporo większe, a czaszki mają inny, bardziej zwierzęcy kształt.

– Boże przenajświętszy... – jęczy Alex.

Julia błędnie i w ostatnim momencie ściąga z twarzy maskę, nim zegnije ją wpół fala torsji. Doktor chyba zaraz pójdzie w jej ślady. Nguyen wpatruje się w upiorną rzeźbę jak urzeczony.

– To miało odstraszać wrogów – szepce. – Mówić im, żeby się nie zbliżali. Że tu nie wolno wchodzić...

– Cokolwiek by to miało mówić, mówiło za cicho – uśmiecha się krzywo Franz, przechodząc za róg budynku. – Zobaczcie tutaj!

Stos kilku niemal doszczętnie spalonych ciał to prawdopodobnie epicentrum pożaru, który strawił całą okolicę. Zwęglone resztki należą do tego samego gatunku co te, którymi udekorowano pale przed domem. I teraz dopiero widać, że są zdecydowanie bardziej ludzkie niż zwierzęce. Mają długie kończyny o grubych, solidnych kościach, palce zakończone mocnymi pazurami. Mam wrażenie, że czaszki tych ze

stosu i tych przed domem różnią się, ale jedne i drugie zniekształcone są mocno przez ogień, może więc to tylko złudzenie?

– Zeżrą nas. Wypatroszą i zeżrą. I wysrają, nie do końca zeżartych – głośno myśli Seba. – Co to, kurwa, jest?!

– A kolega coś z tego rozumie? – pyta blady Doktor.

Kręcę głową. Kto tu kogo, w jakiej kolejności, kiedy i dlaczego mordował? I skąd, do cholery, wzięły się te nowe, humanoidalne potwory?

– Oni są prawie jak ludzie – mówię cicho. – A nawet chyba lepsi niż ludzie: więksi, pewnie silniejsi i nie sądzę, żeby nosili maski przeciwgazowe. Myślę, że poradziliby sobie z nami gołymi rękami.

– No, ale nasi ich pokonali – mówi Doktor. – Na szczęście mają broń. Wygląda na to, że jakąś niezłą, może nawet lepszą od naszej.

– Franz! – Julia wciąż nie wygląda dobrze, jest trupio blada. – Czy myślisz, że oni są już gdzieś blisko? Franz!

– Kto? – Słowa dziewczyny wyrywają stalkera z głębokiego zamyślenia.

– Ci, którzy urządzili tu tę rzeź. To chyba oni nas wzywali, nie?

– Duża siła ognia – Alex uśmiecha się szeroko do Seby. – To dobrze wróży!

– Chyba niedaleko... – odpowiada dziewczynie Franz. – Tylko nie wiem, jak do nich dotrzemy...

– Jak to?! – W oczach Alexa budzi się ponownie strach.

Od dłuższego czasu Franz nie wypuszcza z rąk skanera. Wpatrując się w ekran, chodzi z nim po polanie.

– No, nie wiem, bo powinniśmy już szukać jakiegoś miejsca na bezpieczny nocleg, robi się późno. A tu wszędzie te cholerne pogorzelsko, dalej – z tego, co pamiętam z mapy – też tylko las. O ile nie poszedł z dymem...

– To co zrobimy?! – ton głosu Alexa zdradza początek hysterii. – Przecież tutaj nie zostaniemy!

– Nieee... – mówi wciąż zajęty wpatrywaniem się w urządzenie stalker. Puka jeszcze chwilę w ekran, po czym naciska jakiś guzik i zrezygnowanym ruchem wsuwa urządzenie do kieszeni. Patrzy na nas, jakby wrócił z dalekiej podróży.

– Zrobimy tak! – mówi. – Przysiadzimy tu na chwilę, zjemy na szybko po konserwie i ruszamy w drogę. Właściwie nie zostało nam już dużo: może kilka kilometrów. Zresztą, jak widać, jesteśmy w zasięgu działania grupy.

– A co mówi skaner?! – pyta zaniepokojony Nguyen.

– Co, skaner? A... nic. Że jest okej. W okolicy spokój. Wygląda na to, że wszystkie mutanty zostały wybite.

– A tamte ślady?

– Tamtymi się nie przejmuj – wzrusza ramionami Franz. – Najwyraźniej już wszystkie poszły w cholere.

Znajdujemy w ruinach domu cudem ocalały kąt. Siadamy na czym kto może pod jedynym ocalałym fragmentem stropu i wyciągamy z plecaków co tam jeszcze komu zostało. Tym razem nie ma nastroju

sielanki. I nic nie smakuje tak jak jeszcze kilka godzin temu. Tym bardziej że musimy zadowolić się zimnym prowiantem, bo Franz nie zgadza się na rozpalenie kochera. Zamiast więc popijać pożywny rosół, międlę w ustach batona smakującego jak sklezione klejem stolarskim trociny. Innym jedzenie idzie jeszcze gorzej – Julia otworzyła jakąś konserwę i dłubie przez chwilę łyżką w puszcze, po czym oddaje ją Franzowi. Nawet Seba nie ma ochoty na jedzenie. Sytuacji nie polepsza wszechobecny swąd spalenizny i lepki odór zwęglonych ciał.

– Dobra. Skończcie, kto da radę, posiedzimy chwilkę i trzeba ruszać, zanim się ściemni – mówi Franz, rzucając w kąt pustą puszkę. Wyciąga z kieszeni skaner, patrzy w niego, dotyka ekranu, potem wyłącza i zamyślony zastyga z urządzeniem w rękach.

– Franz? – pyta nieśmiało Nguyen. – Mógłbym to też obejrzeć?

– Jasne! – Stalker rzuca urządzenie w stronę Wietnamczyka.

Tamten łapie je w locie, a ja widzę, jak Doktor zastyga z łyżką w pół drogi do ust. Jego zdumione spojrzenie mówi wszystko. Franz nie rozstawał się do tej pory ze skanerem, pilnując go jak oka w głowie. Skąd ta nagła zmiana?

Nguyen z zaciekawieniem przygląda się urządzeniu, obraca je w rękach na wszystkie strony.

– Jak to włączyć? – pyta w końcu.

– Naciskasz ten guzik z boku. I musisz chwilkę poczekać.

– Ale tu nic nie ma na ekranie!

– Taaa... Wiem, że nic nie ma. O to właśnie chodzi...

– To znaczy o co?

– Zabierz mu to lepiej, zanim ta małpa coś zepsuje! – warczy Seba w stronę Franza.

– Martw się lepiej o siebie – odszczekuje się Nguyen. – Jak z taką zasraną dupą do ludzi pójdiesz...

– Ożeż ty skurrr... – warczy Seba, zrywając się na nogi, ale zimne spojrzenie stalkera usadza go z powrotem na miejscu.

– Czyli co, jakby tu były jakieś mutanty, to bym widział coś na skanerze, tak? – Nguyen ostentacyjnie ignoruje Sebę. Zakłada maskę i wychodzi poza obręb murów. – Zobaczyłbym je na ekranie? – pyta z wyciągniętą przed siebie ręką.

Przez moment wydaje mi się, że słyszę delikatne szuranie, coś jakby kroki dochodzące z góry. Z połamanego stropu osypuje się delikatna stróżka ceglanego pyłu. Zerkam na Franza, ale on siedzi spokojnie, grzebie patykiem w pokrywającym podłogę popiele.

– Nguyen... – mówię.

I wtedy skaner odzywa się serią głośnych pisków. Przez ekran przelatują ciągi jakichś znaków, wyświetlają się teksty, których z tej odległości nie jestem w stanie rozszyfrować. Franz zrywa się na równe nogi. Przerażony Wietnamczyk odwraca głowę w jego stronę, chce coś powiedzieć, lecz w tym samym momencie coś podnosi go wysoko do góry, widzę tylko jego nogi rozpaczliwie kopiące powietrze. Na chwilę znika z pola widzenia. Ciszę przerywa wysoki pisk, jakby ktoś tarł styropianem o szybę. Potem słyhać wrzask Nguyena. Potem głośne, szeleszczące buczenie i olbrzymi szary robal – monstualna modliszka podrywa się do lotu obciążona dyndającym bezwładnie w jej przednich

kończynach człowiekiem. Jednak waga zdobyczy wyraźnie przekracza jej możliwości – po kilku sekundach ląduje i do moich uszu dobiega chrzęst miażdżonych kości i trzask rozdieranej materii. Porzuca wijącego się jak piskorz Nguyena i na moment odwraca w naszą stronę trójkątny łeb. W olbrzymich żuwaczkach trzyma jego rękę, wciąż ściskającą w dłoni błyskający kolorowo skaner.

Franz też jest już na zewnątrz. Błyskawicznie podnosi do oka karabin i posyła za zrywającym się do lotu potworem długą serię.

Rozdział 21

Długo siedzimy na śniegu, nie mogąc się pozbierać. Wszyscy wiemy, że każda minuta tutaj zwiększa ryzyko kolejnego ataku, ale nawet ta świadomość nie jest w stanie nikogo zmobilizować do działania. Julia kuca koło rannego przyglądającego się otoczeniu wzrokiem zagubionego dziecka, Seba wciąż rozciera obolałą głowę, złorzecząc Franzowi, gdy ten tymczasem gdzieś zniknął. Pierwszy zauważa jego nieobecność ostrożny jak zwykle Alex.

– Gdzie ten bandyta poszedł? – szepce tak, by wszyscy mogli usłyszeć. – Miał nas ochraniać, a co on robi? Morduje nas po kolei!

– Ale ty żyjesz, co?! Skoro żyjesz, to jakąś skuteczność mam, nie?!

Alex podskakuje jak oparzony, gdy Franz niczym duch wyłania się tuż za nim z płataniny zwęglonych chaszczy. Macha do nas ręką Nguyena i cieszy się, jakby to był świetny żart.

– Macie szczęście! – mruczy wydłubując z sinych, zaciśniętych palców skaner. Macha jeszcze potem Wietnamczykowi tuż przed nosem jego własną ręką, po czym zdejmując z twarzy przylepiony uśmiech, z odrazą ciska odgryzioną kończynę jak najdalej od siebie. Ta upada w popiół z cichym plaśnięciem.

Nafaszerowany morfiną Nguyen obserwuje to wszystko z nieprzytomnym uśmiechem na twarzy. Śmieje się do machającego jego własną ręką stalkera, śmieje się nawet wtedy, gdy ten patrzy na niego już bez uśmiechu, zimno i obojętnie.

– Dobra! Brać dupy w troki! – pogania wszystkich stalker, zbierając z ziemi swój plecak. – Mamy jakieś pięć kilometrów do przejścia, godzinka tupania i odpoczynek!

– To może już lepiej tutaj przenocować? – pyta nieśmiało Doktor. – Niedługo zapadnie zmrok, a i tak pewnie nikogo nie znajdziemy.

– I żeby po ciemku nie zaczęli do nas strzelać – dodaje zatroskany Alex.

– Wszyscy jesteście potwornie zmęczeni, a nie wiadomo, jak tam jest – włącza się Julia. – Sam mówiłeś, że to środek lasu...

Usiłujemy wydusić z Franza jakiegokolwiek wyjaśnienia, ale ten zbywa wszystkie pytania milczeniem, jakby ich w ogóle nie słyszał. Poprawia ekwipunek, sprawdza magazynek kałacha i bez słowa rusza przed siebie. Chcąc nie chcąc, zarzucamy plecaki i szykujemy się do wymarszu. Julia stoi bezradnie, podtrzymując otumanionego narkotykiem Wietnamczyka, który na szczęście potrafi się samodzielnie utrzymać na nogach.

– Będziemy się zmieniać – proponuję i biorę go pod zdrowe ramię. Jest lekki, w zasadzie dalibyśmy nawet radę go nieść.

Ruszamy. Kilkadziesiąt metrów dalej docieramy do głębokiego wąwozu, który w tutejszych piaskach wyłobila skuta teraz lodem do samego dna niewielka Mienia. Ciasne meandry rzeki wyznaczają granicę spopielonej pustyni. Nie sądziłem, że widok martwego lasu i szarego śniegu po drugiej stronie rzeki będzie kiedykolwiek w stanie tak mnie ucieszyć.

– Doktorze, proszę mi pomóc! – wołam.

Zsuwamy się we trzech z niedużej piaszczystej skarpy, potem ślizgamy się na gładkiej tafli mętnego lodu, by po chwili wdrapywać się z trudem między martwe drzewa. Nguyen niespecjalnie nam pomaga, a wciąganie go na górę w kopnym śniegu nie jest wcale łatwe. Po płaskim idzie nam na szczęście dużo lepiej, ale i tak po chwili musimy zdjąć maski, bo nie sposób złapać tchu.

W bezpośredniej bliskości rzeki sosny ustępują miejsca olchom i brzozom. Jednak na piaszczystym podłożu lasy te zawsze były rachityczne. Drzewa póki żyły, jakoś stały, teraz większość z nich leży pokotem, powalona przez wiatr. Przedzieramy się przez labirynt zmurszałych pni i rozsypujących się w pył gałęzi. Na szczęście to tylko kilka minut i wychodzimy na równy, pusty pas śniegu. Białe słupki pikietażu wskazują przebieg drogi. Franz gna teraz do przodu, nie oglądając się niemal za siebie. Zostajemy z Julią i taszczącym teraz Nguyena Doktorem daleko w tyle. Dopiero po dłuższej chwili doganiamy czekających na nas Sebę i Alexa. Jestem pełen najgorszych przeczuć i już mam wołać stalkera, ale Alex daje znak, żebym milczał. Po jego minie widać, że tym razem nie ma wrogich zamiarów. Przynajmniej nie wobec nas. Zatrzymujemy się.

– Posłuchaj! – rzuca. – Musimy pogadać.

– O czym mielibyśmy z wami gadać? – pytam nieufnie.

– Jak to o czym? – mówi zdumiony. – Nie widzicie, co się tutaj dzieje?

– Jak to co się dzieje? Idziemy na spotkanie grupy, która gdzieś tu przetrwała Armagedon...

– Przestań pan pierdolić te głupoty! – irytuje się Seba.

Patrzmy na nich uważnie.

– A może wy znowu coś knujecie? – pyta cicho Julia.

– Co ty, panienko, opowiadasz?

– Może to Franz wam kazał z nami porozmawiać?

– Taaa, jasne! Mój przyjaciel Franz poprosił mnie, żebym z tobą pogadał. Kurwa, obudź się!

– O co wam chodzi? – pytam. – Jakoś do tej pory nie przejmowaliście się nami...

– Nie musimy się kochać, ale na Boga! Nie dajmy się temu gnojowi tak łatwo zabić! – szepce Alex.

– Nie widzicie, że ten skurwiel wciąga nas w jakieś gówno? – irytuje się Seba.

– Dobra, możemy rozmawiać, ale chodźmy za nim, bo go w życiu nie dogonimy! – sapie Doktor. –

A wtedy to on nie będzie nas nawet musiał mordować, sami tu zaraz zdechniemy...

Ruszamy powoli.

– Zostaw to ścierwo, to ci będzie lżej – proponuje wspaniałomyślnie Alex, wskazując na Wietnamczyka, a Seba potakuje skwapliwie.

– On idzie z nami! I koniec dyskusji! – ucinam ten wątek.

– Jak chcesz! – wzrusza ramionami osiłek.

– No więc jeżeli się jeszcze łudzicie, że tu chodzi o jakieś ratowanie sam nie wiem kogo, to czas chyba najwyższy porzucić złudzenia – ciągnie Alex.

– Fakt, dziwnie to trochę wygląda – zgadza się Julia.

– Dziwnie, kurwa?! – irytuje się Seba, ale widząc przystającego w oddali Franza, ścisza głos.

– Powolutku i nie drzyjmy się tak – uspokaja Doktor.

– Nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi, ale jak na razie zachowujemy się jak prowadzone na rzeź barany!

– Dawaliście mu nieustannie okazję, żeby nas przeciwko sobie rozgrywał – mówię do Alexa.

– Nie o to chodzi, żeby teraz szukać winnego – odpowiada pojednawczo. – Musimy się po prostu trzymać razem i nie dać mu się wodzić za nos. Po pierwsze, musi powiedzieć, dokąd naprawdę idziemy...

– On nam tego nigdy nie powie, nie możecie tego zrozumieć? – złości się Doktor. – I nie chodzi o to, że nie umie nam wytłumaczyć czy jak. On doskonale wie, dokąd idzie, jeżeli nawet chwilami błądzi. Ale wie też, że gdyby nam powiedział, nigdy byśmy za nim nie poszli!

– Kurwa... – Seba z uznaniem kiwa głową.

– To co proponujecie? – niecierpliwi się Alex.

– Trzeba mu najsamprzód giwerę odebrać...

– Dobrze pan kombinuje, Sebastianie!

– Dzięki! – Seba uśmiecha się do Doktora, a ja ze zdumieniem słucham tej niespodziewanej wymiany uprzejmości.

– I skaner – dodaje Julia.

– No, skaner też. Bez tego pięciu minut nie przeżyjemy...

– Czyżby? – pytam. Odpowiadają mi zdziwione spojrzenia. – Coraz mniej wierzę w ten skaner. Nie wiem, do czego on naprawdę służy, bo na razie przydał się głównie do wyciągnięcia nas z metra.

– Robała wskazał bezbłędnie...

– Tylko trochę późno, nie?

– Tam było... – odzywa się słabym głosem Nguyen. Patrzymy na niego zaskoczeni, wszyscy chyba zdążyli już zapomnieć o jego obecności. Na twarzy nie ma już tego nieobecnego uśmiechu, jego miejsce zajął ból. – Tam było: „połączenie nawiązane”. Nic o żadnych mutantach...

– No to zajebicie! Miał rację ten cymbał Stefan, to telefon jest... – Seba zaciska pięści tak, że aż trzeszcza. – Ale zaraz, zaraz! – kojarzy dalej. – To dlaczego on go tobie dał?

– Bo... Bo chyba myślał, że jest zepsuty. Wcześniej nie chciał dać go nikomu ani nawet pokazać z bliska. Bo działał – Nguyen przerywa co chwilę, dyszy ciężko, twarz wykrzywia mu grymas cierpienia. – Ale ostatnio mimo prób nie mógł chyba nawiązać łączności. I dlatego tak się złościł, aż w końcu...

– W końcu pomyślał, że to złom, i dał ci zabawkę – kończę za niego. – Bo dla niego była bezużyteczna.

– To ma sens! – podsumowuje Doktor.

– Jest jeszcze tylko jedna, ostatnia zagadka – mówię.

– ?

– Z kim on się chce za pomocą tego urządzenia skontaktować.

– Z tymi, do których nas prowadzi – zgaduje Alex.

– To oczywiste. Ale kim oni są?

– To pewnie ci, którzy zatłukli i spalili te bydlaki.

– No, ale jeżeli tak, to chyba w sumie dobrze, nie? – Seba gubi się już w tych spekulacjach. – Bo to

jacyś goście, co chociaż dobrze uzbrojeni są.

– Goście?

– No, w sensie ludzie...

– Pewien jesteś, że ludzie?

– No, kurwa, sorry! A kto?

– A widziałeś gdzieś tam koło tego spalonego domu ludzkie ślady?

– Żeż kurwa, nie przyglądałem się za bardzo...

– Nie było – szepce Nguyen. – Z ludzkich tylko nasze...

– Otóż to! – potwierdzam. – Rozglądałem się trochę.

– Boże, co to wszystko znaczy? – pyta przerażona Julia.

– To, koledzy, znaczy tylko jedno: musimy tego naszego przewodnika jak najszybciej rozbroić, zanim nawiąże kontakt z tymi, do których nas prowadzi. Gdyby miał dobre zamiary, nie robiłby tej całej szopki.

To nie przemawia na jego korzyść.

– Nooo! – zgadza się skwapliwie Seba. – Jak będziemy wszyscy razem, to nic nam nie zrobi!

– Zabije nas wszystkich! – Alex jest przerażony pomysłem.

– Nie zabije! – mówię. – Po jaką cholere ciągnąłby nas tu tak długo, gdyby chciał nas po prostu zabić?

Podejrzewam, że dla niego jest to również w jakimś stopniu niebezpieczne. I co by mu z tego przyszło?

– Może to jakiś zboczeniec?! – Alex jest bliski płaczu.

– Nie oceniamy ludzi własną miarą – uśmiecha się kwaśno Doktor.

Alex jest tak przerażony, że nawet nie zwraca uwagi na złośliwość.

– Bzdura – mówię. – Jesteśmy mu potrzebni.

– Do kopania! – mruczy pod nosem Seba.

– Nie wiem do czego, ale z pewnością jesteśmy cenni. I na nasze szczęście cenni najwyraźniej żywi.

Trupy zostawia, pamiętacie?

– To co chcecie zrobić? – pyta Julia.

– Idziemy podobno do jakiegoś miejsca, gdzie da się przenocować – przypominam słowa stalkera. –

Jak tylko tam dotrzemy, musimy go obezwładnić i rozbroić. Spróbujemy wydusić z niego, o co w tym wszystkim chodzi. A potem spróbujemy wrócić do metra.

– A z nim co zrobimy?

– Ja się nim zaopiekuję – Seba uśmiecha się nieprzyjemnie.

– Kurwa, znowu w las skręcił, a tak się przyjemnie szło – jęczy Alex.

Idziemy przez rzadki sosnowy zagajnik, po paru minutach natykamy się na solidne, kilkurzędowe ogrodzenie z drutu kolczastego. Kiedyś tak odgradzano tereny wojskowe. Franz bez namysłu skręca w lewo i podąża szeroką przecinką biegnącą wzdłuż zaskakująco dobrze utrzymanego płotu.

– Powinniśmy go wziąć ze sobą – mówi Doktor. – I w metrze postawić przed sądem.

– Powiedziałem, że ja się nim zajmę...

– Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu – studzę jego pragnienie wymierzania sprawiedliwości. – Póki co, to on ma kałacha, a my nic.

– Ja mam to! – Seba z dumą wyciąga z cholewy buta długi kuchenny nóż. – Zajumałem w tym poprzednim domu, jak poszłem sprawdzić pięterko.

– Dobra, schowaj to szybko – syczę. – Niech każdy znajdzie sobie jakiegoś drağa, niby do podpierania się. Tylko żeby był mocny. I jak tylko zatrzymamy się na nocleg, na mój znak otoczmy go i zmusimy do odłożenia broni.

– Ryzykowne dość... – kręci głową Doktor.

– Nie widzę innego wyjścia.

– Dobra, a jaki znak? – niecierpliwi się Seba.

– No, nie wiem, może coś powiem?

– Że ciemno już?

– Dobra, może być. Ale już ciemno!

– Brzmi słabo...

– Nie poświęcajmy temu więcej czasu, niż to konieczne, dobrze? To tylko hasło. Bądźmy czujni. I zakładamy maski, wszyscy macie na gębach wypisany spiszek...

– Dobra, cicho teraz, bo stanął i się na nas gapi!

W istocie, stalker zatrzymał się już jakiś czas temu, ale to chyba nie z naszego powodu. Wpatruje się w coś po drugiej stronie ogrodzenia.

Zbliżamy się do niego powoli. Po tym wszystkim, co zostało powiedziane, kiedy w całość zaczęła się składać układanka podejrzeń i domysłów, patrzę na niego zupełnie inaczej. Wprawdzie od początku nie darzyłem go specjalnym zaufaniem, ale nie sądziłem, że będę o nim myślał jak o zagrożeniu takim samym, a może nawet większym, jak to ze strony mutantów. Najważniejsze teraz to nie dać po sobie nic poznać. Bawmy się w tę jego grę, jeszcze tylko chwilę, już niedługo.

– Co tam tak sobie plotkujecie? – szepce na nasz widok.

– Nguyen jest bardzo słaby, nie możemy szybciej – mówi Julia.

– Dobra, już niedługo – mruczy. – Zobaczcie lepiej tam! – wskazuje ręką kierunek. – I bądźcie cicho.

Wpatruję się we wskazany punkt, ale niczego nie widzę.

– Gdzie? Gdzie? – dopytuje się Doktor. – Tam nic nie ma...

– Jest. Musicie się tylko lepiej przyjrzeć. I nie ruszać się – upomina.

Wytrzeszczam oczy tak, że szkła maski zachodzą mi mgłą. Ściągam ją z twarzy, ale nadal nic nie widzę. Mija kilkadziesiąt sekund. Jest absolutnie cicho. I nagle, jakieś sto metrów od nas, po drugiej stronie płotu, wysoki cień, niczym duch, odrywa się od drzewa.

– O Boże! – szepce Julia.

Wygląda jak człowiek, ale jest sporo wyższy – ma dobre dwa metry wzrostu. Jest szczupły, ma długie, ale na oko silne kończyny i niedużą głowę. Okutany jest w jakieś ciemne niepozorne ubranie, coś na

kształt kombinezonu, spod którego prześwieca szara, gładka skóra. Jego głowę szczelnie okrywa obszerny kaptur. Widzi nas. Jestem pewien, że widział nas już na długo przedtem, zanim my, a nawet stalker, dostrzegliśmy jego. Nie odrywając od nas wzroku, powoli rusza w stronę naszej grupki. Najpierw robi kilka ostrożnych kroków, a potem nagle sady niewiarygodnymi kilkumetrowymi susami. W kilka sekund jest dwadzieścia metrów od ogrodzenia. Kątem oka widzę, jak Franz powoli przesuwa na ramię i odbezpiecza karabin. Mutant zatrzymuje się w miejscu tak samo nagle, jak wcześniej zerwał się do biegu. W jego ręku połyskuje jakiś przedmiot. Teraz widzę wyraźnie: to prymitywna, domowym sposobem wykonana maczeta. Daje jeszcze jednego susa do przodu i unosi obie ręce, jakby chciał się na nas rzucić. Wtedy spada mu z głowy kaptur. W małej, ni to psiej, ni kociej głowie osadzone są pełne strachu i nienawiści ludzkie oczy. Prycha przeciągle, jak przyparty do muru dziki kot. Odruchowo cofam się kilka kroków, widzę, jak Alex siada na śniegu, jak pchnięty niewidzialną siłą. Julia zasłania głowę rękami. Franz podnosi karabin i nie mierząc specjalnie, strzela kilka razy w stronę mutantu. Kule świszczą mu koło głowy, jedna trafia w pień niedużej sosny i łamie ją w pół, jak zapałkę. Potwór bezbłędnie odczytuje aluzję: w kilka sekund jest już kilkaset metrów od nas i jak duch znika między drzewami.

– Co to było?! – ciężko dyszy Seba.

Ale Franz tradycyjnie wzrusza tylko ramionami.

– Idziemy – mówi. – Już naprawdę niedaleko!

Patrzemy po sobie i bez słowa ruszamy za nim.

Kilkaset metrów dalej płot zakręca pod kątem prostym na południe. Wleczeni się wzdłuż niego szeroką przecinką. Rozglądam się uważnie, ale las jest cichy i martwy. Kilometr dalej zostawiamy wreszcie ogrodzenie. Teren zmienia się – nie jest już płasko, kępy martwych jałowców i małych powykęcanych na wszystkie strony sosenek porastają pasma niewielkich wydm. Przedzieram się przez suche krzaki drapiące nieustannie kombinezon. Na zmianę z Doktorem prowadzimy Nguyena, ale ten z każdym metrem staje się coraz cięższy, coraz słabiej przebiera nogami. Znienacka wychodzimy na sporą polanę, udekorowaną kilkoma szeregami niewysokich betonowych słupów, zakończonych poprzeczkami podtrzymującymi grube wiązki kabli w czarnej izolacji. Zbiegają się ze wszystkich stron na skraju polany i – już razem – znikają w gęstych krzakach. Rozglądam się zdumiony, gdy nagle zauważam na sobie uważne spojrzenie stalkera. Opanowuję się, wolno podchodzę do Doktora, który wytacza się właśnie z zarośli, włokąc już niemal bezwładnego Wietnamczyka.

– Doktorze! – szepczę. – Muszę panu coś koniecznie powiedzieć!

– Se... Sekundkę... – Doktor nie może złapać tchu.

– Franz! – krzyczę. – Zatrzymaj się, musimy chwilę odpocząć.

Przewodnik powoli kiwa głową, po czym wyciąga z kieszeni skaner. Puka w ekran, urządzenie odpowiada mu serią pisków. Potem chowa je do kieszeni, uśmiechając się pod nosem.

– Jasne, odpocznijcie sobie! Chwilkę tu zostaniemy...

Ostrożnie sadzam Nguyena na śniegu, kucam koło wykończonego Doktora. Seba i Alex podpierają się na solidnych drągach, które zorganizowali sobie po drodze. Ja w końcu nie znalazłem na to czasu, holując

coraz bardziej słabnącego rannego.

Stalker przysiadł trochę dalej. Znowu manipuluje coś przy skanerze, stuka w ekran, urządzenie odpowiada mu cichymi komunikatami głosowymi i seriami pisków. Z całą pewnością jesteśmy już u kresu drogi. On teraz komunikuje się z tymi, do których nas prowadzi, pewnie podaje pozycję, wzywa posiłki. To ostatni moment, żeby coś zrobić. Kiedy będzie ich więcej, nasze szanse spadną do zera.

– Doktorze – mówię. – Poznaje pan to miejsce?

W tym momencie Wietnamczyk przewraca się w śnieg.

– Zaraz – mówi Doktor. – Zróbmy coś z nim.

– Franz! – wołam. – Czy mógłbyś tutaj podejść? Nie wydaje mi się, żeby z Nguyenem było za dobrze...

Unosi głowę, przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Wreszcie podnosi się i nie śpiesząc się, podchodzi do Wietnamczyka. Kuca przy nim, ściąga mu z twarzy maskę. Nguyen jest trupio blady. Zapadnięte głęboko oczy patrzą na świat ostatkiem woli.

– To trzeba będzie kończyć wycieczkę – mówi. – Na dziś... – dodaje po chwili, widząc moje spojrzenie.

– Chcesz jeszcze gdzieś iść? Nie damy już rady, on umrze – mówię.

– Co? – pyta zaskoczony. – Przecież powiedziałem, że kończymy...

– Poza tym jest już prawie ciemno. Gdzie ten nocleg, który nam obiecywałeś?

– Nocleg? – powtarza zamyślony.

– Jest już ciemno – mówię głośno i dobitnie, żeby mnie wszyscy słyszeli. – Co z miejscem na nocleg?

Kucam nadal koło Nguyena, ale widzę, że wszyscy już wstali. Pod pozorem zainteresowania stanem rannego otaczają nas szerokim łukiem. Seba pochyla się dyskretnie, wyciąga ukryty w bucie nóż i chowa go za plecami. Alex przysuwa się bezwiednie do olbrzyma, odruchowo szukając bezpiecznego miejsca. Nawet Doktorowi udzielił się bojowy nastrój: stoi wyprostowany i patrzy na stalkera hardym wzrokiem. Julia staje koło mnie, ściąga z twarzy maskę, potrząsa głową, rozrzucając zlepione potem włosy.

– Co jest? – Franz uśmiecha się złowrogo, podnosząc się powoli na równe nogi. Uważnie lustruje nas wzrokiem, odwraca się trochę, by nie mieć Seby dokładnie za plecami. Dyskretnie kładzie dłoń na rękojeści karabinka, słyszę ciche pstryknięcie bezpiecznika.

– Dokąd idziemy? – pytam.

– Już donikąd – uśmiecha się szeroko. – Jesteśmy na miejscu.

– Przestań pierdolić! – rzuca Seba, wyjmując zza pleców rękę uzbrojoną w nóż.

– Nie strasz, jeżeli nie zamierzasz straszaka użyć – odpowiada spokojnie Franz.

– Zamierzam, kurwa, żebyś wiedział, że zamierzam! Zaraz będziesz inaczej śpiewał...

– Przecież nie jesteście idiotami, prawda? Wiecie, że się nie zawaham i nacisnę spust.

– Nie zabijesz nas wszystkich!

– Dlaczego?

– Bo dla ciebie cenni jesteśmy żywi! – krzyczy Alex.

– Bo nie zdążysz – mówię.

– Eee tam, zdążyłbym – krzywi się. – Ale tym razem pan proboszcz ma rację: jesteście dla mnie zbyt cenni. Żywi.

Lewą ręką błyskawicznie wyjmuję z kabury pistolet. Seba unosi nóż i rusza w stronę stalkera. Ale zanim zdąży zrobić krok, ciemne oko lufy już niecierpliwie szuka jego oczu.

– Widzisz? – mówi spokojnie Franz. – Nie ruszysz się, bo ci łeb odstrzelę. A jak teraz ktokolwiek wykona najmniejszy ruch, to najpierw odstrzelę łeb tobie, a potem jemu. I będzie mi przykro, bo wolałbym cię przyprowadzić żywego, ale twoja śmierć to poświęcenie, na które jestem gotów. A teraz stań tu, z tej strony. I ty też, nie chowaj się za niego – wydaje polecenie Alexowi.

Ustawiamy się posłusznie w szeregu.

– Co teraz? – pyta Doktor.

– Teraz grzecznie skrępujcie sobie ręce, żebym nie musiał mieć was cały czas na oku. – Nie opuszczając glocka, prawą ręką wyciąga spod kombinezonu pęczek plastikowych kajdanek i rzuca mi pod nogi. – Ty założysz to panom, potem pani tobie. I bez sztuczek proszę, sprawdzę! No, z życiem! – pogania mnie lufą pistoletu.

Schylam się powoli po kajdanki, a potem, nie wstając nawet, wybijam się gwałtownie jak sprinter i całym ciałem rzucam się w kierunku stalkera. Mam do pokonania raptem kilka kroków. Po dwóch słyszę huk wystrzału. Przewracam się twarzą w śnieg, dusi mnie smród prochu.

Rozdział 22

Po kilku sekundach otwieram oczy. Nie czuję nic. Delikatnie, żeby nie narazić się na spodziewany ból, podnoszę się na rękach, klękam w śniegu. Ale nic mnie nie boli. Tylko cholernie piszczy mi w uszach. Chybił? – przelatuje mi przez głowę. – Strzeliłby jeszcze raz!

Franz stoi kilka kroków przede mną, w dłoni trzyma dymiącego jeszcze glocka. Nie strzela ponownie. Gestem każe mi wracać do grupy. Dźwigam się z kolan i odwracam. I już wiem, co się stało. Julia siedzi na piętach, zaciska dłonie na brzuchu. Pod jej palcami pojawia się coś, co z początku wygląda jak jeszcze jedna łata na zniszczonym kombinezonie. Tym razem weselsza, czerwona. Ale łata szybko rośnie, pożera inne, prawdziwe łaty, wreszcie złazi z kombinezonu i nierównym kleksem rozlewa się po śniegu. Dziewczyna podnosi głowę, patrzy na mnie przepaszającym wzrokiem, jakby zrobiła coś złego. Wściekłość piecze mnie w gardle, zasnuwa oczy czerwonym bielmem.

– Ty skurwielu... – dyszę. – Czemuś to zrobił?!

– Chcesz, żeby żyła? – pyta lodowatym tonem Franz. – To wiąż im ręce. Teraz jestem waszą jedyną nadzieją. Właściwie cały czas nią byłem, ale jakoś nie potrafiliście tego zrozumieć i docenić. Jeżeli nie przestaniecie się wydurniać, ona zdechnie. On zresztą też – pokazuje lufą Nguyena. – Jeżeli grzecznie będziecie robić to, o co proszę, za pół godziny będzie tu pomoc. Dziewczyna będzie żyć. I wszystko będzie cudownie.

Bez słowa zakładam kajdanki Doktorowi, Alexowi i Sebie. Olbrzym walczy z sobą przez chwilę, ale w końcu ulega i zrezygnowany wyciąga ręce. Na końcu sam wkładam dłonie w plastikowe pętle i podchodzę do stalkera.

– Nie tak, cwaniaku! Z tyłu, jak im założyłeś! – śmieje się do mnie. – O, teraz jest w porządku.

Czuję, jak cienkie plastikowe opaski wrzynają mi się w nadgarstki.

– Teraz siadać tu, na ziemi – rozkazuje Franz. – Najlepiej blisko siebie, wówczas nie zmarzniecie, a to chwilę potrwa.

Wraca na swój pniak i rozsiada się wygodnie. Długo gładzi palcem ekran skanera, stuka w wirtualne klawisze. Urządzenie odpowiada mu seriami pisków, wyświetla coś, co stalker czyta w skupieniu. Mija kilkanaście minut. Tracę czucie w zdrętwiałych nogach. Choć to bez sensu, przecież już właściwie jestem martwy, po głowie tłucze mi się myśl, że nie mogę się poodmrażać.

– Zginiemy wszyscy! – szlocha Alex.

– Przestań się mazać panienko! – odpowiada mu Franz.

– Julia, przyciskaj mocno ranę – szepczę.

Dziewczyna jest blada jak śnieg, wstrząsają nią dreszcze, ma przerażone, niewidzące oczy, jej oddech jest płytki i szybki.

Franz wstaje, nasłuchuje przez chwilę, potem bierze plecak i wyciąga z niego dwie racie. Odpala je i rzuca na śnieg na drugim końcu polany, tam gdzie nie ma słupów. Podchodzi do nas. Kuca obok siedzącego na śniegu Seby i wyciąga z plecaka plastikowy pistolet wyglądający jak dziecięca zabawka.

– Zabiję cię, bydlaku jebany, jak Boga kocham, zabiję cię! – cedzi przez zęby osiłek.

Stalker przez dłuższą chwilę patrzy mu w oczy.

– Wątpię! – rzuca obojętnie i przykłada mu urządzenie do szyi. Naciska plastikowy spust.

– Auuu! – wyje Seba.

– Cicho! – mówi z miną doświadczonej pielęgniarki stalker. – Przecież w ogóle nie bolało...

Podchodzi do Alexa. Ten aż piszczy z przerażenia i kopie nogami śnieg.

– Opanuj się, nic złego ci nie robię! O, widzisz? I po krzyku! – przemawia jak do dziecka.

Doktor wybrał dumne milczenie.

– Auć! – syczy jednak cicho.

– Na tych dwoje to po pół najwyżej... – mruczy do siebie Franz, podchodząc do Julii.

Przestawia coś w pistolecie i przystawia go do szyi dziewczyny. Trzask! Julia wzdryga się, jakby ktoś szarpnął ją za jakiś ważny nerw. Nguyen wręcz przeciwnie – w ogóle nie reaguje.

– No, to teraz na ciebie kolej... – mówi, kucając przy mnie. – Widzisz, co żeś narobił?

– Ja? O co w tym wszystkim... Aua! Chodzi?!

Pochylona nade mną twarz stalkera rozdzwaja się, potem każda głowa rozdzwaja się po raz kolejny. Jedenaście razy. Każda jest w innym kolorze, każda mówi do mnie niby to samo, ale odrobinę przesunięte w czasie i innym głosem. Potem głowy rozdzielają się i zaczynają wirować wokół mnie w czerwonej łunie rac.

– Dowiesz się, dowiesz się już za chwilę – słyszę dwa tysiące czterdzieści osiem razy.

– A kim ty... Kim ty jesteś? – szepcę, zanim moja głowa dołączy do tego szaleńczego korowodu. Ale w tym momencie, w ułamku sekundy, tysiące stalkerów znowu stają się jednym stalkerem. Towarzyszy temu pulsujący nerwowo łomot i snop światła, który wypala mi oczy.

– Ja? Ja jestem pasterzem.

Rozdział 23

Jest zimno. Wszędzie śnieg – wciska mi się do oczu, do nosa i uszu. Mam go pod ubraniem, ogrzany ciepłem ciała sączy się milionem strumyków w dół, zgodnie z siłą grawitacji. Oślepia mnie jaskrawe białe światło, inne pulsuje czerwono z taką mocą, że niemal słyszę to pulsowanie całym ciałem. Monotonny szum przechodzi w pulsujący łoskot. Zimne strumyki na moim ciele wariują: płyną to w górę, to w dół. Ktoś wyłączył grawitację? Rytm wgniatającego mnie w ziemię hałasu synchronizuje się z rytmem mojego serca. Nie czuję go już tam gdzie zawsze, jakby było gdzieś poza mną, wysoko ponad moją głową. Nie czuję własnego oddechu, to pulsujący hałasem wiatrak włącza w moje płuca powietrze, by w następnej sekundzie wyssać je brutalnie, zanim płuca zdążą z niego skorzystać. Słyszę skomplikowany kod kolorowych świateł, widzę rytm pulsującego łoskotu, rozdwajam się, potem każda moja połówka rozdwaja się ponownie. Wiruję na wietrze jak te wszystkie płatki śniegu, które marzą, by ogrzać się pod moją koszulą, w ciepłe moich pleców. Razem ze mną wirują psie głowy o ludzkich oczach. Szczerczą na mnie ostre kocie kły.

Ciężkie uderzenie o twardą podłogę scala mnie z powrotem. Tylko z grawitacją wciąż coś jest nie tak. Już nie tak całkowicie nie tak, tylko trochę, ale jednak nie tak. Wariuje – odchyła się to w prawo, to w lewo, jakbym gwałtownie wchodził w zakręty na wodnej zjeżdźalni. Hałas nie milknie, ale jest inny. Nie widzę go już, tylko normalnie – słyszę. W białej studni światła pode mną wirują miliardy płatków śniegu. Uciekam im, nie mają już do mnie dostępu.

– Pokaż go! – słyszę znajomy głos. Nie mogę sobie przypomnieć czyj. Koto-pso-ludzie wirują znowu dookoła mnie. Ciężar buta na moich plecach jest realny. Na chwilę znowu dezorientuje grawitację – strumyki zmieniają bieg. Zamykam oczy, pozwalam im płynąć, jak chcą. Kiedy otwieram powieki, widzę przed sobą zniekształconą, monstrualnie wielką twarz Seby. Źrenice ledwie mieszczą mu się w oczodołach. Wytrzeszcza ślepe oczy, niewidzący wzrok ogniskuje gdzieś pół metra za moją czaszką. Strumyk śliny cieknie mu z kącika ust, wąską strużką meandruje po zarośniętym policzku, sycząc i bulgocąc w rytmie zgodnym z pulsującym nade mną wiatrakiem, wreszcie spada piekielnym wodospadem do ciemnego jeziora na blaszanej podłodze. Zamykam oczy. Wołałem studnię światła. Moje ledwo pomyślane życzenie spełnia się błyskawicznie. Twardy but na ramieniu i znowu czuję na twarzy wirowanie powietrza. Słyszę jakieś głosy, ale nie umiem ich zrozumieć, nie umiem też ich zapamiętać. Otwieram oczy, potem zamykam i otwieram ponownie, bo poprzednio chyba źle je otworzyłem. Oślepiłem – myślę i w myślach zanoszę się śmiechem. Płaczę ze śmiechu, potem już tylko płaczę. Gdzieś za mną błyska nagle czerwone światło. Kolorowa luna rozjarza okolicę. Widzę cień

olbrzymiej wazki, zamrozone na ułamek sekundy pióra jej skrzydeł, widzę korony ciemnych czerwonych drzew i wirujący dookoła czerwony śnieg. Potem nadal to widzę, ale wszystko jest czarne. Czarny cień, to jak go można zobaczyć w nocy – myślę i znowu krztuszę się ze śmiechu. Łomot wymyślonych łąz o blaszaną podłogę przywraca mi świadomość. W oddali połyskują żółte światła. Ułożone regularnie – w linie i prostokąty. Usiłuję je czytać, jak czyta się litery, ale nie układają się w żaden znany mi wzór. Czasem znikają, czasem pojawiają się znowu, drżą w ciemności, pewnie boją się czarnego cienia. A potem znowu pojawia się studnia światła. Drży niecierpliwie, macając ciemność w poszukiwaniu swego dna. Pulsujący łomot zmienia wysokość, zmienia rytm. Śnieg znowu zalepia mi oczy. Zasypiam.

Rozdział 24

Tępy ból rozsadza mi czaszkę. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek otwieranie oczu było tak bolesne. No, może raz, dwadzieścia kilka lat temu, dzień po ostatnim egzaminie letniej sesji na drugim roku. Ale gdy je wtedy w końcu otworzyłem, przyszłość malowała się w pastelowych barwach, a wszystko smakowało obietnicą wolności i radości. Teraz tęsknię za tamtą beztroską, za słodko-gorzkim smakiem tamtego kaca. Dzisiaj czuję wyłącznie gorycz. Ciężką, piekącą. I strach, który ściska mi żołądek, gniecie płuca, paraliżuje ręce. Kiedy zmuszam się wreszcie do otwarcia powiek, czuję, jak ostre dłuto światła wbija mi się głęboko w czaszkę. Ręce mam wolne, trę zaropiałe oczy dłonią, ale wirujące kolorowe kręgi ustępują dopiero po kilku minutach. Monotonny szum wody powoduje, że fizjologia brutalnie domaga się swoich praw. Skąd ten dźwięk tutaj? Leżę na wznak na blaszanej podłodze, nad sobą widzę grube stalowe pręty i brzęczącą cicho żółtą żarówkę, świecącą mi prosto w oczy. Z trudem obracam się na bok, zeszywniałe mięśnie bolą w każdej pozycji. Siadam, podpierając się ostrożnie rękami. Zajmuje mi to chyba z minutę. Rozglądam się dokoła.

Siedzę w środku metalowego prostopadłościanu, jakieś trzy na trzy na trzy metry stalowych prętów przyspawanych do solidnej ramy. Jedyne wyposażenie klatki jest arkusz grubego styropianu w kącie. Domyślałem się, że to ma być siennik. I jeszcze małe, podwójne korytko przyspawane do podłogi w rogu klatki. Oprócz „mojego” boksu jest ich tu jeszcze kilkanaście. Stoją równo ustawione w dwóch rzędach, w kilkumetrowych odstępach, na środku dużego, ciemnego hangaru, oświetlonego tylko przez kilka sodowych lamp zawieszonych wysoko pod sufitem. Poza nimi w hangarze nie ma prawie nic, tylko metalowe szafki, w jakie wyposażano kiedyś fabryczne szatnie, i tablica elektryczna na jednej ze ścian. Większość klatek jest pusta, ale w kilku widzę znajome postaci: Doktora, Alexa i Sebę. Nguyena ani Julii nie mogę nigdzie dostrzec. Doktor siedzi oparty o kraty z niewidzącym wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni, dwaj pozostali leżą w dziwnych pozycjach na podłodze, zapewne tak, jak ich tam wrzucono. W kącie hangaru smukła, wysoka sylwetka w gumiakach i roboczych drelichach splukuje silnym strumieniem wody z żółtego szlauchu jedną z klatek. Cuchnąca breja spływa do biegnącego przez środek budynku płytkiego rynsztoka. Zaczynam dygotać, rozpoznając w tajemniczej postaci jakiegoś kuzyna humanoidalnego mutantu z lasu.

– Doktorze! – wołam cicho.

Nie słyszy albo jeszcze nie odzyskał w pełni świadomości. Wstaję, dyskretnie, by nie zwrócić na siebie uwagi tego wysokiego, rozmasowuję zeszywniałe mięśnie, rozciągam kości, z bliska oglądam klatkę. Potem siadam na swoim posłaniu i przyciągam nogi pod brodę, żeby się trochę ogrzać. W budynku

nie jest zimno, na pewno powyżej zera, ale nie nazwałbym też tej temperatury komfortową. Nie mam na sobie kombinezonu, tylko swoje zwykłe „prywatne” ubranie: koszulę, dwa swetry, grube płócienne spodnie. Nie jest najgorzej, ale w tej sytuacji przydałoby się jeszcze coś cieplejszego. Ten w kącie kończy sprzątanie, zwija starannie wąż i odkłada go pod ścianę. Przechodzi potem wzdłuż klatek i sprawdza stan elektrycznych zamków. Pierwszą zamieszkaną klatką na jego trasie jest ta, w której siedzi Doktor. Kuca naprzeciwko więźnia, ciekawie wpatrując się w jego twarz. Doktor nie reaguje, nie porusza się. Po chwili strażnik wstaje i kontynuuje obchód. Przy klatkach Seby i Alexa zatrzymuje się tylko na chwilę, szarpie stalowe drzwi, sprawdzając ich zamknięcie. Gdy podchodzi do mnie, wiem już, czego się spodziewać. Ale mimo to wrażenie jest tak silne, że odruchowo kulę się na legowisku, trzęsąc się na całym ciele. Mimo chłodu czuję strużki lodowatego potu spływające mi po plecach, a żołądek gniecie mnie, jakbym połknął cegłę. Strażnik widzi wrażenie, jakie robi na mnie jego obecność, i chyba jest z tego zadowolony. Szczyrzy się do mnie w przypominającym uśmiech grymasie na tyle, na ile pozwala mu jego fizjonomia, i długo gapi się na mnie, przekrzywiając swój kocio-ludzki łeb. Do granatowego kombinezonu ma przyczepioną plastikowy identyfikator. A2-137... Ładne imię – myślę. Jego skóra jest szara i gładka, z bliska widzę, że pokryta rzadką, również szarą sierścią. Jest smukły i muskularny. Wysoki, chyba nawet wyższy niż ten za ogrodzeniem w lesie. Tylko głowę ma inną – bardziej przerażającą, bo bardziej ludzką. Oczy, broda, policzki są całkiem normalne. Jednak mały koci nos, zajęcza wargę, pod którą ukrywa się rząd żółtych, ostrych jak igły kłów i odstające uszy pokryte sierścią nadają mu upiorny wygląd. Zaciska długie żylaste palce zakończone szarymi pazurami na prętach klatki i fuka na mnie jak obrażony dachowiec. Jeżeli chce mnie przestraszyć, to ten ostatni gest był już zbędny: nie mogę znieść jego obecności tak blisko mnie. Nie miotam się przerażony po klatce tylko dlatego, że strach paraliżuje każdy mój mięsień. Wreszcie podnosi się i odchodzi, nie oglądając się za siebie.

Mija kilka godzin. A może kilka minut? Nie ma tu nic, co pomagałoby ocenić upływ czasu. Monotonne brzęczenie lampy pod sufitem drażni, nie usypia. Seba i Alex leżą wciąż w tej samej pozycji, Doktor kiwa się na legowisku, zapatrzony niezmiennie w zawieszony gdzieś w przestrzeni punkt. Wstaję, chodzę trochę, potem znowu siadam. Mijają kolejne godziny, w których nie dzieje się absolutnie nic. Próbuję leżeć, spać, chodzić, siedzieć. Macam pręty klatek, szukając jakiegoś słabego punktu. Niczego nie znajduję.

Po kilku godzinach Alex porusza gwałtownie nogą. Uczepiam się tego, wpatruję się w niego godzinami, w nadziei na coś więcej, choćby na kolejny ruch. Nic.

Zaczynam być głodny. Ostatni raz jadłem kilka godzin przed nieudanym atakiem na Franza. Ile trwało to, co działo się potem, nie próbuję nawet zgadywać, ale wtedy mój organizm nie funkcjonował chyba normalnie, mogę więc ten czas pominąć. Ostatnio nie zdarzało mi się jeść częściej niż dwa razy dziennie, zatem przytomność musiałem odzyskać jakieś osiem, dziesięć godzin temu. Pali mnie też pragnienie. Jeszcze raz rozglądam się po klatce, wacham wodę w korytku. Śmierdzi lekko stęchlizną, ale nie wyczuwam żadnych chemikaliów. Maczam w niej palec – nie piecze. Oblizuję – smakuje jak woda. Zastanawiam się chwilę, wreszcie wzruszam ramionami – mogą zrobić ze mną co chcą, prawdopodobnie

i tak już jestem trupem. Chłepcę z dłoni. Żołądek pełen chłodnego płynu na chwilę zapomina o głodzie.

Odwracam się od korytka i widzę, że Doktor wpatruje się teraz we mnie. Macham do niego ręką. Wykrzywia na chwilę twarz.

– Zaraz pęknie mi głowa – mówi cicho.

– Ale poza tym wszystko w porządku? – pytam. – Żadnych złamań, stłuczeń?

– Chyba nie... – wzrusza ramionami. – Gdzie my jesteśmy?

– Wiem tyle samo co pan. No, może jeszcze tylko, kto się nami opiekuje...

– Kto?

– Nie będę panu psuł niespodzianki...

– Niech kolega nie żartuje. Ja chyba mam już dość niespodzianek. Wręcz ich nie cierpię...

– Nie wiem, kim on jest, ale po numerze, jaki ma przypięty do kombinezonu, wnoszę, że nie jest tu jedynym przedstawicielem swojego gatunku.

– Gatunku?!

– No, gatunku, rasy czy jak ich zwać... Podobny trochę do tego z lasu.

– O Boże! Długo już tu jesteśmy?

– Nie mam pojęcia. Trochę pamiętam lot...

– Lot?! Jaki lot?!

– No, mam wrażenie, że czymś tu przylecieliśmy. Nie jestem pewien, halucynowałem. Ten bydlak podał nam jakiś narkotyk.

– Mi ktoś po prostu wyłączył światło. Obudziłem się przed momentem. Chociaż mam wrażenie, że dość długo wałęsałem się po jakimś pustym polu, chyba zabłądziłem. Ale to ewidentnie halucynacje.

– Raczej tak. Siedzę tu już dobrych kilka godzin i muszę panu powiedzieć, że nie ruszył się pan przez ten czas z miejsca.

– Tak może być, bo siedzenia – za przeproszeniem – nie czuję.

Uśmiecham się. Opilem się, a teraz organizm domaga się swoich praw. Chyba wołałem już, jak wszyscy spali.

– A ci dwaj? – Doktor wskazuje głową na Alexa i Sebę.

– Nie wiem – wzruszam ramionami. – Ale chyba żyją. Przynajmniej Alex. Poruszył raz nogą.

– A dziewczyna i Wietnamczyk? – przypomina sobie nagle.

– Też chciałbym wiedzieć. Mam nadzieję, że żyją i że ktoś się nimi zajął, tak jak zapowiadał ten bydlak Franz. Ale nie widziałem ich. Jak się obudziłem, ten wysoki strażnik sprzątał jedną z klatek. Ale sądząc po jej stanie, poprzedni lokator musiał spędzić tam dość dużo czasu.

– Widział go kolega?

– Niestety. Znaczy się: nie – dodaję, widząc jego przerażony wzrok.

– Ktoś jeszcze tu był? Coś się działo?

– Nie, kompletnie nic. Myślałem już, że zwariuję.

– Deprywacja sensoryczna. W pewnej dawce staje się torturą.

– Zauważyłem. Potwierdzone empirycznie.

Doktor uśmiecha się blado.

– To pierwszy eksperyment na sobie ma kolega zaliczony!

– Uważa pan, że to był eksperyment? Albo że będą na nas prowadzić jakieś eksperymenty?

– To jasne jak słońce! A po co by nas tu sprowadzali?

– Nie wiem, może chcą się czegoś dowiedzieć?

– Oczywiście. I dlatego będą prowadzić eksperymenty.

– Nie... Nie w tym sensie... Bardziej, że będą chcieli się dowiedzieć czegoś o metrze, co robimy, jak nam się udaje...

– Kiepsko nam się udaje, to przecież widać na pierwszy rzut oka. Tylko idiota by o to pytał.

– Przeraza mnie pan!

– Sam jestem przerażony, kolego. Ale niech się kolega nie boi, na razie to nie był jeszcze eksperyment, żartowałem...

Przerywa nam nagły ryk Seby. Olbrzym siada na podłodze i ryczy, jakby go zarzynano. Ma zamknięte oczy i zaciśnięte pięści, jego ciałem wstrząsają gwałtowne drgawki. Trwa to prawie minutę. Gdy brakuje mu w końcu tchu, milknie i obiema rękami drapie się po łysej czaszce, trze oczy i nos, szarpie się za uszy.

– Nie! Nie dam się wam pożreć... – sapie. – Odpierdolcie się ode mnie! Poszły won!...

– Niezła pojemność płuc! – chwali Doktor. – Obudził kolejnego umarłego!

Faktycznie, Alex siedzi oparty plecami o pręty klatki i rozgląda się zalęknionym wzrokiem. Na spodniach ma ciemną plamę, sięgającą prawie do kolan.

– Przynajmniej będzie mu cieplej – komentuje Doktor.

– Przez chwilę – mówię. – W sumie to tu jest dość chłodno. Ale dobrze, że chociaż na plusie – woda nie zamarza.

Patrzemy na nich przez dłuższą chwilę.

– Musimy chyba parę minut odczekać, zanim zaczną normalnie kojarzyć – mówię.

– Pewnie tak. A tak z innej beczki: jak tu karmią?

– Przykro mi, Doktorze, ale i na to, jak na większość pańskich pytań, nie umiem odpowiedzieć. Piłem tylko i, na razie przynajmniej, bez skutków ubocznych. Ale to napawa optymizmem, że mimo naszego położenia apetyt panu dopisuje.

– To koryto ma kolega na myśli? – kontynuuje myśl Doktor.

– Dokładnie tak. Ale niech pan najpierw spróbuje, choć u mnie wygląda to na wodę.

– A z toaletą jak sytuacja wygląda? – pyta nieśmiało Doktor.

– O, ten rowek tutaj – wskazuję rynsztok biegnący przez środek budynku. – Innych udogodnień nie znalazłem.

– Nie za dobrze... – kręci z rezygnacją głową.

– Gdzie ja jestem? – pyta nagle Seba. Chyba odzyskał już zdolność kojarzenia.

– W klatce – odpowiada Doktor.

– Tyle, kurwa, to widzę. Ale gdzie oni nas wzięli?

– Zapytasz ich, młody człowieku. Jak przyjdą.

– Chcą nas tu zabić albo zgwałcić? – szeptem Alex.

– Ten w kółko o jednym...

– Czy... Czy wiecie, gdzie jesteśmy, co się dzieje, co oni planują?

– Tyle pytań, tyle pytań... Ja też dopiero przed momentem się ocknałem.

– A ty? – mówi Seba patrząc na mnie.

– Ja już kilka godzin temu, chyba...

– Czyli że my we trzech teraz, a ty wcześniej? A dlaczego tak?

– Też się nad tym zastanawiałem – mówię. – I chyba wiem. On dał mniejszą dawkę Julii i Nguyenowi,

bojąc się chyba, że ta dla nas mogłaby im zaszkodzić – to zdaje się kwestia wagi ciała. A potem podszedł do mnie i jako ostatniemu zrobił mi zastrzyk. Ale nie przestawił dozownika pistoletu. W ten sposób dostałem mniejszą dawkę narkotyku. I to tyle.

– To masz, kurwa, fart, że na nas jakichś doświadczeń nie robili – krzywi się Seba. – Byś się obudził z flakami na wierzchu.

Trudno się z nim nie zgodzić.

– A, właśnie! – przypominam sobie. – Dlaczego uważa pan, że do tej pory to jeszcze nie był eksperyment? To z brakiem bodźców?

– Bo – jak się domyśliłem – ten nasz, pożałuj Boże, przewodnik nie planował kolegi przedwcześnie pobudki. To była zwykła pomyłka, przeoczenie powodowane emocjami, a nie plan.

– Czyli to oznacza...

– Dokładnie tak, że po prostu dali nam spokój, dopóki się nie pobudzimy. A kolega miał pecha i zamiast się wyspać, to się wynudził.

– Ale w takim razie...

– W takim razie niebawem należy się spodziewać gości!

– Porypało się trochę – kręci głową Seba.

– Trochę... – przytakuję. – A pamiętacie cokolwiek z tego, jak się tu znaleźliśmy?

– No, jak z metra wyszliśmy... – zaczyna Alex.

– Nie! – przerywam. – Odkąd Franz postrzelił Julię i wstrzyknął nam to świństwo.

– O kurwa, właśnie! Gdzie dziewczyna?

– I żółtek? – dodaje Alex.

– Nie mam pojęcia, nie było ich tu, gdy się obudziłem. Ale to jak z tą waszą pamięcią?

– Ja nic – odpowiada Seba, drapiąc się po czaszce. – Jakieś potworne głupoty widziałem, ale to chyba na szczęście tylko w mojej głowie. I nic o podróży tam nie było.

– Jakoś nas przynieśli pewnie... – mówi Alex.

– Ale konkretnie: wiesz, pamiętasz cokolwiek czy tylko gdybasz?

– No nie, tak właściwie to zupełnie nic. Łeb mnie boli, nic od tamtej pory nie pamiętam.

– Do żarcia coś dostaliście? – przerywa nam bezceremonialnie Seba.

– Jak możesz w takiej chwili myśleć o jedzeniu? – oburza się Alex.

– A o czym mam myśleć? – wzrusza ramionami olbrzym.

– Przecież nas tu zabiją...

– Pierdolisz głupoty! Jakby nas chcieli zabić, to zrobiliby to już dawno. Po co mieliby nas tu targać i się z nami obtykać?

– No po co niby?

– Wywiad, człowieku! – uśmiecha się z wyższością Seba. – Intelidżens! Będą chcieli nas o wszystko wypytać, ilu nas w metrze mieszka, czy jesteśmy uzbrojeni, kto tam jest najważniejszy i wszystkie takie głupoty.

Doktor uśmiecha się z politowaniem, milczy.

– Będą chcieli z nas to siłą wyciągnąć, wszystkie szczegóły – kontynuuje Seba. – Pewnie nas będą chcieli torturować najpierw, ja bym tak bynajmniej od razu zrobił!

– O Boże przenajświętszy! – jęczy Alex.

– A ja to wszystko pierdołę! Od razu wszystko powiem! Jak się da, to się do nich w ogóle zapiszę... Stary, to coś jak Legia Cudzoziemska! Albo może nawet lepsze...

Miłą konwersację przerywa krótki brzęk elektrycznego zamka i trzask otwieranych drzwi. Do hangaru wchodzi ubrany w roboczy kombinezon mutant. W rękę niesie wiadro wypełnione jasną, śmierdzącą cieczą.

– Co jest?! – stęka przerażony Seba. – Co on tu robi?!

– Chyba pilnuje – szepcę.

– Ożeż ty dupku, nie mogłeś powiedzieć?!

– Goń się, cwaniaku! – odpowiadam cicho, starając się nie zwracać na siebie uwagi mutant. – Pogadaj z nim, może się dogadacie...

– W sumie może i fakt? – Seba drapie się po głowie. – Ważne, kto tu rządzi...

Strażnik chluśnięciem napełnia koryto Seby i przechodzi do klatki Alexa.

– Hej, kolego! – krzyczy za nim ze swojej klatki osiłek. – Halo! Sprawa jest!

Mutant nie zwraca na niego uwagi. Nalewa z wiadra skulonemu w przeciwległym kącie klatki Alexowi.

– Te, koleś! – Seba staje przy kracie, wystawia jedną rękę i macha na strażnika. – Do ciebie mówię! Mówisz po polsku? Podejdz no tu!

Mutant zatrzymuje się i powoli odstawia wiadro. Odwraca się w stronę Seby i sięga do kieszeni.

– No chodź no, mówię! Z twoim szefem muszę pogadać, bądź tak...

Nagle milknie w pół słowa, wytrzeszcza oczy, jakby coś wypychało mu je z głowy, a jego ciałem wstrząsa seria gwałtownych drgawek. Rzęzi przez zaciśnięte zęby, szarpiąc pręty klatki. Po chwili mutant wsuwa z powrotem do kieszeni małego pilota z kilkoma rzędami guzików, a Seba jak szmaciana lalka osuwa się na ziemię i jeszcze kilkanaście sekund kopie podłogę, tłukąc równocześnie głową w koryto. Strażnik kończy rozlewanie cuchnącej mazi i znika za drzwiami. Widziałem plakietkę, to ten sam, co przedtem mył klatkę.

Mija kilka minut, zanim zdobywam się na odwagę i podchodzę do „kącika jadalnego”. Seba siedzi na środku klatki, w milczeniu rozmasowuje kark. Zaglądam do koryta i natychmiast cofam głowę

z obrzydzeniem. Nigdy nie mieszkałem na wsi, ale jestem pewien, że kiedyś świnie karmiono lepiej. Szare pomyje, w których pływają jakieś farfocle, wyglądają i śmierdzą ohydnie. Jak smakują, nie zamierzam się nawet przekonywać. Kiedy przypominam sobie nasze ostatnie posiłki, z żalu robi mi się aż fizycznie słabo. Jak szybko człowiek przyzwyczaja się do dobrego...

– Kłuje w ząbki, co? – pyta Doktor. – Niech się kolega nie martwi, za trzy dni będziemy to wcinać, aż się nam uszy będą trzęsły.

To przykre, ale wiem, że tak będzie.

Milczymy. Każdy pogrąża się we własnych myślach. A może właśnie stara się nie myśleć? Nie wiem. W samotności zмага się ze swoimi demonami. Moje przekleństwo to niemożność mierzenia upływu czasu. Wiem, że to irracjonalne, ale za zegarek oddałbym wszystko. Nagle doznaję olśnienia.

– Ty przecież masz zegarek! – krzyczę do kiwającego się na skraju styropianu Alexa.

– Co? – patrzy na mnie obłąkanym wzrokiem.

– Masz zegarek, prawda? Franz go wtedy od ciebie pożyczał w szpitalu.

– Zegarek... Nie, nie mam – mówi po długiej pauzie. – Rozbił mi się, jak uciekaliśmy z tej willi wtedy...

Przeklinam w myślach. Staram się zapanować nad nerwami, ale w głowie łomocze mi nieustannie jedna myśl: która godzina? Przecież na nic nie czekasz, cymbale! – strofuję się. – Opanuj się!

Doktor wyciągnął się na posłaniu, wygląda jakby ucinął sobie drzemkę w sobotnie popołudnie. Seba nie może sobie znaleźć miejsca – chodzi, siedzi, leży, znowu chodzi, szarpie pręty klatki, złorzeczy pod nosem. Siadam na styropianowej płycie, staram się wyciszyć, nie myśleć, nie słyszeć i nie widzieć.

– Co z nami będzie co z nami będzie co z nami będzie... – powtarza jak automat Alex.

Nie mam pojęcia. Zasypiam.

Rozdział 25

Budzi mnie głośny szcęk elektrycznego zamka. Zrywam się na równe nogi i zajmuję strategiczne miejsce na środku klatki – jak najdalej od prętów. Strażnik wchodzi z naręczem grubych plastikowych taśm podszytych rzepem. Ma na sobie ten sam kombinezon, te same wysokie kalosze. Podchodzi do klatki Alexa. Prycha na niego i gestem nakazuje mu wstać. Mężczyzna wstaje powoli, dygoce na całym ciele. Mutant przykłada coś do prętów klatki i drzwi odskakują z cichym trzaskiem. Schyla się i wchodzi do środka. Po spodniach Alexa rozlewa się lekko parująca ciemna plama. Strażnik bierze jedną z taśm i wprawnym ruchem błyskawicznie opasuje nią więźnia, całkowicie krępując mu ręce. Potem drugą taśmą unieruchamia nogi. Przyklepuje rzepy i gestem każe położyć się Alexowi na podłodze. Ten, obezwładniony strachem, nie rozumie polecenia. Stoi spętany jak homar przed podróżą do garnka i wytrzeszcza na potwora oczy, mamrocąc coś niezrozumiale. Mutant próbuje ponownie, ale gdy to nie przynosi rezultatu, błyskawicznym ruchem nogi podcina mężczyznę, a ten wali się na twarz z głuchym łoskotem. Strażnik wychodzi, zamykając za sobą drzwi, i podchodzi do klatki Seby.

– Nie weźmiesz mnie tak łatwo, bydlaku – cedzi przez zęby osiłek. Wskakuje na styropian i unosi zaciśnięte pięści. – No, chodź teraz, jełopie!

Strażnik zatrzymuje się na chwilę. Już sięga po elektroniczny klucz, ale rozmyśla się w ostatniej chwili i odchodzi od klatki. Odkłada na bok taśmy.

– Strach cię obleciał, cwaniaczku?! – szydzi Seba, wymachując pięściami. – No, chodź, sprawdzimy się!

Mutant mija obojętnie klatkę z podskakującym wojowniczo Sebą i podchodzi do leżącego pod ścianą szlauchu. Zaciska w dłoni końcówkę, odkręca sterzący ze ściany zawór, a potem zwalnia uścisk i długo, starannie, metodycznie polewa całą klatkę razem z jej lokatorem.

– Co jest?! Co ty, gnoju, robisz?! – krzyczy przerażony Seba, ociekając wodą. Jest mokry od stóp do głów.

Po minucie prysznic strażnik zwija starannie wąż i wsuwa rękę do kieszeni. Widzę obłąkane ze strachu oczy Seby. Pół sekundy później wygięty w pałak wali się na podłogę i podskakuje na niej, jak kropla wody na rozgrzanej patelni. Odgłosy są nawet podobne. Po chwili jego posiniałe ciało flaczeje, dymiąc lekko, a strażnik wchodzi do klatki i krępuje je kilkoma sprawnymi ruchami. Podnosi go potem jak piórko i wynosi na zewnątrz. Stawia jak zrolowany dywan pod ścianą, idzie po trzęsącego się, jakby to jego poraził prąd, Alexa i wlecze ich obu po podłodze przez drzwi, którymi przyszedł.

Zerkam na Doktora. Nie wygląda najlepiej. Ja też muszę mieć nietęgą minę. Bujam się na piętach,

obejmując ramionami kolana, zagryzam mocno zęby, żeby nie słyszeć ich monotonnego klekotu. Po kilku godzinach, kiedy nie pada ani jedno słowo, drzwi się otwierają i znajomy strażnik wrzuca więźniów z powrotem do ich klatek. Uwalnia ich z taśm i zostawia na blaszanej podłodze. Obaj są nieprzytomni, przewracają niewidzącymi oczami i bełkocą bez sensu. Teraz moja kolej. Podchodzi do klatki, otwiera drzwi i staje przede mną, prychając głośno. Posłusznie stoję na baczność i bez najmniejszej próby oporu daję się spętać taśmą. Delikatnie poruszam ramionami, ale rzep trzyma mocno, ledwo mogę oddychać. Patrzę na potwora, a cegła w moim żołądku jest raz rozpalona, raz lodowata. Chwyta za taśmę i wywleka mnie z klatki. Mógłbym iść, ale nawet nie próbuję się samodzielnie ruszyć. Póki mogę, przyglądam się otoczeniu. Ciągnie mnie ciemnym, wąskim korytarzem o surowych, betonowych ścianach. Nigdzie nie ma okien, czyżbyśmy znowu byli pod ziemią, a hangar to tak naprawdę olbrzymi bunkier? Mijamy kilkoro drzwi, które strażnik otwiera swoim elektronicznym kluczem. Przechodzimy przez śluzę, w której oślepia mnie strumień niebieskiego światła, a lodowaty podmuch sprawia, że dygocę jeszcze mocniej. Za śluzą charakter wewnątrz diametralnie się zmienia: surowy beton ustępuje miejsca sterylnym szpitalnym wykładzinom. Gumowana podłoga, zielone lamperie, błyszczące kafelki. Szkło i metal. Tylko jedno wciąż pozostaje niezmiennie: nigdzie żywego ducha. Mutant wciąga mnie do niewielkiej sali, na środku której stoi stalowe łóżko na kółkach. Podnosi mnie bez wysiłku i kładzie na blaszanym blacie. Rozwija taśmę, zapina zwisające po bokach skórzane pasy i wychodzi. Nie wiem, jak długo tak leżę. Trzęsę się z zimna i strachu. W głowie kłębi mi się miliard myśli, z których przynajmniej dziewięćdziesiąt procent dotyczy rozpaczliwej próby wymyślenia, jak ze sobą jak najszybciej skutecznie skończyć. Kiedy zaczynam się już tak trząść, że tylko czekać, aż wywrócę łóżko i połamię się, ale pewnie – niestety – nie zabiję, do sali wchodzi inny mutant. Jest bardzo podobny do tego, który mnie tu przyniósł, ale ubrany w czysty zielony fartuch lekarski. Przewozi mnie do sąsiedniego pomieszczenia i razem z blatem łóżka przekłada na duży blaszany stół. Operacyjny czy sekcyjny? – zastanawiam się z masochistyczną ciekawością. Wytrzeszczam oczy, gapiąc się w olbrzymią lampę wiszącą nade mną jak oko monstrualnego owada. Znowu zaczynam dygotać, w żaden sposób nie jestem w stanie nad tym zapanować. Nagle odwracam głowę i aż podskakuję na stole. To znaczy podskakuję na tyle, na ile pozwalają mi pasy, którymi jestem do niego przypięty. Nade mną stoją dwaj mężczyźni w lekarskich fartuchach. Wyglądają niemal identycznie, różnią się tylko wzrostem. Obaj noszą żółte gumowe rękawice, a na twarzach mają nowoczesne aparaty oddechowe. Twarzy nie widzę, jednak są to bez wątpienia ludzie! Patrzą na mnie z zawodową ciekawością patomorfologów, którzy za moment przystąpią do sekcji niezmiernie interesującego, rzadkiego przypadku. Już otwieram usta, by wyjaśnić sytuację i zakończyć to komiczne nieporozumienie wymianą wzajemnych uprzejmości, gdy jeden z nich, ten wyższy, kładzie palec na ustach. Odruchowo milknę, a on w tym momencie błyskawicznym ruchem wyciąga z kieszonki fartucha strzykawkę i wbija mi ją w ramię. I nagle zapominam, że chciałem coś wyjaśnić, o coś pytać. Robi mi się ciepło i przyjemnie. Patrzę na pochylonych nade mną ludzi i uśmiecham się do nich życzliwie. Nie odwzajemniają uśmiechu, ale w ogóle mi to nie przeszkadza. Jestem pewien, że lubią mnie i nie zrobią mi krzywdy. Niższy długo szuka na moim ramieniu żyły, wbija w nią strzykawkę i czeka, aż cała napełni się krwią. Potem chyba jeszcze jedną. Nie rozmawiają ze sobą, ale mechanicznie wykonują skomplikowane,

zsynchronizowane sekwencje czynności. Świecą mi w oczy latarką, zaglądają w zęby. Poddają się temu wszystkiemu z błogim uśmiechem zadowolenia na twarzy. Lubię ich, lubię tutaj być. Potem zaczynają ze sobą rozmawiać, mówią też do mnie, ale zamiast słów słyszę tylko ciche bzyczenie. Całkiem jakbym słuchał duetu much zamkniętych w słoiku. Brzmi to strasznie zabawnie. Krztuszę się ze śmiechu, a może to z powodu tej rurki, którą pakują mi do gardła? Czuję, jakby moje ciało rozpuściło się w szczęściu. Odpływam.

Budzę się. Chyba to już było. Ból głowy, blaszana podłoga klatki, zeszywniałe mięśnie, żółta sodowa lampa nad głową. Wszyscy są, breja w korycie też jest. Ta sama co ostatnio. Czas się zatrzymuje. Alex kucający w kącie klatki kiwa się na piętach, powtarzając w kółko, jak mantrę: „O Boże, Boże”, na zmianę ze: „Skurwysyny, skurwysyny...”. Seba wyje godzinami: monotownie, żałośnie. Męczy mnie to tylko przez kilka dni. A może kilkanaście godzin?... Nie umiem określić upływu czasu. W każdym razie dość szybko przywykam i przestaję słyszeć wydawane przez nich dźwięki. Tylko Doktor wygląda, jakby odnajdywał się w tej sytuacji: łagodnie uśmiechnięty poleguje na styropianie, jakby nieustannie rozmyślał nad czymś przyjemnym. Nie rozmawiamy.

Chodzę w kółko po klatce, próbuję się gimnastykować, ale nie mam na to siły – przez kilka dni nie jadłem. Nie byłem w stanie zmusić się do choćby powąchania zawartości koryta. Kiedy głód staje się już tak dokuczliwy, że nawet kwestia odmierzenia czasu schodzi na dalszy plan, rzucam się na pomyje w korycie jak zwierzę. Kątem oka widzę szeroki uśmiech na twarzy Doktora. Jem rękami, potem zanurzam w korycie całą twarz. Paskudna breja zdążyła już skisnąć – po chwili i tak wszystko zwracam, a żołądek męczy mnie potem jeszcze długo. Kolejną porcję, którą dolewa strażnik, zjadam już grzecznie i szybko – póki jest jeszcze ciepła. To najwyraźniej jest ich metoda: nowe żarcie pojawia się w korycie dopiero po jego opróżnieniu. Ciekawe, jak jest ze sprzątaniami. Jak dotąd paskudny smród unoszący się wokół szybko rosnących gór ekskrementów przyprawia o nieustające mdłości. Jestem jednak zaskoczony, jak szybko mijają wstyd i obrzydzenie, wiążące się z publicznym załatwianiem potrzeb fizjologicznych.

Strażnik zjawia się w hangarze rzadko. Uzupełnia pomyje w korycie, czasem przygląda się nam uważnie, jakby notując w myślach co ciekawsze objawy depresji i załamania. Co jakiś czas wyciąga pojedyncze osoby na „przesłuchania”. Nie są to normalne przesłuchania, w zasadzie nie wiem, co to w ogóle jest. I nie wiem, czy inni mają to samo, bo o tym nie rozmawiamy, ale znikają na kilka godzin, podobnie często jak ja. Za pierwszym razem myślałem, że znowu będą badania. Nie denerwowałem się nawet bardzo, licząc na otumaniający narkotyk, który w porę wyłączy strach i ból. Okazało się jednak, że przyszła pora na trafnie przewidziane przez Doktora eksperymenty. Niestety, nie jestem w stanie zrozumieć ich sensu. Co jakiś czas trafiam spętany szerokim pasem do niewielkiego pokoju z kilkoma kamerami i głośnikami zawieszonymi wysoko pod sufitem. Strażnik robi mi piekący jak jasna cholera zastrzyk w ramię, rozwiązuje mnie i zostawia tam samego. Na wysokości głośnika wisi przytwierdzona do ściany czarna blaszana tablica ze starannie wymalowanym białą farbą napisem:

„Jak robaki kryjecie się w mroku,
My przywrócimy wam ziemię”.

Jedyny mebel to mocne metalowe krzesło przytwierdzone do podłogi na środku pomieszczenia. Muszę

usiąść na krześle. Jeżeli tego nie zrobię, albo z niego w czasie „eksperymentu” wstanę albo tylko przybiorę niedbałą pozycję, zbyt długo zagapię się na wiszący nade mną napis, z głośnika atakuje mnie potworny karcący dźwięk. Jest tak głośny, natarczywy i nieprzyjemny, że bardzo szybko uczę się pod żadnym pozorem nie opuszczać krzesła. Kiedy już usiądę, zaczyna się długa sekwencja pytań: mechaniczny głos wyczytuje kolejne liczby, jakieś przypadkowe słowa, nieukładające się w cokolwiek sensownego ciągu liter. Po każdym słowie, cyfrze lub literze muszę coś zrobić. Nikt nie podpowiada mi co, sam muszę na to wpaść, inaczej jestem karany sygnałem dźwiękowym. Czasem jest łatwo: po „dwanaście” wystarczy powiedzieć „trzyście”, albo „jedenaście”, czasem łamigłówki są bardziej skomplikowane i do wymyślenia właściwej odpowiedzi potrzebuję pamiętać coraz dłuższe sekwencje wcześniejszych słów. Każda pomyłka jest natychmiast karana tym potwornym brzęczykiem. Najczęściej jednak każda odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, jest uznawana przez tajemniczego eksperymentatora za błędną – głośnik ryczy niemal nieustannie. Czasem właściwą odpowiedzią jest cisza, kiedy indziej – wręcz przeciwnie – wystarczy powiedzieć cokolwiek. Kiedyś poirytowany do granic wytrzymałości, zaczynam na każde pytanie odpowiadać „pomidor” i – o dziwo – to skutkuje! Ale tylko na kilka minut. Szybko dochodzę do wniosku, że to żadne eksperymenty, żaden test na inteligencję, to najzwyklejsze w świecie tortury. Paradoksalnie czuję się z tą konstatacją lepiej – teraz nie staram się już zaspokajać oczekiwań drugiej strony, nie doszukuję się w ciągach bezsensownych zadań tajemniczej głęboko ukrytej logiki, nie mam do siebie żalu, że nie sprostąłem kolejnemu wyzwaniu, po prostu koncentruję się na cierpliwym znoszeniu kar. Ale i ta strategia okazuje się skuteczna tylko na chwilę. Po drugiej stronie siedzi ktoś inteligentny – szybko odkrywa moje zamiary i reaguje. Najpierw jest długa sesja wychowawcza: dźwięk dobrany tak sprytnie, że nie sposób się do niego przyzwyczaić ani go polubić, praktycznie nie milknie. Potem – na zachętę – kilka sesji łatwiejszych. A kiedy z powrotem łykam haczyk, zaczyna się zwykła jazda. Zabawa kończy się dopiero wtedy, gdy popadam w otępienie, z którego nie wybija mnie nawet podwójna dawka dźwiękowej nagany.

Te krótkie zagęszczenia czasu przypominają mi gąbczaste farfocle pływające w moim korycie w cienkiej zupce zwykłej nudy. Czuję, że odpływam, czepiam się jakiejś myśli i żuję ją tak długo, aż w końcu całkowicie pozbawiona znaczenia i kontekstu stanie się blada, przeźroczysta i smakująca już tylko absurdem. Największą z moich obsesji staje się czas. Dałbym wszystko, żeby się tylko dowiedzieć, jak długo to wszystko trwa. Wiem, że nic to nie zmieni ani w niczym mi nie pomoże, ale chwytam się każdego sposobu, żeby jakoś ogarnąć upływ czasu: próbuję mierzyć częstotliwość przesłuchań, karmienia, defekacji. Jednak wszystko w tym pozbawionym rytmu świecie jest zawodne. Śnią mi się zegary, zegarki, stopery. Kukułki kukają, dzwonią mechaniczne i elektroniczne budziki. Budzę się wtedy i słyszę tylko monotonne zawodzenie Seby.

– Cześć! Jak zdrówko?!

Znam ten głos.

Trzy słowa, trzy sekundy – myślę. – Trzy sekundy... – Podnoszę obolałą głowę.

Rozdział 26

Między klatkami stoi Franz i przygląda się ich mieszkańcom. Seba, jak zwykle, zawodzi cicho. Alex, powtarzając swoją mantrę, nie przestaje się bujać. Doktor na widok stalkera ostentacyjnie odwraca się do niego tyłem. Nasze spojrzenia na moment się krzyżują. To wystarcza, podchodzi prosto do mojej klatki, kuca przy kracie od strony koryta.

– No, widzę, że nie jest najgorzej – po dwóch tygodniach jeden wciąż przytomny...

– Minęły dwa tygodnie?! – Natychmiast przeliczam w głowie częstotliwość wszystkiego, co mnie tu do tej pory spotkało. – Dwa tygodnie... – powtarzam kilka razy. Macam się po brodzie, próbując ocenić i zapamiętać dwutygodniowy zarost.

– No, dokładnie to chyba trzynaście dni – liczy w pamięci. – Z owczarkiem się już zdążyłeś zaprzyjaźnić?

– Z jakim owczarkiem?

– Tym, który was tu pilnuje, innych pewnie nie widziałeś, co?

– Dlaczego tak go nazywasz?

– Bo tak się nazywa – wzrusza ramionami Franz. – Owczarek coś-tam coś-tam. Którą serię macie?

– ?!

– Co ma na identyfikatorze?

– A2 i jakiś numer. – Nie mogę go sobie w tej chwili przypomnieć.

– A-dwójka, to udane pokolenie! Niezbyt nowe, ale całkiem sprawne. I można się z nim nawet niezłe dogadać...

– Nie zauważyłem – rzucam ponuro. – Czemu w ogóle tutaj przyszedłeś, czego od nas chcesz? – warczę.

– Pomyślałem, że należy się wam kilka słów wyjaśnienia, nie chciałbym, żebyście mnie źle oceniali...

– Co ty bredzisz, zdrajco! – Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. – Zaciągnąłeś nas tutaj siłą i podstępem, wydałeś w łapy jakichś potworów, zabiłeś kilku z nas...

– Przepraszam, jednego tylko – przerywa mi Franz. – Bo o mało nie popsuł wam przedwcześnie niespodzianki. Resztę starałem się sumiennie ratować, wedle najlepszych pasterskich prawideł...

– A teraz przyszedłeś szukać zrozumienia? Sumienie? – krztuszę się ze złości. – Sumienie cię ruszyło?! Nie za późno?! I jakich pasterskich zasad..., jakie owczarki?! Co ty, kurwa, bredzisz?!

– Nie chcę szukać żadnego zrozumienia, a moje sumienie to moja sprawa – mówi obrażonym tonem stalker.

Czuję, że jeżeli chcę się czegokolwiek dowiedzieć, muszę przyhamować. Inaczej pójdzie w cholerę, a ja zdechnę w tych potwornych kazamatach tak samo głupi, jak byłem dwa tygodnie temu i jak jestem teraz.

– Dobra, mów – rzucam na tyle pojednawczo, na ile tylko pozwala mi wzburzenie. – Słucham!

– To pytaj. Nie mam za dużo czasu, szkoda go na snucie opowieści.

– Gdzie jesteście?

– To Owczarnia.

– Owczarnia, pasterz, owczarki... Co wy, kurwa, jesteście? Jakaś banda pojebanych zoofili?

– Nie ja to wymyśliłem, to farmerzy...

– Jeszcze lepiej...

– Pewnie ich już widziałeś, zawsze osobiście robią badania na nowych.

– Taaa, przyjemni goście. Tylko się nie przedstawili.

– Nikomu się nie przedstawiają. Nikt nie wie, kim są, nawet ja. To oni stworzyli to miejsce.

– Jakie miejsce, nie odpowiedziałeś mi na moje pierwsze pytanie.

– No to, Owczarnię. Kiedyś był tu instytut naukowy, jedyny taki w Polsce. Mają tu dwa reaktory atomowe. Jakimś niewiarygodnym zbiegiem okoliczności oba przetrwały Armagedon. Warszawa zbombardowana dokumentnie, sam przecież wiesz, a tu nic, nawet ręczny granat nie wybuchł. Dobrze, nie?

– Rozgląda się po hali, jakby szukał potwierdzenia swoich słów. – Niektórzy uważają, że to żaden przypadek, ale ja tam nie wiem, jak było naprawdę. W każdym razie farmerzy mają tu i energię, i kontrolowany, w pełni sprawny stos atomowy. Pracują. Jak sami mówią: czynią sobie ziemię poddaną...

– A ty? Jaka jest twoja rola?

– Ja jestem pasterzem, łącznikiem między ich a waszym światem. Przeprowadzamy ludzi.

– My?

– Tak, my. Jest nas kilku.

– Po co?

– Bo mi za to płacą? – znowu wzrusza ramionami. – Znam okolicę, znam kogo trzeba, umiem się obchodzić z bronią... – Rozgląda się nerwowo, coraz częściej zerka w kierunku drzwi. – Jak przyjdzie owczarek, to już sobie nie pogadamy. Ja wracam niedługo, pewnie się już nie zobaczymy...

– Ty gnoju... – cedzę przez zaciśnięte z rozpaczony zęby. Z oczu płyną mi łzy.

– Nie rozklejaj się, pytaj – zachęca. – Dziś jest dzień dobroci dla zwierząt, bo mnie te gnojki wkurzyły.

Drugiej takiej okazji nie będzie...

– O czym mówisz? Nic nie rozumiem.

– No, zapytałem grzecznie, co zrobili z Zagrodą – moją drugą bazą. Pamiętasz? Tam mieliśmy nocować.

– Ten spalony dom na środku wielkiego pogorzelska?

– No! To było fajne miejsce. Spokojne i dobrze zabezpieczone. A oni wszystko puścili z dymem. Trochę się wkurzyłem i zacząłem jednemu farmerowi wygarniać. A on warknął coś po ichniemu do

swojego owczarka i mam. O... – Ściąga czapkę i pokazuje świeżą sinoczerwoną pręgę biegnącą przez całą czaszkę, o kilka milimetrów mijającą oko. – Skarcił mnie tylko, właściwie powinienem mu być wdzięczny, bo mógł mi przecież łeb urwać.

– To oni tam urządzili tę rzeź? – pytam.

– Nie osobiście, ale w sumie tak. Wysłali owczarki, oni każdy problem rozwiązują z ich pomocą. Kilka szkoleniowych sztuk uciekło z poligonu i założyły tam sobie coś na kształt komuny. Poszło za nimi kilku strażników, takich zwykłych ciołków i zbiegowie...

– Moment! – przerywam. – Co to znaczy szkoleniowych?

– Widziałeś jednego. Na poligonie. Te najlepsze owczarki ćwiczą na nich...

– Polują na nie?

– No, w sumie można to tak nazwać. No, ale te głąby, które ich szukały, tak były przekonane o swojej doskonałości, że wpadły w pułapkę. Tamci zrobili z nich świąteczną dekorację na płocie.

– A potem przyszła ekspedycja karna...

– Bystry jesteś. Całkiem bystry, jak na czternastodniowego.

– Trzynastodniowego – poprawiam. – Jutro pewnie będzie gorzej...

– Bystry – powtarza. Potem rozgląda się jeszcze raz po hangarze, wstaje i podchodzi do drzwi. Nasłuchuje.

– Franz! – wołam cicho.

– No?

– A tam na Wschodniej, tam nigdy nie było żadnego posterunku, prawda?

– A tu się akurat mylisz – kiedyś był. Ale potem zaległo się tam to bydło i w żaden sposób nie idzie go stamtąd wykurzyć. Siedzi tam już od kilku lat...

– Wiedziałeś o tym...

– Jasne, że wiedziałem. Każdy głupek o tym wie. Przecież chciałem tych idiotów powstrzymać. Ale takie są skutki wiary w bajki... A o skaner nie pytasz?

Tym razem to ja wzruszam ramionami.

– Po co? Przecież wiem, że to ściema. Jak orkiestra na rampie w Auschwitz.

– Gdzie?

– Nieważne. Wiem, do czego był ci tak naprawdę potrzebny.

– Niezły cwaniak z ciebie! – Franz patrzy na mnie z rysującym się na twarzy czymś na kształt uznania.

Za drzwiami słyhać ciche kroki, szczęka elektryczny zamek. Stalker wzdryga się nerwowo, wstaje.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie – proszę cicho.

– No?

– Dlaczego naprawdę mi to wszystko mówisz?

Owczarek rozgląda się po hangarze i spostrzega Franza. Warczy gniewnie i rusza w naszą stronę, fukając groźnie.

– Jak stąd wyjdiesz, będziesz dużo mógł. Pamiętaj wtedy o mnie. Tylko tyle. – Odchodzi. – Aha, i pamiętam cię ze szkoły – rzuca, nie oglądając się za siebie.

– Strażnik prycha na niego przeciągle, macha długimi rękami. Franz mija go, ostentacyjnie ignorując wrogie gesty.

Patrzę na zamykające się za nim drzwi. Ciągle mam w głowie jego słowa. „Jak stąd wyjdiesz...”. Czy to znaczy, że nas tutaj nie zabiją? Jak i jako kto (lub co) stąd wyjdę? Sukinsyn, tym jednym zdaniem zabił ten tak miły sercu stan wisielczej obojętności, jaką zdążyłem już w sobie wyhodować. Poza wpływem czasu nic już właściwie mnie nie zaprzętało, o nic innego się nie martwiłem. A teraz znowu tysiące myśli pchają mi się do głowy. Nie mam jednak zbyt dużo czasu na rozmyślanie. Owczarek wywleka mnie przed klatkę, wiąże, potem wynosi jeszcze Doktora. Ciągnie nas obu znanym już betonowym korytarzem. Jednak przed śluzą skręcamy w jakąś nową dla mnie odnogę. Staram się zapamiętywać drogę. Raczej dla sportu i rozruszania mózgu niż z powodu wiary w możliwość ucieczki. W końcu docieramy do niewielkiego pomieszczenia, w którym strażnik bez wysiłku podnosi nas obu równocześnie i rzuca na blaszaną podłogę niedużej przyczepy. Wysokie burty zawężają mi pole widzenia do sufitu i tego, co za mną. Kołyszymy się przez krótką chwilę razem z miękkim zawieszeniem pojazdu. Owczarek gdzieś znika, a po chwili w pomieszczeniu rozlega się charakterystyczne rżenie rozrusznika i gwałtowny kaszel niskoobrotowego silnika. Momentalnie spowija nas chmura duszących spalin. I wtedy zgrzytają ciężkie stalowe drzwi, i w moją twarz uderza mroźny, orzeźwiający podmuch wiatru.

Rozdział 27

Z trudem otwieram oczy. Pieką i łzawią, kategorycznie odmawiając współpracy w poznawaniu otaczającego nas świata. Przynajmniej na razie. Zdany na słuch i powonienie, rozpaczliwie próbuję odgadnąć, któredy i dokąd zmierza posapujący astmatycznie traktor. Wszystko na nic – żółte powidoki hangaru i stalowych klatek jeszcze długo tańczą mi pod zamkniętymi powiekami, zaś przyszłość i terażniejszość pozostają dobrze ukryte w obłoku gęstej jak mleko, utkanej ze światła mgły. Pierwsze kształty zaczynają się z niej wyłaniać dopiero po kilku minutach – oczy wolno przyzwyczajają się do bieli śniegu i szarości chmur.

Telepiemy się nierówną drogą, plamy asfaltu co kilkadziesiąt metrów wyłaniającą się spod śnieżnych zasp. Z tego, że droga jest odśnieżona, wnioskuję, że traktor ciągnący naszą przyczepę nie jest jedynym poruszającym się nią pojazdem. Bezskutecznie próbuję opanować nerwowy potok myśli przewalający się przez moją głowę. Po co? Dokąd? Dlaczego? Co teraz będzie? Przyglądam się oddalającej się powoli bramie, która minutę temu zamknęła się za nami z cichym szcękaniem. Tego, co było przed nią, nie widziałem zbyt dobrze; za nią, po drugiej stronie kilku rzędów solidnego ogrodzenia z drutu kolczastego, martwy las wygląda dokładnie tak samo jak wszędzie indziej. Między drzewami prześwitują kontury murowanych pawilonów. Są ciemne i zaniedbane, domyślałam się, że Owczarnia zesłała pod ziemię i zajęła bunkry i labirynt korytarzy łączących newralgiczne punkty instytutu. Świadczyłoby o tym również to, że kompleks opuściliśmy po długiej, stromej rampie, na którą traktor wdrapywał się z niemałym wysiłkiem. Wyjeżdżamy na odkryty teren. Przez niedomkniętą tylną klapę przyczepy obserwuję zaśnieżone pola, gdzieniegdzie upstrzone wypalonymi ruinami domów. Wygląda to tak, jakby przeszedł tędy jakiś front. A może to mieszkańcy Owczarni oczyścili przedpole swojej fortecy z wszelkich potencjalnych kryjówek?

Po kilkunastu minutach traktor zjeżdża z asfaltu. Jedziemy teraz na przełaj, przez jakieś wertepy, podskakując i obijając się na platformie przyczepy jak dwa worki kartofli. Taczam się po brudnej blaszanej podłodze, kalecząc się i drąc ubranie o grudy zamarznętej ziemi i ostre krawędzie blachy. Zaczyna mi doskwierać zimno – kombinezon zabrano mi jeszcze przed zamknięciem w klatce, mam na sobie tylko bieliznę, stare spodnie, koszulę i – na szczęście – oba wełniane swetry. Kiedy szcękając zębami próbuję odezwać się do Doktora, traktor zatrzymuje się gwałtownie, owczarek zwinnym susem wskakuje na przyczepę i pochylając się nade mną, szczerzy gniewnie kły. Rozumiemy się bez słów: gęba na kłódkę. Czy takie porozumienie miał na myśli Franz? Ruszamy. Krajobraz jest nużąco monotony: pola, wypalone niemal do fundamentów mizerne wiejskie domy, poskręcane pokraccie suche pnie sosen,

zwęglone kikuty wierzb na miedzach. Zrównana z ziemią wieś, ruiny sporego kościoła. Domy, z których w normalnych warunkach po kilkuset latach nie byłoby nawet śladu. Teraz, zakonserwowane w wiecznej zmarzlinie, będą straszyć swoją brzydotą do końca świata.

Po kilkudziesięciu minutach mijamy jeszcze jedną, trochę większą wieś i przez wąski betonowy most przejeżdżamy na drugą stronę rzeki. To musi być Świder. Kilka kilometrów kolebiemy się leśnym duktem. Wreszcie strażnik zatrzymuje traktor, wysiada i otwiera burtę przyczepy. Ściąga mnie potem za nogi jak worek kamieni. Cienka warstwa śniegu nie amortyzuje uderzenia – walę głową w zamarzną ziemię tak, że najpierw widzę wszystkie gwiazdy, a potem na moment robi mi się ciemno przed oczami. Po chwili słyszę głuchy łomot i jęk Doktora. Owczarek chwyta mnie za nogi i wlecze w stronę drzew. Obijam się o ukryte pod śniegiem nierówności gruntu, połamane gałęzie i kamienie. Śnieg mam wszędzie: za koszulą, we włosach, w ustach. Krztuszę się i rozpaczliwie usiłuję chronić głowę. Ciągnie mnie tak kilkaset metrów, aż wreszcie docieramy do biegnącego aż po horyzont ogrodzenia z drutu kolczastego. Strażnik otwiera solidną drewnianą bramę i bezceremonialnie wrzuca mnie do środka. Rozwija krępującą mnie taśmę i zamyka za sobą bramę na solidną kłódkę. Potem idzie po Doktora. Rozglądam się przerażony – czy ja też będę materiałem „szkoleniowym” dla jakichś tutejszych psów wojny? Jeżeli tak ma wyglądać ta zapowiedziana przez Franza wolność, to już tęsknię za kratami. Siedzę w niezbyt obszernej zagrodzie wydzielonej drutem kolczastym tuż przy zewnętrznym ogrodzeniu. Zagród jest kilka, mnie dostała się skrajna. Do każdej prowadzi solidna drewniana brama. Płot ma chyba z pięć metrów wysokości i jest podwójny, z zasiekami przy podstawie i na górze. Z betonowego słupa po drugiej stronie drutów przygląda mi się oko kamery, dyskretnie wodząc za mną szklaną źrenicą. Śnieg w zagrodzie jest udeptany, jakby jej poprzedni lokator bądź lokatorzy spędzali tu długie godziny.

Po kilku minutach Doktor ląduje w sąsiednim boksie. Stęka ciężko, kaszle i rozciera złodowaciałe ręce. Nagle zrywa się i podbiega do bramy, aż kipiąc wściekłością.

– Hej! – krzyczy w stronę odchodzącego owczarka. – Heeej! Słyszysz mnie?!

Mutant nie reaguje. Spokojnie zmierza w stronę traktora. Doktor szybko lepi śniegową pigułę, bierze solidny zamach.

– Doktorze! Nie, niech pan tego nie robi! – syczę w jego stronę.

Chyba domyśla się, jak mogłoby się to skończyć, więc posłusznie upuszcza śnieżkę.

– Buty! Buty mi oddaj... – woła za nim z rozpaczą. Wściekłość w jego głosie zmienia się w rezygnację.

Patrzę na jego sine gołe stopy. Stoi tak, bezradnie przytupując w głębokim śniegu.

– Buty mi spadły, jak ten bydlak mnie tutaj ciągnął – mówi cicho.

– Niech pan siądzie gdzieś wygodnie i wsunie stopy w to. – Podaję mu przez gęste zwoje siatki jeden ze swoich dwóch swetrów. – Kilka godzin jakoś wytrzymamy. A później...

– Dziękuję – mówi i szczerze owija stopy. Mości sobie w śniegu legowisko i zwija się w nim oparty plecami o słup rozdzielającego nasze klatki ogrodzenia.

Obserwuję śledzące każdy nasz ruch kamery. Wiele bym dał, by lepiej poznać tych na drugim końcu kabla.

– Dlaczego nas tutaj zostawili? – pytam bez nadziei na odpowiedź.

– Myślę, że racjonalne jest tylko jedno wytłumaczenie – mówi Doktor, chuchając z całej siły w dłonie. Patrzę na niego pytająco.

– To musi być dalszy ciąg tych pseudonaukowych eksperymentów, jakie na nas od dwóch tygodni prowadzą. Czy koledze też puszczali te idiotyczne filmy?

– Jakie filmy? A... Nie, ja miałem pranie mózgu przez uszy. Puszczali mi jakieś liczby, słowa, nie umiem się w tym w najmniejszym stopniu połapać.

– Ciekawe... – mówi Doktor, poprawiając mój sweter owinięty wokół stóp.

Czuję, jak mróz bez specjalnych trudności dobiera się do mnie, przegryza cienką warstwę wytartej wełny, powoli wpełza głębiej. Przemoczona koszula stygnie błyskawicznie. Jestem pewien, że ten przebłysk altruizmu zemści się jeszcze na mnie. A może im właśnie o to chodzi? – przychodzi mi do głowy. Żeby sprawdzić, jak daleko mogą się posunąć, żebyśmy przestali się w ten sposób zachowywać.

– Myśli pan, że może chodzić o altruizm? Że chcą nas pod tym kątem przetestować? – pytam.

– Dlaczego? – Doktor jest zaskoczony. – Aaa! Zaraz koledze oddam ten sweter, tylko odrobinę się rozgrzeję. W moim wieku to nie jest już takie łatwe...

– Nie! Nie o to mi chodziło, absolutnie! – wycofuję się zawstydzony. – Proszę go zatrzymać, ja będę sobie chodził, to nie zmarznę.

– Zaraz oddam – powtarza, nerwowo rozmasowując skostniałe stopy. – A wracając do kolegi pytania, myślę, że chodzi o coś znacznie bardziej trywialnego, na przykład odporność na niskie temperatury. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby za kilka godzin, jeżeli okazemy się na tyle wytrzymali, by przeżyć, wsadzili nas do jakiejś cholernej sauny. O! Taka sauna to byłaby całkiem miłą rzeczą... – rozmarza się.

– A te wcześniejsze testy? Męczą nas tym przecież już kilkanaście dni, ja w tym nie widzę żadnego sensu...

– No, ja niestety też nie bardzo. Ale kto wie, czego się jeszcze tutaj dowiemy? Cierpliwości!

– Powiedziałbym raczej: „czego doświadczymy”... Na sobie, niestety.

– Cóż, ma kolega oczywiście rację, ale brzmi to groźniej, dlatego użyłem miłego dla ucha eufemizmu.

– A dlaczego rozdzielają nas tak często z tamtymi dwoma?

– Panami Alexem i Sebastianem?

– Aha.

– Cóż, nie chciałbym sobie ani koledze zanadto schlebiać, ale myślę, że oni po prostu wpadli do innej kategorii badawczej. Proszę zauważyć, że i kontakt z nimi jakiś jest ostatnio ograniczony, a i wcześniej nie błyszczeli specjalnie na tle naszej grupy.

– Zimno, muszę pochodzić.

– Oczywiście, zaraz oddam sweter.

– Nie, ja nie po to! Niech już pan da spokój, panu jest bardziej potrzebny.

Chodzę w kółko, przytupując i wymachując rękami. Skrzypienie śniegu pod butami to jedyny dźwięk zakłócający absolutną ciszę martwego zimowego lasu.

– Ciekawe, jak długo będą nas tu trzymać – zagajam po dłuższej chwili. Nie żebym liczył na

odpowieź, po prostu jak rozmawiamy, zapominam o podszczypującym mnie mrozie.

– Tak, tak, rozmawiajmy – mówi Doktor, a ja patrzę na niego zaskoczony. Czyta w moich myślach?

– To niech mi kolega powie: jak szybko domyślił się kolega, że ten cały przekaz radiowy to oszustwo?

– To akurat wiedziałem od początku, jeszcze zanim Prezydent zaczął o tym mówić.

– Co?! – Tym razem to on patrzy na mnie jak na zjawę. Albo na oszusta.

– Naprawdę – mówię. – To żadna zagadka. Po prostu dzień przed naradą Rektor poprosił mnie na krótką odprawę i powiedział, że odbieramy sygnał wzywania pomocy. Ale to albo muszą być jakieś ćwiczenia, albo podstęp. Ponieważ szybko okazało się, że nie chodzi o żadne ćwiczenia, pozostała już tylko ta druga ewentualność.

– Co?! Ja nic nie rozumiem! Co to ma, do jasnej cholery, znaczyć?! – krzyczy wzburzony i jestem pewien, że w tym momencie w ogóle nie jest mu zimno. – To ten idiota wysłał mnie na pewną śmierć, wiedząc od początku, że to grubymi nićmi szyta prowokacja?!

– Doktorze, moment! Proszę się uspokoić i posłuchać...

– Co za bydlę?! Wiem! – wrzeszczy podniecony. – To Kowalczyk, ta cholerna miernota! To on chciał się mnie pozbyć! Czekał, czekał i się doczekał, mściwy bydlak! Wiem, wiem... Za to, że tego grantu wtedy nie dostał! Że mój projekt był lepszy, to mu do tego zawistnego zakutego łba w życiu nie przyjdzie – ten sukinsyn cierpi na przerost ambicji. Za jeden kanister benzyny mnie sprzedał! Dogadał się z Janiakiem, bo wiedział, że w moim instytucie żadnych nie...

– Doktorze, Doktorze! – staram się go uspokoić. – Sprawa jest dużo prostsza i nie ma w niej żadnej polityki. – Milknę, czekając chwilę, aby ochłonął. – Przecież nikt nie zna się na naszym radiu tak jak pan...

– Niech mnie kolega nie bierze pod włos, bo nas obu prąd kopnie. O co chodzi? Przecież ja nie zajmuję się nasłuchem...

– Wiem, inaczej nie znaleźlibyśmy się tutaj obaj.

– Słucham zatem!

– Jasne! Zadał mi pan właściwie dwa pytania: skąd wiem, że sygnał był fałszywy, i dlaczego pan znalazł się tutaj ze mną. Proszę pozwolić mi odpowiedzieć po kolei...

– Przepraszam, oczywiście! Zamieniam się w słuch – mówi wzburzony. – Nasłuchuję, kurwa, przepraszam!, ich mać...

– Wie pan doskonale, że każde radio, jakie budujemy, nadaje unikalną sygnaturę. Nie da się wysłać żadnego komunikatu tak, żeby nie było wiadomo, z którego nadajnika on wyszedł.

– To prawda, ale tego to akurat mi kolega nie musi tłumaczyć...

– A to jest cała odpowiedź na pańskie pierwsze pytanie. Odbieraliśmy ten sygnał, to przecież naturalne. Przecież my też prowadzimy nasłuch, na okrągło. Zatem od razu wiedzieliśmy, że wiadomość pochodzi z nadajnika, który kupił od nas Ratusz.

– Oni nie wiedzą o tym systemie, prawda?

– Doktorze! A jaki to by miało sens, gdyby wiedzieli?!

– A wiedzą, że my nadal prowadzimy nasłuch?

– Ja im tego nie mówiłem. Ale myślę, że się domyślają. Inaczej po co by to nadawali?

– ?!

– No po co nadawaliby sygnał, który rzekomo mieli sami odebrać? Przecież nadajnik zżera od cholery energii. Po co łąć w agregat prądotwórczy benzynę, żeby wyemitować coś, o czym wystarczy tylko opowiedzieć?

– Cena braku zaufania do swojego najwierniejszego sojusznika...

– Dość zresztą uzasadnionego braku zaufania...

– Otóż to! Tylko zapomnieli o sygnaturze...

– Nie wiedzieli o sygnaturze. To taka nasza mała politechniczna tajemnica.

– A co było w tym komunikacie?

– Jakieś bzdury melodramatyczne, pisarzy mają kiepskich – uśmiecham się. – Pomocy, ranni, koniec paliwa, bełkot. I ciąg cyfr, znam go na pamięć: pięćdziesiąt dwa zero dziewięć jednaście i dwadzieścia jeden osiemnaście zero zero. To było najciekawsze. I to jest odpowiedź na pańskie drugie pytanie.

– Co to za liczby?

– Niech pan pomyśli!

– Litości, kolego, zimno jest. To współrzędne geograficzne?

– Tak jest! Ładniej wygląda klasycznie: pięćdziesiąt dwa stopnie dziewięć minut jednaście sekund i dwadzieścia jeden stopni osiemnaście minut zero sekund. Jesteśmy, gdzie jesteśmy, więc rozumie się, że szerokości północnej i długości wschodniej.

– Co to za miejsce?

– Niech pan zgadnie!

– Niech mnie kolega nie dręczy. Przecież bez mapy to niemożliwe.

– No, to miejsce to pan akurat powinien znać. Zresztą był pan tam. Trzydzieści dni temu.

– Co?!

– Radiówek. Największa stacja...

– Ależ wiem, oczywiście, że wiem! – przerywa mi podniecony. – Największa radiostacja kontrwywiadu! Przeciwatomowe bunkry, całkowita samowystarczalność... Więc to tam... Tak mi coś świeciło, tak mi się wydawało to miejsce znajome. I ten płot, przecież on tu stoi od lat! Jesteśmy w Emowie!

– No właśnie. Jak to odebraliśmy, to stwierdziliśmy, że w Ratuszu albo do cna pogłupieli, albo są tak sprytni, że to my za nimi nie nadążamy.

– Ale przecież mogli podać dowolne inne współrzędne!

– Mogli i nie mogli. To znaczy ja osobiście myślę, że to wynik ich zbytnej pewności siebie. Ale też może być w tym jakieś drugie dno: przecież, jak już mówiliśmy, nie mogli być pewni, że nikt więcej nie odczytał sygnału. Nie wiedzą, komu jeszcze sprzedaliśmy odbiorniki.

– Ach, te nasze małe tajemnice...

– Miłe, prawda?

– No dobrze, ale przecież mogli jednak trochę zmienić tę lokację. Tak dla bezpieczeństwa.

– Jak wrócimy do metra, to załatwimy spotkanie z Prezydentem i koniecznie proszę go o to spytać – uśmiecham się cierpko. – Ja osobiście uważam, że po prostu poszli na łatwiznę. Musieliby przesunąć współrzędne tylko trochę, bo znający sprawę wyprawowicze zorientowaliby się za wcześnie, że idą w złą stronę. A tak, przynajmniej teoretycznie, do ostatniej chwili mogli, to znaczy ten nasz, pozał się Boże, przewodnik mógł udawać, że idziemy tam, gdzie nas jacyś tajemniczy „oni” wzywają. W gruncie rzeczy to było najprostsze rozwiązanie. Po prostu liczyli na to, że nikt nie skojarzy tego miejsca ze stacją – jej przecież nie ma na żadnej z map. I nigdy nie było. Ale to wiem dopiero teraz. Wcześniej tylko się tego domyślałem, z każdym kilometrem utwierdzając się w tym, że miałem rację.

– A ja? Jaka była moja rola?

– Nie zakładaliśmy, że straty będą tak duże. I liczyliśmy, że będzie nas sporo więcej, że łatwo uda się nam wtedy urwać z grupy albo może nawet przeciągnąć kogoś na naszą stronę. Ale, musi pan przyznać, całkiem nieźle wyszła im sztuczka z tą niby-eskortą na Wschodniej. Zatem zakładaliśmy, że w jakiś sposób zdołamy przeniknąć do stacji w Radiówku. Proszę sobie wyobrazić, jakie możliwości dałoby przejęcie kontroli nad tym miejscem – stąd można, a przynajmniej kiedyś można było, wysyłać sygnał radiowy na cały świat...

– Niech mi kolega nie mówi, co tutaj można by zrobić – przerywa mi obrażony. – To akurat wiem doskonale.

– No właśnie! Pana zadaniem było zatem ocenić, na ile jest to jeszcze możliwe. Pod względem technicznym oczywiście. Ja miałem w tym pomóc, umożliwić panu wykonanie zadania.

– No to nam chyba misja nie wyszła...

– No, nie bardzo. Muszę pochodzić...

Przytupując i wymachując rękami, robię kilka rund wzdłuż ogrodzenia. Zauważam, że Doktor jest już siny i bezwiednie szczęka zębami.

– Pan też powinien pochodzić, poruszać się trochę – proponuję.

– Nie mam siły. I nie bardzo czuję nogi, chyba mi strasznie zdrętwiały.

– Tym bardziej! – nalegam. – Poodmraża je pan!

– To się naszym – jak ich ten Franz nazwał? farmerom? – hodowla nie uda.

– Czyli słyszał pan, o czym rozmawialiśmy? – Podchodzę jak najbliżej do ogrodzenia i klękam w śniegu. Kamera obraca się w moją stronę.

– Owszem, słyszałem. Niestety, dużo się nie dowiedziałem.

– Ale jedna rzecz mnie bardzo zainteresowała, może zwrócił pan na to uwagę? – szepczę, przysłaniając usta dłonią.

– Tak?

– Kiedy mówił o tych mutantach, na które polują inne mutanty.

– Tutaj, bo, zdaje się, jesteśmy właśnie na tym poligonie – podchwytuje temat Doktor.

– Tak mi się wydaje. Niech się pan nie odwraca w moją stronę. Gapią się na nas nieustannie. Jestem ciekaw, czy nas też słyszą...

– Nie sądzę. Zwierząt się nie podsłuchuje.

– Jak to?

– Czy słyszał pan kiedyś, żeby rolnik instalował w chlewie mikrofon? Po co? W nadziei, że mu świnie coś ciekawego powiedzą? Wystarczy kamera, żeby widział, czy się nie pozagryzały.

– To logiczna konkluzja pańskiej wcześniejszej obserwacji. Jeżeli ma pan rację, tym lepiej dla nas.

– A co to zmienia?

– Słyszał pan, że część tych szkoleniowych mutantów uciekła z poligonu?

– Owszem, ale je dogonili i – zdaje się – nie wyszły na tym zbyt dobrze.

– Bo w swojej naiwności uwierzyły, że jak zaszyją się pięć kilometrów od gniazda wilków, które obłudnie nazwało się Owczarnią, nic im nie grozi. Ale my nie będziemy tacy naiwni i zwiejemy stąd trochę dalej, do domu.

– Do Warszawy?

– Owszem.

– W jaki sposób?

– Normalnie, biegiem.

– To kawał drogi!

– Ze trzydzieści parę kilometrów. Maraton był dłuższy, a maratończyk dawał radę w dwie godziny z hakiem.

– Nie ścigały go potwory.

– Tym lepiej dla nas, będziemy mieli silniejszą motywację.

– Nie dam rady.

– Da pan radę, będę panu pomagał. Poza tym to naprawdę niedaleko.

– Nie dam, rozumiesz?! – krzyczy. – Nie dam rady się stąd ruszyć!

Patrzę na niego, jakbym zobaczył go pierwszy raz. Stary człowiek siedzi skurczony w śniegu, trzęsąc się jak osika. Sine dłonie wciska w owinięty dookoła nóg sweter. Grube łzy spływają mu po twarzy i natychmiast zamarzają na kilkunastodniowej siwej brodzie.

– Dasz radę – mówię łagodnie. – Musisz, nie zostawię cię tutaj.

– Nie – przerywa. – Właśnie, że zostanę. Ze mną nie masz szans. Po pierwsze natychmiast zauważą, że obaj zniknęliśmy, a po drugie, gdyby nawet jakimś cudem nie zauważyli, za kilka kilometrów byłbym jak wielki drogowskaz krzyczący: „tędy idźcie! tędy uciekał!”.

– Nie mogę cię zostawić!

– Głupstwo, przyjadą za kilka godzin i wrócę do ciepłej klatki.

– Wiesz, że tak nie będzie – kręcę głową. – Musimy uciekać razem.

– Dość! Bądźmy realistami! Specjalista od fikcji i zjawisk nadprzyrodzonych kiwa się tam teraz w gównie po pachy, powtarzając w kółko: „boże skurwysyny”. Nigdzie nie idę. Za to postaram się pomóc tobie, żebyś miał jakieś szanse.

– Jechaliśmy tu jakieś pół godziny. To jest moja szansa: od chwili kiedy zauważą, że mnie nie ma, minie mniej więcej tyle czasu, zanim pościg tu dotrze.

– Bzdury gadasz. My tu przyjechaliśmy jako przesyłka z najniższym priorytetem. Mogę się założyć, że

jak będą chcieli, to będą tu w trzy minuty. Sam mówiłeś, że czymś lecieliśmy.

– To co mam zrobić?

– Nie mogą zauważyć, że cię nie ma. Do ostatniej chwili. Nie wiem, kiedy tu po nas przyjadą, ale nawet jeżeli za godzinę, to już masz szansę być dobrych kilka kilometrów stąd. I jak przyjedzie ten matoł, co nas przywiózł, to pewnie i tak najpierw wezwie posiłki, nie będzie szukał od razu. Może nie ma radia, tylko będzie jechał z powrotem tym swoim wehikułem? To kolejne kilka minut.

– Co mam zrobić?!

– Znalazłeś miejsce, w którym dasz radę przejść pod tymi drutami?

– No! Tu są trochę luźniejsze. Powinienem się precyzyjnie.

– Ale tędy wejdiesz na teren poligonu! Cholera wie, kogo tam możesz spotkać!

– I bardzo dobrze – oni też nie będą czuć się komfortowo. A poza tym tam, na zewnątrz, dogonią mnie błyskawicznie po śladach w tym cholernym śniegu. A tu muszą być jakieś inne ślady, będą trochę kluczycy – dadzą mi lekkie fory. Potem pobiegnę wzdłuż ogrodzenia i postaram się przedostać na drugą stronę. Tutaj się nie precyzyjnie.

– Dobra, niebezpiecznie, ale może jest w tym jakaś metoda. Tylko musisz spróbować bardziej tam – wskazuje dyskretnie wzrokiem kąt zagrody.

– Dlaczego?

– Mam wrażenie, że tam twoja kamera ma martwe pole. I tamta gałąź musi jej trochę zasłaniać.

– Ale jak na zbyt długo zniknę z pola widzenia, zainteresują się tym.

– Zatem nie możesz zniknąć.

– ?!

– Masz jeszcze jakiś zbędny ciuch?

– No, nie bardzo. I tak mną trzęsie.

– Cholera, trudno! Ale to może i lepiej. Mam pomysł! – Siada przy płocie i gestem każe mi zrobić to samo.

– Każesz mi zaraz oddać sobie sweter – mówi cicho. – Widzieli, jak mi go dawałeś, więc będą wiedzieć, o co chodzi. Ma to wyglądać na kłótnię: krzycz, złość się, machaj rękami. Ja nie będę chciał, ale w końcu ci go rzucę. Przykryjesz sobie nim nogi i położysz się tak, żeby te nogi łapały się w polu widzenia kamery. Nogi, i nic więcej. Nie oglądaj się teraz. To mniej więcej tam, gdzie ta gałązka leży.

– Łykną to?

– Nie wiem, ale nie mam innego pomysłu. Ja w tym czasie dostanę histerii – będę się wściekał, rzucał śniegiem, groził ci. W tym czasie masz zniknąć. Tylko zostaw sweter, podsyp go śniegiem, żeby wyglądało, że ciągle tam leżysz.

– Odmrożisz sobie stopy!

– To moje najmniejsze zmartwienie w tym momencie.

– Jak to odkryją, to mogą cię zabić!

– Cały czas mogą. Jak nie uciekniesz, mogą zabić nas obu.

– Doktorze?

- Co?
- Wróć tu.
- Dobra, dobra. Zaczynamy ten cyrk!

Rozdział 28

Rozmawiamy dalej, powoli podnosząc temperaturę dyskusji. Zaczynam coraz mocniej gestykulować, zrywam się w końcu na równe nogi, kopię śnieg w kierunku Doktora, szarpię rozdzielające nas druty. Kątem oka widzę natychmiastową reakcję obu kamer. Wyciągam przez ogrodzenie rękę, usiłuję złapać swój sweter. Doktor też nieźle się stara: krzyczy, macha rękami, odskakuje od ogrodzenia z nogami spętanymi swetrem, przewraca się, tarza w śniegu. Grożę mu i wyzywam od najgorszych – trochę mi wstyd, ale wczuwam się w rolę. Wreszcie z taką miną, że naprawdę mi go szkoda, ciska swetrem w ogrodzenie. Przeciagam go przez ciasne zwoje szarpiących wełnę drutów i odchodzę w umówione miejsce. Rzucam się na śnieg i ostentacyjnie okrywam sobie nim nogi. „Moja” kamera obraca się nerwowo, jakby chciała zobaczyć więcej niż widzi. Sztuczka chyba działa. W tym czasie Doktor odgrywa scenę rozpacz: rzuca się na ziemię, biega w kółko, gestykulując rozpaczliwie, pada na kolana i wyrzuca w powietrze garście śniegu.

– Teraz! – krzyczy do mnie pomiędzy jednym atakiem spazmów a drugim.

Formuję pod swetrem wałek śniegu i delikatnie wyciągam spod niego nogi. Podczołguję się do ogrodzenia. Obie kamery obserwują szalejącego Doktora. Żeby tylko nie przesadził z dramatyzmem, bo jeszcze kogoś do niego przyślą – przemyka mi przez głowę. Delikatnie unoszę zwoje drutu i przeciskam się pod nimi na drugą stronę. Na szczęście słupy stoją dość gęsto, skutecznie tłumiąc drgania. Ostre wąsy drapią mi twarz i ręce, szarpią ubranie. Uważam tylko na oczy. Czas wlecze się, jakby razem ze mną zaplątał się w zwoje drutu kolczastego. Jeszcze tylko kilkanaście centymetrów i wreszcie jestem po drugiej stronie. Staję za linią kamer, patrzę na Doktora. Opadł już z sił, siedzi na środku swojej klatki i rozciera dłońmi sine stopy. Nie podnosi na mnie wzroku, ale wiem, że kątem oka musi mnie widzieć. Dyskretnie unoszę rękę w geście pożegnania, odwracam się i biegnę w las.

Po kilkuset metrach otacza mnie cisza, od której aż bolą uszy. Jest gęsta i materialna – jedyna w swoim rodzaju cisza martwego zimowego lasu. Pochłania wszystko: trzask łamanych gałęzi, skrzypienie śniegu pod butami, mój astmatyczny oddech, który w normalnych warunkach obudziłby pewnie każdego w promieniu kilometra. Na razie zostawiam ogrodzenie po prawej stronie, biegnę w kierunku centrum poligonu. Muszę znaleźć jakieś ślady, zmieszać z nimi własne, choć odrobinę utrudnić zadanie pościgowi. Nie mam pojęcia, jak będą mnie tropić: czy kierują się tylko wzrokiem, jak ja, czy może węchem – w końcu skąd określenie „owczarki” i te ich lisio-kocie pyski? A może mają jeszcze jakąś inną metodę? Może po prostu wyślą helikopter i znajdą mnie z góry w pięć minut? Mam nadzieję, że nie jestem aż tak dla nich ważny – z dużą pewnością mogą założyć, że i tak zginę w ciągu kilku godzin. Zginę wolny, myślę

z satysfakcją i usilnie staram się nie rozpamiętywać pierwszego z tych dwóch słów. Wystarczy drugie, bardziej mi się podoba. Nie mam innego wyjścia – mogę tylko biec jak najszybciej przed siebie.

Potykam się o ukryty pod śniegiem korzeń i wywracam się jak długi. Podnoszę głowę, skostniałymi rękami przecieram oczy i rozglądam się dookoła. Rzędy martwych pni wspinają się bez sensu w stronę ołowianego nieba, chmura śnieżnych płatków wiruje wokół mojej głowy. Cisza, żadnych śladów życia. Na szczęście na razie też żadnych śladów śmierci. Wstaję i biegnę dalej. Potem będę odpoczywał, na razie jestem w ich piaskownicy – tutaj nie mam żadnych szans. Kilometr dalej natrafiam wreszcie na pierwsze ślady. Nigdy nie uwierzyłbym, że tak ucieszą mnie tropy mutanta. Za chwilę pojawiają się kolejne, potem jeszcze jedno, i jeszcze jedno. Schodzą się z różnych stron, łączą i przeplatają. Robię kilka rund, mieszając moje tropy z tamtymi. Na szczęście śnieg jest suchy, sypki i ślady nie odbijają się zbyt dokładnie. Zatrzymuję się na chwilę na wydeptanym placyku i staram się odgadnąć, co tu się mogło wydarzyć. Musiały spędzić tu dłuższą chwilę, dreptały w kółko, rozchodziły się, schodziły, a potem już zgodnie ruszyły dalej. Wiem, że na końcu nitki tropów bardzo wzrasta prawdopodobieństwo spotkania mutanta, ale nie mam wyjścia – ruszam za nimi. Mogę mieć tylko nadzieję, że ślady są dostatecznie stare, a ci, którzy je zostawili, dawno się już stąd wynieśli. Biegnę tak szybko, jak tylko potrafię, ale i tak widzę, że ich krok jest prawie trzykrotnie dłuższy od mojego. Dwa kilometry dalej staję nagle jak wryty: kilkaset metrów przede mną coś czarnego majaczy między drzewami. Boję się nawet oddychać. Kucam powoli i przez minutę wytrzeszczam oczy, wpatrując się w ciemną plamę na śniegu. Nie rusza się, nic nie przerywa ciszy. Wstaję i ostrożnie robię kilka kroków – nadal nic. Po kilku następnych krokach jestem już pewien – to owczarek. Leży bez ruchu w nienaturalnej pozycji, w czarnej aureoli krwi dookoła głowy. Z trudem powstrzymując strach i obrzydzenie, podchodzę do niego. Nie żyje – ma przegryzione czy przecięte gardło. Wygląda zupełnie jak ten, którego spotkaliśmy w drodze do Owczarni. Może to nawet ten sam? Obok sztywnego ścierwa leży uwalana czarną krwią krótka maczeta z samochodowego resora, o rękojeści owiniętej grubo parcianą taśmą. Podnoszę ją, wycieram w śnieg, potem próbuję zedrzeć z trupa ciężką, ale wyglądającą bardzo solidnie kurtkę. Z zewnątrz jest pokryta gładką, mocną powłoką, od środka czymś miękkim, na pierwszy rzut oka obiecującym ciepło. Zatem oni też marzną – przychodzi mi do głowy. Swoją drogą, jeżeli tak ubierają zwierzynę łowną, ciekawe, w czym chodzą myśliwi? Mutant jest zamrożony na kość, musi leżeć tu od kilku dni. To dobry znak – polowanie dawno się już skończyło. Z niemałym trudem przewracam trupa na brzuch – choć wygląda na bardzo smukłego, jest olbrzymi i musi ważyć grubo ponad sto kilogramów. Jedna ręka potwora jest zgięta w łokciu i podkurczona, tej nie udaje mi się nawet ruszyć, druga wyprostowana pod kątem prostym do ciała. Chwytam za nią i usiłuję ją zgiąć – nic z tego. Rozglądam się zrozpaczony po okolicy i nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł: podnoszę trochę odstającą rękę i wsuwam pod nią gruby konar, leżący obok w śniegu. Przyciskam kolaniem ciało mutanta, kości skrzypią obiecująco. Klękam na jego plecach i z całej siły szarpnię za rękaw kurtki. Dźwignia działa, stężałe mięśnie ustępują odrobinę. Potem ustępują jeszcze kawałek, a ja stoję już na plecach mutanta i z całej siły ciągnę go za dłoń. Wreszcie kości nie wytrzymują – z głośnym trzaskiem wyłamuję mu ramię ze stawu. Robi mi się słabo, padam na kolana, dysząc ciężko. Jeszcze chwila, muszę to jakoś wytrzymać. Podkładam drewniane klocki pod rękę i wskazuję na środek.

Staw łokciowy ustępuje, ręka zgina się wreszcie swobodnie jak u zepsutej marionetki. Za dużo czasu tu straciłem – poganiam się w myślach. Ściągam z mutanta kurtkę i owijam się nią chciwie. Śmierdzi trochę, ale grzeje wybornie. Jest na mnie sporo za długa – sięga mi prawie do kolan, ale to tylko lepiej. Od tego miejsca ślady znowu rozchodzą się w różne strony, jakby myśliwi rozdzielili się, by tropić zwierzynę samodzielnie, a potem skrzyknąć się jakoś na wspólne jej osaczenie i dobiecie. Rozglądam się po lesie, próbując ustalić, w którą stronę powinienem uciekać. Nie wrócę tą samą drogą, którą przyszliśmy, pewnie tam będą mnie szukać w pierwszej kolejności. Muszę pobiec do torów kolejki i tamtędy, przez gęsto zabudowane przedmieścia Warszawy, do metra. W labiryncie uliczek i domów łatwiej będzie mi się ukryć, łatwiej zmylić trop. W lesie jestem jak zając na polu – nie ukryję się. Nadrobię kilka kilometrów, ale może zmylą ich choćby na chwilę. Skręcam na zachód, biegnę przez pocięty ścieżkami mutantów cichy las. Zaczynam się niepokoić, czy nie biegam w kółko, już dawno powinno tu być ogrodzenie poligonu. Wreszcie jest. Docieram do niego ostatkiem sił. Padam przy zwojach drutu kolczastego i dyszę ciężko kilka minut. Zastanawiam się, ile czasu mogło minąć od chwili mojej ucieczki – godzina, półtorej? Muszę się śpieszyć, już pewnie rozpoczęli pościg. Mobilizuję wszystkie siły i przeciskam się pod ogrodzeniem. Zardzewiały drut wbija mi się w policzek, boleśnie szarpie zamarzniętą skórę. Leżę przez chwilę po drugiej stronie, patrzę na dużą czerwoną kroplę ściekającą powoli ze stalowego wąsa. Upada w śnieg, zostawia niewielkiego kolorowego kleksa. Najchętniej zawinąłbym się w ciepły płaszcz i usnął. Otrząsam się z ogarniającego mnie znużenia w ostatniej chwili, kiedy już robi mi się ciepło i błogo. Z trudem odpędzam zmęczenie, przecieram twarz śniegiem. To pomaga – wstaję, rozglądam się i obieram nowy kierunek. Po kilku minutach wypadam z lasu na asfaltową drogę. Zostawiam na niej wyraźną ścieżkę śladów i wbiegam między ruiny biednych domków. Mijam je szybko i znowu jestem w lesie. Innym, tu miejsce sosen zajmują suche, połamane olszyny i kępy dzikich klonów. Wiem, co to oznacza – po kilkuset metrach przedzierania się przez płataninę gałęzi i labirynt martwych pni zsuwam się z wysokiej piaszczystej skarpy na gładką jak stół powierzchnię. Dla pewności stukam obcasem w matową taflę lodu zamiecioną ze śniegu przez wiatr, ale nie ma obawy – rzeka jest zamarznięta do samego dna. Wybiegam na drugi brzeg, biegnę kilkadziesiąt metrów w las, potem cofam się ostrożnie po swoich śladach – może da mi to kilka dodatkowych minut przewagi. Zatrzymuję się na środku rzeki i nasłuchuję uważnie. Nagle ciszę, do której zdążyłem się już przyzwyczaić i ją polubić, zakłóca odległy, stłumiony hałas. Nie umiem odróżnić poszczególnych głosów, ale jest ich wiele: chyba jakiś pojazd, przeciągłe zwierzęce nawoływania. Czuję, jakby ktoś zrobił mi zastrzyk z adrenaliny. Zapominając o zmęczeniu, gnam wijącym się wśród martwego krajobrazu korytem umarłej rzeki. Gdybym miał łyżwy, z pewnością pobiłbym jakiś rekord. Lód nie jest na szczęście zbyt śliski, ale i tak muszę uważać – każda wywrotka to pewna kontuzja. Albo – w najlepszym razie – wybije sobie wszystkie zęby, albo połamię ręce i nogi. I to będzie koniec. Szmer głosów za mną to się nasila, to słabnie, w zależności od tego, jak ukształtowany jest brzeg rzeki. W pewnym momencie zauważam, że cichnie zupełnie, i przez pół godziny wyobraźnia sączy mi do głowy zdradliwy jad nadziei, delikatnie rozgrzewa żołądek i spowalnia nogi. Ale potem zdradza mnie, jak zawsze, i głosy pościgu wracają – bliższe i wyraźniejsze.

Wiem już, dlaczego maratonów nie rozgrywano w zimie. Powoli zaczynam też wierzyć w to, że Filippides – pierwszy maratończyk – miał prawo paść martwy po przebiegnięciu takiego dystansu. Ja jestem skrajnie wyczerpany już po kilku kilometrach. Po mniej więcej godzinie docieram do mostu kolejowego. Zwisa z niego żółto-niebieski wagon kolejki podmiejskiej. Jego jeden koniec stoi wysoko, na torach, drugi ginie pod lodem. Boję się do niego zajrzeć, nie chcę się przekonywać, czy nie siedzi tam jakieś przyczajone bydlę. Pościg chyba jeszcze nie trafił za mną w koryto rzeki, inaczej miałbym go już pewnie na karku. Wdrapuję się po stromej skarpie na torowisko i dysząc ciężko, biegnę na północ. Wzdłuż torów wije się kilka nitek zwierzęcych tropów. Wolałbym żadnego nie spotkać, chwilowo nie mam jednak gdzie skręcić. A z drugiej strony, mutancie ścieżki czynią mój trop mniej oczywistym w tym śnieżnym krajobrazie. Po kilkuset metrach tory krzyżują się z drogą, którą kilka kilometrów stąd szliśmy dwa tygodnie temu. Zatrzymuję się pod wiaduktem i zdumiony przyglądam się czarnemu kręgowi wypalonych gałęzi. Rozgarniam węgle, są zimne. Obok stoi kilka betonowych bloczków – fotele i wymoszczone chrustem legowisko. I nic więcej. Czyżby kolejna grupa zbiegłych mutantów? A może ludzie?! Ze śladów trudno cokolwiek wywnioskować, nie mam poza tym czasu na snucie domysłów. Wdrapuję się na wiadukt, żeby się rozejrzeć. Zrujnowane, przysypane śniegiem domy kryją się wśród suchych drzew. Najwyższe sosny dawno poprzewracał wiatr, leżą pokotem tam, gdzie stały – wzdłuż dróg, na posesjach, wbite we wraki samochodów i zerwane dachy willi, zwisają na napiętych kablach wysokiego napięcia, przygniatają do ziemi trakcję kolejki. Tory ciągną się prosto, tutaj są jeszcze w niezłym stanie. I kiedy już wydaje mi się, że mogę odetchnąć z ulgą, że udało mi się zgubić pościg, nagle dobiega do mnie całkiem wyraźny ryk silnika. Od strony poligonu w Emowie coś jedzie drogą, na której właśnie stoję. Nie widzę ich jeszcze, ale nie są daleko, tylko czekać, aż wyłonią się zza zakrętu. Przerażony rzucam się w dół, staczam po nasypie i bez tchu pędzę przed siebie, wzdłuż torów. Jestem idiotą! Przecież dla nikogo nie mogło być tajemnicą, dokąd będę uciekał. Zamiast kluczyć bez sensu po krzakach w poszukiwaniu moich śladów, po prostu postanowili odciąć mi drogę ucieczki! Zresztą nie wiem, może i kilku kluczy po śladach, ale reszta po prostu zaczął się w kilku miejscach, które muszę mijać, i poczeka tam na mnie. Wymyślam sobie w myślach od najgorszych, gnając na złamanie karku przed siebie. Rozglądam się rozpaczliwie w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym się ukryć albo przycziąć i spróbować się bronić. Jeszcze kilkadziesiąt metrów krzaków, mijam ruiny jakiegoś przeszklonego pawilonu i za plecami słyszę silniki pojazdów wjeżdżających na wiadukt. Boję się odwrócić, w ostatniej chwili rzucam się w lewo, ukrywam za betonowym ogrodzeniem. Chyba mnie nie zauważyli – silniki nawet na moment nie zmniejszyły obrotów. Przecinam asfaltową drogę biegnącą wzdłuż torów i przez rozwalające się drewniane ogrodzenie wskakuję na podwórko jakiegoś domu. Nie mogę uciekać drogami – jeżeli oni są zmotoryzowani, nie mam tam najmniejszych szans. Muszę ukryć się w jakiejś piwnicy, przeczekać do zmroku i potem do rana. Liczyć na to, że mnie nie zauważą. Silniki cichną na chwilę, przysłonięte drzewami, ale po minucie słyszę je jeszcze bliżej i jeszcze wyraźniej. Zdecydowanie zbyt blisko i zbyt wyraźnie. Gnoje, skręcili we właściwą ulicę. Lawirują teraz pomiędzy tarasującymi wszystkie drogi wrakami samochodów i powywracanymi sosnami. Zaraz zobaczą moje ślady i ruszą za mną. Dogonią mnie pewnie w minutę, ale żywcem mnie nie wezmą – obiecuję sobie,

ściskając w dłoni maczetę. Gnam co tchu przed siebie przez śnieżne Pompeje: przecinam przysypane śniegiem cmentarze przydomowych ogródków, zaschnięte truchło psa przywiązanego łańcuchem do swojej budy, niemal potykam się o zmumifikowane, splątane ze sobą zwłoki gospodarzy na schodach eleganckiej willi. Staram się zostawiać jak najmniej śladów, ale śnieg utrwała wszystko tak samo jak popiół. Na ulicy, którą przed momentem przecinałem, warczy już na niskich obrotach silnik. Zwalnia, zatrzymuje się, gaśnie. Jednym susem przesadzam niskie ogrodzenie rozdzielające dwie posesje i wpadam na szczytową ścianę domu leżącą na niewielkim podwórku zamiast trawnika. W ostatniej chwili omijam pełne potłuczonego szkła okno, po pokrytej boazerią ścianie poddasza przebiegam na parter, zawadzam o karnisz i depczę wiszący na ścianie duży obraz w tanich ramach. Cóż za ironia – zimowy krajobraz. Domyślam się, że to najpewniej jakiś wybuch, pewnie gazu zamienił to miejsce w naturalnych rozmiarów domek dla lalek. Wpadam do szeroko otwartego na ogród salonu i rozglądam się nerwowo w poszukiwaniu kryjówki. Nie zdążę pobiec dalej, muszę coś znaleźć tutaj. Podbiegam do drzwi prowadzących do piwnicy, ale w tym momencie słyszę za plecami brzęk metalowej siatki. Zdejmuję rękę z klamki i wciskam się pod zawalone schody, tuż obok drzwi. Najciszej jak potrafię maskuję wejście do kryjówki drzwiami stojącego obok kredensu. Owijam się szczelnie płaszczem, wciskam na głowę kaptur i kulę się w małej bańce powietrza. Tak intensywnie napieram na ścianę za plecami, że jestem prawie pewny, że zaraz runie i zdradzi moją kryjówkę. Cały wysiłek wkładam w to, by nie trząść się jak osika. Zamieram w bezruchu, zanurzam się w gęstej jak smoła ciszy, a świat zamiera razem ze mną. Ze swojej kryjówki widzę tylko wąską szczelinę podłogi tuż przy zejściu do piwnicy. Wpatruję się w nią jak zahipnotyzowany. Czas zwalnia, płacze się, kręci piruety z wirującymi w smudze światła drobinami kurzu. Zaciskam spocone palce na trzonku maczety. I kiedy już jestem pewny, że musiał mnie minąć, pójść dalej, ciche skrzypnięcie buta dwa metry od mojej dziury pod schodami sprawia, iż mięśnie napinają mi się, jakby miały za chwilę pęknąć, włosy stają dęba, a w ustach czuję smak krwi z przegryzionej wargi. Słyszę ciche węszenie i w szczelinie tuż koło mojej ręki widzę ciężki wojskowy but. Nie oddycham. Gdybym tylko mógł uciszyć łomocące jak młot serce... Nie musisz – przychodzi mi do głowy. – On to zrobi.

Tom drugi

Owczarnia

Rozdział 1

Obudził się nagle, wyrzygany przez czarną otchłań nieświadomości. Skulony w schowku pod schodami mrużył oczy boleśnie dżgane włócznie światła przesywającymi podziurawioną kulami ścianę.

– I... Ile cza... czasu tak... – myśli rodziły się w jego głowie w bólach, przychodziły z daleka, błąkały się po czaszce, długo nie mogąc znaleźć swojego miejsca.

– Ją... jąkam się... w my... myślach się jąkam... – rozbawiony tą konstatacją spróbował się uśmiechnąć do siebie, ale uśmiech nie wyszedł mu nawet w myślach. Zmarszczył odrobinę czoło i natychmiast tępy, promieniujący z tyłu czaszki ból szarpnął całym jego ciałem. Stęknął głucho i przerażony tym odgłosem, natychmiast przypomniał sobie, skąd się tu wziął. Jakby obudził się po raz drugi. Zamarł, skulił się w sobie, przestał nawet na chwilę oddychać. Rozpaczliwie tłumił przelatujące przez głowę obrazy i głosy niedawnej przeszłości, obawiając się, że nawet echo szalejących w jego głowie wspomnień może mu ściągnąć na kark prześladowców. Nasłuchiwał. Właściwie to cały zamienił się w słuch. Czuł otaczającą go martwą ciszę, macał ją myślami, tak jakby to były ręce, a jej lepkie włókna lepiły się do palców, nie chciały puścić, oplatały głowę, zaciskając się wokół szyi. Im ciszej było wokół, tym bardziej przerażające wizje tego, co mogłoby się za chwilę zdarzyć, podsuwała mu rozpalona wyobraźnia. Mogłoby, ale na szczęście się nie wydarzyło. Po kilku minutach uspokoił się wreszcie.

– Jakby miał tu przyjść, to by już dawno przyszedł, opanuj się kretynie! – wyszeptał do siebie i dodało mu to otuchy.

Spróbował się podnieść. Przemarznięte do szpiku kości nogi odmawiały posłuszeństwa. Po kilku próbach wstał wreszcie, rozpaczliwie chwytając się ściany.

– Kuuurwa! – zaklął cicho. – Pięknie!

Brunatna skorupa wypełniała jego spodnie. Wzdrygnął się i aż stęknął z obrzydzenia, gdy pierwsze kawałki kruszącego się, zamrożonego gówna wypadły z nogawek, zostawiając na udach i łydkach zimne, wilgotne smugi.

– Pięknie – powtórzył. – Czyli leżę tu co najmniej dwie, trzy godziny...

Przyklęknął i przywarł twarzą do szpary, przez którą wcześniej obserwował nogi tropiącego go owczarka. Wprawdzie parter pozbawionego frontowej ściany domu był pusty, ale ślady na podłodze wyraźnie podpowiadały, co się tutaj wydarzyło. Podziurawione kulami, ledwo trzymające się na jednym zawiasie drzwi do piwnicy, kilogramy wyłupanego ołowiem ze ścian tynku na podłodze w zaschniętym kozuchu brunatnej mazi, dziesiątki łusek – wszystko to rzucało pewne światło na to, dlaczego on wciąż

żyje. Chociaż w sumie to aż nieprawdopodobne, że nie dostał żadną z wystrzelonych przez owczarka kul. Cienka ścianka, która oddzielała go od holu, rozsypała się w proch od razu, kiedy jej dotknął. Z kredensu, którym zamaskował wejście do swojej kryjówki, została sterta potrzaskanych desek. Ostrożnie, na sztywnych ze strachu i mrozu nogach, klnąc najszeptniej, jak potrafił, za każdym razem gdy tylko cuchnący lodowy pampers dotykał jego skóry, wygrzebał się z kryjówki. Choć serce wściekle mu łomotało, postanowił najpierw zajrzeć do piwnicy. Kiedy delikatnie popchnął drzwi, by wpuścić tam nieco światła, te runęły na schody i z dudniącym łoskotem zsunęły się w ciemność. Poczuł, jak w spodniach robi mu się ciepło, zamarł. Władzę w członkach odzyskał dopiero wówczas, kiedy przebrzmiały ostatnie echa tłuczonego szkła i zsuwającego się po schodach gruzu.

Padł na kolana i przycisnął do twarzy zaciśnięte brudne pięści. Pozostał tak przez chwilę, a wściekły, rozsadzający umysł skowyt narastał w nim, aż wreszcie wykipiał.

– Kuuurrwaaa! Nieee! Kuuurrwaaa mać!!! – darł się jak opętany, szamocąc się w podartych, śmierzących łachach. Po kilkunastu sekundach skulił się na ziemi i kryjąc twarz w dłoniach, zaczął spazmatycznie szlochać. Długo nie mógł ochłonać. Wreszcie dźwignął się na nogi, rozejrzał i ukradkiem, wstydliwie rozmazał wierzchem dłoni ślady łez na brudnej twarzy. Zajrzał jeszcze raz do piwnicy, ale poza trudnym do zniesienia smrodem nie znalazł tam nic niebezpiecznego ani godnego uwagi. Rozglądając się uważnie po zrujnowanym wnętrzu, podszedł powoli do zwalonej ściany szczytowej. Pod nogami chrzęściło mu potłuczone szkło, odłamki tynku i mosiężne łuski. Na przykrytej grubą warstwą zaschniętej juchy podłodze dwie ścieżki śladów splatały się ze sobą w skomplikowanym, śmiertelnym tańcu. Ogromne buciory owczarka znał dobrze, przyglądał się im z bliska przez ostatnich kilka tygodni. Towarzyszące im nieznanne ślady sprawiały, że robiło mu się na przemian zimno i gorąco: wielkie jak talerze, zakończone groteskowo wręcz długimi pazurami.

– Niedźwiedź platfus – pomyślał i uśmiechnął się do siebie, próbując choć trochę rozładować ściskające gardło napięcie. – Niech zgadnę, jakiego był koloru...

Zagadka nie była trudna – olbrzymie szare cielsko leżało tuż za rogiem domu. Gdyby nie dziwaczna pozycja, nienaturalnie powyginane łapy i czarna posoka zlepiająca zmierzwioną szarą sierść, można by pomyśleć, że to jakiś monstrualnych rozmiarów pies wyczekuje na ganku powrotu gospodarzy. Z trudem pokonując obrzydzenie, dotknął go ostrożnie nogą, a potem – jeszcze ostrożniej – jednym palcem. Potwór był już zimny. Obszedł go dookoła i mimo że wiedział, czego może się spodziewać, zrobiło mu się niedobrze, gdy zobaczył jego łeb. W martwym, niewidzącym oku odbijało się ciemnoszare niebo, mutant szczyrzył dwudziestocentymetrowe kły w groteskowym uśmiechu. Połowa czaszki zamieniła się w czarną galarete – owczarek musiał wpakować w nią cały magazynek. Ale wcześniej kły lub pazury niedźwiedzia dosięgły również jego – świadczyły o tym ślady krwi na udeptanym śniegu wokół miejsca, w którym zostawił swój skuter śnieżny.

– Pojechał... Uznał, że wcześniej to bydlę musiało mnie załatwić! – pomyślał, wciąż nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Poszedł kilkadziesiąt kroków po śladach skutera, by upewnić się, że prowadzą w stronę Owczarni. Potem wrócił i jeszcze raz podszedł do szarego ścierwa. Aż trudno było uwierzyć, że taki olbrzym mógł z taką lekkością i takim impetem wyskoczyć z piwnicy. – Jeżeli ten, co

mnie ścigał, nie posrał się w gacie, to nie wiem, co mogłoby go przestraszyć – pomyślał. Pamiętał żołądek podchodzący mu do gardła w kryjówce pod schodami, słodko-mdłe przecucie zbliżającej się z chrzęstem ciężkich butów śmierci, a potem nagły ryk tuż koło ucha, od którego cały zwiotczał, niczym przekłuty balon. Potem jeszcze kanonadę owczarka. Zdążył się tylko zdziwić, jak błyskawicznie można zmieniać magazynki, a potem odpłynął w niebyt, osuwając się wśród przeszywającego ściany kryjówki ołowiu, ścielącego wszystko cieniutkim prześcieradłem ceglanego pyłu.

Rozdział 2

– Twierdzi zatem kolega, że tak łatwo umknął pościgowi? – Rektor patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem, z trudem akceptując fakt, że widzi mnie tutaj, w podziemiach Politechniki, żywego.

Powoli obracam we wciąż jeszcze skostniałych dłoniach kubek z gorącym naparem, smakuję każdy łyk.

– Jeżeli to, co mnie spotkało w drodze tutaj, to według pana jest łatwizna, to tak: umknąłem im łatwo. Chyba mnie już więcej nie ścigali.

– I jak się panu udało tutaj dotrzeć? – pyta, ignorując moją złośliwość.

– Widocznie miałem szczęście – wzruszam ramionami.

– Tak po prostu? Wystarczy odrobina szczęścia, żeby tam, na górze, pokonać ponad trzydzieści kilometrów, kiedy tutaj nie można się oddalić od tunelu na sto metrów? W tamtą stronę, jak pan sam opowiadał, nie było wcale tak łatwo...

Wzruszam ramionami – nie chce mi się już o tym gadać: jak umierałem ze strachu, ile razy narobiłbym w spodnie, gdyby nie to, że moje kiszki od dawna były już kompletnie puste, jak wciśnięty w kąt jakiegoś gruzowiska czekałem długie godziny, aż sfera szarych kundli oddali się na tyle, bym mógł bezpiecznie przebiec do następnej kryjówki. Nie mam wcale ochoty opowiadać mu, jak trudno przełknąć własną ślinę, gdy nie piło się od trzech dni, ani jak smakuje brudny, tłusty śnieg, kiedy wreszcie jest ci wszystko jedno i żeby przeżyć, wziąłbyś do ust wszystko, co ma w sobie choćby tylko ślad wody. A potem liczysz językiem kolejne puste miejsca w rozklekotanej klawiaturze zębów. Wzruszam więc tylko ramionami, nie mogąc oderwać wzroku od talerzyka z prawdziwymi sucharami, który postawił na stole. Postawił tak, żeby przypadkiem nie mógł po nie sięgnąć. Skąd oni mają takie rzeczy?

– A spodenki kiedy udało się koledze zmienić? – pyta z chytrym uśmiechem.

Złośliwa kanalia, niepotrzebnie mu o tym mówiłem. Wolałbym jak najszybciej zapomnieć, jak bardzo ucieszyłem się, gdy znalazłem tego trupa. Daleko, po tamtej stronie Wisły. Nie wyglądał ani na stalkera, ani na zwiadowcę. Nadgryziony był od strony głowy, spodnie i buty były na szczęście w porządku – solidne i nawet w miarę czyste. I nawet na mnie pasowały. Broni nie było. Była za to maska, cymbał nosił ją w chlebaku. Teren wokół tego miejsca był tak zdeptany, że nie udało mi się odgadnąć, czy był sam, czy miał jakieś towarzystwo.

– Dostałem w metrze od jakiegoś dobrego człowieka – mówię, skromnie spuszczaając oczy.

– No proszę, to są jeszcze dobrzy ludzie na świecie?

– Najwyraźniej zdarzają się.

– A może po prostu nie wytrzymał smrodu? Ten dobry człowiek...

– Możliwe – mówię obojętnie. – Czy moje problemy gastryczne naprawdę aż tak pana Rektora obchodzą?

– No proszę, nakarmiłem kolegę, napoiłem, rany opatrzyliśmy, a co dostaję w zamian?

– Niewdzięczny jestem?

– Neeee... Nieszczery – mówi i w ułamku sekundy z jego twarzy znika maska dobrotliwego wujaszka.

– Domyśla się pan, że pańska wersja tego, co zaszło, nijak się ma do wersji oficjalnej?

– A, to powstała już jakaś wersja oficjalna?

– Oczywiście! Został pan bohaterem najgłośniejszej afery, jaka wybuchła tu w ciągu ostatnich piętnastu lat...

– Hmm...

– Ale bohaterem, raczej niestety negatywnym. A z pańskiej opowieści wyłania się zgoła inny obraz wydarzeń.

– I co ja na to mogę poradzić? – mówię obojętnie. – Wydawało mi się, że chciał pan usłyszeć, jak było naprawdę.

– Taaa... Chciałem. Ale teraz nie za bardzo wiem, co z tą wiedzą począć. – Patrzy na mnie badawczo.

– Bo widzi kolega, do tej oficjalnej wersji bardzo dużo ludzi już się przyzwyczało... I trudno ich będzie przekonać, że tak łatwo dali się oszukać i na pewne sprawy trzeba byłoby spojrzeć inaczej niż dotąd. Tym bardziej że już wiele spraw ważnych i dużych toczy się w oparciu o tę – jak kolega raczył ją określić – nieprawdziwą wersję.

Milczymy dłuższą chwilę, ja gapię się w kubek, siorbiąc powoli, on małym palcem lewej ręki dłubie sobie z namaszczeniem w uchu.

– Ten wojskowy, który był waszym przewodnikiem, po tym jak nie udało się nawiązać kontaktu z oddziałem na Wschodnim... – zaczyna wreszcie.

– Mówiłem już, żadnego oddziału nie było – przerywam.

– Dobrze, dobrze. Wie pan, że on wrócił?

– Jakoś nie jestem zaskoczony. Przecież ktoś musiał tę wersję oficjalną przynieść.

– No tak. Musiał... To zdążył ją już kolega poznać?

– Pobieźnie, ale tak. Nie zauważyłem, żeby w metrze ludzie mówili o czymkolwiek innym.

– Taaak, wszyscy gadają... Aha, ale to też jest nieoficjalna wiadomość, niech kolega pamięta! Bo w ogóle tutaj się strasznie ostatnio zageściła atmosfera. Ja całe życie raczej nie miałem kłopotów z rozróżnieniem historii oficjalnych i nieoficjalnych, niektórzy uważali wręcz, że jestem w tym dobry. A teraz to nawet mnie trudno się w tym wszystkim połapać. Co można powiedzieć, a za co można trafić w takie jedno nieprzyjemne miejsce...

– W jakie miejsce?

– Aaa... Mniejsza. Problem jest innej natury – problemem jest mianowicie to, że ta pańska opowieść trochę się kupy nie trzyma... – Nie patrzy na mnie, z dużym zaangażowaniem wydłubuje teraz woskowinę z paznokcia.

Muszę mieć naprawdę zdegustowaną minę, bo kończy wreszcie ten obrzydliwy manicure.

– O co koledze chodzi? – bąka.

– Jak to o co? Czy ja wyglądam na ostatniego naiwnego, kretyna, któremu się zachciało romantycznych przygód? – nie wytrzymuję. – Wysłał mnie pan tam osobiście. Z konkretnym zadaniem...

– O, przepraszam! – przerywa mi gwałtownie, rozglądając się z niepokojem po ciemnym gabinecie. Wstaje delikatnie z krzesła i na palcach zbliża się do drzwi. Chwilę nasłuchuje, po czym otwiera je gwałtownie na oścież. Za drzwiami po drugiej stronie wąskiego korytarza siedzi woźny w wyświeconym uniformie straży akademickiej i w skupieniu dłubie w nosie. Na widok Rektora wstaje, choć niezbyt gorliwie.

– Hierbaty więcej przynieść, hę? – pyta, wycierając palec w skraj munduru.

– Nie, nie, dobrze... Spoczniej i nie wpuszczaj nikogo! – odpowiada machinalnie Rektor, starannie zamykając drzwi.

Bierze jedno ze stojących pod ścianą krzeseł i siada tuż przy mnie, niemal dotykając kolanami moich kolan.

– Słuchaj, cwaniaku – dyszy mi prosto w twarz.

Musi mi nieźle cuchnąć z wypełnionej gnijącymi zębami szczęki, ale to smród jego oddechu przyprawia mnie o mdłości. Zmieszany z oleistym posmakiem starej ściery, który zostawia napar dumnie zwany „herbatą”, powoduje, że z trudem koncentruję się na jego słowach, walcząc z odruchem wymiotnym.

– Fakty są takie, że pokojowa ekspedycja ratunkowa została przez ciebie wciągnięta w pułapkę. Załatwiłeś kilkanaście osób, jesteś zdrajcą. Nie wiem, kto cię zwerbował ani jak to zrobił i kiedy, ale czy ktoś może potwierdzić tę twoją wersję? – zawiesza głos i patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Wie pan przecież doskonale, że to bzdura...

– Bzdura, nie bzdura, patriotyczna maszyna ruszyła. Ratusz i Wawrzyszew nakręcili się jak małe bąki. No, takie zabawki dla dzieci kiedyś... – dodaje, widząc moją minę.

– Rozumiem – mówię. – Znaczy... co to bąki rozumiem. Ale zupełnie nie rozumiem, od kiedy Ratusz i Wawrzyszew tak się kochają. Jednym głosem mówią? Coś wspólnie organizują? Po co tu Wawrzyszew jeszcze?! Nie żebym ich o pacyfizm podejrzewał, ale...

– Ano właśnie! Z początku to nikt nie rozumiał, tym bardziej że przecież po powrocie tego stalkera znowu była Rada i omal się tam nie pozagryzali. Ale potem były tajne obrady, w mniejszym gronie, nie dla wszystkich. No, nie dla mnie na przykład. Teraz przecież... Raptem dwa dni temu. I po tych rozmowach Krupa zmienił front o sto osiemdziesiąt stopni. Sojusz Ratusza z Wawrzyszewem ogłosili, sojusz dla Warszawy, dla Polski. Nazwali się Nowa Koalicja, chyba żeby się od Radomia odróżnić.

– I o co im chodzi? – pytam zdumiony.

– Jak to o co? – odpowiada jeszcze bardziej zdumiony moją ignorancją. – Zapasy zbierają, ludzi zaciągnęli całe mrowie do tej swojej armii. Nie dziwiło kolegi, że tu tak pusto? Wojna będzie!

– Ale jaka wojna?! – krzyczę poirytowany. – Dlaczego wojna?! Przecież oni to wszystko sami zorganizowali, przecież Franz doskonale wiedział, dokąd nas prowadzi. To jest kolejna prowokacja, pułapka, od początku do końca zaplanowana! Oni są wszyscy w zмовie...

– Ja nie wiem, kto tu z kim jest w znowie – przerywa mi szorstko. – Wiem tylko, że trzeba honor ratować, uprowadzonych ludzi też... Jeżeli żyją... Ten twój Franz mówił podobno, że mogą jeszcze żyć. A jak nie, to pomścić! O! To na pewno! Jak ty to mówisz? Owczarnia? Tu nikt takiego słowa nie używa, to by brzmiało za bardzo jakoś tak niewinnie, pokojowo, a to jest wojna z podstępnyim wrogiem, który napadł na pokojową misję ratunkową, bez ostrzeżenia i bez powodu. Dobór słów jest tu bardzo ważny.

– Ale przecież można jeszcze ich powstrzymać, wszystko wyjaśnić...

– Co tu, do ciężkiej cholery, wyjaśniać? Tu przecież wszystko jest jasne. Napadli nas, bydlaki, i teraz za to zapłacą...

– Nie wie pan, co mówi! Nie mamy żadnych szans, tam jest inny świat...

– No to, kurwa, będziemy mieli wojnę światów! Odczep się, człowieku, ode mnie, ja wszystko rozumiem, ale nie mam tu absolutnie nic do powiedzenia!

– Ale ja tam byłem, widziałem to wszystko. I...

– I? I co z tego?

– A to, że teraz jestem tu, mogę jeszcze powstrzymać ludzi, bo to będzie przecież totalna katastrofa! To nic nie zmienia?

– Gówno zmienia. Zresztą ciebie tu właściwie wcale nie ma... Myślisz, że co? Że na peronie jak prorok staniesz i opowiesz wszystkim, jaka jest prawda? Drugiego zdania nie dokończysz – tutaj aż się roi od szpicli Ratusza. Mnie też cały czas śledzą...

– Dlaczego?

– Rusz głową, człowieku! Ty myślisz, że sam ten sygnał nadałeś?

– Kurwa! – nie wytrzymuję. – Przecież to Ratusz go nadawał! Myśmy go namierzyli...

– No, niestety, tu się mylisz. Prawdopodobnie to ty go nadałeś. Znasz się przecież na tym, nie? To był najlepszy sposób, żeby wciągnąć wszystkich w zasadzkę. A kto wie, może ja ci w tym pomagałem? Doktor na pewno pomagał, ale on już dostał za swoje, jego też przecież zdradziłeś. W sumie, to kto wie, co my tu na tej Politechnice knujemy, nie? A nic się tutaj przecież nie dzieje bez mojej wiedzy, bez mojego błogosławieństwa. Tak dokładnie mówił ten kretyn z Wilsona: że ja cię pobłogosławiłem i namaściłem. Zabawnie to brzmi w ustach zawodowego alfonsa i bandyty. Rozumiesz, co on chciał przez to powiedzieć? A ten cwaniak z Ratusza słuchał tego i uśmiechał się do mnie – pełna schizofrenia!

– Ale to przecież Ratusz, to z ich radiostacji...

– No widzisz, i tu masz odpowiedź. Czy choćby przez chwilę myślałeś, że to ten twój Franz sam to wszystko zorganizował, że nikt inny nie był w to wplątany? Myślisz, że oni nie wiedzą, w co się pakują?

Milczę, Rektor zwiesza głowę, gapię się na czubek jego czaszki, na brudną skorupę łupieżu wyłazającą na resztki siwych włosów, na pulsującą na skroni fioletową żyłę.

– Ukryję się tu na chwilę, aż coś wymyślę... – mówię cicho.

– Nie, nie ukryjesz się – kręci głową, podnosząc na mnie wzrok. Przez moment, przez bardzo krótką chwilę widzę w jego oczach współczucie. – Żarty się skończyły, rozumiesz?

– A to kiedykolwiek żartowaliśmy?

Współczucie znika, jakby go tam nigdy nie było, są za to niechęć i strach. Macha nerwowo ręką na

znak, żeby mu nie przerywać.

– Żarty się skończyły – kontynuuje. – Gdy ten zły świat, który do niedawna był tam, na zewnątrz, przyszedł tu i tu się na dobre rozgościł. Umościł się i zawarł lukratywne znajomości. Siedzieliśmy sobie spokojnie, bezpiecznie w tym smrodliwym ciepélku. Oczywiście, jak ktoś miał silną potrzebę narażania dupy, to ją narażał. Ale większość, i ja też – nie będę oszukiwał! – takiej potrzeby nie miała i nie wyściubiała stąd nosa, ciesząc się smakiem tego białego gówna i rosółu ze szmaty – naszej ambrozji. A tu nagle okazuje się, że przyszedł okres burzy i naporu. Jedyna pociecha w tym, że jak na to patrzę, to mam wrażenie, że już chyba ostatni. Bo nasze rokowania nie są najlepsze...

– Zmiecie nas?

– Jak nic nas zmiecie, kolego – uśmiecha się kwaśno.

– Ale gdybyśmy...

– Przestań pan pieprzyć! Obudź się! – wybucha. Krzyczy szeptem, a cienki strumyk potu zostawia na jego czerwonej twarzy brudny ślad. – To już nie ma żadnego znaczenia, zrozumże to wreszcie! Ty już jesteś trupem, a ja pewnie niedługo dołączę do ciebie.

– Przecież Politechnika jest metru potrzebna – próbuję oponować. – Bez naszego sprzętu, naszych ludzi, bez nauki...

– Kurwa, człowieku, ogarnij się!

Łatwiej byłoby mi go pocieszać, gdybym sam potrafił uwierzyć w to, co mówię.

– Ich ogarnęło szaleństwo, rozumiesz? Jacy ludzie, jaka nauka? Jedno się liczy – kałachy!

– Te kałachy kiedyś im się popsują. I kto im je wtedy, bez naszych warsztatów, naprawi? – protestuję, tym razem szczerze.

– To sobie kijki zastrugają i pozabijają wszystkich tymi kijkami! Ludzie tak już mają, tacy ludzie tak mają! Kiedyś były tylko kijki i kamienie i co? Mniej skutecznie się zabijaliśmy?

Milczę. Cóż, chyba byłem nieco naiwny, szukając tu pomocy i wsparcia.

– To co mam robić? – pytam po minucie nieznośnej ciszy.

Nie patrzy na mnie, znowu ukrył twarz w dłoniach. Odsuwam powoli krzesło i wstaję. Nie oglądając się za siebie, podchodzę do drzwi i naciskam kłamkę.

Rozdział 3

Podeszwy butów skrzypią przeraźliwie, lepiąc się do posadzki peronu, szczelnie pokrytej smarkami, flegmą i lepкими plamami zaschniętego moczu. Zatrzymuję się i natychmiast otacza mnie martwa cisza betonowego grobu, rozświetlonego bladym światłem kilku starych rtęciówek. Jednak nie jestem tu sam – na plecach czuję wzrok ukrytych w mroku oczu. Kiedy ruszam ponownie, słyszę dyskretny szelest szeptów, cichy jak szum przeciągu w tunelu. Nie wiem tylko, kto i dlaczego kryje się w ciemnościach.

Z trudem rozpoznaję to miejsce – jeszcze kilka tygodni temu, kiedy byłem tu ostatni raz, Raławicka była solidnie ufortyfikowanym i pilnie strzeżonym magazynem. Niemal cały peron zastawiony był skrzyniami, plastikowymi beczkami i paletami, na których staranie ułożono wszystko, co udało się znaleźć w metrze lub w jego bezpośredniej bliskości, a co przedstawiało dla naszej społeczności jakąkolwiek wartość. Podział i dystrybucja zgromadzonych tu dóbr były drugim w hierarchii ważności zadaniem Rady, zaraz po nieustannym łagodzeniu wybuchających wiecznie sporów związanych z rzekomymi nadużyciami. Załoga złożona z przedstawicieli wszystkich stacji miała jeden cel: nieustannie patrzeć sobie na ręce i nie dopuścić do jakichkolwiek malwersacji przy podziale. Mimo tych środków bezpieczeństwa po całym metrze krążyły legendy na temat skali przekrętów, jakich dopuszczali się pełniący tu rotacyjną służbę superintendenci.

Tym razem jednak peron i torowisko są uprzątnięte do czysta, choć to akurat nie jest w tym wypadku najważniejsze słowo. O tym, że nie pomyliłem tej stacji z żadną inną (a niby jak miałbym ją, do cholery, pomylić?), świadczą utrwalone w brudzie posadzki powidoki skrzyń i rozdzielających je szlaków komunikacyjnych. Logistyka cieni: odbita w kamieniu geometryczna mozaika ruchliwych ścieżek i kłocznych zaułków.

Zatrzymuję się gwałtownie, a szmery natychmiast milkną. Miejscowe duchy nie wychodzą na powitanie, nie atakują, nie materializują się pod żadną postacią. Po tym, co widziałem w ostatnich tygodniach, jestem im wdzięczny za to, że pozostają w ukryciu – kto wie, może to wcale nie są ludzie?

Docieram wreszcie do końca peronu. Przez chwilę wpatruję się niepewnie w czarną czeluść przede mną, ale jej mroczny spokój sprawia, że zanurzam się w niej bez obaw. Jest mi już wszystko jedno – nie widzę zasadniczej różnicy między mrokiem tunelu a mdłym światłem tego upiornego opuszczonego-nieopuszczonego magazynu-niemagazynu.

Pierwsze metry tunelu zawsze pokonujesz po omacku. Potem oczy przyzwyczajają się do ciemności i w jakiś trudny do wyjaśnienia sposób zaczynasz widzieć. Wystarczy jaśniejszy, mniej zardzewiały fragment wspornika toru kablowego, wypolerowany tysiącem butów łeb mocującej szynę śruby. I już

możesz poruszać się swobodnie, bez użycia rąk i ciągłego wpadania na przeszkody.

Urządzam małe przedstawienie: najpierw stękam głośno, przewracam się, gramolę z powrotem na nogi, wściekły kopię w podkłady, klnąc na czym świat stoi. Potem przebieram szybko nogami w miejscu, jakbym oddalał się w pośpiechu. Po czym siadam cichutko pod ścianą tunelu, patrząc w stronę Raławickiej. Nie muszę czekać długo – czarne sylwetki pojawiają się na tle jasnej plamy peronu. Na szczęście to ludzie. Zaglądają niepewnie w mrok, nawołują się szeptem. Prawdopodobnie uciekinierzy, jak ja. Ale przed czym uciekają? Dokąd można uciec w metrze? Z tej odległości nie rozumiem słów, błędzące między ścianami tunelu echo przynosi do mnie tylko niewyraźne dudnienie, z którego jednak zaskakująco łatwo wyczytać emocje. Nie muszę słyszeć, co mówią, by wiedzieć, o czym mówią. W ich niewyraźnych głosach bardzo wyraźnie słyhać strach. Od dwóch dni, odkąd udało mi się wrócić do metra, próbuję być – jak oni – niewidzialny. Niestety, prawdopodobnie z podobnie kiepskim skutkiem. Nie jest łatwo ukryć się w miejscu, gdzie ludzie ściśnięci w betonowej tubie o przekroju kilku metrów nieustannie ocierają się o siebie, w większości doskonale się znają, a intymność jest pustym, dawno zapomnianym słowem. Na początku, zanim jeszcze udało mi się dostać do Rektora, byłem z siebie dumny, że nikt mnie nie rozpoznał, ba!, chyba nawet nikt nie zauważył! Po rozmowie z nim kilka kwestii nieco się wyklarowało... Teraz już wiem, że po prostu nie chcieli mnie zauważyć. Jestem jak trędowaty – najlepiej udawać, że się mnie nie widzi. Moje towarzystwo to coś więcej niż ściągnięcie sobie na głowę niebezpieczeństwa – to pewny wyrok. Jednak udało mi się jakoś opuścić Politechnikę, udało mi się dotrzeć do Raławickiej. Chcę się łudzić, że to moja zasługa. Że to ta odrobina sprytu, umiejętność szybkiego przystosowywania się do zmiennych okoliczności i – przede wszystkim – niezła znajomość topografii tuneli. Chcę tak myśleć, ale rozsądek podpowiada, że oto przyszła do mnie pycha, a zaraz pojawi się jej trochę spóźnialska, ale niezawodna siostra – nieostrożność.

Rektor nie zapytał mnie, dokąd pójde, a ja też nie chwaliłem się swoimi planami. W zasadzie nie bardzo jest czym – nie mam żadnego planu. Wiem tylko, że tutaj, w metrze, nie ma już dla mnie miejsca. To, że za mną idą, albo przynajmniej intensywnie mnie teraz szukają, to pewne. W każdej mijanej twarzy, w każdym siedzącym, stojącym, leżącym, gapiącym się na mnie albo gapiącym się w sufit widzę szpicla lub mordercę, który w każdej chwili może dźgnąć mnie nożem. Ze strachu lub z patriotycznego obowiązku. No i patroli żandarmów Ratusza, od których zaroilo się ostatnio na stacjach i w tunelach... Kiedy zatrzymują i legitymują wszystkich na ich drodze, ogarnia mnie panika, wiele wysiłku wkładam w to, by je omijać, nie wpaść przypadkowo na żaden, nie ściągnąć na siebie ich wzroku. A kiedy wszystkich puszczają, lustrując tylko bacznie przechodniów, jest jeszcze gorzej – wtedy jestem już pewny, że to właśnie na mnie czekają, dobrze znając moją twarz. Czysta paranoja. Ciągłe kluczenie tunelami technicznymi powoduje, że chyba nigdy nie oddalę się na bezpieczną odległość od Politechniki i Ratusza. Chociaż jaka jest ta „bezpieczna odległość”? Teraz, kiedy ma wybuchnąć wojna... Wojna. Absurd. Najmniejsza wojna światowa w historii ludzkości. W świecie dwudziestu kilometrów betonowej kiszki. Całym naszym świecie.

Właściwie to nie mogę się nadziwić, dlaczego nie zgarnęli mnie od razu u Rektora – przecież strażnik musiał donieść, widywał mnie wcześniej wiele razy, zna mnie. Z pewnością mieli dość czasu. Zatem

dlatego dali mi takie fory? Jest jedno sensowne wytłumaczenie: chcą zobaczyć, dokąd pójde, kogo jeszcze odwiedzę, u kogo będę próbował się ukryć. Wiele nie ryzykują, bo dokąd mógłbym stąd uciec? A tak zawsze można włączyć nowe osoby w krąg podejrzanych. Dobry pretekst do czystki zakrojonej na większą skalę. Nie dam im pretekstu: nie będę nikogo spotykał, zaczepiał, narażał – postanawiam. Będę szedł... No właśnie, dokąd? Na południe, stąd mogę tylko tam. Jak najdalej, może uda mi się wyjść z tego cholernego psychiatryka. W sumie z tą wojną to nawet nieźle się składa, może w tym zamieszaniu dam radę uciec? Tylko dokąd? – to pytanie wraca jak bumerang. Wyjdę na zewnątrz, żeby umrzeć z godnością? Żeby coś sobie albo komuś udowodnić? Kretyn... Odpędzam te myśli, muszę skoncentrować się na „teraz”. Ale pytania wracają, są jak natrętna melodia, która będzie grać w głowie w nieskończoność, której nie można się pozbyć inaczej, niż wymieniając ją na nową, jeszcze bardziej upierdliwą.

Wysłuchuję się w szum wystraszonych głosów dochodzących do mnie z peronu. Chciałbym się nie bać, pozbyć się tego nieustannego, paraliżującego lęku, czy nie zabije mnie mutant, promieniowanie, przypadkowy patrol Ratusza, zatruta woda, czający się w tunelach bandyci, choroba, głód, zatrute jedzenie... Głód – przypominam sobie, że jestem głodny. Szukam po kieszeniach, powinienem mieć jeszcze jakieś resztki sucharów, które zwędziłem Rektorowi. Sucharów nie znajduję, znajduję za to coś innego: mały, wymięty kartonik. Zdjęcie Znajdy, które wcisnęła mi do ręki Julia kilka tygodni temu. Obracam je bezmyślnie w dłoni, aż w głowie pojawia mi się pewna myśl. I wtedy, w jednej chwili wszystko staje się proste i oczywiste: muszę ją odnaleźć! Jestem to winny Julii: nie opowiedziała mi tej historii bez powodu. Gdyby to ona tu wróciła, z pewnością skoncentrowałaby się właśnie na tym. Ale są też powody bardziej praktyczne, może nawet ważniejsze od sentymentów. Znajda jest chyba jedyną osobą w metrze, której w niczym nie jestem w stanie zaszkodzić. I która, taką przynajmniej mam nadzieję, nie zaszkodzi mi. No i – co chyba najważniejsze – tylko ona jest w stanie zamienić tę bezsensowną tułaczkę, ucieczkę bez celu i kierunku w projekt, w przedsięwzięcie, nad którym warto się skupić, któremu warto poświęcić swój prawdopodobnie niedługi już czas. No i jako zadanie bardzo trudne (przychodzi mi do głowy słowo „niewykonalne”, ale szybko odpędzam tę myśl) bardzo daleko przesuwam w czasie horyzont moich planów. Przecież jeżeli powiem sobie „musisz dojść do stacji X”, to kiedy do niej prędeż czy później dotrę, natrętne pytanie: „co dalej?”, wróci, zaatakuję mnie ze zdwojoną siłą. A tak? Zawsze już będę wiedział, co dalej. Będę szukał. Oczywiście, ten pomysł ma również kilka słabych punktów. Właściwie kiedy się nad tym lepiej zastanowić, ma same słabe punkty. Przede wszystkim nie mam pojęcia, jak Znajda wygląda. Wprawdzie mam zdjęcie, a Julia sporo mi o niej opowiedziała, ale czy to wystarczy, żeby ją rozpoznać? Przecież dzieci w tym wieku zmieniają się bardzo szybko. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze tu jest, jej historia jest tak nieprawdopodobna, że śmiem nawet wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek naprawdę tu była. Jakbym wyruszał na poszukiwania yeti – uśmiecham się do siebie. No i jeszcze jedno: ona mnie nie zna – a jeżeli Julia mówiła prawdę, to w odróżnieniu ode mnie ona nie ma problemu z unikaniem obcych. Nie mam też pojęcia, jak miałbym jej szukać. Rozlepić ogłoszenia? Chodzić po metrze z jej fotografią w dłoni i nawoływać? Wykrzykiwać jej imię? A tak właściwie to jak ona się nazywa? Bo chyba nie Znajda... Ale kiedy tak zaczynam o tym wszystkim myśleć, zapominam

o moim żalonym położeniu: o pościgu, nieuchronności wiszącego nade mną fatum. W głowie układam jakiś plan. O to chodziło, to działa!

Po kilku minutach siedzenia w tunelu pozwalam sobie na odrobinę bezinteresownego okrucieństwa: podnoszę się z głośnym stęknieniem i szurając butami, ze złośliwą satysfakcją obserwuję, jak sylwetki na końcu tunelu rozbiegają się w popłochu, niczym karaluchy wyłuskane z ciemności snopem światła. Odwracam się i ruszam w drogę. Po kilku krokach wracam do swojej pierwotnej roli – z myśliwego znowu staję się tropioną zwierzyną.

Rozdział 4

Meldunki o jego ruchach docierały do Ratusza regularnie, jednak z początku mieli w sztabie problem ze zrozumieniem logiki tej bezsensownej, zdawałoby się, marszruty. Skomplikowany, płaczący się ślad wykazywał w zasadzie tylko jedną, choć wcale nieoczywistą tendencję: na południe.

– Kontakty? – kapral Wasilewski był już mocno zniecierpliwiony.

– Zero... – łącznościowiec, znudzony monotonią napływających w tej sprawie komunikatów, starał się jednak, by to znużenie nie rzucało się zbyt mocno w oczy przełożonego.

– Jak to, kurwa, zero?! Nikogo nie widział, nie spotkał, z nikim nie gadał?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Bo wy po prostu jełop jesteście, to i wam nic nie wiadomo. Ja się pytam, czy meldunki były. Bo może ten nasz nowy system komunikacji to o kant dupy?!

– Nie, panie kapralu. System działa perfekcyjnie. Jak nowy, powiedziałbym. Aż dziw, że po tylu latach to wszystko i że oni wcześniej tego nie...

– Nie rozczulaj mi się tu, tylko gadaj, czy kogoś tam może zaczepiał.

– Tak jest! Znaczy nie! No nie, unika wyraźnie. Czasem zatrzymuje się gdzieś na dłużej, gdzie jest więcej ludzi, i obserwuje. Na Wierzbnie siedział prawie cały dzień, tam jest taki sierociniec duży...

– Pedofil pierdolony?

– Nie, znaczy nie wiem, chyba nie... Nikogo nie zaczepiał, z nikim kontaktu nie nawiązywał. A potem znowu poszedł dalej. Chociaż co on tam robił, to w sumie nie za bardzo wiadomo... Tak ukryty siedział, że nasi cztery razy tamtędy łazili i go nie zobaczyli. W ogóle niezły jest – dwa razy to całkiem go zgubili i już myśleli, że będzie chryja, ale potem na szczęście wylazł z powrotem na stację i sam się znalazł.

Wasilewski z niedowierzaniem pokręcił głową. Właściwie od dłuższego czasu głównie kręcił głową, obracając w lewej dłoni ołówek, którym chciałby wreszcie napisać raport podsumowujący zakończoną spektakularnym sukcesem akcję. Sukcesem osiągniętym głównie dzięki jego, Wasilewskiego, czujności, przenikliwości i sprytowi. Po prostu kilka skrzących się błyskotliwymi przykładami znajomości wojskowego rzemiosła zdań. Aż w końcu doznał małego olśnienia i zrozumiał, że logiką tego dziwnego marszu jest brak logiki. Dojście do tego wniosku zajęło mu dwa dni.

– Poszedł na południe, bo bał się posterunków w Centrum i na Świętokrzyskiej. No i oczywiście u nas, panie poruczniku – zameldował wreszcie swojemu dowódcy z delikatną nutką dumy w głosie. – Wydaje mi się, że on gra na czas, czeka na coś, może na swój kontakt, co go przeprowadzi. Tylko jeszcze nie wiemy dokąd. Ale się dowiemy. Na razie kręci się po okolicy. A tamtejsze tunele zna lepiej, niż nam się

wydaje...

– Wam się wydaje, że nam się wydaje? – podsumował z ironicznym uśmiechem porucznik.

– Zatem wydaje się, panie majorze, że on próbuje wyjść na powierzchnię i tam...

– To na co, kurwa, czekacie?! – Major nie lubił czekać i zdecydowanie nie tolerował u podwładnych „wydawania się”, a porucznika po prostu osobiście nie lubił. – Znacnie rozkazy dowództwa: zatrzymać i przyprowadzić! Zanim wreszcie nam spierdoli. Wtedy co, będziecie mu na do widzenia chusteczką machać?! Kończcie to swoje ubeckie śledztwo i dawać mi tu gnoja!

Prostota tego polecenia była jak balsam na zmęczone chaosem decyzyjnym ostatnich dni uszy kaprała. Wykonał je chętnie i nawet z odrobiną własnej inicjatywy.

– Mamy naszego zdrajcę! – meldował następnego dnia. – Prowadzimy na przesłuchanie. Tylko chwilę zajmie, zanim znowu będzie mógł mówić...

– Co żeście mu, kurwa zrobili?

– Opór stawiał, panie poruczniku!

– Czynny czy bierny?

– No, czynny raczej. Zadźgał jednego z patrolu, co go zatrzymywał...

– Na śmierć zadźgał?

– No, na śmierć!

– To skurwysyn! No to dobrzeście zrobili. Gdzie był?

– Za Wilanowską, przeszedł już do tunelu w stronę Służewa. W ostatniej chwili żeśmy go dopadli, bo tam dalej nie ma naszej obsady. Radom tylko, a z nimi to nigdy nie wiadomo...

– Dobra, pochwała będzie...

Wasilewski dumnie wypiął pierś i stuknął obcasami.

– Nie was będą chwalić, idioto! – porucznik popatrzył na wyprężonego żołnierza z mieszaniną politowania i rozbawienia. – Idę do majora zaraportować... Gdzie teraz są? – zapytał po chwili.

– Lada chwila powinni tu być. Doprowadzą bezpośrednio do pana Prezydenta, według rozkazu.

– Dooobrze... – Stojąc już w drzwiach, odwrócił się na pięcie. – A jak nasze wykształciuchy?

– Wszystko, panie poruczniku, załatwione. Według rozkazu.

– Czy wyście, Wasilewski, do cna ochujali? Dostaliście w tym temacie jakieś rozkazy?

– Ależ skąd, panie poruczniku. Żadnych rozkazów w tym temacie nie dostawałem. I w ogóle, to nie wiem, o czym pan porucznik mówi. W tym temacie.

– I tego się, Wasilewski, trzymajcie!

– Tak jest, tego się będę trzymał!

– Aha! A kiedy dokładnie?

– Wczoraj koło południa. A co: kiedy dokładnie, panie poruczniku?

– Wy to, kurwa, bezczelna małpa jesteście, Wasilewski. Tak przełożonego przedrzeźniać...

– Liczę na awans, panie poruczniku!

– To liczcie, a jak do dziesięciu doliczycie, to ten chlew tutaj posprzątajcie! Dziś już raczej nie wracam. Ale jutro to biurko ma błyszczeć! Za powierzony wam sprzęt odpowiadacie głową, żołnierzu.

Wasilewskiego strasznie swędział język, ale przezornie odczekał dobre pół minuty.

– Ku chwale naszej podłużnej ojczyzny, ćwoku pierdolony! I żebyś wiedział, że się tego biurka trzymał będę! – rzucił w stronę zamkniętych drzwi. – Wolę się jego trzymać, niż kałacha na górze, z jakąś szarą gnidą wgryzającą mi się w dupę... – dodał, zapalając zaoszczędzonego na specjalną okazję papierosa i wyciągając nogi na niemiłosiernie zagraconym blacie. – No, są oczywiście tacy, co to lubią, jak ci stalkerzy, co ostatnio przynieśli do metra kilka kompletów zupełnie sprawnych radiostacji. Skąd to, cholerne gnoje, wytrzasnęli? „Adrenaline addicted” dziergają sobie na rękach. Uzależnieni. – Splunął z obrzydzeniem na surowy beton podłogi. – Ja bym w życiu nie chciał. Ciekawe, swoją drogą, czy takie dziergane skrzydełko lepiej mutantom smakuje?

Wyjął z ust papierosa, przekręcił go kilka razy w palcach, przyglądając mu się podejrzliwie.

– Bo to tu źle? – zapytał sam siebie. – Nawet jeżeli czasem trzeba się z tego miłego ciepłka ruszyć na jakąś robótkę w metrze... Cóż, nie można mieć wszystkiego – westchnął i bujając się na rozchybotanym krześle, wciągnął w płuca siny, śmierdzący grzybowym suszem dym.

Rozdział 5

– Witamy w naszych skromnych progach człowieka światowego, bywałego, który wiele przeżył i wiele widział. Kto wie, może nawet zbyt wiele? Bo może tam, za tą, że tak powiem, zagranicą, napatrzył się na złe wzorce, dał się omamić i skusić, i zasmakował, o zgrozo, owocu zdrady... Witamy naszego niewiernego Tomasza!

Patrzę na niego jednym okiem, lewym. Na prawe prawie nie widzę, bo jeden z tych skurwieli, którzy mnie dorwali w tunelu za Wilanowską, chyba ich dowódca, był leworęczny.

Z bliska Prezydent wygląda na starszego, niż wydał mi się wtedy, na naradzie, kiedy to wszystko się zaczęło. Ma zmęczoną, porytą zmarszczkami twarz, nie panuje nad drgającą nerwowo powieką. Ale nawet w takiej sytuacji, kiedy ma nade mną całkowitą władzę i nie musi nikogo grać ani niczego udawać, najwyraźniej nie potrafi się powstrzymać. Cóż, przyzwyczajenie to podobno druga natura. Najwyraźniej.

– Panie Prezydencie! – Dowódca patrolu pręży się oficjalnie.

– Dobra, spocznij i odmaszerować. Kapitanie... – zwraca się do jednego ze stojących za moimi plecami gwardzistów. – Posadźcie gościa...

Ciężka dłoń spada na moje ramię i sadza mnie na podstawionym krześle. Potem kilkoma sprawnymi ruchami przykuwa mi ręce do stalowych poręczy. Prezydent nie patrzy nawet w moją stronę, spacerując po gabinecie zajęty własnymi myślami. Wygląda, jakby na chwilę zapomniał o mojej obecności. Potem nagle zatrzymuje się za biurkiem, przed którym mnie posadzono, opiera obie ręce o blat i wbija we mnie srogie spojrzenie.

– Kapitan zostaje, reszta won! – rzuca, nie odrywając ode mnie oczu.

Gwardziści błyskawicznie wykonują polecenie. Po kilku sekundach słyszę za plecami delikatne skrzypnięcie ciężkich, obitych brązowym skajem drzwi. Twarz Prezydenta zmienia się nagle, pojawia się na niej wyraz dobrotliwego zafrasowania.

– No, a to morderstwo, po co to panu było? Takie coś sobie na sumienie brać... – mówi zatroskanym głosem.

– Będzie się pan bawił w dobrego i złego policjanta sam? – pytam. – Zazwyczaj robi się to we dwóch...

– Humorek dopisuje, to dobrze! A może się troszkę razem pobawimy? Co, Wiesiu, pobawimy się z panem? – rzuca do stojącego tuż obok mnie wielkoluda.

– Życzę powodzenia – wtrącam cierpko. – Pańscy ludzie już sporo wysiłku włożyli w to, żeby mnie kompleksowo znieczulić.

– Oj tam, oj tam! To nam akurat wcale nie przeszkadza – uśmiecha się szeroko. – Poza tym my umiemy tak, żebyś jednak poczuł. Oj, jak bardzo poczuł... Prawda, Wiesiu?

Kątem oka widzę jak szczerbaty, złośliwy uśmiech rozjaśnia brzydką twarz gwardzisty. Ze złowrogim chrzęstem zaciska wielkie pięści.

– Ale, dość o tym! – Prezydent równie nagle, jak poprzednio, zmienia ton. – Nie będziemy się szarpać jak jakieś chamy, my jesteśmy przecież ludzie kulturalni. Prawda?

Patrzę na niego i nie do końca rozumiem sytuację.

– Podziwiam pańskie zdolności aktorskie, naprawdę, ale proszę mi powiedzieć: czy jestem aż tak ważny? Tak, że musi pan rozmawiać ze mną osobiście? Nie łatwiej było skończyć sprawę tam, w tunelu?

– Kokieteria, skarbenku, czysta kokieteria z twojej strony! Ale powiem ci prawdę, skoro tak ładnie prosisz: w ogóle nie jesteś ważny. Jak bardzo nie jesteś, to stanie się dla ciebie całkiem jasne zaraz po zakończeniu tej rozmowy. Ale na razie: *enjoy*, jak mawiali Anglicy! Przy okazji, jak pan obstawiasz – są jeszcze na świecie jacyś Anglicy? Sporo moich znajomych do Anglii wyjechało. Znaczą wtedy jeszcze, zanim się to wszystko tak dokumentnie porypało.

Moich też, ale chyba nie chcę z nim o tym rozmawiać. Swoją drogą, mieli tam niezłe metro, duże szanse przeżycia... Rozglądam się po ciemnym bunkrze. Brzęcząca monotonnie świetlówka odkrywa przed moim wzrokiem tylko niewielki fragment pomieszczenia: biurko, nad którym sinieje brudny gipsowy orzeł – mniejsza kopia tego z sali Rady, moje krzesło i dwa metalowe łóżka stojące za obciążonym poplamioną materią parawanem. Reszta sali tonie w chybotliwym zielonkawym mroku. Co to za miejsce? Jego prywatny gabinet?

– Porozglądał się? – pyta dobrotliwe. Odwracam głowę w jego stronę. – To opowiedz mi teraz wszystko, po kolei, jak na spowiedzi. Dla odmiany zacznijmy od momentu, kiedy wróciłeś do nas, na ojczyzny łono. Tylko słabą pamięcią mi się tu nie zasłaniać, to dopiero co przecież było! Z kim, o czym, po co...

– Z nikim, o niczym, po nic – mówię obojętnie. – Z nikim się nie spotkałem.

– No, ale prosiłem przecież, żeby jak na spowiedzi – upomina mnie łagodnie. – Przecież ja wszystko wiem: gdzie byłeś, z kim rozmawiałeś...

– Z nikim nie rozmawiałem – przerywam mu. – Zresztą jak wszystko wiesz, to również to...

– Oj, kłamczuszek... – patrzy na mnie jak obrażona primadonna. – Z kimś się tam jednak rozmawiało, ale to nic, to już nie jest problem. To już jest załatwione...

W żołądku czuję nagle ukłucie, ale wzruszam tylko ramionami.

– No widzisz pan? – patrzy na mnie z obleśnym uśmiechem. – Matkę oszukasz, ojca oszukasz, ale mnie nie oszukasz! Mówią, że życia też nie, ale ja uważam, że życie to jeszcze tak, śmierci za to na pewno nie. A o swojego przyjaciela Rektora już się pan nie martw, zresztą to nie była zła śmierć...

Patrzę na niego uważnie. Albo jest bardzo dobrym aktorem, albo to wcale nie jest błąd.

– Zginął śmiercią górnik – śpieszy z wyjaśnieniem, widząc moje spojrzenie. – A jak umiera górnik? Na zawał. Zawał chodnika oczywiście. – Śmieją się z Wiesiem obleśnie. – Niezła, szybka śmierć – konkluduje. – Szedł tu do mnie na pilną konsultację akurat. No i jeszcze kilka kul w głowę, tak na wszelki

wypadek, dla pewności. To taka moja mała odrobina luksusu w tych trudnych czasach – pewność. No, tak mi doniesiono przynajmniej. A ja doniesieniom z tego źródła to akurat wierzę. Zresztą nie mam wyjścia. W coś człowiek musi przecież wierzyć, prawda? To tutaj przynajmniej mamy sytuację czystą.

– Rektor nie jest moim przyjacielem.

– Był. Był – czas przeszły, kochanieńki. Czas przeszły. Ale ten temat możemy zostawić. Nieaktualny już. W ogólności to się wszystko pokrywa z tym, co wiem. To, o czym mu tam mówiłeś, mam na myśli. Widzisz? Jestem z tobą szczerą. Ale szczerości też oczekuję w zamian. Domyślasz się, o co grasz?

Domyślam się, skurwielu, ale tym bardziej ci nie wierzę, pierdolony sadysto! Usiadł za biurkiem, patrzy na mnie, mocno mrużąc to latające oko. Musiał to długo trenować, ale – trzeba przyznać – całkiem skutecznie pomaga mu to ukryć tik.

– Przecież my mamy jeden cel – zagaja po chwili pojednawczym tonem. – O dobro metra nam chodzi. Przecież dlatego ciebie, człowieku, Rektor wysłał na tę wycieczkę, dlatego ja w ogóle całą tę wycieczkę zorganizowałem. Żeby żyło się lepiej! Nam wszystkim. To oczywista oczywistość!

– Chyba inaczej rozumiemy wspólne dobro.

– Nie znasz pan moich racji! – zrywa się z krzesła. – Nie oskarżaj, dopóki ich nie poznasz!

– Zaraz zaraz – mdli mnie ten pokaz słabego aktorstwa. – To ja już nie jestem zdrajcą i mordercą?

– Nie mieszajmy polityki z piarem! Mnie interesują fakty, nie ich wersja dla mas! A mordercą to pan jesteś, tego w tunelu wczoraj było nie ruszać...

Znowu tylko wzruszam ramionami.

– Nic nie rozumiesz, nic nie wiesz, kretynie! – Ten gwałtowny wybuch wściekłości z pewnością jest naturalny. – Nie wiesz, kim oni są i co mogą! – krzyczy, a w jego głosie pobrzmiewa nuta fascynacji i szczerą podziw. – Nie masz pojęcia, co my możemy na tym zyskać, co możemy dla siebie ugrać! Bez nich jesteśmy już martwi. Wszyscy. Nie jesteś przecież idiotą – rozejrzyj się dookoła siebie! Widzisz tu dla nas jakieś perspektywy?! Widzisz tu jakąś przyszłość? Różowa to ona będzie, jak poziom promieniowania tak urośnie, że wszystko zacznie się świecić! Jeżeli zacznie na różowo świecić akurat, bo znając naszego pecha, to raczej wszystko rozświetli łuna w jakimś gównianym kolorze...

Dyszy ciężko, jakby tych kilka szczerých zdań potwornie go zmęczyło. Patrzę na niego z obrzydzeniem, źle toleruję objawy tak gwałtownej cyklofrenii. Czy u polityków to zawsze tak wygląda?

– Jesteśmy, być może, ostatnimi cholernymi ludźmi na tej planecie. A jeżeli nas nawet zostało więcej, to i tak już nigdy nie odbudujemy cywilizacji w takim kształcie, jaki miała kiedyś. Sami na pewno nie. Dlatego każda okazja, powtarzam – każda okazja, która może nam w tym mimo wszystko pomóc, jest tak ważna. Grzechem niewybaczalnym, zaniedbaniem, za które będziemy osobiście, po wsze czasy odpowiedzialni, byłoby przepuścić taką szansę! – nakręca się znowu. – Patrz pan, do cholery! – zrywa się z krzesła, wywracając je z hukiem.

Gwardzista podnosi je i ustawia na miejscu bez słowa, jakby robił to od zawsze. Z wystudiowanym starannie błyskiem patriotycznego uniesienia w oku Prezydent podchodzi do tonącej w mroku ściany po mojej prawej stronie.

– Patrz pan! – powtarza rozkazującym tonem.

– Gówno widzę... – mruczę, z trudem starając się obrócić obolały kark.

– No! – Prezydent kiwa rozkazująco na strażnika.

Ten bez słowa odpina wrzynające mi się w rękę kajdanki, a potem przekręca jakiś włącznik i zielonkawy stroboskop zepsutej świetlówki odkrywa miejsce, w które mam patrzeć.

– Widzisz pan? To jest nasza kultura, nasze dziedzictwo. Wszystko, co nam zostało. Nasza historia i pamięć...

Patrzę na przygnębiającą kolekcję tanich, byle jakich reprodukcji i słabych kopii, które kiedyś musiały „zdobić” korytarze Ratusza. Te zdecydowanie najmniej reprezentacyjne korytarze.

– To jest niezłe – mruczę, wskazując głową na brudne, stare lustro bez ram, przecięte na pół wyszczerbioną blizną pęknięcia. Pod lustrem w drucianym trójnogu tkwi emaliowana, poobijana miska.

– Co? – zainteresował się szczerze i próbuje trafić za moim wzrokiem. – A, to... – warczy w końcu oburzony. – Wolne żarty, tu sprzątaczką się myje!

– Pęknięte lustro sprzątaczką... To chyba najlepsze, co pan ma w tych swoich zbiorach! – uśmiecham się rozchwianymi zębami. – To najlepszy symbol tej pańskiej sztuki.

W odpowiedzi na jego wściekłe spojrzenie strażnik szarpie mnie brutalnie do tyłu i wprawnym ruchem z powrotem przykuwa do krzesła.

– Taaa... – Prezydent buja się na piętach. – Ja bym się na pańskim miejscu hamował. Sarkazm nie pomaga.

– Trochę lodu by pomogło, nie widzę na oko.

– A, to nie jest duży problem. Ono już za niedługo nie będzie potrzebne. W ogóle...

– To po co było mnie tu w ogóle ciągnąć? – ponawiam pytanie. – Przecież w tym towarzystwie ja wiem najmniej.

– Ale coś tam jednak wiesz... A ja potrzebuję się jeszcze jednej rzeczy dowiedzieć... Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie – uspokaja się wreszcie. – Czego oni od ciebie chcieli?

– Sam chciałbym wiedzieć...

– Przestać! Nie kłamać mi! – Znow miota się jak wściekły, zrobił się bordowy i cały się opluł. – Mówić mi natychmiast!

– Kurwa, nie wiem, człowieku, nie mam cholernego pojęcia, opanuj się! – cedzę przez zęby, nie kryjąc obrzydzenia. – Nie mam pojęcia, czego oni ode mnie chcieli. Nie odezwali się do mnie ani razu, o nic nie pytali, o niczym nie informowali. Torturowali mnie, jak ty i ta twoja banda zboków. Ten skurwysyn Franz ci nie doniósł czy do niego akurat też niestety nie masz tej odrobiny zaufania?

Prezydent daje gwardziście dyskretny znak. Dostaję w sam środek obitego oka. Nawet nie pięścią, wierzchem dłoni. Ale ze znanstwem – ból jest taki, że prawie robię w spodnie.

– Ja się pytam, ty odpowiadasz – mówi zimno. – Poczekaj, Wiesiu.

Ciężka pięść zastyga w pół drogi.

– Czego od ciebie chcieli i dlaczego cię wypuścili?

– Zapomniałeś jeszcze zapytać, jak mnie tu podwieźli.

Choć prawdziwe gwiazdy od wielu, wielu lat widziałem stosunkowo niedawno, w tym upiornym

szpitalu, w którym zginął Piotr, te są chyba nawet ładniejsze. A z pewnością bliższe i wyraźniejsze. I tym razem to ja jestem centrum wszechświata.

– Nie chodzi mi o to, żeby cię zatłuc – mówi wolno i wyraźnie. – Choć, nie ukrywam, Wiesiowi sprawiłoby to dużą przyjemność. Nie, my mamy dla ciebie przygotowane coś znacznie ciekawszego. Żebyś to w pełni docenił, nie będziemy cię już nawet więcej bić. Im w lepszej formie będziesz, tym bardziej docenisz naszą niespodziankę. Ale możesz sobie jeszcze pomóc: możesz dostać po prostu kulkę w łeb. Szybciej i łatwiej już nie można. Masz też moją osobistą obietnicę, że nie będziesz się spodziewał kiedy. Żebyś się nie denerwował, nie martwił niepotrzebnie. Widzisz? Naprawdę nie jesteśmy okrutni. Ale chcę od ciebie coś w zamian. Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego właśnie ty. Czego od ciebie chcieli, co im powiedziałaś i co ci obiecali. A potem dali ci tu wrócić. Tak szczerze i ze szczegółami.

Przysiada na krawędzi biurka, kilka kroków ode mnie i przygląda mi się badawczo. Żeby spojrzeć mu w oczy, muszę podnieść głowę.

– Z tym niewiernym Tomaszem to niezła próba, ale to, niestety, zupełnie o co innego chodzi...

– Co? – robi głupawą minę.

– On nie był zdrajcą, to trochę mylące określenie. Pewnie to вина kiepskiego tłumaczenia, ale tak się jakoś przyjęło.

– A o co niby chodzi?

Nie sądziłem, że tak łatwo da się podpuścić.

– Nieufny był. W kiepskie bajki nie wierzył.

– Co ty, kurwa, człowieku, pierdolisz?

– Myślałem, że jak ludzie kulturalni porozmawiamy, nie chamy. O kulturze, o sztuce, o kontekstach...

– Zabrać go! – warczy w stronę gwardzisty. – Na trzy dni. I luz.

Rozdział 6

W tamtym czasie niepokój o los ekspedycji ratunkowej rósł gwałtownie, ale cierpliwość Warszawy wystawiona została na wielką próbę. Niemal miesiąc minął, zanim wreszcie wyjaśniła się sprawa, a wyjaśnienie to nie było niestety tym, jakie ludzie chcieliby usłyszeć. Specjalni posłańcy Ratusza obiegli wszystkie stacje z informacją: Warszawa zaatakowana, wojna! Naczelnicy stacji zawezwani zostali pilnie do Ratusza na naradę. Potem wrócili i przekazali swoim stacjom, jak było z tym atakiem, którego wróg dopuścił się na naszą pokojową misję ratunkową. A otóż było tak, że cały oddział został wciągnięty w pułapkę i wybity albo wzięty do niewoli. Wiadomość o całym tym zdarzeniu pochodziła od jedynego uratowanego uczestnika wyprawy. Zdołał on po kilku tygodniach niewoli wyrwać się z niej i cudem jakimś wrócić do domu, tak jednak został przez okropności zasadzki i niewoli wycieńczony, że umarł zaraz po przybyciu do metra, zanim go kto zdążył starannie przesłuchać. Coś tam jednak powiedzieć musiał, bo szybko pojawiły się plotki. A najważniejsza z nich to ta, że w wyprawie brał udział zdrajca. Oficjalnie nazwiska ani pochodzenia tego zdrajcy nie podano, ale mówiło się, że to nawet on nadał tamten sygnał radiowy, żeby sprowokować wyprawę ratunkową, musiał to być zatem któryś z ludzi z Politechniki. Co do udziału Politechniki w tym wydarzeniu, to wszystko opiera się tutaj na pomówieniach i domysłach, bowiem ściśle utajnione zeznania uciekiniera nigdy na światło peronów nie wypłynęły, pewności nawet nie mamy, czy w ogóle zostały spisane. Wiemy wprawdzie, że historykowi nie powinno się plotek przytaczać, ale to one w tamtym czasie były ważnym elementem kształtowania świadomości zbiorowej, często wręcz jedynym, dlatego je tu przywołujemy. Już zresztą wcześniej pojawiały się różne plotki, chociaż nie udało się nigdy ustalić, skąd były one rozpowszechniane. Popularny był na przykład pogląd, że j.m. Rektor Politechniki, który w kilka dni potem miał nieszczęśliwy wypadek i zginął w katastrofie jednego z mniejszych tuneli, którym udawał się na spotkanie w Ratuszu, też miał w tym swój udział. I że zarząd komisaryczny na stacji Politechnika, któren wprowadzono zaraz po tym wypadku, przydarzył się w samą porę, przez co zapobiegł szczęśliwie planowanemu tam zamachowi stanu. „Dyktatura białych fartuchów”, tak zamach ten powszechnie nazywano. Nadmienić trzeba, że zamach ten właściwie wcale się nie odbył, bowiem został udaremniony, ale mówiono o nim powszechnie jako o czymś pewnym, jakby się to całkiem realnie odbyło, i jako taki wszedł do annałów Historii. A miał on być zamachem na wszystkie zdobycze demokracji, których się Warszawa doczekała pod szczęśliwymi rządami Ratusza. W ogóle akceptacja dla wojny była całkowicie pospolita, co było głównie zasługą olbrzymiego oburzenia zdradzieckim i zupełnie niesprovokowanym atakiem na pokojową delegację naszego Państwa.

W powszechnym odbiorze, szczególnie w naszej sytuacji, każda społeczność międzynarodowa powinna inną społeczność wspierać, ku obopólnemu dobru i przywróceniu konstytucji człowieka we współczesnym świecie. Niezrozumiałe zatem było postępowanie wroga, który bez ostrzeżenia, wystawienia racji i choćby tylko próby nawiązania kontaktu od razu uciekł się do zbrojnego wyniszczenia naszych sił, a przecież były to siły pokojowe. Jak wielokrotnie wówczas podkreślał p. Prezydent, warunkiem dalszego pokojowego istnienia naszego Narodu, w danych nam od Boga i Historii granicach i warunkach, jest jak najbardziej zdecydowana i stanowcza odpowiedź zbrojna zadana wrogowi. Pokoju i wyznawanych przez nasz Naród wartości oraz ustroju demokratycznego p. Prezydent przysiągł bronić do ostatniej kropli krwi naszego dzielnego żołnierza.

Od razu po ogłoszeniu napaści ruszyły przygotowania do pierwszej i największej wojny Warszawy. Zawiązała się zaraz Nowa Koalicja, która objęła Ratusz, Świętokrzyską, N. Watykan i Wawrzyszew. Zarząd komisaryczny stacji Politechnika, po tragicznym wypadku j.m. Rektora, też udostępnił wszystkie środki techniczne, wyposażenie i obsługę warsztatów na potrzeby N. Koalicji. Po krótkiej naradzie w Ratuszu Pana Prezydenta z kierownictwem Koalicji Radom, którą wezwano na bardzo pilne konsultacje, oni też przystąpili do N. Koalicji. Niestety, Naczelnik Radomia miała nieszczęśliwy wypadek podczas rozmów, zasłabła i mimo wytężonej reanimacji zmarła, ale pozostali pp. Naczelnicy zgodnie ustalili, że Radom poprze N. Koalicję wszystkimi możliwymi siłami technicznymi, a w szczególności rekrutem w cyfrze siedemset sześćdziesiąt osób, sprzętem wojskowym w cyfrze dwanaście karabinków AK-47 i tysiąc siedemset sztuk amunicji do tych i drobniejszym sprzętem wojskowym, i wyposażeniem logistycznym (kuchni polowych i stacji uzdatniania wody cztery, i taborowego sprzętu ciężkiego cztery wozy). Wawrzyszew wystawił rekruta w cyfrze półtora tysiąca i karabinków i innej broni palnej w cyfrze czterdzieści. N. Watykan wystawił poczet chorągwiany i usługę kapelanów polowych w cyfrze czterech. Ponadto ustanowił co dwa tygodnie mszę dwunastogodzinną za powodzenie Warszawy i nieodpłatną posługę kapłańską na czas zawieruchy. Główne siły N. Koalicji wystawił Ratusz, tj. żołnierza kompletnie wyposażonego czterysta sześćdziesiąt i zaopatrzenie dla całości sił N. Koalicji na okres dwóch tygodni. Siły wewnętrzne Świętokrzyskiej dały komunikację warszawską na czas wojny (udrożnienie szlaków komunikacyjnych, posterunki wysunięte na północy i na południu, poczta kurierska i ochrona posterunków opuszczonych przez siły uczestników N. Koalicji) i zapewnienie logistyki na odc. do dworca Warszawa Wschodnia.

Wyjście w pole zaplanowane było na kilka dni po ogłoszeniu wojny i także nastąpiło. Siły całe, pod osobistą komendą p. Prezydenta, który na tę okoliczność został ustanowiony Głównym Marszałkiem Państwa, oraz p. Naczelnika Wawrzyszewa, przedostały się pod Wisłą do posterunku Stadion Narodowy, skąd Świętokrzyska zabezpieczyła im przejście na Posterunek Wysunięty Wschodnia, wycofując się szybko na swoje stałe pozycje. Na razie obyło się bez kontaktu z wrogiem, co wzmocniło ducha Sił Zbrojnych, trochę nadwyrężonego w tunelu pod rzeką. Stamtąd ruszyli na południowy wschód, przez miejsca, które kiedyś były Warszawą.

Dr Vien Duc Huynh

tłum. mgr Karol Huu Józwiak

Rozdział 7

Zenon Wójcik, przez kolegów nazywany krótko Zetem, miał hobby. Niekłopotliwe, ciche i nierzucające się w oczy. Ale wyjątkowe, w co szczerze i żarliwie wierzył. Po każdym upokorzeniu, jakiego w życiu doznał, a przyznać trzeba, że doznawał upokorzeń często, właściwie całe jego życie było niekończącym się ich pasmem, tak że okazji do wprawiania się w swoim zajęciu właściwie nigdy mu nie brakowało, wizualizował sobie alternatywną wersję tych przykrych wydarzeń, w których miał nieszczęście uczestniczyć. Dzięki intensywnemu treningowi doszedł do takiej wprawy, że przykry moment klęski zacierał mu się w pamięci błyskawicznie, doskonale za to, w żywych barwach i wyraźnych konturach, jawiły mu się przed oczyma wydarzenia, które z pewną dozą prawdopodobieństwa wydarzyć by się mogły. A nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że nawet się wydarzały. To nic, że tylko w głowie Zenona. Wyobrażał je sobie ze wszystkimi, nadającymi sytuacji kontekst niekwestionowanego realizmu, szczegółami. Nagły zwrot akcji, coś, co odwracało permanentnie dla niego niekorzystne okoliczności na jego korzyść, i wtedy on – opromieniony glorią bohaterstwa mieszał swoich dręczycieli z błotem, zadawał im ból fizyczny czy choćby tylko psychiczny, ale za to z gatunku tych nie do zniesienia, dręczył najpierw, w przeciągającym się z każdym marzeniem coraz bardziej wyrafinowanym spektaklu okrucieństwa, by potem, z obojętną wyższością, zadać ostateczny cios szyderstwa i bezlitosnej, śmiertelnej, często dosłownie, ironii. Zenon zauważył, że fantazje te z każdym rokiem jego życia stają się coraz bardziej rozbudowane i intensywne. Łapał się na tym, że długie minuty milczy z zaciśniętymi zębami, a żyła na skroni pulsuje mu mocno, coraz mocniej, niepokojąco przypominając o niebezpieczeństwie wylewu. Intensywność wizualizacji bolała brudnymi paznokciami bezwiednie wbijanymi w dłonie, przypominała o sobie jeszcze długo potem smakiem szkliska ścieranego z tych nędznych kikutów kilku zębów, które mu jeszcze zostały. Bez sensu – myślał wtedy, rozcierając obolałe ręce i delikatnie smakując resztki starej plomby. – Gryźć się tym nie da, a wszystko między nie i tak włązi. Ciąmkam jak jakiś pieprzony staruszek. To przez tego cholernego dentystę z bożej łaski, przez tego konowała pierdolonego. Kurwa, jak mnie wtedy bolało... Dłubał mi w tym jak w gównie przez cztery godziny. Jakbym poszedł do niego, pierdolnął go w ten jego głupi ryj, wyrwał mu to wiertło z ręki i wsadził mu w oko albo w dupę bym mu je wsadził...

– Zet! Zet, idioto, do ciebie mówię!

Zenon zamrugał załamionymi oczami i potarł o siebie bolące dłonie.

– Czego? – mruknął niewyraźnie.

– Otwórz wreszcie tę jebaną bramę! Kurwa, nawet tego nie ogarniasz?!

Rozdział 8

Facet po drugiej stronie ciężkiej żelaznej kraty szamoce się z nią dobrych kilka minut, zanim wreszcie udaje mu się ją otworzyć. Jego twarz wykrzywia dziwny grymas. Nie odzywa się, tylko kiwnięciem głowy wskazuje mi kierunek. Za pierwszą kratą jest jeszcze druga, potem połączony z tą niby-śluzą wąski okratowany tunel, prowadzący w ciemność. Hen, daleko migoce wątłe światełko ogniska. Patrol, przywłókłszy mnie tu z Ratusza płataniną korytarzy, istnienia których nawet się nie domyślałem, wpycha mnie w ciasną kiszkę stalowych żeber i, bez słowa, skwapliwie opuszcza to dziwne miejsce. Domyślałem się, że jestem w tunelu średnicowym – dawnej trasie kolei podmiejskiej prowadzącej pod ścisłym centrum Warszawy. Krzyżowała się ona z metrem na wysokości stacji Centrum, ale od dawna uważana była za miejsce całkowicie niedostępne. Kto zapuszczał się choćby w jej pobliże, znikał bez śladu – od tej reguły nie było żadnych wyjątków. Wystarczyło zresztą wystawić głowę na powierzchnię w okolicy zrujnowanej stacji Centrum, by zorientować się, że miejsce to jest sercem matecznika mutantów. Jeżeli po kilku choćby sekundach udało się taką ciekawską głowę w całości schować z powrotem do tunelu, jej posiadacz mógł mówić o olbrzymim szczęściu.

No to zobaczę to miejsce na własne oczy... Właściwie to na oko, bo opuchlizna z prawego wciąż jeszcze nie zesza. Ten od kraty poszturchuje mnie jakimś zaostrozonym prętym. Ruszam. Przede mną w wąskim przesmyku kuli się dwóch, którzy przyszli tu z tym nazywanym Zetem. Olbrzymy, każdy ledwo przeciska się pomiędzy ciasno ustawionymi prętami, a taszcą jeszcze ze sobą syczące cicho miotacze ognia. Zet uzbrojony jest chyba tylko w stalowy dziur, ale w tej ciasnocie wystarczyłoby mu to całkowicie. Ręce rozkuli mi wprawdzie jeszcze przed wejściem tutaj, ale na razie nie mam nawet co myśleć o ucieczce. Nie znam tego miejsca, nie mam pojęcia, co mogłoby mnie tu spotkać. Środki bezpieczeństwa: stalowe kraty i miotacze ognia, nie wyglądają na czysto psychologiczną zagrywkę. I jak się domyślałem, to wcale nie ja jestem tu największym zagrożeniem dla strażników.

Póki co rozglądam się zatem dyskretnie. Widok, jak widok – ciemno. Tylko stalowe pręty tunelu połyskują nieśmiało odbitym blaskiem odległego ogniska. Za to smród panuje tu nieprawdopodobny – zatyka płuca, wyciska łyzy z oczu. Nie umiem zidentyfikować jego źródła. Sam tunel jest całkiem przestronny, dlaczego więc gniewamy się w tej ciasnej rurze? Po kilkuset metrach zaczynam się domyślać przyczyny: od czasu do czasu czuję na twarzy delikatny powiew chłodu, słyszę charakterystyczny szum powietrza przeciskającego się wąskim kominem ku powierzchni. Tunel średnicowy leży płytko pod powierzchnią – musiał zostać podziurawiony w trakcie bombardowania. Prawdopodobnie do środka przenikają mutanty i bez zabezpieczenia nie dałoby się tędy chodzić. Jakby na potwierdzenie tej tezy

kątem oka dostrzegam blade cienie zastrzonego pyska, pojawiający się na suficie kilka metrów przed nami. Miotacze strażników rozbłyskają ostrzegawczo niebieskawymi płomieniami, które przez moment odbijają się w oku mutanta. Potwór znika równie nagle, jak się pojawił, bezszelestnie, niczym duch.

Po kilkunastu minutach i przejściu około kilometra docieramy wreszcie do jakiegoś posterunku. Solidna, zbudowana z szyn krata przegradza tunel. Czeka tu na mnie jedyny w swoim rodzaju komitet powitalny. Kilku strażników w sztywnych od brudu roboczych drelichach i funkcyjny ubrany w płaszcz, który miał chyba przypominać mundur. Na pagonach ma wyszyte dawno wyblakłe, ledwie już czytelne litery SW. Stoją przed sporym barakiem starannie obłożonym betonowymi podkładami kolejowymi, co czyni z niego solidny bunkier, wzmocniony dodatkowo czymś na kształt stalowej klatki. Budynek nie ma okien, tylko kilka niewielkich okopconych otworów w ścianie, a dostępu do środka bronią niewielkie, bardzo masywne stalowe drzwi.

Zet popycha mnie bliżej ogniska i przyjmuje groźną postawę, wyraźnie próbując dać mi do zrozumienia, żeby żadne głupoty nie przychodziły mi do głowy. Nie przychodzi, jestem zmęczony i otepiały, a pulsujący ból w całym ciele sprawia, że nie mogę się już doczekać. Kiedy mnie wreszcie zabijają, gdzieś zamkną czy co tam dla mnie zaplanowali. Chcę mieć już w końcu tylko święty spokój.

Funkcyjny przygląda mi się dłuższą chwilę, po czym uśmiecha się szeroko, nieprzyjemnie i krzyczy zabawnym, skrzekliwym głosem:

– Witamy w naszym susi base!

– W czym? – pytam odruchowo.

– W susi base, idioto. Głuchy jesteś? Powiec mu, Set, seby wieciał, słamas jeden!

Zet burczy coś niewyraźnie, nie rozumiem ani jednego słowa. Ważny zaśmiewa się hałaśliwie, słuchając jego bełkotu. Wskazuje na strażnika głową i mruga do mnie porozumiewawczo.

– A na ile gość do nas psyjechał? Jaki długi turnus? – pyta.

Zet spluwa tylko pod nogi, wyciera rękawem nos i flegmatycznie drapie się po wyłysiałej czaszce, usiłując zebrać myśli. Znowu mamroce niezrozumiale.

– Trzy dni! – nie wytrzymuje w końcu jeden z tych z miotaczami. – Trzy dni i luz!

– Tsy dni... – powtarza Ważny z namysłem. – Tsydniowy trup... To siudemecka niech bęcie! Ładna, wygodna, s widokiem! Sabrać go!

Dwóch strażników bierze mnie pod pachy i wlecze w głąb tunelu.

– A ty się, Set, ogarnij, jełopie! – słyszę za plecami. – Dogadać się s tobą w ogóle nie mosna!

Rozdział 9

Kilkadziesiąt metrów dalej strażnicy rzucają mnie bezceremonialnie na betonową posadzkę tunelu. Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, częstują się papierosami, potem szukają czegoś po kieszeniach, pewnie zapalek.

– Przepraszam – zagaduję nieśmiało. – Przepraszam!

W końcu odwracają na mnie zniecierpliwione spojrzenia.

– Zobacz, Heniu, gada! – mówi jeden z nich do swojego towarzysza. Tamten tylko wzrusza ramionami, zaciągając się głęboko cuchnącym dymem.

– Czego chcesz, trupie? – rzuca wreszcie.

– Co to za sushi bar? Gdzie jesteśmy? – pytam najuprzejmiej, jak potrafię.

– My? My to w pracy! Co nie, Jasiu?! – odpowiada Henio i obaj długo cieszą się ze swojego dowcipu.

– Jakie sushi? Powiedzcie mi, o co tu chodzi. Proszę!

– Zobacz, kolejna przestraszona, niewinna sierotka! – Jasio z wprawą nałogowego palacza wypluwa lepiący się do języka grzybowy susz. – No, sushi bar – tłumaczy znudzony. – Znaczą kiedyś wszyscy tak to nazywali, ale teraz to, kurwa, nikt już nawet nie wie, co to niby jest to sushi. Nie ma efektu, nie śmiesz. Tylko ten pojeb tak mówi, myśli, że to „sajebisty sart”.

– A co to znaczy?

– Że jesteś surową rybką, trupie. Na talerzyku w naszym barze. Chcesz wiedzieć więcej?

Nie, nie chcę. Milknę.

– No – mówi po dłuższej pauzie Henio. – Ale i tak się dowiesz! – Cieszą się znowu.

– Dobra, koniec pierdolenia! – decyduje Jasio. – Się zaraz ściemni...

Wciągają na twarze maski przeciwgazowe, łapią mnie znowu pod ręce i wloką w kierunku majaczącego w oddali bladego światła. Domyślam się, że to wylot tunelu. Smród nasila się, ale jest teraz jakiś inny, jakby bardziej znajomy, ludzki. Mijamy betonową ścianę i w nozdrza uderza mnie fala tak cuchnącego powietrza, że zwijam się wpół i jak kot wyrzuję białą papkę, którą wspaniałomyślnie nakarmili mnie po przesłuchaniu u Prezydenta. Pod nogami widzę, że to musi być stały punkt programu przyjmowanych tu gości. I wiem już, co to za smród: tak cuchną ludzkie ekskrementy. I stare, zepsute mięso.

Za przegrodą forsujemy jeszcze jedną kratę. Szyny i pręty zbrojeniowe ustawiono tu dużo gęściej. Są też jakieś takie... zniszczone – osmalone i poorane jakimś twardym i ostrym narzędziem. Po drugiej stronie zapory wzdłuż obu ścian tunelu ciągną się płytkie nisze, w których kiedyś na czas przejazdu

pociągu chowali się pracujący na torach robotnicy. Nie zwróciłbym na nie uwagi, ciągną się wzdłuż całego tunelu, gdyby nie wyróżniający je drobny szczegół – tutaj każda z nich zagrodzona jest solidną kratą. Zaniepokojony wpatruję się w nie, usiłując dojrzeć, co kryją ich ciemne wnętrza. Nagle w jednej z nisz coś gwałtownie się porusza i dwie drobne dłonie zaciskają się na żelazie kraty. Zaskoczenie jest tak silne, że podskakuję jak oparzony, ale Jasio i Wiesio nawet na moment nie zwalniają uścisku. Zatrzymujemy się wreszcie przed jedną z wnęk.

– Dobra będzie, Jasiu?

Zapytany zostawia mnie w rękach towarzysza, podchodzi do kraty i otwiera zardzewiałą kłódkę.

– Żeż kurwa! – odskakuje gwałtownie, a zmasakrowany, chyba ludzki korpus wali się na niego bezwładnie z ciemności. Ma ogryzioną twarz i krwawe kikuty w miejscu kończyn.

– Się pośpieszyły... – mamrocze pod nosem, ignorując spontaniczny wybuch złośliwej radości kolegi.

– Tu zostawim otwarte, a z tym chodź do tamtej, dalej – wskazuje głową kolejną kratę.

Po chwili stoimy przed moją celą.

– A numerka nad drzwiami nie ma? Czy to aby na pewno siódemka? – pytam.

– Oj tam, oj tam! – odpowiada machinalnie Henio. – Pierdolenie takie...

– Znaczy „sart” – uzupełnia Jasio. – Do pierwszej wolnej cię wsadzim. – Znowu rechoczą. W ogóle strasznie tu jakoś wesoło...

Wrzucają mnie do płytkiej niszy z takim impetem, że omal nie rozwalam sobie czaszki o ścianę. Wraz ze zgrzytem zamykanej kraty przychodzi refleksja, że niepotrzebnie zasłoniłem głowę rękoma. Cóż, taki odruch. A tak, czas minąłby szybciej.

– Słuchaj, trup! – Stają przede mną obaj w uroczystych pozach, będzie część oficjalna. – Masz trzy dni, nie? To trzy dni tu siedzisz i sobie rozmyślasz. O czym chcesz, całkowita wolność. I trzy noce. W nocy za dużo nie myśl. Jak on to mówi? Roskosuj się! Oj, kurwa – jest czym! I nie bój nic, rano przyjdziem i całe bydło przepędzim. Tam jest jeszcze jedna kratka na końcu tunelu. Nie musisz wyglądać, stąd nie widać. Tera zamknięta, ale na noc otworzmy. A trzeciego dnia – luz! Znaczy masz wolne, na noc cię nie zamknem. Niezły trik, nie? Takie jakby więzienie, ale na odwrót. Po prostu sushi bar!

Patrzą na mnie rozpromienieni, jakby właśnie oznajmili mi, że wygrałem główny los na loterii.

– No dobra, wszystko, Heniu?

– Wszystko, Jasiu, mowa jak malowanie!

– Podziękował! No, to kujmy, jak to się mówi, żelazo, póki nam młotka nie zapierdolili, nie?

– Znaczy w sensie: ruszmy dupy?

– No, trza tamtego wyluzować, turnus mu się kończy, nie?

Obłąkany, przerażony skowyt spod przeciwległej ściany podnosi mi włosy na całym ciele. Trzy dni.

Rozdział 10

Kiedy podchodzą do kraty po drugiej stronie tunelu, wycie milknie. Jasio w ciszy gmera przy zardzewiałym zamku, długo nie mogąc znaleźć właściwych kluczy. Wreszcie otwiera wrota na oścież i rechocząc z kolejnego słabego dowcipu, odchodzą obaj, z impetem zatrzaskując za sobą kolejne furty. W ciemnej niszy kuli się przerażony ludzki kształt. Po długiej chwili, kiedy cichną głosy strażników, blade dłonie zaciskają się kurczowo na kracie i zamykają ją ostrożnie, delikatnie, jak drzwi ukochanego domu. Jednak kiedy więzień puszcza kratę, ta z cichym skrzypnięciem uchyla się z powrotem. Mimo coraz bardziej rozpaczliwych prób nie udaje mu się jej niczym zablokować. Widzę, że miał sporo czasu na przemyślenia – wybiega na chwilę z bezpiecznej ciemności, pośpiesznie chwyta jakieś pręty, kawałki walających się wszędzie kości i znika w swoim schronieniu. Blady i obszarpany – nieszczęsny upiór. Majstruje potem długo przy kracie, ale z mizernym skutkiem. Coraz słabiej widzę jego chude blade dłonie, tunel powoli pogrąża się w mroku. Z daleka, od strony bramy dobiega chór stłumionych głosów – szelesty, postękiwania, zgrzyt czegoś twardego o metal. Kilka razy słychać odgłosy gwałtownej sprzeczki – krótkie warknięcie, potem przeraźliwy kwik karconego zwierzęcia. Zwierzęcia? Jest zimno, ale ciężkie krople potu spływają mi po plecach. Domyślam się, że jest nas tu więcej niż dwóch, widziałem przecież jeszcze jednego więźnia, ale poza odgłosami rozpaczliwej walki z otwartą kratą w tunelu panuje absolutna, śmiertelna cisza.

– Hej! – wołam szeptem na drugą stronę. Chrobotanie ustaje na moment, z ciemności błyskają ogromne, przerażone oczy. – Hej, człowieku! – powtarzam. Odpowiada mi niezrozumiały bełkot, potem znowu odgłosy gorączkowej pracy.

– Nie uda ci się tak – mówię. – Musisz wziąć...

Przerywa mi krótki, potrójny ryk syreny, szczęk ciężkiego łańcucha nad głową, potem łoskot przesuwanego metalu. Rząd czerwonych lamp rozświetla tunel upiorną łuną. Skurwiele, zadbali o każdy szczegół przedstawienia...

Z gardła „uwolnionego” wydobywa się głuchy skowyt, który po chwili przechodzi w cienki, przerażający pisk. Brama wejściowa zwalnia i zatrzymuje się z głuchym szczękiem. I wtedy słyszę ten dźwięk: miękki tupot dziesiątków łap. Radosne pomruki, wesołe pochrząkiwania i gardłowe gulgoty. Można by pomyśleć, że to gromadka wytęsknionych psów w radosnym podnieceniu śpieszy na spotkanie dawno niewidzianego pana.

Rozpływają się po tunelu jak fala powodzi. Zaglądają wszędzie, w każdą niszę, badają każde załamanie ściany. Zatrzymuje je dopiero solidna zaporą w głębi. Wtedy wracają. Biegają, skaczą, pełzną

na czterech czy ilu tam łapach. Nagie i pokryte sierścią. Czerwone w apokaliptycznie krwistym blasku wiszących pod sufitem lamp. W wyszczerzonych żądzą krwi pyskach opalizują fluorescencyjnym blaskiem rzędy rubinowych zębów.

Jedna z bestii przystaje przed moją celą. Jest jak monstrualnej wielkości buldog – krwiste korale śliny zwieszają się z jego porytych bliznami warg. Tylko oczy ma puste, rybie. Przez chwilę patrzy na mnie, potem łapą sprawdza kratę. Nie słyszę nic, poza pulsowaniem krwi w uszach. Czuję, jak przewierca mnie tym pustym, hipnotyzującym wzrokiem. A potem, bez ostrzeżenia, w ułamku sekundy, rzuca się z wściekłą furią na pręty kraty. Szarpie je, miotając się wściekle, kły zgrzytają o metal, który jęczy jak żywy organizm na skraju wyczerpania, jakby za chwilę miał ustąpić. Choć siedzę wciśnięty w najdalszy kąt niszy, napierając z całych sił na ścianę, podskakuję jak rażony prądem. Odruchowo kopię w kratę, tuż obok pyska potwora i cofam nogę w ostatnim momencie, tak że tylko cudem nie chwyta mojej stopy. Po chwili dołączają do niego następne i cały mój świat pulsuje obłąkanym, krwawym jazgotem. Zaciskam oczy, obejmuję głowę rękoma i wyję, ile tylko mam sił w płucach. Wtedy czuję, jak coś mokrego szarpie mnie za nogawkę. Otwieram oczy i widzę podłużny, chudy łeb przerośniętego, na wpół wyliniałego niby-lisa, dostatecznie jednak małego, by zdołał precyzyjnie się już prawie do wnętrza niszy. Usiłuje właśnie dobrać się do mojej łydki, aż popiskując z podniecenia. Z obrzydzeniem kopię z całej siły i chyba przetrącam mu kark, bo momentalnie zwisa bezwładnie, unieruchomiony między prętami kraty. Nie mija sekunda, gdy jego ścierwo ożywa nagle, targane z drugiej strony zębami wygłodniałych pobratymców. Wygląda, jakby chciało koniecznie wydostać się z powrotem na zewnątrz – szarpie się, podskakuje gwałtownie. Łeb zaczepiony o coś ostrego stawia opór, ale wola z drugiej strony jest silniejsza i po chwili krwawy skalp zwisa bezwładnie z kraty jak karnawałowa maska, gapiąc się na mnie pustymi oczodołami. Usiłuję odepchnąć się jak najdalej od kraty, ale stopy nie znajdują oparcia w bordowym gnoju.

Próbuję dojrzeć, co się dzieje po drugiej stronie korytarza, i nie wierzę własnym oczom – cela „uwolnionego” jest wciąż zamknięta. Widzę jego rękę. Ściskając kurczowo zakrzywiony kawałek drutu, usiłuje przytrzymać kratę. Nic nie mów, tylko się nie odzywaj – krzyczę do niego w myślach. Wygląda na to, że dopóki siedzi cicho, nie przyciąga ich uwagi, mutanty zaabsorbowane są gwałtowną fetą przy mojej kracie.

Niestety, „lis” nie zajął bestii na długo. Największy z mutantów, wyjątkowo paskudna niby-hiena, podnosi masywny łeb znad ścierwa i z głośnym świstem wciąga w nozdrza powietrze. Węsząc, charczy złowrogo, podczas gdy jego mniejsi pobratymcy walczą o pozostawione na chwilę bez dozoru resztki. I nagle potwór podskakuje w miejscu, zadziera wysoko ogon i na sztywnych łapach rusza świńskim truchtem w stronę otwartej celi. Zatrzymuje się tuż przed nią, a z jego gardła wydobywa się przerażający, głuchy warkot.

– Hej, bydlaku! – drę się, z całych sił kopiąc w kraty, ale nawet nie odwraca łba w moją stronę. Jak zahipnotyzowany, czy może raczej hipnotyzując kryjącego się w płytkiej wnęce człowieka, wpatruje się w ciemność. Pewnie widzi go doskonale swoimi małymi oczkami. A na pewno wyczuwa: ponoć nic nie śmierdzi tak mocno jak strach. Jak śmiertelny strach. – Tutaj, skurwielu! – wrzeszczę jak opętany,

miotając się po celi. – Chodź tu, ty szara gnido!

I wtedy tamten nie wytrzymuje. Kopnięta z niespodziewanym impetem krata otwiera się na oścież, waląc „hienę” prosto w pysk. Zaskoczony potwór cofa się pół kroku i ta chwila wystarcza człowiekowi – z dzikim wrzaskiem wbija w sam środek jego czaszki krótki, zaostrzony pręt. Mutant wali się na ziemię i tocząc z pyska krwawą pianę, kopie beton w krótkich gwałtownych konwulsjach. Oderwana od konsumpcji tym nieoczekiwanym zwrotem akcji sfora, tylko przez chwilę nie wie, co dalej robić. Morderczy instynkt bezbłędnie podpowiada jej właściwy scenariusz i wir grzbietów, połyskujących żądzą mordu szklanych oczu, zalepionych posoką pysków, z głuchym pomrukiem obnażających sztylety kłów, żywym pierścieniem otacza stojącego na środku tunelu człowieka. Podniecone zapachem krwi bestie zacieśniają krąg wokół swojej ofiary. Nie rzucają się na nią od razu, jakby przeczuwając, że pierwszy napastnik niechybnie zginie. Nie jest to jednak w stanie na długo powstrzymać ich morderczej determinacji. Czekają na ruch, który stanie się pretekstem do ataku: pewne ostatecznego rezultatu, gardzące koniecznym, acz niewielkim kosztem.

Wpatruję się w ten milczący balet śmierci jak zauroczony. Nie jestem pewien, czy starczy mi sił na taki koniec. Czy nie wywloką mnie stąd jak kawałka sparalizowanego przerażeniem mięsa, nie pożrą żywcem, skulonego, nie wiadomo po co do ostatniej chwili chroniącego głowę ogryzionymi już do kości rękami.

Człowiek zdążył wyszarpnąć z czaszki hieny swoją broń. Ścisła ją teraz kurczowo w śliskiej od czarnej posoki dłoni. Ze spokojem szaleńca gotowego na to, co nieuchronne, rozgląda się wokół, wybierając, kogo jeszcze zabrać ze sobą. Szuka godnego przeciwnika, jakby nie chciał zginąć daremnie. I wtedy jeden z szarych kształtów atakuje: chwytą go od tyłu za kombinezon, szarpie w dół. Zaatakowany robi gwałtowny półobrót i odrzuca napastnika pod ścianę. Błyskawicznym ruchem wbija ostrze w kark mutanta, uwieszającego mu się u lewej nogi. Nim zdąży podnieść rękę, by uderzyć ponownie, już wiszą na niej dwa kolejne cielska. Wielki niby-pies skacze mu na odsłoniętą pierś i razem padają w bezładne kłębowisko pomniejszych potworów. Widzę jeszcze, jak metalowy szpic przeszywa od dołu czaszkę potwora i wszystko tonie w czerwonej mgle parującej w zimnym, nocnym powietrzu krwi. Upiorną ciszę zakłóca jedynie chrzęst łamanych kości, łakome mlaskanie i odgłos dartej skóry. Chyba tracę przytomność.

Budzi mnie przejmujące zimno i wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Otwieram oczy i podskakuję jak oparzony – wielki, umazany krwią łeb gapi się na mnie zza kraty z łakomą ciekawością. Dyszy mi w twarz odrażającym smrodem, a z pomiędzy zębów zwisają mu niedojedzone resztki mięsa i kępki szarych włosów. Lampy są już zgaszone. W nieśmiałym świetle świtu bieleją ogryzione niemal do czysta kości. Już nie parują, już zdążyły wystygnać. Nazarta sfora leży pokotem, leniwie liżąc oblepione zaschniętą krwią łapy. Kilka większych sztuk pracowicie ogryza grube piszczele, wysysając z nich resztki szpiku. Na krótki moment oświetla je promień wstającego właśnie znad horyzontu słońca.

Sielankę przerywa dźwięk syreny. Bestie podnoszą się niezadowolone, warczą głucho, wpatrując się w czarną czeluść tunelu. Kilka co bardziej agresywnych rzuca się w tamtą stronę, obnażając kły, ale

wracają zaraz z podkulonymi ogonami, dymiąc osmaloną sierścią. Trzy największe potwory tarzają się jeszcze w zaścielających dno tunelu kościach, potem wilczym zwyczajem wypróżniają się w niedojedzone ścierwo i powolnym dostojnym krokiem, z zadartymi wysoko ogonami odchodzą w stronę bladego brzasku. Z daleka słyszę wesołe głosy strażników i syk rozgrzanego, gotowego do użycia miotacza ognia. Mijają moją niszę, uważnie omijając sterty niedojedzonych kości. Kiedy ostatni potwór opuszcza tunel, brama zamyka się z głuchym szczękiem.

Rozdział 11

- No i jak było?! – Stoją przed moją niszą dwaj, ci sami. Znowu będą zabójcze żarty.
- Chyba już dłużej nie wytrzymam... – skarżę się słabym głosem. – Zabijcie mnie!
- Czego nie wytrzymasz, miły trupie? – pyta ten wyższy ze słabo udawaną troską w głosie.
- Waszych dowcipów, jełopy!

– Buuu! Heniu! Ale ci dopierdolił! Dobreee!

- E tam, jutro my się pośmiejem. Ale co tam, dowcipny z ciebie, kurwa, trup! – mówi z uznaniem i przez pręty kraty podaje mi pognieciony kubek z wodnistą białą papką. – Taki jesteś cwaniak, to ci coś powiem – mówi nagle, przyglądając się, jak siorbię letni płyn.

Podnoszę na niego zdziwiony wzrok.

- W sumie to powinneś się cieszyć, nie?
- Niby z czego?
- No, to tutaj, ten twój los znaczy, to nie jest wcale taki najgorszy, nie?
- Hmmm. To co, chcesz się zamienić? – pytam.
- Dobrze! – komentuje ze szczerym uśmiechem Jasio.

- Cuś na kształt pogrzebu będziesz w sumie miał – kontynuuje poważnym tonem Henio, kucając naprzeciwko mnie. – Czytaliśmy o takim kiedyś, pamiętasz? – zwraca się do towarzysza. Tamten kiwa głową. – Anielski czy jakoś tak...

- Niebiański – mówię cicho, obracając w rękach kubek. – Albo powietrzny...

Obaj kiwają głowami.

- A jaka jest alternatywa? – pytam.

– Co?

- Niż co, ta moja śmierć ma być, według was, lepsza?

- Nie, śmierć to ty będziesz miał, trup, paskudną – uściśla swoją myśl Henio. – Tylko potem będziesz miał lepiej – zeżrom cię, do kosteczki ogryzom... Nic z ciebie nie zostanie.

- To czego mi zazdrościsz?

- No, że tu nie trafisz – spojrzeniem wskazuje na kubek, który nagle robi się jakby sporo cięższy.

- Cię skośni nie będą obracać, robić z tobą te swoje czary-mary – włącza się do rozmowy Jasio. – Nie obgotują, nie nasolą i nie zapeklują...

- Białas w pięciu smakach – uśmiecha się ponuro Henio. – Pono tak o nas mówią... Z tym, że jak dla mnie, to to gównu ani jednego smaku nie ma.

Z trudem przełykam dopiero co upity łyk papki.

– Myślałem, że oni raczej szczury na to przerabiają – mówię cicho.

– Głupiś! A widziałeś ty ostatnio jakiego szczura?

Odruchowo kręcę głową, wpatrując się w mętną zawartość kubka.

– No! I nie zobaczysz. Szczury już wszystkie dawno przerobione. Tera to taki delikates jest, że jak jakiego złapiom, to go zara sami zeżrom. Ani myślom się dzielić!

– Ty, Heniu – reflektuje się nagle Jasio. – Ale może my tego jemu gadać nie powinniśmy?

– A co on, kurwa, w gazetach o tym napisze? Albo komu powi?

– No, chyba raczej nie napisze – przyznaje skwapliwie Jasio. – Ani nie powi.

– Ty, ale popatrz, Jasiu, swoją drogą to one chytne są, tam w tym ichnim Wietnamie. Tak się z tym kryjom, że to ludzie tego nie wiedzą – mówi po namyśle Henio.

– No, my wiemy...

– Bo my som dobrze poinformowane! – szczyrzy się z dumą Henio.

– Nie wiedzą, bo nie chcą wiedzieć – mówię cicho.

Nie odpowiadają, gapią się obaj w stronę wylotu tunelu.

– No dobra, tośmy sobie pogadali... – przerywa milczenie Henio, klepiąc się po udach. Stękając cicho, podnosi się z kucek.

– No – zgadza się wyrwany z zamyślenia Jasio.

Obaj rozglądają się zatroskanym wzrokiem po tunelu.

– Straszny tu pierdolnik, Jasiu, co?

– No, ale nie ma się co martwić, dziś nikogo nie luzujem...

– Dziś nikogo nie luzujem! Cieszysz się? – pyta mnie Henio.

– A powinienem? – pytam, starając się zachować obojętny ton głosu.

– No, nie wiem, to zależy, co lubisz – odpowiada tajemniczo za kolegę Jasio.

– Jaką formę rozrywki, nie?

– Rozrywki, kurwa, dobreee!

– Będzie głodne nasze bydełko, co, Heniu?

– No, a jak głodne, to wściekłe!

– Jak skurwysyn wściekłe, oj, będzie się działo!

– Teraz masz wolne, trup! – rzuca na pożegnanie niższy, Jasio.

Odchodzą, zaśmiewając się do łez.

Trzęsę się z zimna, żal mi tej ciepłej kurtki z poligonu. Odebrali mi ją w chwili aresztowania, ale nie mam złudzeń – jeżeli nawet nie zrobiliby tego wtedy, i tak zdarłby ją ze mnie któryś z miejscowych dowcipnisiów.

W bladym świetle budzącego się dnia patrzę na świeże, ogryzione do czysta kości przed moją celą. Moja wieża milczenia. Mój grób. Buddyści medytowali przy gnijących zwłokach swoich współbraci, by nabrać dystansu do życia i śmierci – przechodzę właśnie przyśpieszony kurs. Medytacja dziesięciu obrzydliwości: spuchnięte zwłoki, sine zwłoki, ropiejące zwłoki, rozczłonkowane zwłoki, pogryzione

zwłoki, rozrzucone zwłoki, posiekane i rozrzucone zwłoki, zwłoki poplamione krwią, zwłoki toczone przez robaki, szkielet. Chyba jestem już w grupie dla zaawansowanych. Oto moje przeznaczenie, oto przeznaczenie całej ludzkości, nie mogę go uniknąć. Jak to, że szkielet najgorszy? Gdzież tam, w szkielecie nie ma już prawie nic z człowieka! Kształtów, miękkości, barwy i zapachu. Podłużne formy piszczeli, abstrakcyjne rusztowanie żeber. Za to takie nadgryzione tylko trochę ciało – to dopiero orgia kolorów, form, zapachów... Oto moje przeznaczenie, oto przeznaczenie całej ludzkości, nie mogę go uniknąć. Całej ludzkości? Boże, dlaczego cię nie ma?!

Zapadam w niespokojny, przerywany sen. Budzi mnie odległa kanonada, dobiegająca gdzieś z drugiej strony Wisły. Zatem armia już wyruszyła... Po godzinie strzelanina urywa się równie nagle, jak się zaczęła, słychać już tylko pojedyncze strzały, które jednak godzinami nie milkną. Sen znowu miesza się z jawą. Dręczy mnie monotony odgłos dobiegający z którejś z położonych głębiej w tunelu cel. Szuranie? Nie, tarcie czymś twardym o beton. Domyślam się, że to ten trzeci, ten, którego widziałem wczoraj. Kiedy go jednak nawołuję, milknie, nie odpowiada.

Dzień mija szybko. Czyżby już była zima? Chyba jeszcze nie, ale nadchodzi wielkimi krokami. Śmieję się z tego w myśli. Czy nie mając zegarka, byliśmy w ogóle w stanie zauważyć, że latem dzień jest ponad dwa razy dłuższy niż zimą? Czy w metrze ma to jakiegokolwiek znaczenie? Przyzwyczaiałem się do tego, że od lat zima jest jedyną porą roku. Zatem umrę zimą. Jakiego dnia? Staram się policzyć je wszystkie, od ostatniej pewnej daty, ale szybko daję sobie spokój. Ostatnio zbyt często tracę rachubę czasu... Zresztą, czy to takie ważne? Oto moje przeznaczenie, oto przeznaczenie całej ludzkości, nie mogę go uniknąć. Rolą tych, którzy żyją, jest pamiętać daty. Co jest moją rolą? Co jest rolą umarłych? Przez całe życie przyzwyczajałem się do tego, że jestem, że robię, że muszę. Jeszcze tylko jeden dzień. Najpierw noc. A potem? Nie będę, nie zrobię, nie będę musiał? Trudno mi w to uwierzyć, ale po tym, co widziałem, nie potrafię w to nie wierzyć. Przecież to jedyne, w co wierzymy do samego końca. Wbrew faktom, logice, zdrowemu rozsądkowi. Przecież jestem nieśmiertelny. Ja? Po mnie przysłaś? Ale jak to? Nie, to pomyłka musi być! To po niego, tego tam, tamtą tam. Ale bzdury jakieś! Pamiętam, że w czasach kiedy były jeszcze normalne pogrzeby, na każdym, w którym przyszło mi uczestniczyć, dostawałem nieodmiennie ataku głupawego śmiechu. Ale miał gość pecha, dobrze, że mnie to nigdy nie spotka! Jednym z najważniejszych, przeżywanych w kółko, stale wzmacnianych życiowych doświadczeń jest to, że umierają inni. Tyle pogrzebów widziałem, tyle śmierci. Widziałem! Wszystkie jako widz, zawsze jako widz. To chyba jedyne doświadczenie, które mimo nieustannego przeżywania nigdy nie staje się naszym pełnym udziałem. Znowu ktoś umarł. Ach, oni w kółko tylko umierają... A przecież wystarczy po prostu żyć. O, jak ja! Ja żyję. Już niedługo. Wyobrażam sobie mokry, zimny dół. Ziemia głucho uderza o wieko trumny. Tutaj miejsce twoje. Nie, nie twoje, tutaj miejsce moje. Jestem tu, blisko bram śmierci. Strach zaciska mi na gardle zimne, cuchnące gliną łapy, udekorowane czarną żałobą za paznokciami. Nie będzie dołu. Będzie poszarpane ścierwo, w które nasrają wielkie szare hieny.

Próbuję z całej siły uderzyć głową w ścianę, zgasić światło. Ale w ostatniej chwili centymetr przed śmierdzącym, lepkiem betonem mięśnie karku sztywnieją, instynktownie powstrzymując ruch. Kończy się na solidnym guzie, jest jeszcze gorzej. Oto moje przeznaczenie, oto przeznaczenie całej ludzkości, nie

mogę go unikać. Tak teoretycznie wiedziałem, że kiedyś ten moment musi nadejść. Ale zawsze myślałem, że „kiedyś”. Że jeszcze nie teraz, jeszcze mnóstwo czasu. Szybko minęło. Za szybko, nie jestem gotowy. Jutro będę? Śmierć – taki wzniósły moment. Zwieńczenie, kurwa, żywota mego. Żarcie dla tych szarych bydlaków, zasrana kocia karma.

Szybko zapada zmrok. Przy zewnętrznej kracie trwa już nerwowy ruch, klienci baru wyraźnie się niecierpliwią. Siadam najwygodniej, jak to możliwe, opierając się plecami o mur i maksymalnie podkurczając nogi. Cóż mamy przygotowane na tę noc, przedostatnią noc mojego życia?

Przedstawienie czas zacząć.

Rozdział 12

Potrójna syrena, radosny skowyt na zewnątrz, rozbłyskujące kolejno czerwienią lampy, chrobot łańcucha, szcęk kraty, miękki tupot wielu łap. Rozbiegają się po całym tunelu, jest ich więcej niż wczoraj. Przyglądam się obojętnie zjeżonym karkom, obnażonym kłom. Wiem, że jutro, gdy zniknie bezpieczna tarcza kraty – źródło mojej dzisiejszej obojętności – nie będę tak spokojny. Będę się darł i wił, szarpał i bez sensu zasłaniał rękami. Na razie śmieję się jeszcze z niezamierzonej ironii własnych myśli: to nie ja będę się drzeć i szarpać, to one będą mnie drzeć i szarpać. Ja jestem już tylko kawałkiem mięsa. Jakieś bydlę o odrażającym pysku wciąga w nozdrza mój zapach, jakby chciało zapamiętać mnie na zawsze. Nie na zawsze, wystarczy do jutra. Dwadzieścia cztery godziny. Jestem obietnicą sutej kolacji.

Nie znajdując nic świeżego, mutanty myszkuje po otwartych kłatkach, znacząc je obficie cuchnącym moczem, po czym z furią rzucają się na wczorajsze kości. Henio i Jasio mieli rację – resztki z wczorajszej uczyty zostają uprzątnięte niemal do czysta. Chrupaniu kości towarzyszy przeraźliwy kwik przekąsek – zagryzanych mimochodem, przy okazji i bez żadnych ceregieli pomniejszych stworów, które w gastronomicznym szale nawiną się na ząb swoim potężniejszym współbiedniakom. Trwa to prawie całą noc. Potem jednak kończą się żarty i rozochociona menażeria rozpoczyna drugie podejście do zamkniętych w niszach konserw. To znaczy do mnie i tego drugiego. Wściekłe szczęki tych największych mocują się z prętami krat, a mniejsze paskudztwa usiłują przeniknąć do środka, niedostatki masy nadrabiając agresją. Przestaje być zabawnie. Walcząc z jakąś zmutowaną tchórzofretką, która bez większych przeszkód przecisnęła się do mojej celi i niemal zdążyła wślizgnąć się do mojej nogawki, kopię w kratę tak mocno, że jęczą zawiasy, a ze ściany sypie się zwietrzały beton. Potwory jakby zrozumiały, o co chodzi, ze zdwojonym wysiłkiem szarpią metalowe pręty. Cholera, chyba jednak to będzie ta ostatnia noc...

Smród ziejący z ich pysków wyżyma mi żołądek jak stary gałganek. Widok świecących czerwoną łuną oczu paraliżuje, a odgłos kłapiących zębów powoduje, że nie kontroluję obezwładnionego przerażeniem ciała. Jestem pokryty krwawą śliną, którą toczą z pysków, szarpiąc metal z niesłabnącą zajadłością. I wtedy słyszę przeraźliwy nieludzki wrzask. Długi, przechodzący w rozpaczliwy, wysoki pisk. Potem głucho uderzenie. I cisza. Boże! Przecież to...

Gwałtowny ból w nodze, znowu coś wpycha łeb do niszy. Jeszcze moment, jeszcze parę minut, zaraz będzie po wszystkim. I wtedy nagle coś się we mnie przestawia. W jednej chwili uspokajam się, ogarnia mnie coś w rodzaju euforii. Odwracam się, przykładam twarz do kraty.

– Chcecie żreć?! – drę się prosto w paszcze skłębionych potworów. – Chcecie?!

Potem z całej siły kopię w kratę. Raz, drugi, trzeci. Pręty jęczą, obluzowane zawiasy centymetr po centymetrze wychodzą ze ściany. Pierwszy jednak puszcza zamek – wrota z impetem otwierają się na oścież. I wtedy cała ta kipiąca wściekłością sfera milknie gwałtownie. Kładąc po sobie uszy i kuląc ogony, rozstępuje się na boki. Nie patrząc na mnie, szczerzą kły, ale nie ośmielają się głośniej warknąć. Wychodzę powoli z ciemności i staję jak wryty. Na środku tunelu jak pasterka pośród swojej upiornej trzódki stoi mała dziewczynka w przykrótkiej sukience. Jest bosa, na głowie ma śmieszoną czapkę z pomponem, na rączkach rękawiczki. Nie muszę nawet patrzeć na zdjęcie.

– Jesteś Znajda, prawda? – przyklękam przy niej. – Od Julii i Piotra?

Patrzy na mnie uważnie, kiwa głową. Potem wyciąga do mnie rączkę.

– Poczekaj – mówię do niej. – Tylko chwilę.

Idę w stronę tej drugiej klatki. Potwory rozstępują się przede mną niechętnie. Niektóre powarkują, inne biją nerwowo ogonami o ziemię. Ale krok za mną idzie ona. Ośmielony tym kopię jakąś zdeformowaną pokraczną nutnię, która nie dość szybko usuwa się z drogi. Syczy na mnie wściekła, szczerząc ogromne pomarańczowe siekacze. Staję przed zamkniętą kratą. Żarówka wisi dokładnie naprzeciwko niszy. Oświetla chude, nędznie ubrane ciało. Dziewczyna siedzi na ziemi, ma rozrzucone szeroko ręce. Z jej czoła sterczy żelazny kołek, jak ucięty róg jednorożca. Krew z oczu, nosa i ust ścieka po brodzie galaretowatym wodospadem, zasychając na poszarpanej sukience w gruby, pomarszczony żabot. Padam na kolana i ukrywam twarz w dłoniach. Chodź, musimy iść – słyszę w głowie.

Rozdział 13

Tuż za Posterunkiem Wysuniętym Wschodnia siły N. Koalicji nawiązały kontakt z pierwszymi mutantami w dużej liczbie, jacy się roili wszędzie na terenach dawnego miasta Warszawy. Choć wszyscy się spodziewali, że prędzej czy później to nastąpi, zaskoczenie jednak duże było, bo nastąpiło szybko i atakujące stwory w bardzo dużej cyfrze wyglądali na b. zdeterminowanych i zażartych, niebojących się wcale ani licznej przeciw siły ludzkiej, ani oddawanych na postrach strzałów czy ognia.

Wywiązała się silna kanonada i wreszcie, pod zaporowym ogniem palnym i dzięki doskonałej organizacji wojskowej oraz poruszaniu się w zwartej kolumnie, udało się powstrzymać napad przy zerowych, czyli minimalnych, stratach własnych. Aby w przyszłości uniknąć tego rodzaju zaskoczeń i niemiłych niespodzianek, p. Marszałek zaraz zarządził okopanie się chwilowe na pozycji i pilną naradę celem zmiany taktyki. Ta krótka utarczka pochłonęła bowiem była znaczny procent zapasów amunicji N. Koalicji, które przeciw rozplanowywano na dwa tygodnie z okładem i na taki okres czasu musiały starczyć. Nowa taktyka walki, którą na poczekaniu zaraz opracowano, była prosta, niekłopotliwa w realizacji i – jak się wkrótce potem miało okazać – bardzo skuteczna. Korzystając z poniewierających się pospolicie w pobliżu stacji kolejowej złomu i innych surowców metalowych, na miejscu wytworzono włócznie i inną broń kolną w cyfrze dwóch i pół tysiąca sztuk, co pozwoliło na sporą swobodę w operowaniu nią. Znacząca mogła też być rzucana, aczkolwiek i tak przykazane zostało wojsku dokładne oczyszczanie pola walki od razu po każdej zakończonej potyczce. Jak donosiły potem źródła oficjalne N. Koalicji, pozbawione elementarnej wiarygodności były pogłoski, jakoby broń ta była silnie napromieniowana i szkodliwa głównie dla walczącego nią żołnierza. I choć logika ta nie do końca wydaje się jasną, na dowód tego przytaczano, że wszystkie przypadki porzucania broni były natychmiast i z całą surowością karane.

Innym problemem było zjawisko bardzo niekorzystne i urągające honorowi żołnierza, na szczęście i w tym przypadku również praktycznie niewystępujące. Dowiadujemy się o nim pośrednio, z rozporządzenia wydanego w tym samym momencie, na mocy którego surowo karane było pozostawienie towarzysza w polu, bez udzielenia mu pomocy lub zagwarantowania sprawnej i szybkiej ewakuacji. I tutaj również źródła, do których mamy dostęp, zgodnie zapewniają, że przypadki takie nie zdarzały się w ogóle i żaden żołnierz nie został sam i porzucony. W ogóle podkreślają one najwyższe zasady karności i najwyższe standardy moralne całego zgrupowania, nad czym osobiście czuwał p. Marszałek przy pomocy swego Sztabu i oddanej Gwardii Przybocznej. Warto też wspomnieć, że przy

siłach ekspedycyjnych wystawiono kilka Drużyn Medycznych, których fachowa pomoc skutecznie ratowała życie rannym i innych poszkodowanych.

Po przebrojeniu, istotnym przegrupowaniu i płomiennym przemówieniu motywacyjnym, które dopiero we wszystkich podpaliło ducha do dalszej wytężonej walki, p. Marszałek zarządził wymarsz w dalszą drogę, co ekspedycja wykonała sprawnie i bez zbędnych zwłok.

*Mgr Khuu „Jan” Bao
tłum. Le Nguyet*

Rozdział 14

Stali, za plecami mając grubą kratę zamykającą tunel średnicowy. Mężczyzna i mała, najwyżej dziesięcioletnia dziewczynka. Oboje zbyt lekko ubrani jak na panujący na zewnątrz chłód. Z jarzącej się rubinowym blaskiem czeluści tunelu dochodziły odgłosy nerwowej uczt mutantów. W oddali, na wprost nich, ciemne szare niebo rozjarzało się powoli nieśmiałą łuną jutrzeńki. Wdrapali się na południowy, nieco lepiej zachowany peron. Po prawej, w gęstych jeszcze ciemnościach, majaczyło gigantyczne gruzowisko, resztki niemal doszczętnie zniszczonego mostu Poniatowskiego. Mężczyzna usiłował dojrzeć coś więcej, ale miłosierny mrok oszczędził mu widoku martwego miasta. Trzymając się torów, ruszyli w stronę Wisły. Najpierw wysokim nasypem, potem wiaduktem, jakimś cudem prawie nienaruszonym. Kiedy dotarli do rzeki, zaczynało już świtać. Wtedy zgasły światła w tunelu. Chimeryczne niebieskawe pochodnie rozbłysły w ciemności, a szara menażeria, rozdrażniona niezaspokojonym głodem, niechętnie rozpełzła się po stromej wiślanej skarpie. Krata zaskrzypiała i powoli osunęła się w dół. Nie oglądali się za siebie.

W bladej poświacie poranka Wisła była piękna. Nie była już rzeką, lecz raczej lodowcem opalizującym błękitem przełomów, sunącym powoli w stronę ginącego w seledynowej mgłę horyzontu. Środkowe przęsło mostu kolejowego zawaliło się pod naporem lodu, jednak stalowe struny szyn utrzymały całą konstrukcję. Dziewczynka pewnie stąpała po oblodzonych podkładach, nie patrząc nawet pod nogi. On, kurczowo wczepiony w powyginaną barierkę, i tak kilka razy o mało nie runął w dół, wprost między spękane kolumny seraków. Ostrożne zejście, potem mozolna wspinaczka. Kiedy dotarli na drugi brzeg rzeki, zrobiło się całkiem jasno. Zaraz za biało-czerwonym koszykiem stadionu natknęli się na świeże ślady ekspedycji: szeroki na kilkadziesiąt metrów pas zdeptanego śniegu prowadził w kierunku Wschodniej. Tuż przed wylotem tunelu metra dziewczynka zeszła z nasypu. Posłusznie podążył za nią, domyślając się, że wojsko mogło tam wystawić posterunki. Szli dołem, przez rozległe błonia u stóp torowiska, ścieżkami mutantów. Początkowo bardzo go to niepokoiło, rozglądał się nerwowo, wypatrując szarych kształtów przemykających między wrakami porzuconych samochodów, jednak uspokoiła go. Nie bój się, usłyszał w głowie i wiedział, że może jej zaufać. Zagadywał ją kilkakrotnie, ale nie odpowiadała. Tylko patrzyła na niego spokojnymi, ładnymi oczami. Dał spokój.

Weszli pomiędzy stare kamienice Pragi. Skaryszewska, odczytał na przeżartej rdzą tabliczce. Wspomnienia popłynęły mu przez głowę szerokim strumieniem. Koncerty na stadionie, nie pamięta nazw, parkował tu samochód, tam nie było miejsc. Teatr, nawet kilka teatrów. Małe, offowe, jak się wtedy mówiło, fajne, kameralne. Koncerty, też bardzo kameralne, zupełnie inne doświadczenie. Była tu

kamienica... to chyba ta, przed nią skwer. Organizowali tam jakieś potańcówki, festyny dla miejscowych dzieciaków. Mogłabyś się z nimi bawić – pomyślał. Chciał wejść, zobaczyć, co zostało. Nie, nie można, usłyszał i ostatni raz popatrzył na zniszczone ceglane mury. Wspomnienia rozplynęły się w porannym chłodzie. Chłód. Na szczęście szli szybko i dopiero teraz o nim pomyślał. Ale wystarczy, że zatrzymają się na chwilę i zrobi się niebezpiecznie. A noc? Nocy na pewno tak nie przetrzyma. No i jedzenie, co ona je? Czy w ogóle coś je? Czy ja też będę mógł to jeść? Zatrzymała się i popatrzyła na niego wymownie. Za dużo gadam, co? – pomyślał. Uśmiechnęła się.

Minęli na wprost zawaaloną halę dworca. Wręcz czuł na sobie ich głodne spojrzenia – obserwowały go z każdego zakamarka, spod stert blachy i gruzu, z okien wypalonego budynku biurowego i z mrocznych przejść podziemnych. Słyszał posykiwania, powarkiwania, nerwowe świsty, skrzeki i pochrapywania. Jednak nie zobaczył żadnego z nich. Też jestem głodny skurwysyny, pomyślał. Ciekawe, czy nadają się do jedzenia.

Kilkadziesiąt metrów dalej, tuż za kłębowiskiem pogiętej blachy i połamanych rusztowań – zawałonym zadaszeniem dworca autobusowego, szeroka rzeka śladów skręcała na południe. To tu, w opłotkach parkingów i pomiędzy rozsypującymi się barakami magazynowymi, musiała się rozegrać walka, której odgłosy słyszał poprzedniego dnia. Nic dziwnego, taki tłum nie mógł przejść tędy, nie zwracając na siebie uwagi mieszkańców dworca. Tym razem dziewczynka nie protestowała – pozwoliła mu dokładniej rozejrzeć się po okolicy. Przede wszystkim zaskoczyła go liczebność armii – to nie były setki, to musiały być tysiące ludzi. Olbrzymi plac, ogrodzony barykadami kleconymi naprędce z czego się tylko dało, zasłany był ludzkimi i zwierzęcymi trupami. Gatunek w większości ogryzionych już do kości ofiar najłatwiej było rozpoznać po kolorze barwiącej śnieg krwi: czerwony to ludzie, czarny – potwory. Wszędzie walały się łuski. W oczy rzucało się kiepskie przygotowanie wojskowe tego pospolitego ruszenia – mimo najwyraźniej huraganowej siły ognia straty w szeregach warszawiaków były olbrzymie.

Długo myszkował między barykadami, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu się przydać: jakiejś ciepłej kurtki, broni, czegoś do jedzenia. Bez skutku. W końcu upiorna cisza tego cmentarzyska zabrzęczała mu ostrzegawczo w głowie. Rozejrzał się przerażony, nigdzie nie mógł dostrzec Znajdy, a bał się krzyżeć. Aż się spocił na myśl, że mogłaby go tu zostawić. Na szczęście nigdzie nie odeszła – w końcu wypatrzył jej kolorową czapkę w ruinach jakiegoś baraku, kilkaset metrów dalej. Podbiegł do niej i zmartwiało: w załomie muru, prowizorycznie zamaskowany stertą gruzu, siedział chłopak w starym, podartym mundurze i patrząc na dziewczynkę przerażonymi oczami, mierzył do niej z pistoletu. Na brzuchu rozkwitała mu ogromna czerwona plama.

– Spokojnie, nie bój się, nic nie rób – powiedział mężczyzna, podchodząc powoli.

Chłopak gwałtownie przeniósł muszkę muzealnego visa na niego, potem z powrotem na dziecko. Znajda przyglądała mu się ciekawie, bez strachu.

– Kim jesteście? Co tu robicie? – wykrzyczał piskliwym, przerażonym głosem.

– Zostawili cię tu? – zapytał mężczyzna, kucając przy rannym.

Chłopak nie odpowiedział. Opuścił ręce, jakby pistolet właśnie gwałtownie przybrał na wadze. Stęknął boleśnie i podniósł na nich zapłakaną twarz.

– Dobij mnie – poprosił cicho. – Ja nie potrafię.

– Co ci się stało? To mutant?

– Mutant? – parsknął. – To zwykła kula. Najlepszy kumpel mnie tak załatwił. Cały czas trzymaliśmy się razem. Jak zobaczyli pierwszego potwora, to wybuchła taka panika, że szok. Dziwne, że ze strachu wszyscy się nawzajem nie pozabijali. Większość tych tam – wskazuje głową na ogryzione ludzkie zwłoki – to od naszych własnych kul.

– Jeśli to kula, to masz jeszcze szansę...

– Nie, nie mam, oglądał mnie tu taki jeden, lekarz niby. Powiedział, że jak mnie tylko ruszą, to za dziesięć minut i tak wykituję. A jak sobie będę grzecznie siedział, to może sobie jeszcze trochę posiedzę. Porozmyślam...

– A długo tak już siedzisz i rozmyślasz?

– No, całą noc przecież. Nóg ani dupy już w ogóle nie czuję. Myślałem, że nocy nie przeżyję, widziałem, jak tamtych całą noc pożerały. Ale do mnie nie przyszły. Te akurat chyba wolą trupy...

– Skąd masz ten pistolet?

– Zostawili mi. Z jedną kulą. Że niby muszą oszczędzać amunicję...

– Kto by pomyślał, patrząc na to, co się tu działo...

– Powiedzieli, że jak jakieś ścierwo będzie do mnie szło, to żebym sobie w łeb palnął. Albo jemu, wedle uznania. I poszli. Jakbyście dobrze poszukali, to takich jak ja powinno tu być więcej. Pięciu co najmniej było, bo pięć strzałów już słyszałem...

Chłopak zamilkł, dyszał wyczerpany. Po szarym jak śnieg czole spływały mu brudne krople potu. Mężczyzna wstał z wysiłkiem, rozmasowując zeszywniałe kolana.

– Stój! Nie pójdziecie nigdzie – wycharczał chłopak, znów mierząc do niego z pistoletu. – Zastrzel mnie albo ja kropnę ciebie i razem tu zdechniemy...

Dziewczynka przyglądała się im z ciekawością, ale bez śladu emocji.

– Spróbujemy cię zabrać na Stadion. Położę cię przy posterunku. Ja tam wolę się nie pokazywać, ale ciebie tam znajdą i opatrzą.

– Chyba oszalałeś – wystękał chłopak. – Nie wiesz, co oni robią z dezertierami?

– Przecież nie jesteś dezertierem.

– Dla nich jestem. Nie idę z nimi ku chwale ojczyzny, więc jestem dezertierem. Nakarmią mną te bydlaki. Żywcem.

– No to nie umiem ci pomóc.

– Zastrzel mnie – powtórzył, z trudem utrzymując pistolet w drżących rękach. Potem zacisnął oczy, jego twarz wykrzywił bolesny grymas, a ręce opadły bezwładnie.

Mężczyzna wyjął pistolet z szybko stygnącej dłoni chłopaka. Wprawnym ruchem wyjął magazynek – był pusty. Odciągnął suwadło – jeden pocisk w komorze. Złożył z powrotem broń, delikatnie zwolnił kurek i zabezpieczył. Schował do kieszeni.

– Sześć – powiedział. – Sześciu. Nie będziemy ich szukać, prawda?

Rozdział 15

Już drugiego dnia wyprawy wojsko N. Koalicji utraciło łączność ze sztabem umiejscowionym tymczasowo na posterunku Warszawa Stadion. Linia zaopatrzenia i komunikacji awaryjnej wydłużyła się tak dalece, że nie wiadomo, czy którykolwiek z kurierów wysłanych z rozkazami i celem utrzymywania komunikacji z ekspedycją zdołał do niej dotrzeć, wiadomo za to, że żaden z nich nigdy nie wrócił. Radio oraz generatory prądu niesione z ogromną ofiarnością przez pluton łączności uległy awarii już w trakcie pierwszej potyczki i prawdopodobnie je porzucono, gdyż więcej nie zostały użyte. Utracono również kontakt z oddziałem pomocniczym liczącym ponad stu ludzi, w tym kilkanaście kobiet z plutonu medycznego, który to oddział, wypełniając wcześniejsze rozkazy, wyruszył ze wsparciem, zaopatrzony w tysiąc pięćset kilogramów sprzętu różnego: amunicji oraz żywności i wody pitnej. W świetle dokumentów, którymi dysponujemy, wydaje się, że siły te od razu obrały mylną marszrutę i mimo posyłanych im przez obsadę posterunku licznych rozkazów powrotu na właściwą trasę, dopóki obsada kontakt z nimi była w stanie utrzymać, z trasy tej nie zawróciły i w efekcie zaginęły bez wieści, zapuściwszy się w okolice nigdy wcześniej ani nigdy później nieeksplorowane. Stało się to w późniejszych czasach pożywką dla licznych legend oraz teorii spiskowych, opisujących przyczyny tej jawnej niesubordynacji lub może szaleństwa oraz jej domniemane skutki. Z punktu widzenia nauki historii te pozostały już jednak wyłącznie w sferze baśni i ludowych podań, nigdy nie zostawszy zbadanymi ani zweryfikowanymi. Ostatnią pewną informacją, jaka została przesłana oficjalnym kanałem do metra, a zatem dla pracy historyka ma wartość dokumentu, był meldunek o gwałtownie nasilających się atakach mutantów, które stawały się na tyle uporczywe i trudne do odparcia, że siły bardzo spowolniły, będąc zmuszonymi co rusz się okopywać i odpierać wściekłe ataki tego trudnego przeciwnika.

Wszystkie dalsze fakty, które przytaczamy, mają swoje źródło w zeznaniach tych kilku osób, które później zdołały do Warszawy powrócić, ale o których na razie tyle, gdyż nie chcemy uprzedzać wypadków ani mieszać toku historycznej narracji. Powinny one (te informacje oraz fakty) pozostać zatem w sferze sobie właściwej, a zatem w sferze informacji domniemanych oraz faktów prawdopodobnych.

Mówiono więc potem wielokrotnie, że taktyka minimalizowania użycia broni palnej, siłą egzekwowana przez Dowództwo Wyprawy, głównie poprzez rozbrajanie licznych pododdziałów, w szczególności tych o najslabszym wyszkoleniu wojskowym, przyniosła początkowo zaskakująco pozytywne efekty. A mianowicie bardzo spadła po stronie naszych sił liczba żołnierzy zabitych ogniem

własnym. Świadczyć to by mogło o ogólnie słabym wykszoleniu i nieumiejętności posługiwania się bronią palną, ale może też, o czym niejasno i niejako mimochodem napominają niektóre źródła, o sprowokowanej nieoczekiwanie nieznanymi nam bliżej przyczynami, gwałtownej walce politycznej i jawnym zwalczaniu się stronnictw, frakcji i stacji, jaka wywiązała się w nie do końca przecież jednolitym łonie sił N. Koalicji. Ale jako że stoi to w jawnej sprzeczności z wcześniejszymi oficjalnymi dokumentami, musimy podchodzić do tych rewelacji na chłodno i z dystansem właściwym rozważnemu historykowi. Tym bardziej że liczne, dotyczące tych bolesnych chwil relacje są przez niektóre środowiska naukowe oraz wpływowe wciąż koła kombatanckie otwarcie kontestowane jako wrogi defetyzm i szkodliwa propaganda.

Wydaje się jednak wysoce prawdopodobne, że zerwanie kontaktu przez siły ekspedycyjne z Warszawą poskutkowało mogło gwałtownym spadkiem morale i mogły z tego wynikać różnorodne komplikacje dla realizacji założonej strategii jak najszybszego dotarcia w pobliże siedziby wroga i nawiązania z nim kontaktu bojowego. Tym niemniej jednak zeznania niektórych świadków, jakoby dochodziło do otwartych buntów, tłumionych krwawo przez stronnictwa wierne Naczelnemu Dowództwu, a w szczególności przez Gwardię Prezydencką – formację, która w ich opinii zapisała się w historii Warszawskich Sił Zbrojnych najczarniejszymi literami, należy uznać za wrogi defetyzm i w większości odrzucić. Motywacja żołnierza nie była bowiem nigdy wcześniej kwestionowaną przez żadną ze stron uczestniczących w ekspedycji i trudno uwierzyć, że ludność Warszawy, tak przecież nawykła do niewygód, niedostatków i okropieństw codziennego życia, wystawiła armię, która zaledwie dwa dni po opuszczeniu kwater i kilku zakończonych łatwym zwycięstwem potyczkach przecież nie z właściwym wrogiem jeszcze, a tylko z dzikimi stadami zwierzęcych mutantów, miałyby nagle dopuścić się jawnego buntu, niesubordynacji oraz powszechnego unikania walki.

Komplikacje zatem, o których wcześniej mówiliśmy, ograniczały się z dużym prawdopodobieństwem do pewnego spowolnienia marszu, który zamiast planowanych dwóch dni rozciągnąć się mógł do dni kilku. Trudno będzie jednak zweryfikować zarówno dokładną marszrutę, jak i czas jej trwania, ponieważ jedyne przekazy, jakie się w tym temacie zachowały, na ten aspekt ekspedycji zwracają akurat najmniejszą uwagę.

Dr Jakub Jasiński

Rozdział 16

Wolałbym móc tych spotkań uniknąć, ale jako że łączył nas cel marszruty, były one, niestety, nie do uniknięcia. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Potykając się o licznie znaczące trasę przemarszu armii trupy, niektóre jeszcze całkiem nienaruszone, dość szybko skompletowałem brakującą garderobę i sprzęt ochronny. I chociaż na widok maski Znajda pokręciła tylko z dezaprobatą głową, zatrzymałem ją na wszelki wypadek. Visa z jednym nabojem wyrzuciłem bardzo szybko. A to dlatego, że gdzieś na wysokości alei Waszyngtona znalazłem pięknego, zadbanego glocka z pełnym magazynkiem. Glock leżał sobie grzecznie w śniegu i trzymała go ręka, która mniej więcej w okolicach łokcia po prostu się urywała. Reszty właściciela nie było. Później uśmiechały się do mnie jeszcze kałachy w różnym stanie, ale moja mała przewodniczka zdecydowanie powiedziała: „nie”. Na szczęście nie miała nic przeciwko konserwom i kilku paczkom sucharów, które znalazłem w plecaku na czyichś plecach. Nie wiem czyich, bo reszty właściciela pleców również nie było. Problem jedzenia został zatem, przynajmniej na jakiś czas, rozwiązany.

Jeżeli będą się wybijać w takim tempie, to nie wiem, czy ktokolwiek zdoła w ogóle dotrzeć do Owczarni. Chyba że to jest jakieś kolejne oszustwo i wcale się tam nie wybierają. Ale dokąd by w takim razie z takim poświęceniem brnęli?

Po mniej więcej dwóch godzinach docieramy do miejsca, w którym armia musiała spędzić noc. Wybrali spory plac okolony betonowymi flankami zrujnowanego blokowiska. Wysokie wały mutanciego ścierwa na prowizorycznych barykadach skleconych z wraków samochodów i fragmentów metalowych ogrodzeń w przejściach pomiędzy budynkami wyraźnie mówią, że ta noc nie należała do spokojnych. Ale śmierć zbierała żniwo nie tylko wśród mutantów – pod betonową ścianką z wyraźnym mimo upływu tylu lat rysunkiem bramki leży kilkadziesiąt podziurawionych kulami ludzkich trupów, kilkanaście kolejnych, skrępowanych drutem niczym szynki przygotowane do wędzenia, dynda na zardzewiałych łańcuchach huštawek. Znajdy nie interesują stare zjeżdźalnie zamienione w prowizoryczne stoły operacyjne, cuchnące z daleka latryny piaskownic ani przewrócone, połamane karuzele, z których ktoś niezdarnie usiłował sklecić zaimprovizowaną broń – cokolwiek nadającego się do obrony. Myszkuje po tym ponurym placu zabaw sam. Podchodzę do ozdobionej trzema wisielcami huštawki. Kołyszą się powoli na wietrze, czasem obijając się delikatnie o siebie. Nie wiem, czy za życia się lubili, ale teraz dyndają sobie w zgodzie i harmonii. Nogi i ręce mają spętane za plecami zwojami kabli do akumulatorów, pozbieranymi zapewne po okolicznych parkingach. Bez tego dotykałiby nogami uwalanego brunatną mazią śniegu. Łańcuchy wrzynają się im w szyje – nie zostali powieszoni, lecz uduszeni, musieli tak

konać godzinami. Popycham jednego końcem opartej o huśtawkę włóczni. Odwraca się powoli i nagle patrzy mi w twarz krwawymi, pustymi oczodołami. Wrażenie jest tak silne, że odruchowo odskakuję do tyłu, potykam się i siadam ciężko na śniegu. To ratuje mi życie. W tym samym bowiem momencie niedaleko za moimi plecami rozlega się strzał i przeznaczona dla mnie kula porywa wisielca do gwałtownego, upiornego tańca. Leżę rozpląszczony na ziemi i nasłuchuję. Cisza, potem kilkakrotny szczeł uderzającej w pustkę iglicy. Z daleka wiatr przynosi stłumione grzmoty silnej kanonady. Obracam się na brzuch, podnoszę ostrożnie głowę i natychmiast chowam ją z powrotem – zaostrowany metalowy pręt zbrojeniowy grzechoce tuż koło mnie na betonowej płycie. Mroźną ciszę, przerywaną tylko dyskretnym skrzypieniem wisielczych łańcuchów, rozdziera jęk wściekłości i zawodu. Chyba skończyła mu się amunicja. Podnoszę się ostrożnie. Dobrze, że nie strzelił do mnie wcześniej – idąc tutaj, przechodziłem tuż koło jego kryjówki, wtedy nie mógłby chybić. Siedzi na ziemi, ukryty za kilkoma martwymi mutantami, wciśnięty między dwa przerdzewiałe na wylot wraki samochodów. Od góry osłania go daszek z arkusza pogiętej blachy – niezłe schronienie. Obok niego, na ziemi, błyszczy bezużyteczny rewolwer. Rozglądam się dookoła, Znajda obserwuje całe wydarzenie z daleka, siedząc na jakiejś cudem zachowanej ławce. Buja nogami w powietrzu i bez emocji rozgląda się po okolicy. Odwracam się w stronę ukrytego w cieniu mężczyzny. Jest starszy niż tamten chłopak na Wschodnim, sporo starszy. W jednej ręce trzyma zaostrowany kawałek metalu, prymitywną namiastkę noża, w drugiej kamień. Oczy błyszczą mu wściekłością i nienawiścią.

– Uspokój się – mówię łagodnie. – Przecież nic ci nie zrobiłem. Co tu się wydarzyło?

Ciężko dyszy, patrząc na mnie spode łba. Podchodzę bliżej i już wiem, dlaczego nie ucieka ani nie rzuca się na mnie. Spod brudnej szmaty wystają dwie bose, spuchnięte i fioletowe już stopy, wygięte pod nienaturalnym kątem.

– Co tu się wydarzyło? – pytam ponownie.

– Spierdalaj! – warczy.

– Co ci jest, człowieku? Przecież mogę ci pomóc... – Kucam przy nim.

– Ciekawe jak?! – wybucha i odrzuca przykrywającą nogi szmatę. W miejscu kolan z podziurawionych nogawek wypływa szerniała już galareta krwi. Jeżeli nawet nie zabiją go potwory, zrobi to gangrena.

– Kto ci to zrobił, co tu się działo?

– To ty jesteś ten sławny zdrajca? – odpowiada pytaniem.

– Nikogo nie zdradziłem – mówię cicho. – To mnie zdradzili.

Wzrusza ramionami.

– Dla nich jesteś zdrajcą – mówi. – To przez ciebie to wszystko. Tylu ludzi przez ciebie zginęło. Cała ta wojna...

– Co ty bredzisz? To wszystko było już od dawna ukartowane, ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Zdradziłeś! – krzyczy. – Wciągnąłeś ich w pułapkę, wydałeś na śmierć! Ty masz ich wszystkich na sumieniu!

– Ty tak na poważnie? – kręcę z niedowierzaniem głową. – Przygotowywaliście się do tej wojny od miesięcy, gromadziliście i przrzucaliście sprzęt. Za Wisłę, nawet kierunek właściwy, cóż za niezwykła

intuicja! Chcesz mi powiedzieć, że w naszych warunkach, gdzie tam, w dowolnych warunkach, taka liczba ludzi, ot tak, wychodzi sobie na wojenkę w dwa dni od mobilizacji?

Milczy, patrzy na mnie z zaciętym wyrazem twarzy.

– Mogę ci pomóc – mówię. – Chyba że chcesz tu zostać...

– Daj mi jakiś pistolet. Albo przynajmniej kulę. Coś tu powinieneś znaleźć.

– Żebyś znów do mnie strzelił?

– Nie, teraz strzelę sobie z łeb.

– Powiesz mi, co tu się wydarzyło? – pytam zniecierpliwiony.

– A co, kurwa? Nie widać? – burczy niechętnie. – Śniadanie na trawie...

– Nie, to nie, twoja sprawa – mówię obojętnie, podnosząc się. – Raczej nie do zobaczenia!

– Czeka! – krzyczy. – Nie zostawiaj mnie tu!

– To gadaj, bo mi się kończy cierpliwość...

– Co tu dużo gadać? Rozejrzyj się – po prostu jatka! Całą noc atakowały nas jak wściekłe, nie było minuty spokoju.

– Ale te trupy, tutaj i tam... To przecież nie mutanty...

– Noc sądu – mówi i spluwa tuż koło siebie czerwoną śliną. – Dzień sądu. Druga pierdolona doba sądu. Ludzie się zaczęli buntować, część chciała wracać, mieli dość. Stwierdzili, że nigdy nie dotrzemy do tych porwanych.

– Ty, jak rozumiem, byłeś podobnego zdania?

– Gówno prawda, zdrajco! – rzuca z nienawiścią w głosie. – Jestem oficerem i wiem, co to wojna!

– No to kto ci to zrobił? – pytam zdumiony.

– Te pierdolone tchórze, buntownicy i dezterterzy! Wzięli mnie najpierw jako zakładnika, a potem zaczęli się nade mną znęcać. Połamali mi nogi i darli się, żebym sam sobie szedł z odsieczą tym frajerom, co już pewnie i tak są od dawna sztywni.

– I co?

– I gówno! Tam – z satysfakcją wskazuje głową na bujające się na łańcuchach zwłoki. – Tam sobie wiszą. A ja tu siedziałem i przyglądałem się, jak zdychają...

– Żeby samemu zdechnąć parę godzin później?

– I chuj – wzrusza ramionami. – Ale przynajmniej w poczuciu, że jest prawo i sprawiedliwość na świecie!

– Dlaczego twoi nie zabrali cię ze sobą?

– Jak?! – drze się histerycznie. – To jest wojna! Nie mogli, nie ma jak, nie ma warunków!

– To czemu cię nie dobili, odchodząc?

Milknie, zaciska zęby i odwraca głowę. Po chwili znowu wybucha: przeklina, toczy z ust krwawą pianę, obiecując, co ze mną zrobi, jak tylko dam mu nabity pistolet. Wstaję i otrzepuję śnieg z kolan.

– Czeka! – ton głosu zmienia mu się gwałtownie. – Obiecałeś mi coś!

Patrzę na niego długo. W jego prawym oku szaleje niepohamowana nienawiść, w lewym kuli się śmiertelny strach. Odwracam się i szukam wzrokiem dziewczynki. Siedzi tam, gdzie siedziała. Chodź –

słyszę w głowie jej spokojny głos.

– Nic ci nie obiecywałem – rzucam zimno. – Poza tym masz nóż, poradysz sobie.

– Gnoju! Zdrajco! To wszystko przez ciebie! – drze się jak opętany, słyszę go jeszcze kilkaset metrów dalej.

Słyszą go też inni – kątem oka widzę omijające nas szerokim łukiem szare cienie, przemykające bezszelestnie w jego stronę.

Rozdział 17

Nie wiem, dlaczego stalkerzy, którzy prowadzą tę żalostną zbieraninę uzbrojonych po zęby i tak beztrasko marnujących cenną amunicję idiotów, wybrali właśnie tę drogę, tak blisko Wisły. Czy jest bezpieczniejsza niż ta, którą szliśmy kilka tygodni temu? Szczerze mówiąc, nie wygląda. Ale może to właśnie o to chodzi, żeby wciągnąć ich w jakąś pułapkę, wygubić, wytracić jak najwięcej? Czy wszyscy stalkerzy to zdrajcy, pasterze na usługach farmerów? Czy to po prostu nieudacznicy, którzy od początku nie potrafili przewidzieć konsekwencji niewłaściwego wyboru drogi i brną teraz przed siebie, płacąc za każdy kilometr cenę kilkudziesięciu istnień? A może naiwniacy, którzy zbyt łatwo zaufali tak, wydawałoby się, miazdzącej sile ognia? Sam już nie wiem, co o tym myśleć...

My tymczasem maszerujemy sobie spokojnie, jak na spacerku. Luksus podróżowania ze Znajdą jest czymś, na co chyba w tym życiu nie zasłużyłem. Choć ze śladów maszerującego wojska widać, że na krok nie odstępują go nieprzeliczone hordy szarych ścierw, my widzimy mutanty wyłącznie z daleka. Tych kilka, które najwyraźniej się zagapiły i prawie na nas wpadły, wycofało się natychmiast ze zjeżoną sierścią, kładąc po sobie uszy. Ciekawi mnie natura relacji, która łączy z nimi dziewczynkę. Czy one się jej boją, słuchają jej poleceń, a może to jeszcze coś innego? Ona nie odpowiada na moje pytania. Podaje mi tylko proste wskazówki dotyczące drogi, którą idziemy, czasem czegoś zabrania, przeważnie milczy i patrzy na mnie poważnym wzrokiem. Ale kiedy coś do mnie mówi, wyraźnie słyszę jej głos w mojej głowie. Nie komendy, polecenia, które mi wydaje, a ja je myślę. Słyszę jej głos! Cienki, dziecinny, sympatyczny. To chyba inaczej, niż mówiła Julia, ale może po prostu czegoś nie zrozumiałem. Jeżeli słyszę jej myśli, to dlaczego tylko niektóre? Znowu patrzy na mnie. Ty słyszysz wszystko? – pytam, nie otwierając ust. – Tak – odpowiada, chyba pierwszy raz. – To niesprawiedliwe – skarżę się jak dziecko. Uśmiecha się. Zamieniamy się chyba rolami.

Szybko doganiamy armię Ratusza. Wybuchająca co chwilę kanonada jest coraz bliższa, coraz głośniejsza i wyraźniejsza. W mroźnej ciszy szarego dnia głos niesie się daleko, wyraźny i czysty, nic go nie zagłusza, nie tłumi. Słyszę nawoływania oficerów, przeraźliwe jęki rannych, wulgarne przekleństwa żołnierzy walczących z atakującymi bez chwili wytchnienia mutantami. Dziwnie brzmią ich głosy w tym cichym świecie – gromada mężczyzn wrzeszczących wniebogłosy, siejących dookoła ogniem i ołowiem. Po dłuższej chwili rozumiem, co mi tu nie pasuje – ponieważ potwory atakują w milczeniu, słychać tylko jedną stronę. Armia szaleńców ścierająca się z urojonym wrogiem.

Przyglądamy się im z bezpiecznej odległości, z jakiegoś nasypu na skraju rozległych pól, poprzecinanych rzędami podmiejskich osiedli. Kiedyś dzieci zjeżdżały stąd na sankach, pewnie

cieszyłyby się z tego śniegu przez okrągły rok. Wiesz, co to sanki? Nie odpowiada, nie patrzy na mnie, przygląda się uważnie, jak zawsze, temu dziwnemu spektaklowi w dole. Mam nadzieję, że nas tu nie wypatrzą, bo, teoretycznie rzecz biorąc, jakiś dobry strzelec mógłby nas tu jeszcze dosięgnąć. Ale zbyt wielu dobrych strzelców to tam nie widać. Wpakowali się pomiędzy szeregi domów jak stado baranów: mutanty bez trudu rozrywają luźny szyk biegających w popłochu tam i z powrotem ludzi, jak wilki odłączają małe grupki, mordując bezradnych niczym dzieci żołnierzy, z których większość nie ma żadnej sensownej broni, poza tymi swoimi dzidami. Spełnia się przepowiednia Rektora o kijkach, którymi będą się zabijać.

Pomimo nieustannej szarpaniny na obrzeżach i chaosu w centrum armia konsekwentnie usiłuje posuwać się naprzód. Jednak tempo nie jest imponujące. Jak tylko awangarda przyśpiesza, ariergarda natychmiast wzywa pomocy, obawiając się, zapewne słusznie, że za moment zostanie pozostawiona samej sobie. Wojsko oscyluje nieustannie pomiędzy chęcią panicznej ucieczki a trwaniem na okopanych pozycjach. Z naszego punktu obserwacyjnego mogę wreszcie zobaczyć, jak duże siły zdołał zmobilizować Ratusz. Choć trudno dokładnie określić ich liczebność, bo są w ciągłym ruchu, a ponadto ruiny stojących gęsto budynków ograniczają pole widzenia, muszą ich być tysiące. Wciąż, mimo tych wszystkich trupów, którymi tak obficie znaczą swój szlak. Nie mam żadnego powodu im kibicować, lecz kiedy patrzę, jak łatwo i bezsensownie giną, robi mi się ich szkoda. Większość tych ludzi to było poprowadzone na rzeź – hojna ofiara dla szarych władców Ziemi. Przeżyją nieliczni, ci najważniejsi. Ci, którzy wciągnęli całą resztę w tę śmiertelną pułapkę i pewnie wyjdą z niej bez szwanku i bez konsekwencji. Widać ich dokładnie, wyróżniają się na tle kaleczącego się w panice własnymi dzidami, przerażonego tłumu. Gwardia – zgrany, idealnie zsynchronizowany kilkusetosobowy oddział, zawsze otoczony szerokim kordonem bezpieczeństwa pospolitego ruszenia. Idealny szyk, najeżony lufami kałasznikowów. Strzelają rzadko, ale niemal zawsze celnie. W centrum jeden człowiek, który za to wszystko odpowiada. I jego sztab. Ciekawe, czy gdyby zginął, cała ta mistyfikacja rozsypałaby się jak domek z kart. Próżne dociekania, z tej odległości nie jestem w stanie zrobić mu żadnej krzywdy. Idziemy? Tak, słyszę. Rusza w dół zbocza, dziecięcym, skocznym krokiem. Ledwo za nią nadążam, brnąc w głębokim śniegu. Musimy nadrobić szmat drogi, żeby bezpiecznie ominąć wojska metra. Nie chciałbym, żeby dosięgła nas jakaś zbłąkana kula. A błąka się ich tu sporo, co chwila coś świszce obok nas. Docieramy aż do ciągnącego się wzdłuż Wisły wału przeciwpowodziowego, by kryjąc się za nim, wysforować się do przodu. Po kilku kilometrach wychodzimy z powrotem na górę i maszerujemy kilka godzin przez niemal niezniszczone przedmieścia dawnej Warszawy. Mutantów praktycznie nie widać, pewnie wszystkie, z całej okolicy zajęte są teraz wojskiem. Słuch mają pewnie dużo lepszy od mojego, a odgłosy walki nie milkną, wciąż słychać je bardzo wyraźnie, choć jesteśmy już dobre kilka kilometrów dalej.

Znajda schodzi z wału, idziemy teraz w stronę torów kolei podmiejskiej. Cały czas uważnie ją obserwuję. Ubrana jest cieniutko, nie widziałem jeszcze, żeby cokolwiek jadła, kilka razy ssła tylko śnieg. Jednak nie widać po niej żadnych oznak zmęczenia. Kiedy na nią patrzę, wraca obraz Julii. Czy ona żyje? Czy zdążyli ją uratować? Czy ktoś ją w ogóle ratował? Czy uda mi się ją odnaleźć w Owczarni? Wiem, że to samobójcza misja, ale i tak żyję już na kredyt. Tak, dzięki tobie, uśmiecham się do niej.

Słuchasz o Julii? A tak właściwie to jak mnie znalazłaś, co? No, właściwie to nie spodziewałem się odpowiedzi. Chociaż zaraz – zatrzymuję się gwałtownie pośrodku pustej, zasypanej śniegiem drogi, a po plecach spływa mi lodowaty strumyk potu. To nie Julia, prawda? Jak ona miałaby ci o mnie powiedzieć, przekazać wiadomość, zrobić cokolwiek, zamknięta w jakiejś klatce tam, w Owczarni? Albo już martwa? Skąd miałaby wiedzieć, gdzie mnie szukać? Tak zafiksowałem się na „Julia – Znajda”, że zapomniałem, iż właściwszym skojarzeniem może być raczej „Znajda – Owczarnia”. To oni, prawda? Patrzę na nią uważnie. Przecież ty musisz ich znać. Znasz ich, prawda? To oni, oni kazali ci mnie przyprowadzić? Znaleźć zbiega i doprowadzić z powrotem do nich? Wiedzieli, że w metrze nikt z kwiatami witał mnie nie będzie, Franz miał o to zadbać. No, spisał się na medal, trzeba mu to przyznać, może w nagrodę dostanie jakąś bączkę? Wiedzieli, gdzie dzięki jego dyskretnym sugestiom prędzej czy później trafię, właściwie nie było wcale potrzeby mnie szukać. A dziecko sprawi, że niczego nie będę podejrzewał, pójdę za nim jak w dym, nawet o nic nie zapytam. To wszystko było od dawna ukartowane, tak? Wszystkie siły i cała energia uchodzą ze mnie jak powietrze z przekłutego balonika. Siadam ciężko w śniegu, patrzę na nią nawet nie ze złością, z wyrzutem, z żalem. Staje naprzeciwko mnie, patrzy spokojnym, dorosłym wzrokiem. Wyciąga przed siebie małą rączkę w śmiesznej, kolorowej rękawiczce. Tutaj, słyszę. Nie rozumiem. Tu masz, mówi. Macam się zdezorientowany po piersi, rozpinam grubą kurtkę i już wiem. Z kieszeni koszuli wyjmuję zniszczony, przepocony kartonik. Jej zdjęcie. Dziewczynka prezentuje w uśmiechu garnitur ostrych białych ząbków. Bierze mnie za rękę. Chodź, nie bój się, słyszę jej słowa. Waham się jeszcze. Chodź, powtarza i mocniej ściska moją rękę. Co mam zrobić? Do metra przecież nie wrócę. Podnoszę się. Idę.

Rozdział 18

Wędrowali po pustej śnieżnej krainie, mijając opuszczone cmentarzyska ulic, osiedli i całych dzielnic. Ciche, zapomniane. Nawet mutantów nie kręciło się tu zbyt wiele. Zatrzymał się w pewnym momencie, tuż przed przecinającą ich drogę nitką śladów. Klucząc nerwowo pomiędzy zagradzającymi ulicę wrakami aut, biegła na północ, w stronę Warszawy. Delikatnie wstawił nogę w odcisnięty w śniegu ślad buta – pasowały idealnie. Mimo że było to zaledwie kilka dni temu, tej okolicy prawie nie pamiętał. Cały ten kilkudniowy koszmar utonął w mętnej kałuży litościwej niepamięci. Kilka metrów dalej, równoległe do jego śladów, ciągnął się splątany warkocz tropów wydeptanych drobnymi łapami mutantów. Długo się im przyglądał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Maszerowali bez odpoczynku, aż zaczęło zmierzchać. Wtedy dotarli do torów. Józefów – odcyfrował na zardzewiałej tablicy wyblakłe litery. Muszę odpocząć, pomyślał, a dziewczynka zgodziła się z nim bez słowa. Wdrapali się na peron i weszli do stacyjnej poczekalni. Kilka małych stworzeń czmychnęło na zewnątrz, posykując gniewnie. Po obu stronach podłużnego, nieźle zachowanego pomieszczenia ciągnęły się drewniane ławki. Wyglądało to wręcz przytulnie, nawet smród zwierzęcego legowiska nie był zbyt intensywny. Mężczyzna zebrał kilka starych desek, jedną z nich podparł obite ciężką blachą drzwi, resztę połamał i ułożył pod wybitym oknem w niewielki stosik. Ostrożnie podniósł kilka poniewierających się po podłodze wymiętych kartek. Usiłował odczytać wydrukowane na nich litery, ale było już zbyt ciemno. Zmiał je więc i umieścił wewnątrz stosu, potem podpalił wyciągniętą z kieszeni kurtki zapalniczką. Suche drewno zajęło się błyskawicznie. Podoba ci się? – mruknął do dziewczynki. Nie była zachwycona, usiadła daleko od ognia i objęła kolana rękami. Wyciągnął z plecaka dwie konserwy i położył je przy ognisku. Kiedy się ogrzały, otworzył pierwszą. Proszę – wyciągnął do niej rękę. Pokręciła tylko głową. Co ty jesz? – zapytał. Nie odpowiedziała. Pochłonął parującą zawartość puszki w dwie minuty, zagryzając sucharami. Gdzieś niedaleko tęsknie zawył jakiś potwór. Widzisz, on by miał ochotę – uśmiechnął się syty i zadowolony. Na ciebie – odpowiedziała i dobry nastrój prysł w jednej chwili. Nie powinienem zapominać, gdzie jestem – skarcił się w myśli. Przytaknęła z zabawną powagą.

Pierwszy raz od kilku tygodni spał normalnym, głębokim snem. Bez żadnych marzeń, bez koszmarów. Kiedy się obudził, dziewczynka siedziała na ławce w tej samej pozycji. Na zewnątrz było już jasno, a ognisko tliło się jeszcze resztką żaru. Rozdmuchał go bez trudu i podgrzał drugą konserwę. Zjadł, parząc sobie ręce i usta. Zauważył, że z plecaka zniknęły dwie paczki sucharów. Smacznego – uśmiechnął się. Lekko speszona, dzieciennym gestem wytarła buzię grzbietem dłoni.

Zanim wyruszyli, popatrzył jeszcze na peron. Drewniane ławki, które nie wiadomo jakim cudem wciąż

zachowały swą intensywnie niebieską barwę. Jak dawno to było, pomyślał. Kiedy dokładnie? Czas skutecznie zatarł w pamięci takie drobiazgi. Ale dobrze zapamiętał obraz: rano czekał na pociąg. Całą noc musiało wtedy padać. Stara, otyła kobieta mości sobie miejsce – z workowatej torby wyciągnęła złożony w kostkę arkusz grubej folii, rozściela go starannie na błyszczących wilgocią deskach. Potem z tej samej torby wyciąga grubą książkę w miękkiej oprawie. Pewnie jakiś skandynawski kryminał, pomyślał. Wzruszył się trochę, bo nie wyglądała na czytana. Tanie ciuchy z supermarketu, rzadkie, kruczoczarne włosy farbowane nad kuchennym zlewem. A jednak pozory mylą, pomyślał. Czyta! Czyli nie jest tak źle, jak lamentują ci wiecznie niezadowoleni inteligenci... Ostrożnie ułożyła książkę na folii, znowu szuka czegoś w wypchanym torbiszczu. Pewnie okularów. Znalazła. Nie, to nie okulary. Małe lusterko uśmiechnęło się do niego dyskretnym zajaczkim. Jeszcze coś, małe, też błyszczące. I wtedy ona sadza ciężkie dupsko na ławce, mości się wygodnie. Książka znika między tłustymi półdupkami. Babsko wysuwa do przodu masywną szczękę i operując sprawnie lusterkiem i pęsetą, z zapamiętaniem wyskubuje z brody grube czarne włosy. To się nazywa pochłaniać literaturę, pomyślał z uznaniem.

Po dwóch godzinach dotarli do grzbietu wydm, którym szedł kilka tygodni wcześniej. W oddali połyskiwały szklane elewacje śródmiejskich wieżowców. Armia musiała maszerować całą noc i niemal ich dogoniła – wiatr niósł wyraźne odgłosy nieodległej strzelaniny. Kiedy przeszli na drugą stronę wydm, znowu zrobiło się cicho. Minęli spalone ruiny leśnej willi i przeszli przez zamarzną rzekę. Kiedy weszli na drogę prowadzącą do granicy poligonu, zauważył, że szlak nie jest już tak dziewiczy jak wtedy. Pod cienką warstwą śniegu krzyżowały się ślady pieszych i podwójne koleiny pozostawione przez lekkie pojazdy. Poza tym od kilku godzin nie napotkali żadnych śladów żywych istot. Las pogrążony w milczącym uspieniu sprawiał idylliczne wrażenie, koł zmęczony wzrok i usypiał zmysły.

Kiedy zobaczył ogrodzenie, wstrząsnął nim nieprzyjemny dreszcz. Tym razem jednak nie spotkali tam nikogo.

Dziewczynka dzielnie brnęła po kolana w śniegu, po kilku godzinach od wyruszenia ze stacji z trudem za nią nadązał. Zostawili za sobą poligon. Las zmienił się, martwe drzewa były teraz młodsze, mniejsze.

– Poczekaj – krzyknął rozemocjonowany. – Poznaję to miejsce, to tutaj on postrzelił Julię, stąd nas zabrali!

Krąg gołej ziemi, otoczony wysokimi śnieżnymi zaspami, zajmował środek dużej polany. Wyglądało to tak, jakby ktoś zdmuchnął śnieg za pomocą olbrzymiego wentylatora. Żadnych innych śladów ich pobytu tutaj nie było już widać, ale nie miał najmniejszych wątpliwości. Stąd nas zabrali, to był śmigłowiec, myślałem, że to halucynacje, ale nie, to był prawdziwy śmigłowiec, ją też przecież zabrali – odświeżone nagle wspomnienia niedawnych wydarzeń kłębiły się w jego głowie. Tym razem dziewczynka nie zwracała na niego uwagi. Przyklękła na środku brunatno-zielonego kręgu i delikatnie głaskała czepiającą się zmarzniętego piasku kępkę mchu i seledynowych porostów. Żyje – powiedziała bezgłośnie. Odwrócił gwałtownie głowę. Kto żyje? – spytał. Położyła się na ziemi, przytuliła policzkiem do miękkiej zielonej poduszeczki. Żyje – powtórzyła.

Już niedaleko.

– On mówił tak samo – powiedział głośno. – Franz. Mówił, że to już niedaleko.

Najpierw helikopterem, potem na przyczepce traktora, z Doktorem, teraz z tobą, pieszo – wyliczał w myśli. Rozpalił małe ognisko i zagrzał w nim konserwę. Znajda chrupała suchary.

Potem podniósł się z wysiłkiem i ruszyli.

Faktycznie nie było daleko, najwyżej kilka kilometrów. Las skończył się chwilę potem, jak opuścili polanę, minęli następną rzekę i szli teraz przez rozległe śnieżne pustkowia. Omijali kępy suchych głógów porastających miedze i nieużytki, z których rozbiegały się w popłochu niewielkie mutanty. Jak zajęce, pomyślał. Pewnie pożarły te prawdziwe. Potem przecięli szosę, wzdłuż której straszył czarny, szczerbaty szereg wypalonych domów – ruiny sporej wsi. Potem znowu pola, równe i puste aż po niedaleki horyzont. W śnieżnej kurzawce zamajaczyło kilka kominów, dachy niewysokich pawilonów i zwalisty, zwieńczony spłaszczoną kopułą blok – cel ich podróży. Teren wokół Owczarni nie dawał wielu możliwości schronienia.

– Musimy się gdzieś tu ukryć i poczekać do zmroku – wyszeptał, przystając gwałtownie, gdy wiatr ustał na chwilę, a śnieżny tuman opadł i odsłonił ich, widocznych z Owczarni jak na dłoni. – Może potem, nocą, uda się tam jakoś dostać. Może uda się ich jakoś znaleźć. Julię, Doktora, Nguyena. Pozostałych mam gdzieś – dodał po chwili.

Kątem oka dostrzegł przemykający kilkadziesiąt metrów od nich w śnieżnym tumanie szary kształt. Jeszcze to, pomyślał. Najpierw był jeden, potem kolejny, teraz już chyba całe stado. Krążyły wokół nich. Bezszelestne, prawie niewidzialne, jak duchy.

Wyciągnęła do niego rączkę. Chodź – usłyszał – pójdziemy teraz.

– Zwariowałaś, dziecko? – zapytał, przykucając przy niej. – W dzień nie mamy najmniejszych szans!

Nie odpowiedziała, nadal wyciągała do niego dłoń w zielonej rękawiczce. Wiem, pomyślał. Powinniśmy wrócić tam, na polanę, do Radiówka i znaleźć bunkry radiostacji. Ukryć się tam, poczekać do zmierzchu. Potem coś byśmy wykombinowali. Znasz to miejsce, prawda? Na pewno jest jakieś boczne wejście, jakaś niepilnowana brama. A teraz chodźmy tam, do Radiówka. Pokręciła tylko głową.

– To chociaż w tej zrujnowanej wsi schowajmy się do nocy – zaproponował. – Musimy się cofnąć raptem kilkaset metrów.

Już niedaleko – powiedziała.

– To oni ci kazali? – zapytał smutno. – Jak najszybciej?

Zniecierpliwiona pokręciła głową.

Julia – powiedziała. – Chodź.

Rozdział 19

Dzielący nas od Owczarni ostatni kilometr pokonuję na sztywnych ze strachu nogach. Właściwie to Znajda ciągnie mnie po prostu za rękę i mam wrażenie, że cała moja do niej sympatia ulatuje i zostaje gdzieś za nami, w śnieżnych koleinach ciężkich śladów. Nie rozmawia już ze mną w tym naszym milczącym języku, wygląda na strasznie zajęta, obecną tutaj tylko swoim drobnym, niepozornym ciałem. Jakby właśnie z kimś intensywnie dyskutowała. Ja też cierpię na nieustanny i niepohamowany myślotok. Wyobraźnia podsuwa mi coraz to nowe obrazy. Segreguję je, żeby nie oszaleć. Jako czystą spekulację, a zatem pozbawione sensu, odganiam wszystkie scenariusze, które ze szczegółami podpowiadają mi, co mogłoby się teraz wydarzyć. Zawsze miałem skłonność, by wyobrazać sobie, co się za chwilę wydarzy. Przewidzieć każdy krok drugiej strony, przygotować celną ripostę, po prostu być gotowym. Potem i tak zawsze okazywało się, że historia toczyła się w zupełnie innym kierunku i wszystkie przemyślnie domysły funta kłaków były warte. Nie mam zmysłu profetycznego. Wystarczy zatem. Zaraz się przekonam. Myśli o ucieczce, plany „B” i potencjalne drogi ewakuacji również nie mają żadnego sensu. Wiem, że bez Znajdy zginę tutaj, w tej śnieżnej pustyni, zanim zdążę pomyśleć, w którą stronę uciekać. Przypomina mi o tym coraz bliższe głucho warczenie za plecami.

Jakieś dwie godziny temu, kiedy tylko wyszliśmy z lasu, północny horyzont rozjarzył się krwawą łuną, a szeroka ława czarnego dymu, ścielącego się nisko nad drzewami, poczęła spelzać z wydm, z których niedawno schodziliśmy. Wiatr wieje w naszą stronę, od czasu do czasu przynosząc ciepłą woń spalenizny. Coraz wyraźniej też słychać już nie tylko strzały, ale również nawoływania i wrzaski ludzi – wojsko wyraźnie przyspieszyło i jest najwyżej kilka kilometrów za nami.

Człapię ciężko w głębokim śniegu i ogarnia mnie pusty śmiech. Żeby dziecko ciągnęło mnie na szafot, przecież to groteskowe! I jeszcze się do mnie uśmiecha... Targają mną sprzeczne uczucia. A może wcale nie jest tak, jak podpowiada mi najczarniejsza wyobraźnia? Może bez sensu się ciskam? Bez sensu denerwuję? Może ten uśmiech nie jest złośliwym wyrazem triumfu, jakim mi się teraz wydaje, ale zwykłą próbą dodania mi odrobiny otuchy? Przecież gdybym miał zginąć, gdyby to oni zaplanowali, a ona miała wykonać, okazji było aż nadto. I to jakich? Spektakularnych jak cholera! Nie wystarczyłoby mnie wtedy po prostu zostawić własnemu, dość – trzeba przyznać – marnemu losowi? No, chyba że to, co przygotowali na teraz, przebiję wszystkie dotychczasowe okazje... Z całym szacunkiem jednak, ale trudno mi to sobie nawet wyobrazić. A jeżeli to prawda, to *chapeau bas!* W takim razie chętnie popatrzę. Ba, wezmę nawet udział! Mam huśtawkę nastrojów – w sekundę od czarnej rozpacz do wisielczego humoru.

Docieramy do zewnętrznego ogrodzenia. Byłem tu kiedyś ze szkolną wycieczką, i inaczej to wtedy wyglądało. Kiedyś wszędzie rosły tu drzewa, gęste krzaki – instytut tonął w zieleni. Nie ma już po niej śladu, prawie cała roślinność została wycięta lub spalona, spod grubej szarej pierzyny wystają marne resztki poskręcanych badyli. Porywisty wiatr podrywa chmury śniegu, ograniczając widoczność do kilkudziesięciu metrów. Na drodze jest coraz więcej śladów: grube, terenowe opony, szerokie gąsienice skuterów śnieżnych, ogromne buciory owczarków, tropy mutantów. Od jakiegoś czasu stale już towarzyszy nam intensywny smród spalenizny i odgłosy pojedynczych wystrzałów.

Mijamy pierwszą bramę, jest otwarta na oścież, przez nikogo niepilnowana. Podążające za nami mutanty zatrzymują się tuż przed nią, jak na niewidzialnym drucie elektrycznego pastucha. Przyglądam się im przez chwilę przez ramię, ale ich oczy są nieme, martwe, jak szklane protezy.

Po prawej mijamy rozległy, pusty plac, kiedyś pewnie parking. Gładka, wręcz dziewicza powierzchnia śniegu skrzy się delikatnie w nieśmiałym popołudniowym słońcu, które na krótką chwilę przedarło się przez niskie, ołowiane chmury. Potem kolejna linia ogrodzenia, kolejna otwarta na oścież brama i znowu parking, tym razem zamieniony w intensywnie używany plac manewrowy. Teraz jest jednak pusty, nie widać żadnego pojazdu. Po drugiej stronie placu ciągnie się wysokie na jakieś pięć metrów ogrodzenie z betonowych paneli, zza którego wystaje górna kondygnacja dwupiętrowego pawilonu. Choć w murze nie widać żadnych przerw, Znajda prowadzi mnie wprost na niego. Po chwili widzę już, o co chodzi. W ogrodzeniu jest wąska przerwa, osłonięta od frontu wolno stojącym panelem, z pewnej odległości prawie niewidoczna w miękkim, rozproszonym świetle.

– Naprawdę chcesz, żebym tam wszedł? – pytam ze ściśniętym gardłem. Czuję się jak Orfeusz u bram Hadesu. Nie wiem tylko jeszcze, jaki talent miałby mi pomóc wrócić stąd żywym. Liry nie mam, śpiewać nie umiem. Dziewczynka zdecydowanie ciągnie mnie za rękę, chyba już trochę znudzona moimi ciągłymi wątpliwościami. Julio, mam nadzieję, że nie staniesz się moją Eurydyką... Melodramatycznie się zrobiło, czuję na sobie pełen dezaprobaty wzrok Znajdy.

Przeciskam się między ciężkimi betonowymi zaporami. Po drugiej stronie przejście zasłania identyczny panel. Wychodzę zza muru wprost na nich. Nie to, żebym się ich nie spodziewał... Ba!, byłem wręcz pewny, że możemy ich spotkać – przecież są u siebie! Ale i tak staję jak wryty. Podejrzewać a znaleźć się oko w oko to jednak dwie zupełnie różne sprawy. Ustawili się jak jakiś surrealistyczny komitet powitalny kilka metrów od nas, przy przerdzewiałym szlabanie w biało-czerwone pasy. Tym razem nie mają na twarzach masek, dzięki czemu ze zdumieniem stwierdzam, że są praktycznie identyczni, różnią się tylko wzrostem. Pieprzone bliźniaki Mengele, przychodzi mi do głowy, a Znajda patrzy na mnie zdziwiona. Nie zrozumiesz, dziecko.

Rozglądam się nerwowo, szybko dostrzegam czwórkę owczarków mierzących do mnie z niewielkich, ale groźnie wyglądających karabinków. Po plecach przelatuje mi nieprzyjemny dreszcz. Są jeszcze dwaj inni, ustawili się tak, że odcinają nam drogę odwrotu. Farmerzy nie wyglądają na uzbrojonych.

– Witaj! – mówi ten wyższy. – Cieszymy się, że możemy cię znowu widzieć.

Ma sympatyczny, niski głos.

– Jesteśmy gospodarzami tej placówki – mówi niższy. – Ja nazywam się Metody, a to – wskazuje

dłonią – jest Cyryl.

Jestem tak zaskoczony tą przemową, że zapominam języka w gębie. Stoję z opuszczonymi rękami i wybałuszam na nich zdumione oczy.

– A jak ciebie nazywają? – pyta wyższy, Cyryl.

– Ostatnio głównie zdrajcą, chociaż nim nie jestem. Zresztą kto, jak nie wy, mógłby o tym najlepiej zaświadczyć?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – upomina mnie łagodnie. – Kim jesteś?

– Nikim – wzruszam ramionami. – Jestem nikim.

– Nemo... – mówi z uznaniem.

– Żaden Nemo – przerywam niegrzecznie. – Czego wyście się, do cholery, nawąchali?

– Prostack – mówi niższy obrażonym tonem.

– Bezpośredni! – poprawia wyższy. – A to jest... – wskazuje na Znajdę.

– Nasza zguba – dopowiada niższy. – Tęskniliśmy – mówi z kiepsko udawaną troską.

Dziewczynka nie reaguje, nie patrzy na nich nawet, jej twarz staje się obojętną maską dziecięcego manekina.

– Broń! – warczy ten, który przedstawił się jako Metody.

– A, tak – mówi wyższy. – Jeżeli masz przy sobie jakąś broń, bądź łaskaw ją teraz wyrzucić. Tylko wyjmuj ją powoli i ostrożnie, wiesz, o co chodzi – instruuje mnie łagodnym tonem. – Nie chcielibyśmy przecież, żeby komukolwiek stała się krzywda.

Najwolniej, jak potrafię, wyciągam dwoma palcami glocka zza paska. Czuję na sobie intensywne spojrzenia wszystkich owczarków. Odrzucam pistolet w śnieg, pod nogi farmerów.

– Nic więcej?

Kręcę głową. Niższy daje znak stojącemu najbliżej owczarkowi, a ten oklepuje mnie wprawnymi ruchami. Kiedy się do mnie zbliża, przechodzi mnie dreszcz obrzydzenia, wracają niedawne wspomnienia. Owczarek kończy przeszukanie, odsuwa się i zamiera w bezruchu.

– No to świetnie! Ale, ale, nie będziemy przecież tak stać na mrozie, nieprawda? Chodźmy do środka – zaprasza wyższy, Cyryl. – Ugościmy, czym chata bogata!

Nie czekając na moją odpowiedź, odwracają się i ruszają w stronę majaczących w śnieżnej zamieci pawilonów. Czwórka owczarków nie odstępuje ich na krok, podążając za nimi jak cienie. Dwaj pozostali czekają, aż włączymy się ze Znajdą do tego małego konwoju, i po chwili słyszę za sobą skrzypienie ich butów w śniegu. Patrę na milczącą dziewczynkę, na jej obojętną twarz, która nagle staje się mi tak obca, jakby nie była twarzą dziecka mojego własnego gatunku. Powiedz coś, chociaż jedno słowo, uspokój mnie, błagam ją w myślach, ale milczy, nie odwraca nawet głowy. Pasujesz tu, myślę ze złością. Do tych drani i tych cudaków. Sztwywny ze strachu wyzywam się w myślach od głabów i ciężkich naiwniaków, żałuję, że dałem się tu zaciągnąć jak baran na rzeź. Jednak po chwili przychodzi chłodna refleksja: A dokąd chciałbyś właściwie, idioto, pójść? Zakładając oczywiście, że – nie wiadomo jakim cudem, a na cud się tam zupełnie nie zanosilo – wydostałbyś się z tej jatki w tunelu średnicowym? Gdzie chciałbyś szukać schronienia? Przecież Owczarnia jest jedynym miejscem, które i tak, prędzej czy

później, przyszłoby mi do głowy, i tak próbowałbym się tu przedrzeć. Bez Znajdy – z łatwym do przewidzenia skutkiem. Dwa razy coś takiego się nie zdarza. Do końca życia nie zrozumieję, jak mi się to wtedy udało. Ale na pewno kosztowało mnie zbyt wiele. Idę więc grzecznie za naszymi gospodarzami i rozglądam się uważnie po okolicy, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Ot tak, na wszelki wypadek. I dla zajęcia czymś rozdygotanego umysłu.

Po kilkuset metrach wchodzimy do jednego z niemal identycznych pawilonów. W środku panuje nieopisany bałagan – tony papierów walają się po podłodze, powywracane, połamane meble tarasują korytarze. Farmerzy kierują się w stronę prowadzących do piwnicy schodów. Widząc moje wahanie, jeden z owczarków popycha mnie delikatnie. Znajda porusza się jak automat. Milczy, nie patrzy na mnie, unika mojego wzroku lub patrzy wskroś mnie, jak przez szybę. Kilkanaście wąskich stopni dalej stoimy wszyscy przed grubymi, stalowymi drzwiami. Jeden z farmerów wystukuje kod na staroświeckiej klawiaturze zamontowanej w ścianie i ciężkie drzwi odskakują z dyskretnym westchnieniem nadspodziewanie lekko. Przez ciasną śluzę przechodzimy do podziemi budynku i nagle znajdujemy się w zupełnie innym świecie. Puste korytarze lśnią czystością, grube szyby oddzielają je od bogato wyposażonych pomieszczeń laboratoryjnych, wszystko skąpane jest w przyjemnym białym świetle. Poprzednim razem widziałem zaledwie maleńki kawałek tego świata, teraz będzie mi chyba dane poznać go dokładniej.

– Chodźmy, chodźmy – zaprasza Cyryl z szerokim uśmiechem. – Pójdziemy do nas, będziemy tam mogli wygodnie porozmawiać.

Nauczony doświadczeniem z metra, dość dobrze radzę sobie z podziemną nawigacją. Korytarz, którym idziemy, już dawno wyszedł poza obrys budynku, w którym zeszedliśmy do bunkra. To nie są zwykłe piwnice, to podziemne miasteczko, ciągnące się zapewne pod całym kompleksem instytutu.

Po kilkudziesięciu metrach przechodzimy przez kolejne grube drzwi i znajdujemy się nagle w świecie staroświeckich boazerii, rozświetlonych dyskretnym blaskiem mosiężnych kinkietów. Miękkie, tapicerowane sofy i głębokie fotele na korytarzu nadają temu miejscu surrealistyczny w tych okolicznościach wygląd angielskiego klubu dla gentlemanów. Dawno nie byłem w pomieszczeniu, w którym byłoby po prostu ciepło, pocę się w swoich grubych ciuchach. Stajemy przed drewnianymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Niższy z farmerów warczy coś w niezrozumiałym, zwierzęcym języku do Znajdy. Dziewczynka powoli bierze mnie za rękę, wciąż ma nieobecny wzrok, a jej twarz przybiera wyraz zaciętej determinacji. Metody denerwuje się, gestykułuje i powtarza swoją chrapliwą kwestię. Domyślałem się, o co chodzi.

– Ona idzie ze mną, nie rozstajemy się – mówię zdecydowanie.

– Dobrze już, dobrze – łagodzi Cyryl. – Przecież może iść, prawda? Posiedzi w kącie, nie będzie nam przeszkadzać. Nie będziesz przeszkadzać, prawda? – uśmiecha się do dziewczynki.

Dziecko nie reaguje, trzyma mnie kurczowo za rękę i patrzy na drzwi, jakby już wybierało kąt, w którym sobie usiądzie. Wszystkie, poza jednym, owczarki zostają na zewnątrz.

Wnętrze przestronnej sali zaskakuje mnie mimo wstępu, który miałem okazję zobaczyć przed chwilą. Eleganckie skórzane fotele, ciężkie drewniane stoły, ciemne, tkane dywany, kilka regałów pełnych

książek. Ale nie to sprawia, że staję jak wryty. Z niewidocznych głośników sączy się spokojna, dyskretna muzyka. Dopiero teraz dociera do mnie, co jeszcze straciliśmy, czego brak w naszym ponurym świecie tuneli. Dziś mało kto pamięta jeszcze o tym, kiedyś tak naturalnym, elemencie naszego życia. Muzyka była przecież czymś tak oczywistym, tak pospolitym, że w pierwszej chwili nie zauważyliśmy nawet jej zniknięcia. Ot, umilkła. Ale kto w takiej chwili myślałby o muzyce? Potem ciągle były ważniejsze sprawy, aż z czasem cisza, jak trujący gaz, wypełniła ciemne tunele metra, rozpełzła się po naszym tak niegdyś hałaśliwym świecie. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: zmysł słuchu, przywrócony na należne sobie miejsce w hierarchii zmysłów przez tę gwałtowną, pośpieszną ewolucję, okazał się nieocenionym sprzymierzeńcem w codziennej walce o przetrwanie. Cóż, muzyka to język zwycięzców – sytych i bezpiecznych. My, przegrani, siedzimy cicho, jak myszy pod miotłą.

Farmerzy rozsiadają się w fotelach, wskazując mi miejsce naprzeciwko siebie. Ostentacyjnie ignorują Znajdę. Chodź, usiądź tutaj, myślę i dziewczynka posłusznie siada obok mnie. Niższy jest wyraźnie niezadowolony, lecz Cyryl macha lekceważąco ręką. Patrzą na nich, kompletnie nie rozumiejąc sytuacji, w której się znalazłem.

– Kim wy właściwie jesteście? – pytam.

– To nie ma znaczenia – ucina sucho niższy.

– Jak twoje imię... – mówi Cyryl. – Ale co tam, jesteś pewnie głodny i spragniony – dodaje po chwili.

Nie odpowiadam, ale on i tak szczeka krótko za siebie i po chwili do sali wchodzi owczarek niosąc dymiący talerz pełen szarej masy i duży kufel mętnego napoju.

– Nie będę tego jadł, nie jestem głodny – mówię, głośno przełykając ślinę.

– Nie bój się, nie otrujesz się – uśmiecha się Cyryl.

– Nie otrujemy cię – warczy obcesowo Metody. – Czy nie sądzisz, że gdybyśmy tylko chcieli, abyś był martwy, byłbyś już od dawna wzorcowym wręcz trupem?

– Nie o to chodzi – usprawiedliwiam się. – Tylko jakoś mi to ostatnio przestało smakować...

– To nie z ludzi – uśmiecha się dziwnie Metody. On też czyta w moich myślach?

Nie – słyszę cichy głos Znajdy i kamień spada mi z serca.

– Robisz nam przykrość, odmawiając – wtrąca tonem łagodnego rodzicielskiego upomnienia Cyryl. – Jedz, nie bój się. To może nie wygląda najlepiej, ale jest bardzo pożywne.

– Niech on przyniesie drugą łyżkę – proszę, wskazując na strażnika.

Cyryl wygląda na rozbawionego, za to Metody jest wyraźnie zniecierpliwiony.

– Ona tego nie ruszy, ty jedz! – rzuca.

– Proszę! – nalegam.

Niezadowolony warczy coś do owczarka i ten wraca po chwili z jeszcze jedną stalową łyżką.

– Chodź – mówię do dziewczynki. – Bierz i jedz. Jak ja.

Niezdarnie bierze łyżkę do rączki.

– Zdejmij te rękawiczki, będzie ci łatwiej.

Posłusznie wykonuje polecenie, a potem, wlepiając we mnie uważne oczy, naśladuje każdy mój ruch. Kiedy kilka łyżek szarej brei ląduje na blacie stołu i grubym, puszystym dywanem, niższy aż podskakuje ze

złości. Wyższy uspokaja go dyskretnie. Tylko w jednym są zgodni – nie mogą uwierzyć w to, co widzą. Dziewczynka pałaszuje w takim tempie, że zaraz nie zostanie nic dla mnie. Faktycznie, wygląd tego posiłku jest mylący – smakuje dużo lepiej, niż wygląda. Właściwie jest całkiem smaczny. Smaczniejszy niż wszystko to, co od lat jadłem. Płyn jest ciepły, słodkawy i orzeźwiający. Po chwili i talerz, i kufel są puste. Znajda dłonią wyciera talerz do czysta, zgrzytając pazurkami o dno naczynia. Potem starannie wylizuje palce. Obaj farmerzy przyglądają się jej z niedowierzaniem.

– Będziemy musieli to... – zaczyna Metody.

– Lepiej zbadać – kończy Cyryl.

– A co wcześniej jadła? – wtrącam się, wybijając obu z tego nagłego naukowego zamyślenia.

– Ją zapytaj – ucina Metody. – Przecież się porozumiewacie, prawda?

– Dziękuję za posiłek – zmieniam temat.

– Nie ma za co. Smakowało?

Kiwam głową. Dziewczynka naśladuje mnie z bardzo poważną miną, ale żaden z farmerów nie zwraca na jej gest uwagi. Pochylają się w fotelach w moją stronę, przybierają uroczyste miny.

– To porozmawiajmy teraz o tym, dlaczego się tutaj znalazłeś – zagaja Cyryl.

– No, nie mogę się doczekać!

– No widzisz! A to jest bardzo proste. Otóż my was potrzebujemy.

– Jesteście nam potrzebni – poprawia Metody.

– I wy potrzebujecie nas – kontynuuje Cyryl. Jego brat bliźniak milczy, przyglądając mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Chcecie z nas robić konserwy dla tych waszych przerośniętych kotów?

– Widzisz, ty kpisz, a sytuacja jest poważna – karcę mnie łagodnie Cyryl. – Powiedziałem przecież, że wy również nas potrzebujecie. Widzisz przecież, jak teraz wygląda wasz świat...

– To on nie jest również wasz? Macie jakiś inny?

Zawiesza na chwilę głos, ignorując moją złośliwość.

– Znasz go przecież dobrze, wiesz, jak się w nim żyje.

– Jak robaki kryjecie się w mroku – wtrąca niższy.

– Gdzieś to już słyszałem... Albo raczej widziałem.

– No widzisz – mówi wyższy. – To wiesz już też dostatecznie dużo, by zrozumieć, że my możemy przywrócić wam Ziemię.

– Możecie?

– Możemy. I chcemy.

– Ale... – zaczyna niższy.

– ... To nie jest, niestety, takie zupełnie proste – kończy wyższy.

– Do czego my jesteśmy wam potrzebni? – pytam pełen najgorszych przeczuć.

– Widzisz, nasze placówki...

– Jest ich więcej? Gdzie? Kim jesteście?!

– ...Nasze placówki zajmują się badaniami alfów. Alternatywnych form życia – dodaje, widząc moją

zdumioną minę.

– Alien Life Forms – przypominam sobie słowa w dawno niesłyszonym języku.

– Widzisz? – mówi z uznaniem Cyryl.

Metody macha tylko lekceważąco ręką.

– Czyli to całe szare bydło tutaj to wasza robota? – pytam.

– Masz! – Kręci z rezygnacją głową. – Nic z tego nie będzie...

– Poczekaj – uspokaja go Cyryl. – Nie, oczywiście że nie – zwraca się do mnie. – To sprawiliście sobie sami. To mutageny, przeróżne. Od najzwyklejszego DDT po świństwa, nad których składem do dziś się głowimy. To wy uruchomiliście lawinę, która nie wiadomo gdzie i czy w ogóle się kiedyś zatrzyma. One mutują w takim tempie, że aż czasem trudno w to uwierzyć.

– To co to są te alfy?

– To organizmy przystosowane do życia w dzisiejszym świecie. W różnych miejscach, bo rodzajów skażenia jest tyle, ile zbombardowanych miast.

– A na granicach pomiędzy różnymi obszarami tam to się dopiero dzieje... – wtrąca Metody, a w jego głosie słychać niezdrową fascynację.

– Naukowiec, musisz mu wybaczyć – uśmiecha się kwaśno Cyryl.

– Dobra. Chodzi o nich? O owczarki?

– O, wiesz jak się nazywają, to dobrze. O nich też. Do pewnego stopnia. Zasadniczo chodzi jednak o ten gatunek tutaj – wskazuje głową na Znajdę.

Dziewczynka nie reaguje, jakby nie rozumiała lub nic a nic nie obchodziło ją, że to o niej mowa. Siedzi na skraju fotela, podpira się rączkami i buja nogami.

– Jak to: gatunek? To ona nie jest człowiekiem? – pytam zdumiony.

– A przypomina człowieka? – prycha Metody.

– Jest prawie człowiekiem – doprecyzowuje Cyryl. – Albo może powinienem raczej powiedzieć: „czymś więcej niż człowiekiem”. Zauważyłeś z pewnością, że posiada pewne, że tak powiem, niecodzienne u ludzi umiejętności?

– No, trudno nie zauważyć...

– No właśnie. Ten gatunek alfa można spokojnie zaliczyć do stosunkowo udanych...

– Przepraszam – przerywam ten wywód. – Czy moglibyśmy jednak nie mówić o Znajdzie jak o jakimś mutancie? O obcym gatunku. Przy niej...

– Ale ona jest obcym, mutantem – mówi Metody.

– Znajdzie? Tak ją nazwałeś? To zabawne, bo nam ona się zgubiła – uśmiecha się Cyryl. – No dobrze. Ale wracając do rzeczy, nie chcielibyśmy zanudzać cię szczegółami, drobiazgami i naukowym żargonem. Powiem zatem w skrócie: żeby przywrócić wam Ziemię, potrzebujemy właśnie was.

– Jesteśmy, przywracajcie!

– Mało zabawne...

– Metody ma bardzo wyrafinowane poczucie humoru, musisz mu wybaczyć...

– Nic mi nie musi wybaczać. Przestań już z tym. Nie widzisz, że to nie ma najmniejszego sensu?

– Nie denerwuj się. Omawialiśmy wyniki eksperymentów, zgodziłeś się ze mną. Moim zdaniem wybór był właściwy.

– Ale potem...

– Potem wszystko też poszło zgodnie z planem. Teraz powinniśmy...

– Przepraszam – próbuję przerwać tę małżeńską sprzeczkę i dojść do głosu. – Przepraszam!

Patrzą na mnie obaj, zaskoczeni.

– Czy wy rozmawiacie o mnie? Czy te tortury, jakim poddawaliście mnie te kilkanaście dni temu, to był jakiś eksperyment? Naukowy? Nie jestem specjalistą, ale moim skromnym zdaniem nie miał on zbyt wiele wspólnego z metodami naukowymi. I przede wszystkim: co ja tutaj właściwie robię? Czy dobrze rozumiem, że to, co mnie od jakiegoś czasu spotyka, to kolejne etapy jakiejś chorej gry? To taka zabawa? Wy jesteście kotki, ja jestem myszką? Co teraz? Bo nie widzę tu żadnej dziury, w której mógłbym się schować...

– Tak, tak – mówi pojednawczo Cyryl. – Właśnie staram ci się przedstawić twoją sytuację najdokładniej, jak potrafię. Faktycznie, kilka niedawnych zdarzeń zostało przez nas, można tak powiedzieć, dyskretnie zaaranżowanych. Ale potem staraliśmy się już jak najmniej w nie ingerować, nie miałyby to przecież żadnego sensu. Cóż za wnioski mielibyśmy wysnuć z eksperymentu, na wynik którego mielibyśmy wpływać? Zresztą w tym dzisiejszym świecie nie sposób wszystkiego przewidzieć, wszystko utrzymać pod kontrolą, prawda?

Zaciskam tylko zęby. Nie chcesz, gnoju, wiedzieć, co o tobie teraz myślę! Znajda zerka na mnie kątem oka. Przepraszam, nie słuchaj!

– Chcieliśmy sprawdzić kilka rzeczy i – muszę ci powiedzieć – możesz być z siebie dumny. Wszystkie testy przeszedłeś celująco.

– Poza tym jednym – wtrąca niższy.

– Tak, poza tym jednym. Ale to nie twoja wina, sytuacja wcześniej mocno się skomplikowała...

– Mogę wiedzieć, o co konkretnie chodzi?

– Możesz, oczywiście. Chodziło nam o sprawdzenie, jak twój głos, twoja wersja wydarzeń przebija się w metrze. Chcieliśmy sprawdzić, czy zdołasz narzucić swoją wersję wydarzeń własnej społeczności, waszym władzom. Ale pasterz, który was tu przyprowadził...

– Nieważne – przerywa mu Metody. – Wcześniej parę spraw się po prostu trochę skomplikowało. Już mówiliśmy. Kończ o naszych sprawach – strofuje Cyryla.

– A tak, oczywiście. Wracając do naszych spraw: czyli wiesz już, że ta, jak ją nazywasz, Znajda jest alfem. I to niezłym. To znaczy niezłe przystosowanym. Niestety, nie jest człowiekiem. A nam zależy na tym, żeby ludzie – tacy jak ty i twoi rodacy z metra – posiadli jej umiejętności. Wtedy wypełnimy naszą misję. Przywrócimy wam Ziemię.

– No to w czym problem?

– Nie przerywaj co chwila, to się dowiesz – upomina mnie cierpliwie. – Żeby nasz plan mógł się udać, musimy dokończyć nasz program badań. Rozpoczęliśmy go jakiś rok temu...

– Dwa. Dwa lata temu.

– Dziękuję ci, Metody. Tak, dwa lata temu. Od tamtej pory udało się całkiem wiele uzyskać, ale eksperymenty muszą jeszcze potrwać. I do tego właśnie programu potrzebujemy ludzi.

Zapada cisza, taka z rodzaju bardzo niezręcznych.

– Jak to, ludzi potrzebujecie? – dukam wreszcie.

– Normalnie, potrzebujemy materiału do badań. Bardzo kompleksowych, złożonych i czasochłonnych badań. Organizmy...

– Organizmy?! Znaczą ludzie?!

– Ludzie, słyszałeś przecież! To ludziom, a nie szczurom chcemy wszczepić te geny, zresztą to nie tylko o geny chodzi! Gdybyśmy prowadzili eksperymenty na szczurach, potrzebowalibyśmy szczurów!

– Ale zaraz, to nie Znajda jest celem tego eksperymentu? Tym, co chcecie uzyskać?

– Myśl, człowieku! – denerwuje się Metody. – Przecież przed chwilą o tym mówiliśmy. Ta twoja Znajda jest dziełem niekontrolowanej, potwornej ewolucji, którą sami uruchomiliście. Jak te wszystkie inne szare stwory. No, może trochę różniącym się od innych, ale to mutant! Jej pochodzenie też jest oczywiście bardzo ciekawą sprawą, mamy nawet na ten temat kilka teorii, ale nie, ona zdecydowanie nie jest naszym celem. Jest naszym narzędziem.

– Chodzi nam o ludzi, robimy to przecież dla ich dobra – mówi z troską w głosie Cyryl. – Wyłącznie dla ich dobra...

Przerywa mu nagłe pojawienie się owczarka, który ściszonego tonem wywarkuje coś i stuka obcasami. Cyryl i Metody patrzą po sobie, potem niższy odpowiada krótko i strażnik usuwa się dyskretnie w kąt pomieszczenia. Wyższy patrzy na mnie i zachęcająco kiwa głową.

– Zaraz, zaraz – staram się nadążyć za ich tokiem rozumowania. – Czy ten przydługi wstęp ma służyć nakłonieniu mnie do tego, bym dał się teraz pokroić dla dobra tej waszej wątpliwej nauki?

Niższy tylko prycha ze złością. Wyższy patrzy na mnie uważnie.

– Nie, nie o to nam chodzi. Ciebie mieliśmy już na stole, pewnie pamiętasz. Zasadniczo uważam, że Metodemu może brak nieco empatii, ale z jego argumentami nie sposób się nie zgodzić. Musisz to przyznać, prawda? Gdybyśmy chcieli cię kroić, nie gniewaj się, nie pytalibyśmy cię o zdanie. Nauka wymaga ofiar i poświęcenia. I to nie tylko ze strony naukowców. Ty jesteś dla nas bardzo cenny z innych powodów. I dlatego właśnie chcielibyśmy zaproponować ci pewną bardzo ważną, właściwie to chyba najważniejszą misję...

– Nic już nie rozumiem – rozkładam bezradnie ręce.

– To posłuchaj wreszcie, docenisz może wtedy naszą cierpliwość – w jego głosie pojawia się nutka irytacji. – Chodzi o to, żebyś stanął na czele metra. Metra przyjaznego nam. Potrzebujemy kogoś, kto rozumie nasze potrzeby i będzie w stanie spełnić nasze oczekiwania. A w zamian...

– W zamian my przywrócimy wam Ziemię. Mam wrażenie, że zdążyłeś się już przekonać, jak cenne umiejętności mogą stać się waszymi.

– Chcecie, żebym co miesiąc dostarczał wam tuzin dziewic? Czy co tydzień? A może wolicie chłopców? A może... O Boże! Was kręcą dzieci?!

– Widzisz, znowu kpisz. A sprawa jest całkiem poważna...

– Za każdym razem będziemy określać, czego chcemy. Czasem będą to kobiety, czasem mężczyźni, różne grupy wiekowe. Dzieci też, właściwie to one są najlepszym materiałem badawczym, niestety, wiemy, że u was z nimi nie jest najlepiej. Dlatego mamy własne sposoby...

– Ja kpię? – wybucham. – Za kogo wy mnie uważacie? Za jakiegoś medycznego alfonsa? Mianujecie mnie królem Warszawy, a ja będę wam z wdzięczności wysyłał delegację dzieci na pożarcie? Juliusz Verne czy jakieś średniowieczne klechdy... Skąd wy czerpicie waszą wiedzę o świecie? Okradliście bibliotekę w jakimś przedszkolu?

– Źle na to patrzysz. Nie myśl o kosztach, myśl, ile możesz zyskać. Ile może zyskać twoja społeczność. Co możesz dla niej zrobić, jak przysłużyć się swoim ludziom...

– Ale, ale! Przecież zaraz będziecie tu mieli sporą delegację! Do wyboru, do koloru. Tylko kobiet nie za dużo, za to faceci – sam kwiat. Młodzi, zdrowi, zdeterminowani... Niektórzy uzbrojeni, ale to nie powinien być dla tej waszej sfory wielki problem, co?

Jakby w odpowiedzi na te słowa do bunkra dociera stłumione przez grubą warstwę ziemi nad nami echo gwałtownej kanonady. Trzaskając drzwiami, wbiega kolejny owczarek i zdaje krótki, nerwowy raport. Cyryl wyszczekuje kilka słów i odprawia go machnięciem ręki. Potem przez chwilę nasłuchują obaj w skupieniu. Strzały nie milkną, dołączają do nich głucho stęknięcia. Granaty?

– No właśnie, nie wiesz, skąd w ogóle ten pomysł, żeby nas napadać? – Cyryl zwraca się do Metodego, jakby mówił o chwilowym pogorszeniu pogody. – Po tylu latach...

– Po dwóch.

– Dziękuję! Tak, po dwóch latach owocnej współpracy on nagle postanawia nas atakować. Czego on chce? Na co liczy?

Tego już nie wytrzymuję. Zrywam się na równe nogi, nie mogąc wykrztusić słowa. Natychmiast jak spod ziemi wyrasta koło mnie owczarek. Nic nie mówi, nic nie robi, jego obecność jest dostatecznie wymowna. Opadam ciężko na fotel.

– Chcecie powiedzieć, że wy tak od lat „współpracujecie” z kimś w Warszawie? Z kim? Poza Franzem?!

– Jakim Franzem? – krzywi się Cyryl.

– To ten pasterz, który go tu przyprowadził. Nazywają go Franz – podpowiada Metody.

– A, ten... Nie... On jest tu zwykłym chłopcem na posyłki.

– To z kim? Z Ratuszem, z Prezydentem?

– Oczywiście – wzrusza ramionami Metody. – I do tej pory wszystko doskonale się układało.

– Ale kilka miesięcy temu coś zaczęło się psuć – kontynuuje Cyryl. – Zdziwaczał. Tak, Prezydent, jak go nazywacie. Zaczął strasznie kręcić, kombinować.

– Chciał wszystko zepsuć.

– Przestał dbać o dobro swoich ludzi, o wasze wspólne dobro.

– Nawet prezenty przestały pomagać, nie mogliśmy w to uwierzyć!

– Nie dał też sobie wytłumaczyć, jak poważne konsekwencje może mieć jego niewłaściwe zachowanie. Konsekwencje dla was wszystkich.

– Znaczący: ani prośbą, ani groźbą – podsumowuję.

– Można tak powiedzieć – uśmiecha się uprzejmie Cyryl. – Ta rozdmuchana akcja z radiem, wielka wyprawa, te polityczne mecje z naradami i organizowaniem, mobilizacją całego metra...

– Bez sensu!

– Owszem, bez sensu. Tym bardziej że zaczął tym wszystkim narażać naszą współpracę.

– Kretyn, nie umiał nawet dobrze zorganizować prowokacji. Preparujecie wasze nadajniki, prawda?

– Hmmm...

– No właśnie, sprytnie! A przecież niedawno przekazaliśmy mu sprawny sprzęt. Czysty, że się tak wyrażę. Mógł użyć naszego.

– Reasumując... – Cyryl pochyła się w moją stronę. – Badania wykazały, że ty jesteś najlepszym kandydatem na objęcie najważniejszego stanowiska w waszej społeczności. Mocno wyróżniasz się na tle pozostałych...

– Poziom odniesienia nie jest zbyt wysoki – Metody uśmiecha się ironicznie.

– Przemawiają za tobą zarówno cechy psychiczne, jak i fizyczne. Nad jednym i drugim zresztą pozwoliliśmy sobie już trochę popracować... Rozumiesz powagę tego zadania, prawda? Pamiętaj, możemy zwrócić wam Ziemię.

W głowie kłębi mi się milion myśli.

– To bardzo poważna sprawa – zaczynam powoli. – Musiałbym się nad tym trochę...

– Jesteśmy przekonani, że podołasz temu zadaniu. To trudne, bo, co oczywiste, wasi ludzie nie mogą przecież o niczym wiedzieć. Rozumiesz, tłum nie myśli, a tym bardziej nie myśli racjonalnie. Nie wytłumaczysz mu niczego, nie przekonasz, a co gorsza – do niczego go nie zmusisz. Możesz go tylko w umiejętny sposób skłonić do tego, żeby postępował tak, jak ty tego oczekujesz, i żeby każdy z ludzi z osobna był święcie przekonany, że jest to wynik jego wolnego wyboru. Takie, od wieków, są zasady rządzące polityką. Nie my to wymyśliliśmy...

– Przestań, on gra na czas – przerywa mu Metody. – Nie mamy czasu! Tak czy nie? – warczy, patrząc na mnie z niechęcią.

– Oni już tu są, niedługo będziemy musieli podjąć konkretne działania – kontynuuje spokojnie Cyryl. – Od twojej decyzji zależy dalszy rozwój wypadków. Zależy między innymi to, co stanie się z tymi wszystkimi niewinnymi ludźmi.

– Ale Prezydent, on przecież wciąż żyje...

– Nawet jeżeli, to już niedługo.

– On już wybrał – ucina Cyryl. – Nie myśl o przeszłości, myśl o przyszłości. To się nazywa dobra zmiana!

– Panowie! – mówię uroczystym tonem, wstając.

Patrz na mnie wyczekująco.

– Wiedzieliśmy... – zaczyna Cyryl.

– To bardzo dobrze, że wiedzieliście – mówię. – To przetrzyjcie teraz buźki, żeby były czyste, i możecie mnie czule pocałować. W dupę!

Zapada głucha cisza. Znajda zerka to na mnie, to na nich, cały czas machając nóżkami.

– Mówiłem?! Mówiłem! Od początku ci mówiłem! – wybucha nagle Metody. – Szkoda było zachodu.

Następnym razem użyjemy moich metod!

– Zawiodłeś nas. Zawiodłeś i rozczarowałeś – Cyryl powoli cedzi słowa. – Teraz będziesz miał na sumieniu tych wszystkich ludzi...

– Przestań chrzanić, hipokryto! Moje sumienie to moja sprawa. Nie mam ochoty być waszym narzędziem, nieważne, jakie są wasze prawdziwe intencje. Bo w tę bajkę o waszej trosce o rodzaj ludzki jakoś nie mogę uwierzyć.

Cyryl podnosi się gwałtownie.

– Jak sobie życzysz – mówi zupełnie innym tonem. – Żegnam zatem, mamy kilka ważnych spraw do załatwienia.

– Musimy posprzątać ten chlew – syczy ze złośliwą satysfakcją Metody. – Tobą on się zajmie.

Czuję na ramieniu ciężką dłoń owczarka.

– Zostaw, sam pójdę. – Usiłuję ją zrzucić, ale żelazny uścisk nie słabnie nawet na moment. Warczy do Znajdy i dziewczynka posłusznie rusza za nami. W drzwiach zerkam jeszcze za siebie, ale potężna sylwetka strażnika zasłania mi wnętrze.

Długo maszerujemy wąskimi korytarzami tego podziemnego mrowiska, mijając biegające gorączkowo we wszystkie strony grupy owczarków. Nie sądziłem, że jest ich aż tak dużo. Noszą jakieś pakunki, ładują do metalowych skrzyń amunicję i broń najróżniejszego typu i kalibru, biegają z tym we wszystkie strony. Po kilku minutach docieramy do wąskich schodów, którymi wchodzimy do niedużego hangaru. Gdyby nie to, że na środku stoją tylko dwie klatki, byłbym pewien że to ten, w którym spędziłem te trzynaście dni. Nie mam czasu na rozglądanie się, owczarek popycha mnie mocno w stronę jednej z klatek. Odbijam się od kraty, przewracam na betonową posadzkę. Po chwili, czepiając się stalowych prętów, podnoszę się, wciąż jeszcze lekko oszołomiony. Za plecami słyszę szcęk przeładowywanego pistoletu, przez skórę czuję ruch jego ręki, kiedy podnosi broń na wysokość mojej głowy. Odwracam się wolno i zaglądam w lufę pistoletu. Wreszcie? Mam już dość nieudanych egzekucji.

Rozdział 20

Na początku wspomnieć należy, że relację z tego epizodu interesującej nas tutaj historii udało się odtworzyć dzięki cudem niemal odnalezionym zeznaniom kilku świadków, którzy niedługo po zakończeniu działań wojennych rozmawiali z uczestnikami opisywanych wydarzeń. Ich spisane wtedy słowa, na skutek bądź to błędu archiwisty, bądź świadomego czyjegoś działania – dziś prawdziwych przyczyn dojść już nie sposób – zostały na długi czas błędnie skatalogowane i w efekcie – zapomniane, przez co oficjalna historia wyprawy wojennej N. Koalicji przez długie lata była historią niepełną. A relacje owe, odnoszące się do kluczowych momentów owej wyprawy, nie tylko informują o wielu nieznanym do tej pory faktach, ale rzucają też całkiem nowe światło na niektóre wydarzenia dobrze znane, aczkolwiek traktowane dotąd przez moich szanownych kolegów jako mało lub wręcz całkiem nieprawdopodobne, zaczem pomijane w naukowym opisie. Generalnie stają się one przez to wreszcie lepiej zrozumiałe i osadzone we właściwym kontekście historycznym.

Po zażegnaniu buntów i rokoszy wewnątrz korpusu ekspedycyjnego oraz naradzie, która pozwoliła wyłonić skuteczną strategię walki z nieustającymi atakami potworów, a następnie wcieleniu tejże w życie, postępy ekspedycji stały się nieporównanie większe. Źródła podawały, że maszerowano całą noc, jako że odpoczynek w tamtejszych warunkach był i tak niemożliwy. Jednak prawdziwie znaczące przyśpieszenie marszu nastąpiło dopiero po osiągnięciu przez wojska linii kolei otwockiej, gdzie zastosowano genialny w swej prostocie pomysł Głównodowodzącego. Jak zgodnie relacjonowały to źródła, pomysł polegał na podpalaniu za sobą i na flankach lasu, który napotkano po tamtej stronie torów. Zarówno ukształtowanie terenu, jak i fakt, że las ów był wysuszony na wiór, a także sprzyjający północno-zachodni wiatr znacznie ułatwiły wojsku zadanie. Ponoć rozprzestrzeniający się błyskawicznie pożar tak dezorientował mutanty, że w ciągu niedługiego czasu niemal odstąpiły od ataków, dodatkowo w ogromnej liczbie ginąc w ogniu, co miało znakomicie podnieść nieco już nadszarpnięte morale wojska. I choć pewne straty płomienie poczyniły również po stronie wojsk N. Koalicji, bilans okazał się być zdecydowanie dodatni. W efekcie zastosowania tej strategii wojska ruszyły wreszcie w tempie, które według słów p. Marszałka dawało niejaki nadzieje na uratowanie przynajmniej kilkorga z zaginionych emisariuszy.

W specjalnym, tajnym przemówieniu do korpusu oficerskiego, do treści którego miało mieć dostęp przynajmniej jedno z cytowanych przez nas źródeł, paść miały słowa o osobistych przypuszczeniach Głównodowodzącego, dotyczących specjalnej broni, jaką mieliby dysponować porywacze. Według słów Marszałka broń ta miała dawać jej posiadaczom bezwzględną przewagę nad wszystkimi wrogami,

a w szczególności nad pustoszącymi powierzchnię Ziemi mutantami. Zdobycie jej było jednym z priorytetów ekspedycji, równie istotnym jak ratowanie porwanych. Informacje o owej broni miał przekazać dowództwu stalker, który, jak wiadomo, zdołał zbiec porywaczom i powrócić do Warszawy.

Choć zwykły żołnierz z pewnością nie był tak dobrze poinformowany ani zmotywowany, jednak spokój ze strony mutantów, jakiego doświadczał, stał się przyczyną gwałtownego, lecz niestety dość krótkotrwałego nasilenia entuzjazmu patriotycznego oraz ducha bojowego. Niepokojący dla większości był bowiem fakt, że do tej pory przyszło im walczyć wyłącznie ze zwierzęcymi potworami. Nie napotkali najmniejszych choćby śladów rozumnego przeciwnika. Historia o porwaniu ekspedycji przez wrogie ludzkie oddziały mogła się zatem wydawać dość nieprawdopodobna. Jeżeli domniemani porywacze do tej pory nie uznali za stosowne bronić pola, to, zakładając ich realne istnienie, świadczyć to mogło o tym, że albo wciągają właśnie ekspedycję w zasadzkę, albo pewni są łatwej wygranej. Pewność taką powodować zaś mogła olbrzymia przewaga technologiczna bądź liczebna. Albo, co najgorsze, obie okoliczności naraz. Nietrudno się domyślić, jak zareagowało wojsko. Kilka doraźnych sądów polowych ostudziło wprawdzie skutecznie kielkujące w żołnierskich szeregach nastroje defetystyczne, ale bliskość celu ekspedycji i przecucie nadciągającego starcia z prawdziwym wrogiem nie poprawiały wcale samopoczucia.

W takich to nastrojach niepewności i obawy armia pod koniec dnia dotarła do ogrodzenia kompleksu, który zwiadowcy rozpoznali jako główną kwaterę wroga, gdzie jakoby miano przetrzymywać porwanych. Ani późna pora, ani odkryty teren, niedający żadnych możliwości taktycznego rozlokowania sił, nie sprzyjały N. Koalicji. Oddziały rozciągnęły się wzdłuż ogrodzenia, poszukując korzystnego miejsca do jego sforsowania. Ku zaskoczeniu sztabu okazało się, że ogrodzenie nie było bronione, i wkrótce ekspedycja znalazła się w wewnętrznym pierścieniu umocnień wrażego matecznika. I choć tu napotkano wreszcie ślady ludzi oraz pojazdów mechanicznych, wciąż jeszcze nie nawiązano bezpośredniego kontaktu z wrogiem. W obliczu szybko zapadającego zmroku Dowództwo podjęło decyzję o przegrupowaniu i spędzeniu nocy w bezpiecznej odległości od wrogiej bazy. Rozpoczęto operację wycofania, ale wtedy padły pierwsze strzały.

Tutaj relacje poszczególnych źródeł są bardzo rozbieżne. W zasadzie pewne wydaje się tylko jedno: to nie N. Koalicja rozpoczęła walkę. Skuteczność wymiany ognia, liczba ofiar po obu stronach, użyta broń (choćby w największym przybliżeniu) – żadne z tych pytań nie znajduje w dostępnych nam opisach uwiarygodnionej odpowiedzi, a jakiegokolwiek uśrednianie z metodologicznego punktu widzenia nie ma najmniejszego sensu.

Pokusić się zatem możemy li tylko o sformułowanie jednego wniosku: w niezłe jak dotąd zorganizowane szeregi armii N. Koalicji wkradł się chaos, a moment ów, jeżeli nie był jeszcze momentem ostatecznego jej upadku, to z pewnością stanowił owego upadku preludium.

Rozdział 21

Zamknął oczy i czekał. Nie czuł strachu, tylko wszechogarniające zmęczenie i pustkę. Chciał to już mieć za sobą. Nie być. Oczekiwanie przedłużało się. Zaraz mi to odpłynie, pomyślał. Wróci strach. Gnój, znęca się... Głośny stuk pistoletu upadającego na betonową posadzkę spowodował, że skulił się odruchowo, wciskając głowę w ramiona.

– Skurwielu! Skończ... – wrzasnął, otwierając oczy i osłupiał.

Owczarek zwijał się na betonie w bezgłośnych konwulsjach, obok stała Znajda, wbijając w niego intensywne spojrzenie.

– To ty? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Szła za owczarkiem, który wczółgał się do klatki, zamknął za sobą kratę i połknął klucz. Stała jeszcze chwilę przy nim, a on kiwał się na podłodze, obejmując włochaty łeb rękami. Potem podeszła do mężczyzny.

Chodź – usłyszał. Podniósł z podłogi pistolet.

Biegli pustymi korytarzami, w dół, z powrotem pod ziemię. Gdzieś nad nimi głucho dudniły zwielokrotnione echem eksplozje. Kątem oka zauważył ciasne, ciemne pomieszczenie, rozjarzone zielonym blaskiem monitorów.

– Poczekaj! – krzyknął cicho, zatrzymując się gwałtownie.

Jak zahipnotyzowany wszedł do środka, nie mogąc oderwać wzroku od świecącej ściany, na której przerażeni, bezgłośni ludzie usiłowali kryć się za trupami kolegów, za śnieżnymi zaspami i porzuconymi w panice skrzyniami. Niektórzy ostrzeliwali się na oślep, inni padali skoszeni niewidocznymi kulami, zostawiając na zielonym śniegu duże czarne kleksy. Ktoś uciekał, ktoś kołysał się na piętach, tłukąc się pięściami po głowie, inny rozpaczliwie zagarniał z ziemi zwoje własnych jelit, upychając je pod połą kurtki. Co chwila któryś z ekranów rozbłyskiwał oślepiającym blaskiem, a kiedy obraz znowu stawał się czytelny, ludzkie kształty układały się na nim w eleganckie kwiatowe wzory, pełne zaskakujących symetrii kalejdoskopu.

Z kąta pokoju dobiegło go ciche kliknięcie i kolejny ekran rozjarzył się jaskrawą bielą eksplozji. Odwrócił się błyskawicznie i zamarł. Ze starego biurowego fotela gapił się na niego równie jako on zaskoczony owczarek. Ręce opierał na rozległym pulpicie, pełnym podświetlanych przycisków. Ten, na którym trzymał palec, był już ciemny, ale większość wciąż żarzyła się dyskretnym pomarańczowym blaskiem. Mutant warknął cicho, obnażając rząd ostrych psich zębów. Nerwowo zezował na oparty o ścianę karabinek. Powoli, niemal niezauważalnie, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, zdjął jedną rękę

z konsoly i zaczął obracać się w stronę ściany. Potem wszystko rozegrało się nieomal w ułamku sekundy: owczarek lewą ręką chwycił karabinek, prawą zaś wprawnym ruchem odciągnął zamek i właśnie opierał palec na spuście, składając się do strzału, gdy szarpnęła nim pierwsza kula; druga złamała lewe ramię, gwałtownie obracając go wokół własnej osi; trzecia zaś zgruchotała mu bark i kark, przewracając go razem z fotelem pod ścianę. Wciśnięty w kąt za swoim pulpitem, z nogami zaplątanymi w przewrócony fotel warczał wściekle, żywy, lecz unieruchomiony, z przetrąconym kręgosłupem. Kiedy Znajda weszła do pomieszczenia, mężczyzna wciąż stał z dymiącym pistoletem w uniesionej ręce.

On prosi – usłyszał w głowie.

Opuścił broń, popatrzył w płonące wściekłością ludzkie oczy mutanta. Nie znalazł w nich prośby, ale podniósł pistolet i jeszcze dwa razy nacisnął spust.

Naprawdę prosił – powtórzyła. – Chodź!

– Poczekaj – powiedział. – Nie wiem, dlaczego to robię, pewnie będę żałował...

Z obrzydzeniem odepchnął sterczące znad fotela nogi owczarka i otworzył blaszaną szafkę pod pulpitem. Grube wiązki kabli odchodziły od przycisków i ginęły gdzieś pod podłogą. Wyrwał jeden z kabli, wpatrując się nerwowo w ekrany monitorów. Nic się nie stało, żaden nie oślepił go białym błyskiem. Po kolei zaczął wyrywać wszystkie, potem wyszarpnął jeszcze kilka modułów elektroniki i starannie podeptał. Dobra, chodźmy, pomyślał. Prowadź!

Nagła cisza zaskoczyła wszystkich. Większość z tych, którzy wciąż żyli, po chwili wahania zerwała się na nogi i nawołując histerycznie, rzuciła się do panicznej ucieczki. Prawie nikt z nich nie przeżył szybko nadchodzącej nocy. Umarli od ran, z wyczerpania i wychłodzenia, błądząc po najeżonej kikutami wypalonych drzew, wystygłej już pustyni. Ci i tak mieli szczęście – byli już martwi, kiedy zostali pożarci. Ci bardziej wytrzymali zginęli trochę później, żywcem rozdzierani przez stada wygłodniałych drapieżników.

Jednak nie wszyscy ulegli panice – w tym trudnym momencie Gwardia Prezydencka potwierdziła swoją wartość bojową. Mimo spustoszenia, jakie zdalnie sterowane pole minowe poczyniło w szeregach nacierającego wojska, gwardziści nie złamali szyku. Może mieli po prostu sporo szczęścia, a może załoga Owczarni chciała zostawić ich sobie na koniec, fakt faktem, że dowództwo ekspedycji przetrwało tę rzeź bez większych strat. Po błyskawicznym przegrupowaniu, zwarty oddział prowadzony przez kilku najwyraźniej dobrze zorientowanych w okolicy stalkerów, rozpoczął szturm budynków kompleksu. Szybko przełamano opór kilkunastu zaskoczonych atakiem owczarków, broniących dostępu do wewnętrznego pierścienia umocnień, i gwardia wpadła między pawilony Owczarni. Ryknęły syreny alarmowe.

Dziewczynka biegła pierwsza.

– Czekał chwilę, już nie mogę – wysapał, zatrzymując się i opadając ciężko na stojącą pod ścianą

ławę.

Nad nimi wyły syreny, słychać było pojedyncze strzały i krótkie serie. Co chwila mijały ich niewielkie grupki owczarków taszczących metalowe walizy i masywne drewniane skrzynie. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na dwoje uciekinierów.

Już zaraz, niedługo – poganiała go. – Chodź!

Z trudem zmusił się do biegu. Po kilkudziesięciu krokach dopadli do ciężkich, podwójnych drzwi i przez coś w rodzaju śluzy przeszli do części bunkra o zupełnie innym przeznaczeniu. Wysprzątane korytarze, zielone, lśniące czystością kafelki. Mijali sale o przezroczystych ścianach, wypełnione skomplikowaną aparaturą ze szkła i stali. Nie miał pojęcia, do czego to wszystko może służyć, ale domyślił się, że to laboratorium lub część szpitalna, w której być może zdążył już „gościć”. Nigdzie nie było żywej duszy. Kilkanaście metrów dalej korytarz skręcał gwałtownie. Zatrzymali się przed żelaznymi drzwiami z dużym okrętowym bulajem.

Tutaj, powiedziała dziewczynka.

Mężczyzna zajrzał ostrożnie do środka, ściskając w spoczonej dłoni pistolet.

Tutaj, chodź – powtórzyła. Potem ominęła go i popchnęła drzwi. Ustąpiły lekko, bez oporu.

Stali w dużej, jasno oświetlonej sali, zastawionej dwoma rzędami szpitalnych łóżek. Silna woń środka dezynfekującego gryzła w oczy.

– Julia! – krzyknął cicho i wciskając broń za pasek spodni, pobiegł w kąt sali, gdzie na obciążonym brązową skórą materacu leżała drobna postać.

Dziewczyna była przytomna. Błada i wychudzona, ale przytomna. Patrzyła to na dziecko, to na niego, wyraźnie nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Znajda głaskała ją delikatnie po wymizerowanej dłoni, przypiętej skórzanym pasem do ramy łóżka.

– Czekaj, już cię odpinam – powiedział, szamocząc się drżącymi rękami z ciężką klamrą. – Możesz wstać? Możesz mówić?

Odpinął jej drugą rękę, potem nogi i pomógł usiąść na łóżku. Dygotała, okryta jedynie cienką szpitalną koszulą.

– Coś ci znajdě, nie ruszaj się stąd! – uśmiechnął się do niej szeroko.

Wybiegł na chwilę z sali, rozglądając się po pustym korytarzu. Niedaleko, w niewielkiej wnęce dostrzegł metalowe szafki – zapewne kącik socjalny dla personelu laboratorium. Na szczęście nie były zamknięte. Znalazł tam kilka fartuchów i trzy złożone w kostkę koce. Zabrał to wszystko i pobiegł z powrotem. Dziewczyna nadal siedziała na łóżku, przed nią stała Znajda. Patrzyły na siebie. Po policzkach Julii spływały łzy. Dziecko przyglądało się im uważnie, potem wyciągnęło rączkę i ostrożnie dotknęło ciężkiej kropli. Cofnęło dłoń i dotknęło nią swojego policzka. Wolno przeciągnęło po nim pazurkiem, zostawiając wilgotny, błyszczący ślad. Julia z całej siły przytuliła dziewczynkę.

– Załóż to na siebie – powiedział po chwili. – Może potem znajdziemy coś lepszego.

Wstała odruchowo, by włożyć fartuch, ale zaraz usiadła zawstydzona, przypominając sobie o własnej nagości.

– Przepraszam – powiedział, odwracając się. – Możesz chodzić? – zapytał, wciąż mając przed oczami

ogromną bordowosiną bliznę na jej brzuchu.

– Chyba mogę – odpowiedziała cicho. – Już.

– Dobrze, owiń się jeszcze kocem. Będziemy ci musieli znaleźć jakieś buty, na bosaka daleko nie zajdziesz.

– Dziękuję – wyszeptała, biorąc go za rękę.

– Dobra, nie rozklejaj się – uścisnął mocno jej dłoń. – To jeszcze nie dom, a ja na razie nie mam zielonego pojęcia, jak mielibyśmy się stąd wydostać.

– Mamy ją – powiedziała, tuląc dziewczynkę do boku.

Znajda obiema rączkami objęła Julię w pasie i przytuliła się niezgrabnie.

– Dobra, w takim razie damy radę! – krzyknął, biegnąc do kolejnego łóżka.

– Już myślałem, że o mnie kolega zapomniał – wymamrotał słabym głosem Doktor.

Wychudła, pokryta siwym zarostem twarz i zapadnięte oczy postarzały go o dwadzieścia lat – wyglądał jak zasuszony staruszek. Jego wyniszczone ciało przykryte było starym, poplamionym prześcieradłem, tuż za kolanami opadającym płasko na materac. Widząc spojrzenie mężczyzny, uśmiechnął się przepraszająco.

– Będę pana niósł – zadeklarował ten odruchowo.

– Niech kolega nie żartuje. Trochę zrzuciłem wagi, ale aż tak dużo te nogi znowu nie ważyły – Doktor uśmiechnął się blado. – Na szczęście jest prostsze rozwiązanie, tu gdzieś powinien być wózek, na którym wozili mnie kilka razy na zmiany opatrunków i inne takie. Z korytarza w lewo, tam gdzieś powinien być taki schowek...

Wózek rzeczywiście się znalazł, znalazły się też ogromne gumki, w sam raz na nogę owczarka. Mężczyzna taboretami rozbił szklaną szafkę z narzędziami chirurgicznymi i zdobytym w ten sposób skalpelem pociął na wąskie pasy jeden z koców.

– Zrobimy ci onuce – powiedział do Julii, delikatnie owijając jej stopy – i będziesz miała lepsze buty niż ja!

Wyglądała komicznie i na początku trochę się potykała, ale szybko opanowała tę trudność.

– Kobiety mają to w genach – uśmiechnął się. – Umiały chodzić w szpilkach, to w takim czymś też dasz radę!

– W czym? W jakich szpilkach? – zapytała.

– Kiedyś ci wyjaśnię... – powiedział podjeżdżając wózkiem do łóżka Doktora. – Gotowy? Raz, dwa, i...

Po chwili siedział na sąsiednim łóżku, dysząc ciężko, a Doktor – już na wózku – drżącymi rękami owijał się kocem.

– Gotowy! – zameldował i uśmiechnął się do przyglądającej się tej operacji Znajdy. – Julia mi o tobie opowiadała – powiedział.

– A gdzie reszta? – zapytał mężczyzna, stając nad trzecim pacjentem.

– My tu we troje tylko – powiedział Doktor, niezdarnie popychając wózek w stronę drzwi. – Nguyena ani razu nie widziałem. Jeszcze jakiś czas temu, nie wiem kiedy dokładnie, bo światło pali się non stop,

był tu ten świętojebliwy, ale miał tak męczące widzenia, że wywieźli go w końcu obesranego i już do nas nie wrócił. No i został już tylko pan Sebastian.

– Weźmiemy go chyba ze sobą, nie? – zapytał, patrząc na przewracającego oczami osiłka, przywiązanego do łóżka podwójnymi pasami.

– Nie radzę. Z nim też coś jest nie tak. Nie można się z nim w ogóle dogadać, a jak po niego przychodzili, to zawsze we dwóch. A i tak wcześniej musiał dostać zastrzyk.

– Julia, jak myślisz?

– Ja się go boję – wyszeptła dziewczyna.

– Seba, pamiętasz mnie? – Kilka razy delikatnie uderzył go po policzkach, zanim olbrzymowi udało się zogniskować na nim wzrok. – Chcesz iść z nami?

– Tak! – szepnął Seba. Jego głos brzmiał zupełnie normalnie.

– A będziesz grzeczny? Żadnych głupstw?

– Tak!

– Lepiej nie – powiedział Doktor. – On ciągle obrywał w głowę...

Pasy z jednej ręki odskoczyły z cichym brzęknięciem.

– Tak? – powiedział Seba, oglądając swój nadgarstek, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Mężczyzna przeszedł na drugą stronę łóżka i pochylił się nad pasami. Kiedy druga sprzączka puściła, wyprostował się gwałtownie, ale Seba był szybszy.

– Tak! – powiedział, zaciskając palce na jego szyi.

– Sheba... usphokuj she... – wycharczał, odpychając się od niego rozpaczliwie, jednak osilek nie zamierzał zwolnić uścisku.

Julia stała oniemiała z przerażenia, Doktor miotał się na wózku, usiłując potoczyć się w ich stronę, a Znajda przyglądała się całemu wydarzeniu z ciekawością. Huk wystrzału, zwielokrotniony echem miotającym się między ścianami pomieszczenia, ogłuszył ich na dłuższą chwilę. Doktor usiłował wygrzebać się spod wózka; skulona na podłodze Julia obejmowała głowę rękami.

– Nie mogłaś mi pomóc? – wysapał z wyrzutem do Znajdy. Ta milczała. Ciężko dysząc, nie wypuszczając z ręki pistoletu, prześcieradłem starł z twarzy krew i resztki mózgu.

– Chyba nie chciał z nami iść – powiedział, stawiając z powrotem wózek Doktora na kołach. – Weź Julię – zwrócił się do dziewczynki. – I chodźmy wreszcie! Wyprowadzisz nas stąd? Znasz drogę?

– Franz, dokąd teraz?! – zaryczał Prezydent, odruchowo kuląc ramiona przy każdej salwie.

Wprawdzie żadnego wroga nie było widać, ale wojsko skupione na środku szerokiej alei pomiędzy dwoma rzędami identycznych pawilonów wciąż ostrzeliwało się intensywnie.

– Chodź tu! – stalker machnął ręką na podoficera rozglądającego się rozbieganymi oczami po okolicy.

– Dwie drużyny tam – pokazał dłonią. – Dwie kolejne tam! W tym niskim budynku. Jak wejdziecie, klatką schodową w dół. W którymś powinno być czynne wejście do bunkra. Tam się musimy dostać, do tych podziemi. Czekaemy tutaj pięć minut, potem biegniemy dalej, do tamtych budynków. Chyba że wcześniej

zameldujesz mi, że przejście otwarte. Czekaaj! I uważajcie na zasadzki, najlepiej na dzień dobry wiązkę granatów. No, zapierdalać! Już!

Dwudziestu żołnierzy pokłusowało w stronę pobliskiego pawilonu. Wyrwa w szyku zamknęła się za nimi błyskawicznie.

– No i gdzie jest ta twoja cholerna broń? – naczelnik Wawrzyszewa pochylił się nad Prezydentem.

– Oj, Krupa... Strasznie żeś niecierpliwy. Czekaj chwi...

Potężna eksplozja zatrzęsała budynkiem, w którym przed momentem zniknęli żołnierze, dosłownie usadzając wszystkich na ziemi.

– Głowyyy! – ryknął stalker, osłaniając się plecakiem przed gradem szkła i odłamków.

– Padnij! – dowódca gwardii runął na Prezydenta, zasłaniając go własnym ciałem.

Niebieskawe języki ognia wypełzły ze wszystkich okien dolnej kondygnacji, łapczywie liznęły śnieg u stóp gwardzistów i cichutko schowały się z powrotem.

– Na tych już nie musimy czekać – powiedział stalker, sprawdzając, czy padając nie pogubił magazynków.

– Oj, Wiesiu, nie rób mi wstydu przy ludziach. – Prezydent gramolił się z ziemi. – I z łaski swojej dokończ tego tu, bo się męczy – pokazał palcem na siedzącego obok żołnierza, który rżąc, wybałuszał na nich przerażone oczy. Z jego szyi wystawał zakrwawiony szklany odłamek.

Dowódca kucnął przy rannym i patrząc mu w oczy, wyciągnął z kabury pistolet.

– Się popierdoliło, Mareczku, co? – zapytał łagodnie.

Po policzkach siedzącego spływały łzy.

– Dobra, ogarnąć się! – darł się stalker. – Biegiem do tamtego budynku i tam drużynami do środka. Tylko uwa... – Huk wystrzału tuż obok przerwał mu w pół słowa.

– Sorry! – mruknął ponuro Wiesio, wstając.

Stalker popatrzył na niego z niechęcią.

– Tylko uważać na te pierdolone pułapki! – instruował przestraszonych gwardzistów. – Do wszystkich dotarło, że to nie są żarty?!

– Przyznam szczerze, nie sądziłem, że się koledze uda – Doktor nie przestawał gadać, zezując za siebie. – A jeżeli mogę sobie pozwolić na szczerłość, to wręcz byłem pewien, że się nie uda. I – przepraszam za egoizm – ale szkoda mi było nóg, kiedy mi je ucinali. Potwornie je sobie odmroziłem. Myślałem, że na darmo... Wie kolega, taka chwila zwątpienia. Ale, ale! Musi mi teraz kolega wszystko opowiedzieć! Po kolei: dokąd kolega dotarł, co widział, co słyszał, co się tam u nas w ogóle dzieje, przecież to mnóstwo czasu już minęło...

– Opowiem wszystko, tylko stąd wyjdziemy.

– Koniecznie! To przecież niesamowite. A my tu jak rośliny wegetujemy. Ja to nawet dosłownie. Szkoda tylko, że mi stopy nie odrosną...

– Pietruszce by odrosły.

– No właśnie...

– Czyli jednak nie do końca warzywo. Męczyli was tu potem? – zmienił temat.

– Właściwie to nie, chyba że wymuszoną beczynność nazwać torturą. To tam było czymś na kształt szpitala. Do klatek już nie wracaliśmy. My oboje z panią Julią po operacjach, pan Sebastian, to sam kolega widział, też z nim dobrze nie było. Chociaż jego to czasem zabierali, nawet dość często, ale nie udało nam się czegokolwiek od niego dowiedzieć.

– A kiedy po pana przyszedli, tam na poligonie, jak zareagowali?

– A, to mnie właściwie nawet trochę zaskoczyło – powiedział Doktor z namysłem. – Bo właściwie to chyba wcale. To znaczy, o, o, tutaj w lewo dajmy, chciałbym koledze coś pokazać, znaczy w ogóle nie było żadnej reakcji. Ten strażnik, co po mnie przyjechał, zgarnął mnie po prostu na traktor i odwiózł tutaj. Jakbym od początku był tam sam. Wtedy właśnie pomyślałem, że już musieli kolegę złapać. To było jedyne sensowne wytłumaczenie takiego zachowania. Nie mogłem już wtedy chodzić, to od razu wzięli mnie na stół i odjęli mi stopy. Wdzięczny im chyba powinienem być, bo mnie, zdaje się, nawet znieczulili. Tylko wie kolega, teraz mnie często te stopy strasznie swędzą. O tutaj! Zatrzymajmy się na chwilę. Proszę tu zajrzeć, na moment tylko. Ale dziecko niech może lepiej zostanie na zewnątrz... Julio, zaopiekuje się nim pani?

Korytarz kończył się metalowymi drzwiami, na których czerwoną farbą wymalowano charakterystyczne „M”, logo warszawskiego metra. Mężczyzna zatrzymał wózek i podszedł do drzwi.

– Co tam jest? – zapytał, mając dość niespodzianek.

– Niech kolega sam zobaczy – zachęcał Doktor. – Ja wiele nie widziałem, tylko tu, z samego brzegu. Zdaje się, że nic niebezpiecznego, ale chyba interesującego. O, trzeba tylko światło włączyć!

Świetlówki jedna po drugiej zapalały się z głośnym trzaskiem, odkrywając przed ich wzrokiem kolejne szklane tubusy i ogromne słoje ustawione wzdłuż ścian długiego, wąskiego pomieszczenia.

– O, niech kolega spojrzy! Wiedziałem, że warto. To takie jakby ich muzeum...

– Skąd pan zna to miejsce?! – wyszeptał zdumiony.

– Wieźli mnie kiedyś na zmianę opatrunków, te nogi trochę się paskudziły, i ten strażnik wstąpił tu po coś. Zajrzałem i zapamiętałem drogę. Pewnie i tak, prędzej czy później, mieliśmy tu trafić...

W wypełnionych przeźroczystym płynem słojach lewitowały woskowożółte ludzkie potwory najprzeróżniejszych form i rodzajów, w najróżniejszych fazach rozwoju. Od płodów, w których trudno było dopatrzeć się cech ludzkich, przez straszliwie zniekształcone dzieci: bliźnięta syjamskie w najbardziej niewiarygodnych konfiguracjach, dzieci bez istotnych fragmentów ciała lub – wręcz przeciwnie – obdarzone nadmiarowymi członkami wyrastającymi w najbardziej zaskakujących miejscach, po skurczone, pomarszczone ciała staruszków, o skórze i organach wewnętrznych oznaczonych przerażającymi znamionami nieznanymi chorobami. Osobne miejsce zajmowały tuby i szklane wanny z ciałami o wypreparowanych wnętrznościach. W większości były to kobiety w zaawansowanych ciążach.

– Przerażające, prawda?

– Skąd oni to wszystko wzięli? To z metra, od nas wszyscy?

– Trudno powiedzieć – powiedział Doktor obojętnym tonem. – Prawdopodobnie tak. Najwyraźniej nasza wycieczka nie była pierwszą, która tu dotarła. Prawdopodobnie nie była też ostatnią, jaka miała dotrzeć. O, tam, niech kolega spojrzy! Tam jest jeszcze sporo miejsca. O, i coś nowego się pojawiło, tego wtedy nie widziałem... Niech mnie kolega z łaski swojej tam...

Zamilkli obaj, ze zgrozą wpatrując się w spłaszczony cylinder, wypełniony ciałem drobnego mężczyzny. Z kikuta prawej ręki jak z mankietu skórzanej kurtki wyrastała niewielka szara dłoń, zakończona nienaturalnie długimi palcami.

– Czyli mówili prawdę – szepnął mężczyzna.
– Kto mówił prawdę?
– Cyryl i Metody.
– Jacy Cyryl i Metody?!
– Farmerzy, znaczy.
– To kolega z nimi po imieniu jest? No proszę... Kiedy zdążyliście się zapoznać?
– To długa historia, opowiem przy okazji. Teraz chodźmy stąd wreszcie, tu się robi niebezpiecznie.
– A właśnie, miałem o to zapytać – co to za łomoty tam, na górze? Jakies ćwiczenia?
– No przecież, wy nic nie wiecie! To nasi. O ile ja mogę tak powiedzieć...
– Nasi?! Z metra?!
– Tak, przyszli was ratować.
– Mój Boże, jakie to wzruszające. To może poczekajmy na nich? Uda im się?
– Nie wiem, ale ja bym nie czekał...
– Jak to? I dlaczego „was”? Przecież „nas”!
– Nie, nie... Ja nie jestem w Warszawie mile widziany. Ale to jeszcze dłuższa historia. Chodźmy już – powiedział, wytaczając wózek Doktora z powrotem na korytarz.

Znajda i Julia trzymały się za ręce, czekając na nich.

– Co tam jest? – zapytała dziewczyna.
– Gabinet osobliwości.
– Co?
– Takie muzeum, ale raczej nieprzyjemne...
– To nie chcę oglądać.
– I słusznie! – pochwalił.

Znajda ruszyła bez słowa. Od długiego czasu milczała, przysłuchując się tylko rozmowom. Wiesz, dokąd idziemy? – zapytał. Nie odpowiedziała, przyspieszyła tylko kroku, przebierając szybko chudymi nóżkami.

Zanim znaleźli w końcu właściwe wejście do bunkra, w dwóch pułapkach stracili jeszcze kilkunastu ludzi. Pancerne drzwi długo nie chciały ustąpić i sforsowali je wreszcie za cenę kilkudziesięciu granatów (większość nie wybuchła), kilkuset sztuk amunicji i trzech gwardzistów, którym ciężki betonowy kłoc,

używany jako taran, zmiadził nogi, i w efekcie trzeba ich było dobić. Wszystko to dało załodze Owczarni wystarczająco dużo czasu, by spokojnie przygotować bezpieczną ewakuację, bo kiedy drzwi wreszcie ustąpiły i wojsko rozlało się po podziemnych korytarzach, odwiecznym obyczajem zdobywców oblężonego miasta poszukując kogokolwiek, na kim mogłoby wyładować swą wściekłość i frustrację oraz odreagować wielodniowy stres, nikogo żywego nie znalazło. Z braku lepszego celu skupiono się zatem na dewastacji wszystkiego, co nie zostało zabrane, ukryte lub zniszczone wcześniej. Tradycyjnie, najbardziej ucierpiało szkło we wszelkiej postaci, zaraz po nim było drewno, głównie w formie mebli, dostało się wszelkim wyrobom ceramicznym: sedesom, zlewom oraz stołówkowej zastawie. Próbowano też ukarać wyroby papierowe, ale omal nie zakończyło się to niespodziewanym papierowym odwetem, kiedy dym z płonącej biblioteki błyskawicznie wypełnił korytarze i o mały włos nie doprowadził do zaccadzenia podpalaczy. Sprawiedliwości zresztą szybko stało się zadość, gdyż chwilę potem osobiście zastrzelił ich dowódca Gwardii – Wiesław, który na polecenie Prezydenta usiłował zaprowadzić w tej ślepej destrukcji jakiś elementarny porządek. I przy okazji uratować jak najwięcej ze zgromadzonych tu dóbr. Choć rozzuchwalone nieobecnością przeciwnika wojsko nie poddawało się łatwo, spokój i dyscyplinę udało się wreszcie przywrócić niewysokim kosztem kilku zaimprovizowanych naprędce pokazowych egzekucji.

Prezydent i nieodstępujący go na krok Krupa, otoczeni kilkoma najbardziej zaufanymi sztabowcami oraz niewielką grupką stalkerów, miotali się po korytarzach, przeszukując szuflady biurka, zavalone papierami szafy i regały oraz wszelkie skrzynie, pudła i kartony. W pewnym momencie doszło do nieprzyjemnego incydentu, kiedy podczas próby otwarcia metalowej skrzyni wybuchł umieszczony w niej ładunek-pułapka. Siła eksplozji była tak duża, że strop feralnego pomieszczenia runął, grzebiąc pod gruzami bliżej nieustaloną liczbę manipulujących przy zamku oficerów. Na szczęście Prezydent nie ucierpiał, dobierał się bowiem właśnie, bezskutecznie zresztą, do szafy pancernej w drugim końcu korytarza. Wydarzenie to zmusiło dowództwo do zmiany taktyki poszukiwań – od tamtej chwili otwieraniem podejrzanych pomieszczeń czy pudeł zajmowali się najniżsi rangą, wyznaczeni przez swoich bezpośrednich przełożonych lub wskazani przez któregoś ze stalkerów. Taktyka ta miała tę dodatkową zaletę, że szybko oczyściła szeregi gwardii z osobników powszechnie nie lubianych i uważanych za niesympatycznych.

Mimo intensywnych wysiłków poszukiwania najwyraźniej nie przynosiły oczekiwanego efektu, bowiem atmosfera w najwyższym dowództwie stawała się coraz bardziej napięta, niebezpiecznie balansując na krawędzi otwartego buntu. Objawiało się to głównie przybierającymi na sile spięciami pomiędzy naczelnikiem Wawrzyszewa a Prezydentem. Z racji stałej obecności w pobliżu Prezydenta przynajmniej kilku gwardzistów wybuchy agresji ograniczały się jednak jak dotąd wyłącznie do sfery werbalnej.

– Panowie, musicie coś zobaczyć! – zameldował łypiącym na siebie złowrogo dowódcą Franz.

– Kto to? – zapytał obojętnie Prezydent, przyglądając się zwłokom zwalistego mężczyzny z krwawą galaretą w miejscu głowy.

– To jeden z tych, których prowadziłem. Mówili na niego Seba. Od was – rzucił do Krupy.

Ten jednak wzruszył tylko ramionami.

– Pies go trącał. Znajdź lepiej tę cholerną zbrojownię czy gdzie to gówno może być. Bo jak się okaże, że tylu naszych zginęło na nic...

– Uspokój się. A co my, według ciebie, robimy?

– Się, kurwa, błąkacie tu jak dzieci we mgle. Ty! – krzyknął na rozglądającego się po sali stalkera. – Przecież musisz wiedzieć, gdzie to jest!

– Mówiłem już, jakbym wiedział, to już byśmy tam byli – wzruszył ramionami Franz. – Tu leżały jeszcze dwie osoby. Też pewnie przypięte do łóżek, jak ten. O, ma te pasy odgniecione na nadgarstkach i na nogach. I ktoś ich uwolnił, a jego zastrzelił...

– Detektyw pierdolony! – podsumował krótko Krupa. – Sam sobie raczej łba nie odstrzelił. Powiedz lepiej, co tamci mówili, co dokładnie słyszałeś.

– Oni muszą tu jeszcze gdzieś być...

– To ich znajdź i przyprowadź do mnie, cymbale! A ja już z nich wycisnę, gdzie to gówno schowali...

– Nie mówię o farmerach – Franz patrzył na Krupę z nieskrywanym obrzydzeniem. – Tylko o tych, którzy na tych łózkach leżeli. I o tym, kto ich uwolnił.

– Mówiłem już, chuj z nimi! – Twarz naczelnika zrobiła się purpurowa z wściekłości. – Gadaj wreszcie, co oni dokładnie mówili!

– Powiedz, Franz – Prezydent tym razem zgodził się z Krupą.

– Mówiłem wam już to tysiąc razy – wzruszył ramionami stalker. – Było sobie zapisać, jak nie możecie spać. Ze mną o tym przecież nie gadali, słyszałem to przypadkowo. Że broń jest już właściwie gotowa, że jeszcze tylko kilka dni, że to im zapewni fantastyczne możliwości. Tylko że im się ta broń jakby zgubiła, ale spokojnie, bo owczarki już są na tropie i w ciągu kilku dni wszystko będzie w komplecie, gotowe. Takie pierdu, pierdu, ogólniki same, bez konkretów...

– Jeżeli powiesz mi teraz, że tylu moich ludzi zginęło, bo ty masz, kurwa, słaby słuch, to ja ci ten słuch zaraz poprawię – warknął Krupa. – Bagnetem ci uszy...

– Franz, posłuchaj mnie – przerwał mu Prezydent zatroskanym tonem, wpatrując się uważnie w twarz stalkera. – Jeżeli oni teraz na przykład uzbrajają tę broń lub w jakiś inny sposób szykują się do jej użycia, zaraz może być po nas. Musimy ją odnaleźć, zanim się to stanie, uniemożliwić im to. Dlatego tak ważny jest każdy szczegół: co mówili, jak mówili i gdzie mówili. Może wspólnie uda się nam coś wymyślić.

– Przecież my, kurwa, nawet nie wiemy, czego szukamy! – wydarł się histerycznie Krupa. – Jak to wygląda? To podłużne jest czy kwadratowe? Duże jakieś czy jak wasze mózgi: ledwo widoczne? Kurwa, fioletowe czy zielone? A, sorry, różowe pewnie... Tyle ludzi szuka, tylko czego?! To jak mamy to, według ciebie, znaleźć?!

– Myślę, przecież nic nie robię, tylko cały czas o tym myślę! – wybuchnął Franz. – Jak będę wiedział, to od razu...

– Jak ci się coś przypomni... – przerwał mu Prezydent.

– Nic mi się, kurwa, więcej nie przypomni, bo już wam wszystko powiedziałem! Wszystko, co słyszałem i co wiem. Że już jest prawie gotowa i niedługo będzie można zaczynać. Mówili to tam,

niedaleko stąd...

– No to na co, do kurwy nędzy, czekamy?! Po co żeś nas tutaj przyciągnął? Wszyscy zapierdalać w podskokach! Tam! Prowadźże, wreszcie!

Ledwo zdążyli ruszyć, gdy do Prezydenta podbiegł zziębnięty oficer.

– Panie Prezydencie, znaleźliśmy kogoś!

– Kogo?!

– Nie wiemy, jacyś ludzie, są tam, niedaleko.

– Tutejsi?

– Chyba nie, wyglądają jak nasi, znaczy rodacy...

– Tracimy cenny czas – Krupa pokręcił z rezygnacją głową, widząc Prezydenta ruszającego za oficerem.

Chwilę później stali obaj jak wryci w progu dużej sali o walcowym sklepieniu, na środku której kilkunastu gwardzistów mierzyło z karabinów do owiniętego kocem inwalidy na wózku, prowadzącego wózek mężczyzny i młodej kobiety trzymającej za rękę dziewczynkę w cienkiej szarej sukience. W rogu pomieszczenia kuliła się niewielka gromadka obdartych maluchów, wyglądających na pierwszy rzut oka jak młodsze rodzeństwo dziewczynki.

– Tamten miał przy sobie broń – jeden z żołnierzy z dumą zaprezentował pistolet.

– Wiesiu, jak mi to, kurwa twoja mać, wytłumaczysz, proszę? – wycedził przez zęby Prezydent, nie spuszczać wzroku ze stojącego za wózkiem mężczyzny.

– No... No nie wiem, dziwne – powiedział powoli dowódca gwardii. – Odstawiliśmy go, wedle rozkazu...

– Czy tam, gdzie myślę? – zapytał słodkim głosem Krupa.

– No, tam...

– Czy to nie jest miejsce, z którego się nie wraca?

– No jest, zasadniczo – wzruszył ramionami gwardzista. – No, nie rozumiem – wydukał wreszcie z rozbrajającą szczerością.

– Oj, Stasiek, kiepsko u was ze skutecznością – Krupa pokręcił głową z wyrazem rezygnacji na twarzy.

– Nie nazywaj mnie tak przy ludziach, bydlaku – wysyczał Prezydent. Dowódca gwardii podszedł do Krupy i popatrzył na niego groźnie.

– Wal się, Stasiek! – powtórzył tamten hardo.

Kilku niewiele gorzej uzbrojonych niż gwardziści osiłków otoczyło swojego szefa ciasnym wianuszkiem.

– Może się jednak tymi tam zajmiemy? – przerwał tę milczącą konfrontację Franz. – Ty, zdaje się, nieżywy już miałeś być? – rzucił do trzymającego wózek mężczyzny.

– Żeby to raz – odparł tamten.

– Co tu się dzieje? Co mają znaczyć te karabiny?! – Julia była oburzona i wściekła. – Ktoś może to wytłumaczyć? Skoro już wszyscy się tu poodnajdywaliśmy, to może wrócimy wreszcie do domu?

– Spokojnie, panienko – uśmiechnął się lodowato Prezydent. – Najpierw musimy znaleźć to, po co

przyszliśmy.

– A to nie po nas? – zdziwił się Doktor. – Bo mi tu kolega opowiadał, że wy tak w ramach ekspedycji ratunkowej!

– Z tym bandytą? – powiedziała lodowato Julia, patrząc z odrazą na Franza. – On chciał mnie zabić, już pan nie pamięta? Poza tym to przecież zdrajca, co on tu z wami robi?

– Zdrajca? Jaki zdrajca? – zaniepokoił się Krupa.

– Uratowałem ci życie, dziewczyno – warknął stalker. – Sorry za kulę, ale gdyby nie to, marnie byś tu skończyła.

– O czym pan mówi? – zapytał zdumiony Doktor.

Julia zaś tylko gapiła się na Franza oczami wielkimi jak spodki.

– Zrobiliby z niej seryjną matkę, jak je tu nazywają. Tutaj kobieta to cenny towar, rzadko się trafia, więc trzeba ją wykorzystać do końca. Jej końca. Zwykle nie trwa to długo, ale za to jest bardzo intensywne. Tak słyszałem – uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Bredzisz, chciałeś mnie zabić...

– Możesz tak myśleć, twoje prawo – wzruszył ramionami. – Ale gdybym chciał, to przecież bym zabił, nie? A tak, upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Ty bydlaku!...

– Gdybym wcześniej wiedział, że wolisz rodzić niczym maciora w chlewie kolejne potworki, a na końcu dać się żywcem pokroić „w imię nauki”, to bym się inaczej zachował. Ale uważaj z osądzaniem. No, chyba że jesteś... jak on, taka jakby... niezniszczalna...

– Możesz ty mi, Stasiu, kurwa, wytłumaczyć, po kiego ty żeś ich tu w ogóle wysyłał? – Krupa przysłuchiwał się tej wymianie zdań z niesmakiem. – Po co była cała ta szopka z radiem i w ogóle? Przecież cała ta wycieczka od dawna była już gotowa...

– Musiałem przecież. Musiałem mieć ostateczne potwierdzenie, że to już, że już to mają, że trzeba ruszać.

– To ja trzech swoich ludzi musiałem poświęcić, żebyś ty przekonania nabył? Jeden by nie wystarczył?

– A ty myślisz, geniuszu strategii, że tu tak każdy może sobie wejść i zapytać, co słyhać? To wszystko musiało dobrze wyglądać, rutynowo. A ten – wskazał głową Franza – miał się we wszystkim zorientować, o wszystko wywiedzieć...

– To się, kurwa, spisał...

– Jak się spisał, tak się spisał, to się zaraz okaże. Jeszcze żeśmy tu wszystkiego nie obejrzel...

– No właśnie, *à propos*, bo szkoda czasu na pitolenie – przerwał Krupa. – Więc chociaż ty, Stasiu, weź się wykaż w końcu, tego śmiecia załatw, skutecznie tym razem, jeśli łaska. A resztę proponuję zabrać, przydadzą się, jak znowu będzie trzeba jakieś pudło otworzyć. Bo robota czeka!

Prezydent bez słowa skinął na dowódcę gwardii. Ten przeładował kałasznikowa i ruszył w stronę grupy uciekinierów.

– Zaraz, zaraz! – Franz szybkim ruchem zasłonił mężczyznę i powstrzymał żołnierza gestem dłoni. – Mam lepszy pomysł...

– Mam gdzieś twoje pomysły – rzucił znudzonym głosem Prezydent. – Jak na razie nie na wiele się przydały.

– Chcecie znaleźć to, po co tu przyszliśmy?

– Wkurwiasz mnie. Chcesz zginąć razem z nim?

– Poczekaj! On tu był, prawda? I wyszedł stąd, i wrócił. I teraz, jakby nigdy nic, płacze się bez żadnej opieki po obiekcie, prawda?

– Szybciej, mamy mało czasu.

– I zawsze będziemy mieli go za mało. Bo nie znajdziemy nic, nie mając pojęcia, czego szukamy!

– Tyle to już wiemy, mądralo.

– Ale on wie więcej! On musi coś więcej wiedzieć. Jest taki jakby trochę tutejszy, najwyraźniej ma niezłe kontakty, na pewno dużo lepsze niż ja...

– No coś w tym jest chyba... – na twarzy Prezydenta pojawił się przebiegły uśmiech. – Wiesiu, poproś pana, żeby nam łaskawie opowiedział, gdzie jego mocodawcy trzymają to ich wunderwaffe.

– Ale że jak, zabić go? – gwardzista wyraźnie pogubił się już całkowicie w meandrach polityki stosowanej.

– Boże, z kim ja muszę pracować? – westchnął z emfazą Prezydent, wyszarpując z kabury pistolet. – Gdzie to jest? – ryknął, podchodząc do mężczyzny.

– Nie wiem, o czym do mnie rozmawiasz... – powiedział tamten znudzonym tonem. – Może od razu mnie zastrzelisz?

– Mam lepszy pomysł. Powiesz, gdzie to jest, albo rozwalę jego – odparł Prezydent, kucając koło wózka i przykładając pistolet do skroni Doktora.

Ten powoli obrócił głowę i spojrzał mu w oczy z obrzydzeniem. Twarz Prezydenta na chwilę wykrzywił złośliwy uśmiech, który szybko ustąpił miejsca wściekłości.

– Zostaw! – odepchnął gwardzistę próbującego pomóc mu wstać z podłogi. Z obrzydzeniem starł rękawem ślinę z twarzy. – Tak ze mną pogrywasz, gnojku? – wysyczał. – Masz trzy sekundy – rzucił, odciągając kurek pistoletu.

– Niech mu kolega nic nie mówi – powiedział pośpiesznie Doktor. – Nawet gdyby...

Przerwał mu huk wystrzału. Wózek wywrócił się wprost pod nogi dowódcy straży.

– Mogłeś mnie zabić, celuj w inną stronę – mruknął ten z wyrzutem.

– Ty skurwysynu! – Julia rzuciła się na Prezydenta, próbując dosięgnąć go drobnymi piąstkami.

Bez trudu złapał ją za rękę, wykręcił i przycisnął do siebie. Potem przyłożył jej dymiącą jeszcze lufę do głowy.

– To co, może teraz mi powiesz?

– Możesz nas tu wszystkich pozabijać po kolei – wzruszył ramionami mężczyzna, odsuwając się od lufy kałasznikowa uwierającej go w plecy. – Nic ci nie powiem, bo nic nie wiem. Mówiłem już, przeceniasz moją wiedzę.

W tym momencie syreny zawyły z pełną mocą. Gdzieś całkiem blisko, najwyraźniej budynek, w którym się znajdowali, stał na powierzchni. Przez historyczne zawrodozenie megafonów przedzierał się jakiś nowy

dźwięk, cichy jeszcze i trudny do zidentyfikowania.

– Stasiek, zostaw ją. Lepiej się, kurwa, ogarnijmy, bo tu zaraz będzie piekło. Oni chyba spieszą stąd, a to znaczy, że zaraz się tu...

– Zamknij się, Krupa!

– To ty się, kurwa, zamknij! Gadasz tylko i gadasz, a tu zaraz to wszystko razem z nami pierdolnie w powietrze. Rusz wreszcie dupę i spadajmy stąd!

– Przyszliśmy tu coś załatwić, i to załatwimy. Znajdziemy to gówno. Jak inaczej wyobrażasz sobie powrót do domu? Wypstrykaliśmy się z całej amunicji, nie mamy jak i nie mamy po co tam wracać. Ta broń to nasza jedyna szansa...

– Pierdolę tę twoją broń, nic nie znajdziesz. Bo tu nic nie ma. Ten fałszywy skurwysyn – wskazał głową Franza – przyprowadził nas tu na zatracenie. Ale ja pierdolę was wszystkich. I ciebie, Stasiek, osobiście! Rób, jak chcesz. Stasiek! Ty beznadziejny ćwoku! Z was tu zaraz będzie krwista kupa, ja stąd znikam! Panowie, w imię boże, wypad z baru!

Gromadka Wawrzyszewiaków przewiesiła skwapliwie karabinki przez plecy i zaczęła się rozglądać za wyjściem.

– Tam szefie! – zameldował jeden z nich, wskazując słabo widoczne w półmroku żelazne drzwi.

Krupa nie uszedł dalej niż dziesięć kroków, gdy padł strzał. Zatrzymał się i chciał się obrócić, by zobaczyć, co się stało, ale ciało nie słuchało go już zbyt uważnie. Rozchylił poły grubej kurtki i ze zdziwieniem dostrzegł na swojej piersi rosnącą szybko czerwoną plamę. Chciał coś powiedzieć, ale nic nie przyszło mu już do głowy. Z otwartymi ustami runął na twarz, grzechocząc wyszczerzonymi w uśmiechu niedowierzania zębami o beton posadzki.

Kiedy Julia wracała potem myślami do tego, co się tam wtedy wydarzyło, a czasem do tego wracała, najczęstszym wspomnieniem był smak kurzu i prochu. Leżała na posadzce, przygniatając do niej z całej siły Znajdę, i myślała, że dobrze byłoby być kartką papieru. Małym świstkiem, nieodstającym od posadzki na więcej niż pół milimetra. Może wtedy nie musiałyby się niczego obawiać, żadna kula nie przeleciałaby dostatecznie blisko jej płaskiej papierowej głowy, by wystraszyć ją tak, żeby ze strachu nie mogła się nawet bać. Piekło, jakie się wtedy rozpętało, było gwałtowne, ale jak to z gwałtownymi zjawiskami często bywa, równie nagle, jak się zaczęło, tak też i się skończyło. Prawdopodobnie pewien udział w tym niespodziewanym otrzeźwieniu miał huk niedalekiej eksplozji, który wstrząsnął nie tylko ścianami budynku, ale również sumieniami uczestników bratobójczej walki. Czterech, trudno powiedzieć, jakim sposobem pozostałych przy życiu Wawrzyszewiaków cisnęło karabiny na ziemię i z podniesionymi do góry rękami i głupimi ze strachu minami czekało na wyrok losu.

– To jednak wolicie być z nami? – zapytał los, wygrzebując się spod zwłok Wiesława. Skwapliwie pokiwali głowami. – Dobra, w sumie każda lufa się przyda. Obejmujesz dowodzenie! – rzucił do stojącego obok żołnierza z przeorany kulem policzkiem. – I weź się ogarnij, bo ci zęby widać!

Żelazne drzwi, podziurawione kulami jak durszlak, huśtały się na zawiasach. Poczuli na twarzach powiew mroźnego powietrza. Kolejne, coraz bliższe eksplozje dudniły głucho w pustym pomieszczeniu, posypując im głowy zwietrzalym tynkiem. Przez wyjące wciąż syreny przedzierał się coraz wyraźniejszy,

pulsujący łoskot ciężkich silników.

– Wiem! – wrzasnął Prezydent. – Wiem co to jest!

Wszyscy popatrzyli na niego zdumieni.

– Oni uciekają! Spierdolić chcą helikopterem! Łapcie ich! – wydarł się do wciąż oszołomionych gwardzistów. – Rozwalić ich, strącić! Na co czekacie?! Już! Zaraz będzie za późno!

– Znaczy do czego mamy strzelać? – zapytał z głupią miną świeżo mianowany dowódca gwardii.

– Do wszystkiego, kurwa! Do wszystkiego, co zobaczysz! Duże, blaszane, cymbale! Zresztą jak je zobaczysz, to będziesz wiedział – Prezydent miotał się jak wariat. – A teraz zapierdalaaać! Juuuz! – ryknął.

– Za mną, ja wiem – wrzasnął Franz i pierwszy rzucił się w stronę drzwi.

Ciężkie buciory załomotały wokół dziewczyny, mężczyzny i dziecka, omal ich nie tratując. Wstawali, rozglądając się z niedowierzaniem, że wciąż żyją. Z kąta wpatrywało się w nich kilka par przerażonych dziecięcych oczu.

– Hola, hola! – wrzasnął nagle Prezydent. Zdezorientowany oddział zatrzymał się w pół kroku. – No, nie wszyscy przecież! Tu mi też będzie kilku potrzebnych, z tymi trzeba w końcu zrobić porządek. Pięciu do mnie! A reszta, jazda!

Nowy dowódca gwardii, który nagle zorientował się, że prawdopodobnie bezpieczniejszy będzie u boku swojego szefa, niż ścigając jakieś nieznane urządzenia w mroku nocy, szybko wskazał palcem pięciu żołnierzom.

– Wy do mnie. A reszta zasuwa! Za stalkerem!

Żołnierze po kolei znikali za drzwiami. Szóstka pozostałych patrzyła za nimi przez chwilę, nasłuchując pełnego strachu nawoływania i pierwszych chaotycznych strzałów. Potem odwrócili się i ruszyli w stronę Prezydenta. Minęli troje uciekinierów, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Ostatni, przechodząc obok dziewczyny, zamachnął się na nią niespodziewanie. Nie zdążył jej nawet dotknąć, gdy runął jak długi, zaplątując się we własne nogi.

– No czo, kulwa – wyseplenił, ścierając z brody krew i wypluwając połamane jedyńki. – Się potknęłem, nie? Buty mi szę loszwiąsały...

Mężczyzna zerknął ukradkiem na Znajdę. Dziewczynka ścisnęła za rękę przerażoną Julię. Koledzy ofermi nie przestawali trząść się ze śmiechu, ale Prezydent nie podzielał ich wesołości.

– Zamknąć się! – warknął. – Zebrać ich wszystkich do kupy i rozwalić. Tamte bachory też!

Śmiech ucichł gwałtownie. Żołnierze wymienili niezadowolone spojrzenia.

– Dzieciaków tes? – spytał w końcu ten z wybitymi zębami.

– Mam ci drugi raz powtórzyć? – wycedził zimno Prezydent. – Pod ścianę z nimi.

– Do roboty! – przerwał pełną napięcia ciszę dowódca. – Razem ich dać, do tamtych – wskazał lufą kierunek.

Gwardziści wzruszyli z niechęcią ramionami, kilku splunęło pod nogi. Podeszli do trójki stojącej na środku hali. Bez słowa szturchnęli ich lufami karabinów. Julia trzymała się na nogach ostatkiem sił. Wzięła ją mocno pod ramię.

– Chodź – powiedział łagodnie. Odwrócił się i pociągnął sztywną z przerażenia dziewczynę za sobą. Ale Znajda trzymała ją mocno za rękę i nie zamierzała ruszyć się z miejsca. Stój – powiedziała.

Zatrzymał się, patrzył.

– Ruchy, gówniaro! – ryknął stojący najbliżej dziewczynki gwardzista i gwałtownym ruchem uniósł karabin, zamierzając się na nią kolbą. Ale zamiast uderzyć, zgiął się wpół i z głuchym stęknieniem siadł na ziemi, jakby sam dostał potężny cios w żołądek. Siedział, wytrzeszczając oczy i nie mogąc złapać powietrza. Inni popatrzyli na niego zdumieni, a potem jak na komendę podnieśli karabinki, mierząc w Znajdę.

– Rozwalić ich! – wrzasnął histerycznie Prezydent.

– Nie! – krzyknęła Julia, zasłaniając dziewczynkę własnym ciałem.

Żołnierze wciąż trzymali uniesione karabiny, ale nie wykonali żadnego ruchu. Przyglądał im się z żywym zainteresowaniem, jakby ta cała sytuacja nie dotyczyła go osobiście, jakby to nie on stał po tej niewłaściwej stronie ich karabinów. W tym momencie nie zwracał nawet uwagi na coraz bliższe, coraz częstsze eksplozje, od których trzęsły się ściany, a na głowy leciały im grube płyty tynku.

– Co jest?! – darł się Prezydent. – Strzelać!

I wtedy wszyscy gwardziści, jak na komendę, wywrócili oczy do góry i jak podcięci kosą runęli na posadzkę, wstrząsani drgawkami. Kopali beton, tocząc z ust krwawą pianę.

Julia wypuściła z rąk Znajdę i zdumiona przyglądała się temu widowisku.

– Gno... gnoju, za... załatwię cię... – jąkał się Prezydent, szamocząc się z pistoletem w kaburze.

Wyszarpnął go w końcu i przeładował trzęsącymi się dłońmi. Trzymając go w wyciągniętej ręce, podbiegł do dziecka i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przystawił mu lufę do głowy. Dygocząc spazmatycznie, wykrzykiwał wciąż nowe groźby i przekleństwa, jednak nie pociągał za spust. Znajda patrzyła na niego spokojnie, milczała.

Nagle Prezydent obejrzał się za siebie i z wrażenia aż opuścił broń. Tuż za nim stała piątka maluchów, które do niedawna jeszcze kuliły się pod ścianą. Nie spuszczać z niego wzroku, powoli otoczyły go ciasnym kręgiem. Wtedy coś się w nim odmieniło. Usiadł ciężko na ziemi, przestał się trząść. Przebiegł wzrokiem po twarzach dzieci.

– To wy, to was szukałem – powiedział i włożył do ust lufę pistoletu. Pociągnął za spust. Energia kuli rzuciła go na plecy. Leżał tak, w czerwonej aureoli, z rozrzuconymi szeroko ramionami, otoczony wianuszkami milczących dzieci.

Mężczyzna pomógł wstać dziewczynie.

– Chodźmy – powiedział. – To wszystko zaraz wyleci w powietrze.

I wyszli. A połyskujący rozedrganą łuną pożaru chłód zimowej nocy otulił ich i zamknął się za nimi bezszelestnie.

Rozdział 22

Podmuch ciężkich łopat wirnika odepchnął żołnierzy od startujących maszyn. Przygiął ich do ziemi, oślepił śnieżnym tumanem i zagrzebał głęboko w lodowej pościeli. Cztery opasłe stalowe larwy, młócąc pracowicie powietrze, powoli wspinały się ku górze po stopniach czerwonego światła, seriami błysków wydobywającego ich bujne kształty z niedopowiedzianej fantazji mroku. Potem zawisły na chwilę w gęstej materii nieba, jakby jeszcze raz chciały popatrzeć na to miejsce w dole, aż wreszcie opuściły nisko nosy i pomknęły po nitkach niewidzialnej osnowy w stronę jaśniejącego bliskim świtem horyzontu. Zmęczeni tkacze wiatru, żegnani przez małostkowych niewdzięczników rozżarzonymi kroplami ołowiu.

Rozdział 23

Od wydarzeń opisywanych w niniejszej pracy upłynęło już niemal czterdzieści lat. Ostatni świadkowie wymarli przeszło dwie dekady temu, pozostawiwszy po sobie nader skromne i często sprzeczne relacje, dotyczące wydarzeń będących głównym tematem naszego opracowania. Jako że rozszerzenie materiału faktograficznego o nowe przekazy jest bardzo mało prawdopodobne (choć niedawne odkrycia, opisywane zresztą w niniejszej monografii, pozwalają wierzyć, że zawsze może wydarzyć się cud), z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, że w temacie rekonstrukcji owych historycznych wydarzeń skazani będziemy już zawsze li tylko na domysły i domniemania. Dużo lepsza dla historyka sytuacja ma na szczęście miejsce w dziedzinie analizy następstw owych wypadków. Tutaj ciągłość przekazu historycznego gwarantuje nam rzetelność opisu oraz niekwestionowane raczej przez żadnych liczących się badaczy interpretacje kluczowych dla naszej historii kontekstów.

Warszawa nigdy nie podźwignęła się już po tamtych wydarzeniach. Straciwszy istotną część ludności, a bez wątpienia część najbardziej aktywną i zdolną do zabezpieczenia interesów miasta, pogrążyła się w kilkuletnim chaosie, którego bezpośrednim efektem była utrata większości południowego oraz całego północnego fragmentu miasta. Spustoszenie materialne oraz terror polityczny, jakie zarząd komisaryczny Ratusza rozpętał na Politechnice w momencie powstania N. Koalicji, poskutkowały masowym exodusem ludności, w większości najcenniejszej z punktu widzenia naszej społeczności kadry naukowej, na południowe stacje, zajmowane przez tzw. Koalicję Radom. I choć początkowo próbowano jeszcze utrzymywać połączenia komunikacyjne oraz organizować regularną wymianę handlową, to opuszczenie trzech stacji, oddzielonych długimi odcinkami tuneli, oraz niespodziewana, krwawa rebelia, która wybuchła na stacji Raławicka, praktycznie uniemożliwiły mocno nadwątłonym siłom porządkowym metra skuteczne utrzymanie kontroli nad tym odcinkiem. Wskutek tego do nieremontowanego i nienadzorowanego tunelu przenikać zaczęły początkowo najmniejsze, z czasem coraz większe osobniki, a potem już wręcz całe hordy krwiożerczych mutantów. W końcu, po miesiącach zmagañ, wobec niemożności skutecznej walki z tą plagą, zdecydowano się na rozwiązanie drastyczne w postaci zawalenia kluczowych odcinków tunelu.

O ile o Południu można powiedzieć, że oddziało się łagodnie i stopniowo, o tyle dużo bardziej skomplikowana sytuacja miała miejsce na stacjach północnych. Tam bowiem, jeszcze przed zakończeniem wyprawy wojsk N. Koalicji, wybuchać zaczęły liczne bunty i krwawe czystki, prowokowane przez efemeryczne, lecz mocno sfanatyzowane organizacje religijne i polityczne, którym pustka wywołana brakiem silnego przywództwa wydała się idealną okazją do narzucenia swojego

modelu życia mieszkańcom. Wobec brutalności ich poczynań nawet osoby o dość liberalnych dotąd poglądach, aktywizując się w licznych samoobronach, podlegały błyskawicznej radykalizacji i na zasadzie domina szybko zagrażać zaczęły sąsiadom. Jako że widmo krwawej wojny domowej zawisło nad głowami mieszkańców Ratusza oraz Świętokrzyskiej, doszło do ostatniego tak licznego oraz zorganizowanego wystąpienia ludności Warszawy w obronie dotychczasowego ładu. Odpędziwszy na bezpieczną odległość forpocztę „północnej hordy”, jak przyjęło się nazywać mozaikę jednoczących się wyłącznie w obliczu wspólnego wroga bandyckich grup i bojówek z Wilsona i Wawrzyszewa, mieszkańcy Centralnych Stacji zawalili tunel łączący ich z północną częścią miasta i tym samym raz na zawsze odcięli do siebie dostęp z tamtej strony.

Powitana entuzjastycznie chwilowa stabilizacja szybko okazała się niebezpieczną dla społeczności pułapką marazmu i stagnacji. Ludność ściśnięta na przestrzeni kilku kilometrów tuneli i trzech peronach poddana została powolnemu, acz nieuniknionemu procesowi całkowitej degradacji i degeneracji. Brak bodźców, brak zajęcia i pożywienia, wreszcie bardzo ograniczona pula genowa u wielu powodowały postępujące osłabianie możliwości i woli przetrwania w pętli dodatniego sprzężenia zwrotnego. Silnym, lecz raczej negatywnym bodźcem stała się utrata dziesięć lat później przeprawy na wschodnią stronę Wisły. Tym razem z przyczyn prawdopodobnie naturalnych zawalił się fragment tunelu tuż za stacją Powiśle, zamykając dostęp do bogatych, bo nigdy jeszcze nieeksplorowanych na większą skalę terenów na prawym brzegu rzeki.

Dwadzieścia trzy lata po opisywanych przez nas wydarzeniach miała miejsce dziwna anomalia – gwałtowne załamanie się liczebności populacji mutantów. W połączeniu ze słabnącym powoli poziomem promieniowania dało to ludziom niespotykaną dotąd szansę zdobycia przyczółków na powierzchni. Niestety, po mniej więcej dwóch latach populacja odbudowała się, a nawet wzbogaciła o nowe, sprytniejsze i bardziej niebezpieczne gatunki. Na szczęście okres ten wykorzystano do ostatniego dnia na eksplorację powierzchni w bezpośredniej i dalszej bliskości metra, a zgromadzone wtedy zapasy procentują po dzień dzisiejszy. Wtedy też, w tym, jak go nazywano, złotym wieku, zapoczątkowano intensywny rozwój Akademii Świętokrzyskiej, której najlepszym tradycjom staramy się na tych kartach sprostać. Rozległego i pozytywnego wpływu nauki na życie naszej maleńkiej społeczności nie sposób przecenić, nad szczegółami tego zjawiska nie będziemy się tu jednakowoż rozwodzić, zostawiając to zagadnienie kolegom z Wydziału Psychologii Ograniczonych Przestrzeni.

Na zakończenie chcielibyśmy tylko o jednym nadmienić: mimo że istnienie owej Owczarni oraz zamieszkujących ją farmerów wydaje się raczej fantazją niektórych źródeł, łatwą do wytłumaczenia przez traumę świadków oraz właściwą stanowi żołnierskiemu skłonność do fantazjowania i przesądność, legenda ta stała się jedną z najżywszych w naszej społeczności. I nie ma dnia, by ludzie nie wypatrywali ponownego przybycia farmerów, z którym to przybyciem wiążą owo powszechnie już zapomniane uczucie – nadzieję.

prof. dr hab Nguyen Thi Hong

„Działania militarne Warszawy w okresie Nowej Koalicji”
Praca zbiorowa pod kierunkiem prof. dr. hab. Nguyena Thi Honga

